

Jonathan Kellerman

Klub spiskowców

(The conspiracy club)

Przetoczył Przemysław Bieliński

Pamięci mojego ojca Davida Kellermana
1918-2003

Rozdział 1

Burza emocji, martwa tkanka.

Skrajne przeciwieństwa – Jeremy Carrier zawsze tak to widział.

W szpitalnej rzeczywistości nie było dwóch dyscyplin, które miałyby ze sobą mniej wspólnego niż psychologia i patologia. Jako praktykujący psycholog, Jeremy chlubił się otwartym umysłem; dobry psychoterapeuta musiał bardzo pilnować, by unikać stereotypów.

Ale przez wszystkie lata swojej nauki i pracy klinicznej w Centralnym Szpitalu Miejskim Jeremy spotkał zaledwie kilku patologów, którzy nie pasowali do utrwalonego obrazu: zamkniętych w sobie, mrukliwych, czujących się lepiej wśród pecyn martwej tkanki, w abstrakcyjnym ekspresjonizmie rozmazów i ciszy chłodni w piwnicznej kostnicy niż wśród żywych, oddychających pacjentów.

A jego koledzy po fachu, psycholodzy, psychiatry i wszyscy inni żołnierze armii zdrowia psychicznego, najczęściej byli wrażliwcami, których poruszał sam widok krwi.

Jeremy nie znał osobiście żadnego patologa, choć od dziesięciu lat mijał ich na szpitalnych korytarzach. Towarzyskie układy w szpitalu ustaliły się na poziomie liceum: my-oni jako religia, niepoahamowany rozrost kast, klik i spisków, niekończący się wyścig o władzę i wpływy. Plus odwrócenie zależności środków i celu, którego ofiarą pada każda biurokracja: szpital zmienił się z placówki leczniczej potrzebującej funduszy na leczenie pacjentów w wielkiego państwowego pracodawcę, któremu należności ściągane z pacjentów potrzebne są na wypłaty pensji dla personelu.

Wszystko to zniechęcało do spoufalania się.

Konfederacja samotników.

W Centralnym Szpitalu Miejskim każdy ciągnął do podobnych sobie i tylko w ostateczności wymuszonej potrzebami leczenia dochodziło do porozumienia: interniści w końcu przyznawali się do porażki i odwoływali się do chirurgów, lekarze rodzinni nabierali tchu przed skokiem na głęboką wodę konsultacji.

Jaki powód miałyby patolog, żeby kontaktować się z psychologiem?

Przez to wszystko – a także dlatego, że bezlitosny kaprys losu zmienił Jeremy'ego Camera w cierpiącego, rozkojarzonego młodego człowieka – gest Arthura Chessa zupełnie wytrącił go z równowagi.

Może właśnie to rozkojarzenie było przyczyną wszystkiego, co się stało potem.

Przez blisko rok Jeremy widywał Arthura raz w tygodniu, ale nie zamienili ani słowa. I oto teraz Arthur usiadł naprzeciw Jeremy'ego w lekarskiej stołówce i spytał, czy Jeremy nie ma ochoty na towarzystwo.

Dochodziła piętnasta, pora lunchu minęła i stołówka była prawie pusta.

– Pewnie – powiedział Jeremy i od razu uświadomił sobie, że wcale nie.

Arthur kiwnął głową i wcisnął swoje ciało w wąskie krzesło. Na tacy miał dwie porcje smażonego kurczaka, stos ziemniaków polanych sosem, idealny kwadrat chleba kukurydzianego, małą miseczkę *succotash* i zimną puszkę coli.

Południowiec? – pomyślał Jeremy, patrząc na jedzenie. Próbował sobie przypomnieć, czy w głosie Arthura słyhać było południowy akcent. Nie, chyba nie. Jeśli już, baryton starszego mężczyzny trącił Nową Anglią.

Arthur Chess nie wykazywał zainteresowania rozmową. Rozłożył serwetkę na kolanach i zaczął kroić kawałek kurczaka. Ciął szybko i zręcznie; miał długie palce z szerokimi, krótko obciętych paznokciami. Jego długi, laboratoryjny fartuch był śnieżnobiały, tylko na prawym rękawie miał niepokojące różowawe kropki. Pod fartuchem widać było błękitną koszulę z miękkim kołnierzem. Muszka w kolorze magenty była przekrzywiona – najwyraźniej celowo.

Patolog miał sześćdziesiąt pięć lat, może więcej, ale różowa cera promieniowała zdrowiem. Podłużną twarz okalała równo przycięta, biała broda bez wąsów – tak pewnie wyglądałby Lincoln, gdyby pozwolono mu się zestarzeć. Łysa głowa Arthura w ostrym szpitalnym oświetleniu wydawała się olbrzymia i lśniła jak księżyc.

Jeremy znał reputację Arthura, tak jak niekiedy znamy czyjąś biografię, choć samej osoby nie. Główny patolog, profesor Chess zrezygnował z obowiązków administracyjnych kilka lat temu, żeby skupić się na pracach badawczych. Zajmował się mięsami tkanek miękkich, jakimiś niuansami przepuszczalności ścian komórkowych czy czymś takim.

Miał też opinię podróżnika i kolekcjonera motyli. Jego rozprawę o australijskich motylach padlinożernych można było kupić w szpitalnym sklepiku z pamiątkami, obok czytań w miękkich okładkach. Jeremy zauważył samotny stosik wyschniętych, burych tomików, bo kontrastowały ponuro z pstrokatymi okładkami popularnych bestsellerów. Bury stosik nigdy nie malał; po co chory człowiek miałby czytać o robakach, które żywią się trupami?

Arthur zjadł trzy kawałki kurczaka i odłożył widelec.

– Mam szczerą nadzieję, że się panu nie narzucam, doktorze Carrier.

– Ależ skąd, doktorze Chess. Czy mogę w czymś pomóc?

– Pomóc? – Arthur wydawał się rozbawiony. – Nie, szukam tylko okazji do towarzyskiej rozmowy. Zauważyłem, że jada pan samotnie.

– To przez mój rozkład dnia – skłamał Jeremy. – Nieprzewidywalny. Odkąd jego życie osobiste trafił szlag, unikał towarzyskich pogawędek ze wszystkimi oprócz pacjentów. Nauczył się udawać uprzejmość. Ale czasami, w najczarniejsze dni, każdy kontakt z drugim człowiekiem sprawiał mu ból. Kaprys losu...

– Oczywiście – powiedział Chess. – Biorąc pod uwagę charakter pana pracy, tego właśnie można by się spodziewać.

– Słucham? – Nieprzewidywalność ludzkich emocji.

– To prawda.

Arthur pokiwał głową z powagą, jakby obaj doszli do tego samego wniosku.

– Jeremy – powiedział chwilę potem. – Mogę mówić panu po imieniu? Jeremy, zauważyłem, że nie było pana w tym tygodniu na naszym małym wtorkowym zebraniu.

– Coś mi wypadło. – Jeremy czuł się jak dziecko przyłapano na wagarach. Zmusił się do uśmiechu. – To te nieprzewidywalne emocje.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończyło?

Jeremy pokiwał głową.

– Coś nowego w KN?

– Dwie nowe diagnozy, mięsak adenosarcoma i przewlekła białaczka szpikowa. Typowe prezentacje, jak zwykle ożywiona dyskusja. Prawdę powiedziawszy, nic nie straciłeś.

Naszym małym wtorkowym zebraniem była Komisja Nowotworowa. Cotygodniowy rytuał, od ósmej do dziewiątej, w większej sali konferencyjnej. Arthur Chess przewodniczył dyskusjom onkologów, radiologów, chirurgów i fizyków medycznych. Wykorzystywał projektor, laserowy wskaźniki swoją przepastną pamięć.

Przez blisko rok Jeremy był na owych zebraniach przedstawicielem armii zdrowia psychicznego. Przez cały ten czas tylko raz zabrał głos.

Na pierwsze posiedzenie Komisji Nowotworowej poszedł po raz pierwszy wiele lat temu, jako stażysta, i doświadczył tam uczucia groteskowej ironii: na olbrzymim ekranie wyświetlano kolejne slajdy zniszczonych nowotworami komórek, a obrazy ginęły w kłębach nikotynowego dymu.

Co najmniej jedna trzecia zajmujących się rakiem lekarzy i pielęgniarek paliła.

Ówczesny zwierzchnik Jeremy'ego, niestęchający napuszony psychoanalityk, miał zwyczaj palić fajkę freudowskich rozmiarów i dmuchać Jeremy'emu w twarz dymem z tytoniu latakia.

Przewodniczącym komisji był wtedy również Arthur, uświadomił sobie Jeremy, i wyglądał prawie tak samo jak teraz. Główny patolog nie palił, ale nie zabraniał tego innym. Kilka miesięcy później bogata ofiarodawczyni i dobrodziejka szpitala zajrzała do sali konferencyjnej i aż ją zatkało. Niedługo potem wprowadzono zakaz palenia w całym budynku, a atmosfera kolejnych posiedzeń komisji zrobiła się nieprzyjemna.

Arthur odłamał mały kwadracik chleba kukurydzianego i, zamyślony, zaczął go przeżuwać.

– Nic nie straciłeś, Jeremy, ale uważam, że twoja obecność jest potrzebna.

– Doprawdy?

– Nawet jeśli niewiele mówisz, sam fakt, że tam jesteś, zmusza nas wszystkich do zachowania czujności. Wrażliwość nie jest bez znaczenia.

– Cóż – powiedział Jeremy, zastanawiając się, dlaczego Chess tak bezwstydnie wciska mu kit. – Wrażliwość jest najważniejsza.

– Wtedy, kiedy zabrałeś głos – powiedział Arthur – udzieliłeś ważnej lekcji nam wszystkim. Jeremy poczuł, że się czerwieni.

– Uznałem, że to było istotne.

– Och, było, Jeremy. Nie wszyscy tak to odebrali, ale było.

Wtedy, kiedy zabrał głos – to było sześć tygodni wcześniej. Arthur pokazywał slajdy przerzutów raka na dużym ekranie, opisując nowotwory dokładną łacińską poezją histologii. Pacjentka, pięćdziesięcioośmioletnia Anna Duran, została skierowana do Jeremy'ego z powodu jej obojętnego zachowania.

Jeremy z początku uznał ją za ponurą. Zamiast próbować ją rozweselać, nalał jej herbaty do pustego kubka, zrobił sobie kawę, poprawił chorej poduszki, a potem usiadł przy jej łóżku i czekał.

Nie dbał o to, czy kobieta coś powie, czy nie. Tak było od Jocelyn. Nawet już nie próbował.

A najzabawniejsze było to, że pacjenci reagowali na jego apatię, szybciej się otwierając.

Żal uczynił go skuteczniejszym terapeutą.

Zdumiony tym Jeremy zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, i doszedł do wniosku, że pacjenci prawdopodobnie uważają jego pustą twarz i bezruch za jakiś niewzruszony, buddyjski spokój.

Gdyby tylko wiedzieli...

Zanim Anna Duran dopiła herbatę, była gotowa mówić.

Dlatego właśnie Jeremy musiał zabrać głos, dwadzieścia minut po rozpoczęciu wymiany zdań między prowadzącym onkologiem pani Duran a leczącym ją radiologiem. Obaj fachowcy, ludzie elokwentni, o dobrych zamiarach, oddani swojej sztuce, za bardzo skupiali się na swojej specjalizacji; byli z gatunku tych, co to wylewają dziecko z kąpielą. Żeby skomplikować sprawę jeszcze bardziej, nie przepadali za sobą. Tamtego ranka wdali się w ożywioną dyskusję na temat przebiegu terapii; pozostali obecni na zebraniu zaczęli zerkać na zegarki.

Jeremy postanowił się w to nie mieszać. Wtorkowe ranki działały mu na nerwy; musiał chodzić na zebrania, bo wypadła jego kolej, a nie lubił tego, bo w ten sposób zbliżał się do umierania bardziej, niżby chciał.

Tamtego poranka jednak coś kazało mu wstać.

Nagły ruch sprawił, że pięćdziesiąt par oczu zwróciło się w jego stronę.

Onkolog właśnie skończył wygłaszać długą mowę.

Radiolog już miał mu odpowiedzieć, ale wyraz twarzy Jeremy'ego go powstrzymał.

Arthur Chess przetoczył w dłoniach laserowy wskaźnik.

– Tak, doktorze Carrier?

Jeremy spojrzał na kłócących się lekarzy.

– Panowie, panów dyskusja może i ma sens z medycznego punktu widzenia, ale marnujecie czas. Pani Duran nie zgodzi się na żadną terapię.

Cisza rozpełzła się po sali jak przerzuty raka.

– A czemuż to, doktorze? – spytał onkolog.

– Nikomu tu nie ufa – odparł Jeremy. – Sześć lat temu była operowana... appendektomia w

trybie natychmiastowym z pooperacyjnym zakażeniem. Jest przekonana, że od tego właśnie dostała raka żołądka. Zamierza wypisać się ze szpitala i znaleźć sobie miejscowego uzdrowiciela, *curandero*.

Wzrok onkologa stwardniał.

– Doprawdy, doktorze?

– Obawiam się, że tak, doktorze.

– To bardzo ciekawe i uroczo głupie. Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

– Poinformowano – odparł Jeremy. – Powiedziała mi o tym wczoraj. Zostawiłem wiadomość w pana gabinecie.

Onkolog spuścił z tonu.

– Cóż, w takim razie... Proponuję, żeby wrócił pan do niej i przekonał ją, że jest w błędzie.

– To nie moje zadanie. Ona potrzebuje rozmowy z panem. Ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby dotarła do niej jakaś argumentacja.

– Och, czyżby? – Onkolog uśmiechnął się kwaśno. – Jest gotowa iść do znachora, a potem zwinąć się w kłębek i umrzeć?

– Wierzy, że zachorowała po operacji i że następna ją zabije. To rak żołądka. Co tak naprawdę możemy jej zaproponować?

Cisza. Wszyscy obecni na sali znali statystyki. Tak zaawansowany rak żołądka nie dawał podstaw do optymizmu.

– Uspokojenie jej to nie pana zadanie, doktorze Carrier? – spytał onkolog. – A jakie jest pana zadanie jako członka Komisji Nowotworowej?

– Dobre pytanie – powiedział Jeremy. I wyszedł z sali.

Spodziewał się wezwania na dywanik do ordynatora psychiatrii, nagany albo wycofania z komisji. Nic takiego się nie stało, a kiedy przyszedł na posiedzenie w następny wtorek, powitały go pełne szacunku spojrzenia i skinienia głów.

Przestań się interesować losem pacjentów, a pacjenci zaczną z tobą chętniej rozmawiać.

Zgaś jakiegoś ważniaka, a zyskasz szacunek kolegów.

Ironia śmierdzi. Od tamtej pory Jeremy wyszukiwał sobie najróżniejsze wymówki, by nie chodzić na posiedzenia.

– Rzecz w tym – powiedział Arthur – że my, komórkowcy, do tego stopnia grzęźniemy w szczegółach, że zapominamy o człowieku, którego sprawa dotyczy.

„W pana przypadku nie ma już człowieka, którego sprawa dotyczyła”.

– Doktorze Chess – powiedział Jeremy. – Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. Naprawdę, nie czuję się dobrze w roli rozjemcy czy arbitra. A teraz, proszę mi wybaczyć.

– Oczywiście – odparł Arthur nieporuszony, kiedy Jeremy odniósł swoją tacę i wyszedł ze stołówki. Mruknął coś, czego młody psycholog nie usłyszał.

Później, o wiele później, Jeremy nabrał niemal pewności, że rozszyfrował pożegnalne słowa

Arthura:

– Do następnego razu.

Rozdział 2

To, jak zginęła Jocelyn – wizja jej cierpienia – osadziło się na mózgu Jeremy'ego jak kamień nazębny. Nie pozwolono mu przeczytać policyjnego raportu. Ale widział spojrzenia detektywów, słyszał ich rozmowy na korytarzu. „Seksualny psychopata. Sadysta. Przypadek do księgi rekordów, Bob”. I ich oczy. Żeby detektyw miał takie oczy...

Jocelyn Banks, niebieskooka blondynka, miała dwadzieścia siedem lat, była drobna, zgrabna, energiczna i gadatliwa. Wszyscy pacjenci, których polubiła, odwzajemniali jej sympatię.

Oddział 3E. Porzućcie wszelki rozsądek, wy, którzy tu wchodzicie.

Zaawansowany alzheimer, arteriosklerotyczne zniechęcenie, najróżniejsze demencje, nierozpoznana zgnilizna duszy.

Warzywniak, jak nazywali go neurologi. Sami wrażliwcy, ci neurologi.

Jocelyn pracowała na zmianie od piętnastej do dwudziestej trzeciej. Opiekowała się pustymi oczami, obwisłymi ustami i zaplutymi brodami. I była wesoła, zawsze wesoła. Mówiła do swoich pacjentów „Skarbie”, „Mój słodki” albo „Przystojniaku”. Mówiła tak do tych, którzy nigdy nie odpowiadali.

Jeremy poznał ją, kiedy wezwano go na 3E na konsultację w sprawie nowego pacjenta z alzheimerem, a on nie mógł znaleźć jego karty. Dyżurny lekarz oddziału był opryskliwy i nie zamierzał nikomu pomagać. Wtedy zjawiała się Jocelyn, a Jeremy uświadomił sobie, że to ta ładniutka blondyneczka, na którą zwrócił uwagę w stołówce. Co za twarz co za nogi co za tyłek.

Po konsultacji poszedł jej szukać, znalazł w dyżurce pielęgniarek i zaprosił ją na randkę. Tamtej nocy usta miała gorące od pocałunków, a oddech słodki, chociaż jedli przyprawione czosnkiem włoskie potrawy. Później Jeremy przekonał się, że ta słodycz była jak perfumy wpływające z jej wnętrza.

Spotykali się przez dziewięć tygodni, zanim Jocelyn wprowadziła się do jego małego, samotnego domku. Trzy miesiące później, w bezksiężycową, poniedziałkową noc, tuż po tym, jak skończyła swoją zmianę, ktoś ukraść jej toyotę z niedostatecznie oświetlonego parkingu dla pielęgniarek, pół przecznicy od szpitala. I porwał Jocelyn.

Jej ciało znaleziono cztery dni później, pod mostem na Mieliznach, granicznej dzielnicy leżącej w pobliżu najniebezpieczniejszych ulic miasta. W dzień było to miejsce gwarne i ludne, ale w nocy jak wymarłe. Jego peryferie były pełne opuszczonych budynków, dziurawych płotów, bezdomnych kotów i długich cieni, i tam właśnie morderca porzucił ciało Jocelyn. Została uduszona, pocięta i wciśnięta za pustą beczkę po ropie. Tyle detektywi zdradzili Jeremy'emu. A on wiedział już to wszystko z gazet.

Nad sprawą pracowało ich dwóch. Doresh i Hoker, obaj napakowańcy, po czterdziestce, w bitych garniturach i z pijacką cerą. Bob i Steve. Doresh miał ciemne, faliste włosy i dołek w

brodzie, w który można było wcisnąć niedopałek. Jasnowłosy Hoker zamiast nosa miał świński ryj, a usta tak wąskie, że Jeremy zastanawiał się, jak ten facet je.

Obaj byli potężni i zwaliści. Ale bystrzy.

Natychmiast potraktowali Jeremy'ego jak podejrzanego. Tamtej nocy, kiedy Jocelyn zniknęła, wyszedł ze szpitala o szóstej trzydzieści, pojechał do domu, poczytał i posłuchał muzyki, a potem zrobił kolację i czekał. Żywopłot, który otaczał jego maleńki frontowy trawnik, uniemożliwiał sąsiadom podglądanie, o której wychodzi i wraca. W tym kwartale mieszkali zresztą głównie ludzie wynajmujący domy, tacy, co to przyjeżdżali i odjeżdżali, ledwie zdążywali umeblować nieprzyjazne bungalowy, i nigdy nie zadawali sobie trudu sąsiedzkich uprzejmości.

Późna kolacja, którą przygotował dla dwóch osób, nie przekonała detektywów Boba Doresha i Steve'a Hokera, a nawet wzmożyła ich podejrzliwość. Bo o trzeciej nad ranem, upewniwszy się już dawno, że Jocelyn nie została na następnej zmianie, i zaraz po tym, jak zadzwonił na policję i zgłosił jej zaginięcie, Jeremy schował niezjedzony makaron i sałatkę do lodówki, posprzątał ze stołu i pozmywał.

Szukał sobie zajęcia, żeby stłumić niepokój, ale dla detektywów taka skrupulatność nie pasowała do kochanka zamartwiającego się, bo jego dziewczyna nie wróciła na noc do domu. Chyba że, oczywiście, ów kochanek od początku wiedział, że...

Przez jakiś czas to ciągnęli, dwa bawoły, na przemian traktując Jeremy'ego z góry i próbując go zastraszyć. W jego przeszłości nie znaleźli niczego podejrzanego, a pobrana z jego policzka próbka DNA nie odpowiadała niczemu, z czym ją sobie porównywali.

Kiedy o coś pytał, rzucali sobie tylko porozumiewawcze spojrzenia. Kilka razy z nim rozmawiali. W jego gabinecie w szpitalu, w jego domu, w pokoju przesłuchań, w którym śmierdziało jak w szatni na siłowni.

– Czy miała jakąś tkankę pod paznokciami? – zapytał bardziej sam siebie niż detektywów.

– Dlaczego pan o to pyta, doktorze? – odpowiedział pytaniem Bob Doresh.

– Jocelyn stawiała opór. Gdyby miała szansę.

– Czyżby? – Hoker nachylił się nad zielonym, metalowym stołem. – Była bardzo delikatna, już panom mówiłem. Ale walczyłyby, żeby się bronić.

– Walczyłyby, aha... Czy poszłyby bez wahania z kimś obcym? Ot, tak?

Jeremy poczuł w piersi piekący gniew. Zamrużył oczy i ścisnął krawędź stołu.

Hoker opadł na oparcie krzesła. – Doktorze?

– Chce pan powiedzieć, że tak to było?

Hoker się uśmiechnął.

– Uważa pan, że to jej wina? – wycedził Jeremy.

Hoker spojrział na swojego partnera. Poruszył ryjem i zrobił zadowoloną minę.

– Może pan już iść, doktorze.

W końcu dali mu spokój. Ale stało się, co miało się stać: przyleciała rodzina Jocelyn, oboje

jej rodzice i siostra. Odrzucili go. Nawet nie poinformowali o pogrzebie.

Starał się być na bieżąco ze śledztwem, ale jego telefony do detektywów przejmował dyżurny sierżant: Nie ma żadnego z nich. Przekażę pana wiadomość.

Minął miesiąc. Trzy, sześć. Mordercy Jocelyn nie znaleziono.

Jeremy, zraniony, chodził i rozmawiał. Jego życie zwiędło jak krucha roślina. Jadł, nie czując smaku, wypróżniał się, nie czując ulgi, wdychał miejskie powietrze i kasłał, jeździł na równiny albo nad wodę, ale wciąż brakowało mu tlenu.

Bał się ludzi – nagle pojawiających się nieznajomych. Ludzki dotyk go odrzucał. Podział między snem i jawą stał się umowny, niejasny. Kiedy mówił, słyszał własny głos, odbity, wracał do niego, pusty i drżący. Na plecach i ramionach dostał trądziku, plagi pryszczy zapomnianej od czasów dorastania. Zaczął miewać tiki powiek, a niekiedy był przekonany, że z porów jego skóry sączy się gorzki smród. Nikt jednak chyba go nie czuł. Szkoda: samotność dobrze by mu zrobiła.

Przez cały ten czas przyjmował pacjentów, uśmiechał się, pocieszał, trzymał za rękę, jak zawsze wypisywał karty pospieszonymi bazgrołami, na których widok pielęgniarki chichotały.

Raz podsłuchał pacjentkę, której pomógł przejść przez obustronną mastektomię, mówiła na korytarzu do swojej córki:

– Doktor Carrier to wspaniały człowiek, po prostu cudowny.

Udało mu się dobiec do najbliższej męskiej toalety, wymiotował, doprowadził się do porządku i poszedł na następną rozmowę.

Pół roku później czuł się ponad tym wszystkim, a zarazem poniżej. Jakby tkwił w nie swojej skórze.

Zastanawiał się, jak by to było się stoczyć.

Rozdział 3

Po rozmowie w stołówce Jeremy przygotował się na poufałość ze strony Arthura Chessa na najbliższej Komisji Nowotworowej. Ale patolog obdarzył go tylko przelotnym spojrzeniem.

Kiedy zebranie się skończyło, Arthur nie próbował się do niego zbliżyć, a Jeremy przypisał ich rozmowę impulsywności starego człowieka.

W zimny, jesienny dzień wyszedł w porze lunchu ze szpitala i poszedł do antykwariatu dwie przecznice dalej. Sklep był ciemny i wąski, mieścił się w obskurnej okolicy, między sklepami z alkoholem, komisami i pustymi lokalami. To był dziwny kwartał; czasami nos Jeremy'ego wychwytywał tu zapach świeżego chleba, choć w okolicy nie było żadnej piekarni. Czasami zaś czuł siarkowy smród popiołu i ścieków przemysłowych z niewiadomego również źródła. Zaczynał wątpić we własne zmysły.

Antykwariat był pełen regałów z nieheblowanej sosny i pachniał starą farbą drukarską. Jeremy w przeszłości często zwiedzał jego zakamarki, wyszukując stare podręczniki do psychologii, które kolekcjonował. Okazji nie brakowało: mało kto wydawał się zainteresowany pierwszymi wydaniem Skinnerów, Masłowów i Jungów.

Od śmierci Jocelyn nie odwiedził antykwariatu ani razu. Może przyszła pora wrócić do dawnych przyzwyczajzeń bez względu na to, jakie one były?

Witryna sklepu była ciemna i nic nie wskazywało na to, że jest otwarty. Kiedy wchodziło się do środka, cały świat znikał i można było się skupić. Sztuczka, choć skuteczna, zniechęcała jednak przypadkowych klientów; Jeremy rzadko spotykał kogoś w antykwariacie. Może na tym właśnie zależało właścicielowi.

Był nim grubas, który krzywił się, kiedy ktoś coś kupował, nigdy nic nie mówił i sprawiał wrażenie zdeklarowanego mizantropa. Jeremy nie wiedział, czyjego milkiwość była skutkiem wyboru, czy jakiegoś defektu, ale jedno nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna nie był głuchy. Wręcz przeciwnie, nadstawiał uszu przy najcichszym odgłosie. Na pytania klientów reagował jednak niecierpliwym gestem: celował palcem w drukowany przewodnik wiszący na ścianie niedaleko wejścia: ledwie czytelną wariację na temat systemu dziesiętnego Deweya. Jeśli ktoś nie umiał sobie z nią poradzić, miał pecha.

Tego popołudnia niemy gbur siedział za swoją kasą i czytał wytarty, postrzępiony egzemplarz *Eugene'a Arama* sir Edwarda Lyttona. Widząc Jeremy'ego, poruszył się tylko na krześle i ledwie dostrzegalnie uniósł brwi.

Jeremy poszedł do działu Psychologia i przejrzał grzbiety książek, szukając czegoś wartościowego. Nic. Uginające się pod ciężarem półki dźwigały te same tomy, które widział kilka miesięcy temu. Wydawało się, że każda książka stoi na swoim miejscu. Zupełnie tak, jakby cały dział był zarezerwowany wyłącznie dla niego.

Jak zwykle w antykwariacie nie było nikogo innego. Jak niemy grubas zarabiał na życie?

Może nie zarabiał. Przeszukując półki, Jeremy zaczął wyobrażać sobie inne źródła dochodów właściciela. Możliwości było sporo, od dużego spadku, po comiesięczną rentę inwalidzką.

A może antykwariat był pralnią brudnych pieniędzy, przykrywką dla handlu narkotykami czy żywym towarem albo punktem kontaktowym międzynarodowej grupy spiskowców?

Może to tu, między zakurzonymi okładkami, miało swoje korzenie piractwo dalekich mórz?

Jeremy zaczął wymyślać coraz bardziej niestworzone historie o najróżniejszych rodzajach zbrodni. Zaprowadziło go to nie tam, gdzie powinno, i przeklął własną głupotę.

Znieruchomiał, słysząc chrząknięcie. Wyszedł z Psychologii i zajrzał w następną alejkę.

Stał tam inny klient. Mężczyzna, odwrócony tyłem do Jeremy'ego i nieświadomy jego obecności.

Wysoki, łysy człowiek w dobrze skrojonym, niemodnym tweedowym garniturze. Kiedy różowa głowa obróciła się, by zbadać zawartość półek, Jeremy zobaczył najpierw białe pasemka brody, a potem cały profil, gdy nieznajomy dokonał wyboru i sięgnął po książkę.

Arthur Chess.

Czy to był dział Kolekcjonowanie Owadów? Jeremy nigdy nie przejrzał przewodnika grubasa, nie interesowały go inne działy.

Klapki na oczach. Czasami tylko dzięki temu życie dawało się znieść.

Jeremy patrzył, jak Arthur otwiera książkę, ślini kciuk, przewraca stronę i nie podnosząc głowy, czytając, rusza przed siebie.

Skręcił i ze spuszczonego wzrokiem szedł prosto na Jeremy'ego.

Gdyby Jeremy przywitał się ze starcem, musiałby z nim porozmawiać, ale gdyby teraz uciekł, szybko i bezgłośnie, może stary doktor by go nie zauważył.

A jeśli by zauważył? Byłoby fatalnie – Jeremy zostałby zmuszony do towarzyskiej pogawędki i straciłby cenny czas, który mógłby poświęcić na przeszukiwanie zbiorów.

Postanowił więc przywitać się z Arthurem, mając nadzieję, iż patolog będzie tak pochłonięty swoją książką o motylach, że rozmowa z nim będzie krótka.

Arthur podniósł wzrok, zanim Jeremy do niego podszedł. Książka, którą trzymał w ręku, była olbrzymim tomiszczem, oprawionym w popękana, wielbłądzia skórę. Gęsto zadrukowanych stron nie zdobiły żadne skrzydlate istoty. Jeremy przeczytał tytuł:

Krymska strategia bitewna: kompendium.

Plakietka na pobliskiej półce głosiła: HISTORIA WOJSKOWOŚCI.

– Jeremy – uśmiechnął się Arthur.

– Dzień dobry, Arthurze. Nie je pan dzisiaj lunchu?

– Zjadłem duże śniadanie – powiedział patolog, klepiąc się po kamizelce. – Miałem pracowite popołudnie, wskazana wydała mi się odrobina oddechu.

Przy tym, czym zajmujesz się cały dzień, to dziwne, że w ogóle masz jeszcze apetyt.

– Cudowne miejsce – powiedział starzec.

– Często pan tu przychodzi?

– Od czasu do czasu. Pan Renfrew to zrzęda, ale nie naprzykrza się, a ceny ma bardziej niż przystępne.

Choć Jeremy tyle już książek kupił w tym antykwariacie, nie poznał nazwiska właściciela. Nigdy go nie obchodziło. Arthur zdobył tę informację, ponieważ, jak większość towarzyskich osób, był nadmiernie ciekawy.

A mimo to, przy całej swojej towarzyskości, wybrał pracę z trupami.

– Bardzo przystępne – powiedział Jeremy. – Miło było pana spotkać, Arthurze. Szczęśliwych łowów.

Odwrócił się, by odejść.

– Miałby pan czas czegoś się napić? – spytał Arthur. – Alkoholu albo czegoś innego?

– Przykro mi – odparł Jeremy, stukając palcem w mankiet zakrywający zegarek. – Również mam pracowite popołudnie.

Następny pacjent miał przyjść za półtorej godziny.

– Ach, oczywiście. W takim razie przepraszam. Innym razem.

– Naturalnie – powiedział Jeremy.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy szedł do swojego samochodu, zobaczył Arthura na parkingu lekarzy.

Tego już za wiele. On mnie śledzi.

Ale podobnie jak przy spotkaniu w antykwariacie Arthur był tu pierwszy, a więc podejrzenie nie miało sensu. Jeremy skarcił się za egocentryzm – najbliższego krewnego paranoi. Czyżby stoczył się aż tak bardzo?

Schował się za filarem i patrzył, jak Arthur otwiera swój samochód, czarnego, przynajmniej piętnastoletniego lincolna. Błyszczący lakier, lśniący chrom, ładnie utrzymany. Tak samo jak garnitur: używany, ale dobrej jakości. Jeremy wyobraził sobie dom starego doktora; zgadywał, że patolog mieszka w jednym z uroczych starych domów w Queen's Arms, w North Side, starej, lecz eleganckiej dzielnicy z widokiem na port.

Tak, Queen's Arms pasowała do Arthura. Dom byłby w stylu wiktoriańskim albo neogeorgiańskim, staroświecki i wygodny, pełen kanap ze spłóviałym obiciem, solidnych, stuletnich mahoniowych mebli, narzut, serwetek i bibelotów, z porządnym barkiem, zapełnionym przednimi trunkami.

A na ścianach motyle w ozdobnych ramkach.

Czy patolog był żonaty? Musiał być. Jego wesołe usposobienie zdradzało, że żyje sobie wygodnie i przyjemnie.

Na pewno żonaty, uznał Jeremy. Szczęśliwie, od dziesiątków lat. Wyobraził sobie siwowłosą, mówiącą śpiewnym głosem żonę o miękkich piersiach, niewidzącą świata poza swoim Kochanym Arthurem.

Patrzył, jak wysoki starzec schyla się i wsiada do lincolna. Kiedy wielki sedan ruszył z

głośnym rykiem silnika, Jeremy pospieszył do swojego zakurzonego chevy nova.

Usiadł za kierownicą, myśląc o wygodach, które czekają Arthura w domu. Domowe jedzenie, proste, ale pożywne. Drink, żeby udrożnić żyły i pobudzić wyobraźnię.

Miękki fotel, stopy na pufie, ciepłe uśmiechy, karmione codziennym szczęściem.

Czarny samochód zniknął w oddali, a żołądek Jeremy'ego skręcił się w twardy węzeł.

Rozdział 4

Dwa tygodnie co do dnia po spotkaniu w antykwariacie do Jeremy'ego przyszła, robiąca już drugi rok specjalizację, wspaniała brunetka Angela Rios. Jeremy pracował akurat na dziecięcym oddziale nagłych przypadków, towarzysząc dyżurnemu lekarzowi i jego zespołowi podczas obchodów. Doktor Rios, z którą wymieniał już kiedyś uprzejmości, szła obok niego. Jej długie, ciemne włosy pachniały szamponem. Miała oczy koloru gorzkiej czekolady, łabędzią szyję i delikatny, spiczasty podbródek pod miękkimi, szerokimi ustami.

Poranna dyskusja miała obejmować cztery przypadki: ośmioletniej dziewczynki z zapaleniem skórno-mięśniowym, kruchego, nastoletniego cukrzyka, małego dziecka z zaburzeniami rozwoju – prawdopodobnie na skutek molestowania – i nad wiek rozwiniętego, agresywnego dwunastolatka o drobniutkim ciele, skurczonym przez chorobę Lobsteina.

Miller, lekarz prowadzący, mężczyzna o cichym głosie, podał krótko podstawowe informacje o kalekim chłopcu, a potem uniósł pytająco brew i spojrzał na Jeremy'ego. Jeremy mówił do morza młodych, zdziwionych twarzy, próbując ucłowieczyć chłopca – opowiadał o jego intelektualnym poziomie, jego wściekłości, cierpieniu, które miało się tylko wzmóc. Starał się sprawić, by młodzi lekarze dostrzegli w tym dziecku coś więcej niż tylko zdiagnozowany przypadek. Ale nie przesadzał, uważałby nie złapać wirusa wyższości, który tak często nękał armię zdrowia psychicznego.

Mimo jego szczerych wysiłków połowa specjalizantów wyraźnie się nudziła. Reszta pilnie uważała, w tym Angela Rios, która nie odrywała wzroku od Jeremy'ego. Kiedy obchód się skończył, została z nim i zaczęła wypytywać o kalekiego chłopca. Pytała o banały, które – Jeremy był tego pewien – były dla niej zupełnie jasne.

Cierpliwie jej odpowiadał. Miała długie, ciemne faliste i lśniące jak jedwab włosy, kremową cerę i cudowne oczy, tak ciepłe, jak tylko oczy mogą być. Tylko jej głos nie pasował do wyglądu: trochę zadziorny, z mocnym akcentem na ostatnią sylabę. Może to przez ciekawość. Jeremy nie był w nastroju do gry w pary. Odpowiedział na pytania Angeli, obdarzył ją zawodowym uśmiechem i poszedł sobie.

Trzy godziny później w jego gabinecie zjawił się Arthur Chess.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Przeszkadzasz, przeszkadzasz. Jeremy pracował nad szkicem kolejnego rozdziału książki. Przed trzema laty brał udział w projekcie badawczym, dotyczącym dzieci szklarniowych: dzieci z zaawansowanym rakiem, leczonych w sterylnych, plastikowych pomieszczeniach dla sprawdzenia, czy ich osłabione układy odpornościowe można uchronić od infekcji. Zamknięcie i izolacja okazały się niebezpieczne dla młodej psychiki i zadaniem Jeremy'ego było zapobieganie i leczenie załamań nerwowych.

Udało mu się to i kilkoro dzieci przeżyło. Kierownik projektu, teraz ordynator onkologii, naciskał Jeremy'ego, żeby opublikował dane w formie książki, a wydawca bardzo się tym zainteresował.

Jeremy przez siedemnaście miesięcy pracował nad konspektem, a potem siadł do pisania wstępu. Przez rok napisał dwie strony.

Teraz odsunął ten żałosny dorobek na bok, zrzucił karty choroby i pisma na krzesło, stojące przy biurku i powiedział:

– Ależ skąd, Arthurze. Niech się pan rozgości.

Arthur miał kolory na twarzy; spod zapiętego pod szyję fartucha wystawały centymetr różowej koszuli i brązowa mucha w maleńkie, różowe trzmielce.

– A więc to twoje królestwo.

– W całej okazałości.

Gabinet Jeremy'ego był wydzielonym kątem długiego, ciemnego korytarza na piętrze, na którym pracowali nieklinicyści – biochemicy, biofizycy, bio-wszyscy, tylko Jeremy był tu wyjątkiem. Reszta psychiatrii mieściła się piętro niżej.

Pojedyncze okno wychodziło na studnię koloru popiołu. To była starsza część szpitala, o grubych i zawilgłych ścianach. Bio-wszyscy siedzieli u siebie. Na korytarzu rzadko rozlegały się kroki.

Jego królestwo.

Trafił tu przed czterema miesiącami, po tym jak grupa chirurgów przyszła zmierzyć pomieszczenia psychiatrów w przybudówce na dachu głównego gmachu szpitala. Owo najwyższe piętro, mniej luksusowe, niż mogłoby się wydawać, sąsiadowało z lądowiskiem helikoptera. Lądowania powietrznych ambulansów uniemożliwiały nieraz terapię. Widok miasta zasłaniały wielkie aparaty grzewcze i klimatyzatory, a gołębie z upodobaniem obsrywały szyby w oknach. Od czasu do czasu Jeremy widywał szczury biegające wzdłuż dachowych rynien.

Tamtego dnia, kiedy przyszli chirurdzy, próbował akurat coś pisać i ich śmiech go od tego wybawił. Otworzył drzwi i zobaczył pięciu eleganckich mężczyzn oraz kobietę – chodzili w tę i z powrotem z miarkami i pochrząkiwali. Miesiąc później psychiatrii polecono przenieść się do mniejszych pomieszczeń. W szpitalu nie było drugiego kompleksu, który pomieściłby cały oddział. Kryzys lokalowy rozwiązał się, gdy zmarł osiemdziesięcioletni psychoanalityk, a Jeremy na ochotnika zaproponował, że się gdzieś przeniesie. To było niedługo po Jocelyn i tęsknił do samotności.

Nigdy nie żałował swojej decyzji. Mógł przychodzić i wychodzić, kiedy chciał, a psychiatria sumiennie przesyłała mu codzienną pocztę. Chemiczny smród, którym przesiąknięty był budynek, Jeremy'emu zupełnie nie przeszkadzał.

– Miła – powiedział Arthur. – Bardzo miła.

– Co takiego?

– Samotność. – Starzec się zaczerwienił. – Którą pogwałciłem.

– O co chodzi, Arthurze?

– Myślałem o tym drinku. O tym, o którym rozmawialiśmy w antykwariacie Renfrewa.

– Ach tak – odparł Jeremy. – Oczywiście.

Arthur sięgnął pod połę marynarki i wyjął pękaty, biało-złoty kieszonkowy zegarek.

– Dochodzi szósta. Czy teraz byłaby dobra pora?

Odmówić mu tym razem byłoby zwykłą nieuprzejmością. Poza tym opóźniłoby tylko nieuniknione. Zresztą Jeremy'emu przydałby się drink.

– Pewnie, Arthurze – powiedział. – Proszę wybrać lokal.

Lokalem okazał się bar hotelu Excelsior w śródmieściu. Jeremy wiele razy mijał ten budynek – olbrzymią, szarą wieżę z pokrytego gargulcami granitu, o zbyt wielu pokojach, by wszystkie je zapełnić – ale nigdy nie był w środku. Zaparkował na wilgotnym podziemnym parkingu, windą wjechał na poziom ulicy i przeszedł przez wielki jak katedra westybul w stylu *beaux arts*. Wnętrze miało dni świetności dawno za sobą, jak większość śródmiejskich budowli. Na wytartych, pluszowych fotelach siedzieli przygnębieni mężczyźni bez stałego zatrudnienia, palili i czekali, aż coś się wydarzy. Po westybulu chodziło kilka kobiet o nazbyt umięśnionych łydkach – może dziwek, a może po prostu samotnych podróżniczek.

Bar był pozbawioną okien, urządzoną w mahoniu fistułą, w której pozory życia miały zapewniać słabe żarówki i wysokie lustra. Jeremy i Arthur przyjechali każdy swoim samochodem, bo obaj zamierzali po spotkaniu wrócić do siebie do domu. Jeremy jechał szybko, ale Arthur był na miejscu pierwszy. Patolog siedział w narożnym boksie, cały w tweedach i zrelaksowany.

Kelner, który do nich podszedł, krępy i starszy od Arthura, miał sposób bycia żołnierza; Jeremy wyczuł, że zna patologa. Nie wiedział, skąd wziął takie przekonanie – kelner nie powiedział niczego, co sugerowałoby jakąkolwiek poufałość, nie spojrzął nawet porozumiewawczo – ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że siedzą w ulubionym lokalu Arthura.

Kiedy jednak patolog złożył zamówienie, nie powiedział nic w rodzaju „To, co zwykle, Hans”. Wręcz przeciwnie, wyraźnie i dokładnie określił, czego się napije: martini Boodles, klasyczne, dwie cebulki perłowe.

Kelner spojrzął na Jeremy'ego.

– Dla pana?

– Whisky single malt, lód osobno.

– Jakaś konkretna marka, proszę pana? – Macallan.

– Bardzo dobry wybór, proszę pana.

– Rzeczywiście bardzo dobry – powiedział Arthur, kiedy kelner odszedł. Drinki pojawiły się błyskawicznie, odsuwając przykrą konieczność rozmowy. Arthur smakował swoje martini i chyba nie miał chęci robić nic innego.

– A więc – zaczął Jeremy.

Arthur zsunął z wykałaczkii cebulkę do ust, przytrzymał przez chwilę. Pogryzł. Połknął.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś mi coś wyjaśnić, Jeremy.

– Co takiego, Arthurze?

– Twoje spojrzenie... psychologiczne spojrzenie na przemoc. Konkretnie na genezę bardzo, bardzo złego zachowania.

– Psychologia to nie monolit – powiedział Jeremy.

– Tak, tak, oczywiście. Ale na pewno musi być jakiś podstawowy punkt wyjścia... Zapytam inaczej. Jak widzisz to zagadnienie?

Jeremy napił się szkockiej, potrzymał chwilę jej żrący smak w ustach.

– Pyta mnie pan o to, bo...

– Bo to pytanie mnie intryguje – dokończył Arthur. – Przez całe lata codziennie zajmowałem się tym, co następuje po śmierci. Większość dorosłego życia spędziłem wśród tego, co pozostaje, gdy uleci dusza. Jest dla mnie wyzwaniem, by nie sprowadzać zwłok, których sekcji dokonuję, do biochemicznych składników. Czy też nie ograniczać się do ustalenia przyczyny śmierci. Jeśli szuka się wystarczająco długo, zawsze się coś znajduje. Nie, wyzwaniem jest pojąć rzeczy większe.

Dopił martini i gestem dłoni poprosił o następne. Gest skierował do pustego baru: nigdzie nie było ani śladu krępego kelnera. Ale mężczyzna zmaterializował się kilka chwil później z następnym oszronionym kieliszkiem.

Spojrzał na niemal pustą szklanekę po whisky.

– Coś panu podać?

Jeremy pokręcił głową i kelner zniknął.

– Człowieczeństwo – powiedział Arthur, popijając. – Wyzwaniem jest dla mnie zachowanie człowieczeństwa... Czy wspominałem, że pracowałem swego czasu w biurze koronera?

Jakby regularnie ze sobą rozmawiali.

– Nie – odparł Jeremy.

– Aha. Niedługo po odejściu z wojska.

– Gdzie pan służył?

– Na Kanale Panamskim. Jako oficer medyczny przy śluzach. Byłem świadkiem kilku naprawdę makabrycznych wypadków, dowiedziałem się sporo o identyfikacji zwłok. Potem... Zajmowałem się różnymi innymi rzeczami, ale ostatecznie uznałem, że najlepiej mi będzie w biurze koronera.

Popijał zamyślony, opróżniając drugie martini do połowy. – Ale przerzucił się pan na nauczanie – powiedział Jeremy.

– No, tak... Wydawało mi się, że tak należy postąpić. – Starzec się uśmiechnął. – Wracając do mojego pytania: co o tym sądzisz?

– O bardzo złym zachowaniu.

– Najgorszym ze złych.

Jeremy poczuł skurcz żołądka.

– W kontekście czysto akademickim?

– Och, nie – powiedział Arthur. – Akademia to schronienie dla tych, którzy szukają ucieczki przed odpowiedziami na ważne pytania.

– Jeśli chodzi panu o suche fakty...

– Chodzi mi o wszystko, co zechcesz mi powiedzieć. Bo mówisz to, co myślisz. – Arthur dopił drinka. – Oczywiście, jeśli czujesz się urażony albo uważasz, że się narzucam...

– Przemoc. – Jeremy zastanawiał się nad tym godzinami; bez końca, przez całe bezsenne noce. – Z moich doświadczeń wynika, że bardzo, bardzo złe zachowanie jest efektem kombinacji genów i środowiska. Podobnie jak niemal wszystkie inne istotne czynniki ludzkiego zachowania.

– Czyli natura i wychowanie.

Jeremy pokiwał głową.

– Co sądzisz o koncepcji wrodzonego zła? – spytał Arthur.

– To czysty wymysł – odparł Jeremy. – Co nie oznacza, że skłonności do przemocy nie ujawniają się w młodym wieku. Jeśli pokaże mi pan okrutnego, znęcającego się nad innymi, nieczułego sześciolatka, to ja pokażę panu kogoś, na kogo warto mieć oko. Ale nawet przy tego typu skłonnościach ujawnienie ich wymaga odpowiedniego środowiska, na przykład złej rodziny.

– Nieczułego... Leczyłeś takie dzieci?

– Kilkoro.

– Sześcioletnich potencjalnych zbrodniarzy?

Jeremy zastanowił się nad odpowiedzią.

– Sześciolatków, które zmuszały mnie do przemyśleń. Psycholodzy słyną ze swoich błędnych przepowiedni co do skłonności do przemocy. No i różnych innych rzeczy.

– Ale ty widywałeś dzieci, które cię niepokoiły.

– Tak

– Co mówiłeś ich rodzicom?

– Rodzice prawie zawsze byli częścią problemu. Widywałem ojców, którzy cieszyli się, kiedy ich synowie dręczyli inne dzieci. Karcili je przy obcych, mówili to, co się wtedy mówi, ale zdradzały ich uśmiechy. Zawsze. Potrzeba czasu, żeby zrozumieć rodzinę. Z tego punktu widzenia rodziny wciąż tkwią w jaskiniach. Trzeba wejść do środka, żeby przeczytać napisy na ścianach.

Arthur machnięciem ręki zamówił trzeciego drinka. W jego zachowaniu i mowie nie było najmniejszych śladów wpływu alkoholu. Bardziej tylko poczerwieniał.

Przynajmniej nikt nie umrze, pomyślał Jeremy, jeśli omsknie mu się skalpel.

Tym razem, kiedy kelner zapytał „Co dla pana?”, zamówił drugiego macallana.

Wraz z drinkami na stole niespodziewanie pojawiły się zakąski. Gotowane krewetki z sosem koktajlowym, smażona cukinia, ostre małe kiełbaski na czarnych, plastikowych wykałaczkach,

grube frytki, wyglądające jak domowe. Arthur nie zamawiał przystawek, ale nie był zaskoczony.

Obaj jedli i pili, i Jeremy poczuł ciepło – falę odprężenia – rozlewające się po jego ciele. Kiedy Arthur powiedział: „Zdradzały ich uśmiechy”, młody doktor przez chwilę nie wiedział, o co chodzi. Potem sobie przypominał: o tych wrednych, patogenicznych tatušków, o których mówił.

– Nie rób tego, co ja robię, tylko to, co ci każę – powiedział. – Tak się nie da.

– Interesujące – stwierdził Arthur. – Nie można powiedzieć, że zaskakujące, ale interesujące.

A więc wszystko zaczyna się od rodziny.

– Tak wynika z moich obserwacji.

– Interesujące – powtórzył Arthur. A potem zmienił temat.

Motyle.

Okazy, jakie widział, kiedy służył w Panamie. Wycieczki do kostarykańskiej dżungli po służbie. Upał, od którego człowiek się pocił nawet pod prysznicem.

Patolog pił, bawił się swoją muchą w trzmiele i jadł kielbaski, opowiadał i opowiadał, a jego oczy patrzyły z rozmarzeniem. Pacjent, którego leczył w Panamie. Młody oficer Korpusu Inżynieryjnego, który wrócił z wycieczki do dżungli, poczuł swędzenie pod lewą łopatką, namacał małą opuchliznę i uznał, że coś go ugryzło.

Nie przejmował się tym aż do następnego dnia, kiedy opuchlizna powiększyła się trzykrotnie.

– Ale mimo to – powiedział Arthur – nie przyszedł się zbadać. Nie miał gorączki, żadnych innych dolegliwości... Wie pan, typ macho. Drugiego dnia pojawił się ból. Ból to cudowny posłaniec. Mówi nam wiele o naszych ciałach. Ten ból był przeszywający, elektryzujący, a przynajmniej tak opisał go ten człowiek. Jak wstrząs elektryczny o wysokim napięciu, bezustannie przechodzący przez jego ciało. Jakby został podłączony do prądu. Kiedy go zobaczyłem, był śmiertelnie blady, trząsał się i bardzo cierpiał. Opuchlizna znów się powiększyła. Co więcej – Arthur pochylił się do przodu – chłopak był pewien, że coś się w nim porusza. – Wybrał sobie frytkę, wsunął ją do ust, dokładnie pogryzł, a potem otrzepał okruszki z brody. – Kiedy to usłyszałem, to, że się rusza, uznałem, że to krepitacja. Nagromadzenie płynu po zakażeniu, pozornie nic niepokojącego. Ale biedak zdjął koszulę i kiedy przyjrzałem się opuchliznie, zaintrygowała mnie. – Arthur oblizał sól z ust. W słabym oświetleniu baru jego oczy miały kolor jadeitu. – Opuchlizna była olbrzymia, Jeremy. Mocno odbarwiona, miejscami widać było zaczątki obumierania tkanki. Czarne ciało, musiałem wziąć pod uwagę dżumę. Ale jej prawdopodobieństwo było niskie, korpus oczyścił strefę kanału dość dokładnie. Lecz przecież medycyna rozwija się przez zaskoczenie, to jest w niej najzabawniejsze. Wiedziałem, że muszę pobrać próbki. Przygotowując się do tego, obmacałem opuchliznę... nieszczęśnik omal nie krzyknął... a kiedy to zrobiłem, zauważyłem, że rzeczywiście pod skórą chyba dochodzi do jakichś niezależnych poruszeń. Zupełnie niepodobnych do wszystkich przypadków krepitacji,

jakie znałem.

Następna frytka. Powolny łyk martini.

Arthur się wyprostował.

Jeremy nachylił się do przodu. Świadomie się odprężył. Czekał na puentę.

Arthur jadł i pił, wyglądał na zadowolonego z siebie. Stary drań nie dokończył. Był za bardzo pijany, żeby mówić dalej?

Jeremy zwalczył chęć zapytania: Co było potem?

W końcu Arthur opróżnił kieliszek martini i westchnął cicho, zadowolony.

– I wtedy, zamiast kontynuować badanie, wysłałem go na prześwietlenie. Wyniki były fascynujące, choć nie jednoznaczne.

Chrup. Łyk.

– Co pokazało prześwietlenie? – spytał Jeremy.

– Galaretowatą masę nieokreślonego pochodzenia – odparł Arthur. – Masę w niczym niepodobną do żadnej formacji nowotworowej czy torbielowej, jakie widziałem. Podręczniki na nic mi się nie przydały. Tak samo radiolog, który w ogóle nie był zbyt bystry. Tak czy inaczej postanowiłem operować chłopaka, zachowując pełną ostrożność. Powiodło mi się, bo udało mi się zachować masę nietkniętą.

Arthur zapatrzył się w pusty kieliszek po martini i uśmiechnął do własnych wspomnień. Jeremy sączył ostatnie krople whisky.

Patolog rozpiął kamizelkę i zafascynowany pokręcił głową.

– To były larwy. Biedny chłopak został wybrany jako nosiciel i pożywka dla nowej rodziny przez mało znanego chrząszcza, niewielkiego ektopasożyta z podrzędu chrząszczy mięsożernych. Owad ten jest wyposażony w zestaw narzędzi biochemicznych, niezwykle przydatnych do przeżycia. Jest brązowy i zwyczajny, przez co trudno go zauważyć. Dla nieorientowanych wygląda zupełnie niegroźnie. Co więcej, wydziela substancję odstrasżającą drapieżniki, a jego odchody mają właściwości znieczulające. Zostawia odchody na skórze ofiary, co ma podwójny skutek: chrząszcz załatwia potrzebę fizjologiczną, jednocześnie znieczulając naskórek nosiciela. Wykonuje szybkie nacięcie, dość duże, by pomieściło ekstrawagancko wygięte pokładelko, dziób, jeśli tak to pan woli nazywać, połączony z kanałem rodnym i umożliwiający szybkie złożenie jaj. Jeszcze ciekawszy jest fakt, że wszystko to robi chrząszcz ojciec. Przypomniało mi się to, kiedy wspomniał pan o ojcach nakłaniających dzieci do przemocy. – Uśmiech. Smutne spojrzenie na pusty kieliszek. – Kiedy jaja jego partnerki zostają zapłodnione, samiec bierze na siebie całą odpowiedzialność za przyszłość rodziny. Ponownie wchodzi w samicę, wyciąga jaja, umieszcza je w swoim odwłoku i karmi miot własnymi tkankami, dopóki nie znajdzie odpowiedniego nosiciela.

– Mężczyzna wyzwolony – mruknął Jeremy.

– Jak najbardziej. – Arthur zakręcił kieliszkiem, zjadł cebulkę, położył swoje wielkie dłonie płasko na stole.

– Co się stało z pacjentem?

– Usunąłem całą masę, starając się zrobić to jak najdokładniej. Tysiące larw, wszystkie żywiutkie i bardzo ładnie ruchliwe dzięki wysokoproteinowej zawartości młodej, amerykańskiej wojskowej muskulatury. Biedny porucznik nie odniósł żadnych trwałych uszkodzeń ciała, nie licząc blizny i zwiększonej wrażliwości przez kilka tygodni. I paru miesięcy nieprzyjemnych snów. Złożył podanie o zwolnienie, dostał zgodę. Przeprowadził się do Cleveland czy gdzieś tam. Larwy nie przeżyły. Próbowałem znaleźć zastępczy pokarm dla tych małych diabełków. Agar, żelatyna, rosół wołowy, rosół na kościach, części ziemnych owadów, nic się nie nadawało. Fascynującym aspektem tej sprawy było to, że samo istnienie tego osobliwego chrząszcza od jakiegoś czasu podawano w wątpliwość. Wielu entomologów uważało go za gatunek wymarły. To był dość interesujący przypadek. Przynajmniej mi się tak wydawało.

– Samiec chrząszcza – powiedział Jeremy. – Grzechy ojców.

Arthur przyjrzał się mu uważnie. Powoli kiwnął głową.

– Tak. Można tak powiedzieć.

Rozdział 5

Jeremy i Arthur wyszli z baru razem i pożegnali się przy mosiężnych, obrotowych drzwiach hotelu.

Jeremy był pijany, musiał się przejść – wyszedł na ulicę. Kiedy siedzieli w środku, spadł deszcz. Chodnik pachniał rozgrzaną miedzią; miasto jarzyło się światłami. Jeremy poszedł piechotą na skraj śródmieścia, zanurzył się w ciemne zaułki morderców, nie dbając o własne bezpieczeństwo.

Czuł się dziwnie podniesiony na duchu – nieustraszony – po drinkach z patologiem. Makabryczna historia żołnierza z pęcherzem pełnym larw rozbawiła go. Kiedy w końcu wsiadł do samochodu, umysł miał jasny, a gdy dotarł na miejsce, pomyślał: Co za żalosna klitka. W sam raz dla kogoś takiego jak ja.

Rzeczy Jocelyn zostały spakowane i wysłane na policję. Cztery pudła, tylko tyle ze sobą przywiozła.

Doresh i Hoker kręcili się po domu podczas pakowania.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy opryskali luminolem łazienkę? – spytał Doresh. – To taki środek, który rozpylamy, potem gasimy światła i jeżeli świeci...

– ...To jest tam krew – dokończył Jeremy. – Proszę bardzo. Nie zapytał: dlaczego w łazience?

Znał odpowiedź. Szło się do łazienki, jeśli zamierzało się...

Rozpylili luminol i nic nie znaleźli. Mundurowi wynieśli kartony. Dopiero kiedy wyszli, Jeremy zdał sobie sprawę, że zabrali coś, co należało do niego.

Oprawione w ramki zdjęcie, które stało na komodzie w sypialni. On i Jocelyn spacerują w porcie, jedzą krewetki kupione w ulicznym stoisku, dzień jest ciepły, ale wietrzny, ona sięga mu głową zaledwie do ramion. Rozwiane blond włosy zasłaniają połowę jego twarzy.

Zadzwoił do Doresha, poprosił o zwrot zdjęcia, nigdy nie dostał odpowiedzi.

Rozebrał się do naga, opadł na łóżko, pewien, że nie będzie mógł zasnąć przez pół nocy. Szybko jednak zapadł w sen, ale obudził się wczesnym rankiem z huczącym bólem głowy, z obolałymi mięśniami i obrazami żarłocznych chrząszczy kanibali przed oczami.

Nie wtrącaj się w moje życie, starcze.

Arthur się nie wtrącał.

Niedługo po drinkach w Excelsiorze, idąc korytarzem podczas obchodu, Jeremy usłyszał głos operatora swojego pagera, recytujący jego nazwisko. Opuścił oddział armii zdrowia psychicznego, zadzwonił, odebrał wiadomość od doktor Angeli Rios.

Przez ostatnich kilka tygodni piękna młoda specjalizantka próbowała przyciągnąć jego wzrok

podczas co najmniej czterech przypadkowych spotkań w szpitalnych korytarzach. Angela miała bystry, szybki umysł i miękkie serce i była jedną z najładniejszych kobiet, jakie widział. Była dokładnie w tym typie, jaki zainteresowałby Jeremy'ego, gdyby w ogóle interesowały go kobiety.

Uważając, by nie sprawić jej przykrości, uśmiechał się i szedł swoją drogą. A teraz to. Oddzwonił do niej.

– Cieszę się, że pana zastałam – powiedziała Angela. – Mam problem z pacjentką. To trzydziestosześcioletnia kobieta, ma ustępującego toczenia, ale jej wyniki badań krwi wyglądają groźnie. Musimy pobrać próbkę szpiku.

– Białaczka?

– Miejmy nadzieję, że nie. Ale wyniki są niepokojące i byłoby z mojej strony zaniedbaniem, gdybym tego nie sprawdziła. Problem w tym, że kobieta ma problem z zabiegami, boi się jak cholera. Zaproponowałam, że podam jej środek uspokajający, ale się nie zgodziła, nie chce nic brać, skoro toceń ustępuje. Mógłbyś mi pomóc? Zahipnotyzować ją, porozmawiać, cokolwiek, żeby ją uspokoić? Słyszałam, że umiesz.

– Jasne – powiedział Jeremy.

Pierwszą pacjentką, której „pomógł” przejść przez zabieg, była dwunastoletnia dziewczynka z wyciętym guzem mózgu, złośliwym glejakiem. Miała mieć pobrany płyn rdzeniowy. Sam ordynator psychiatrii podał nazwisko Jeremy'ego neurochirurgowi, który poprosił o konsultację, i nie było jak się z tego wycofać.

Jeremy wszedł do sali zabiegowej, zastanawiając się, co ma właściwie zrobić. Zobaczył dziewczynkę przypiętą do łóżka – kopała, wrzeszczała i toczyła pianę z ust. Minęło pół roku, odkąd usunięto jej guza, i włosy odrosły jej w postaci pięciocentymetrowego wiechcia. Ciemne smugi na twarzy i żółtawa skóra świadczyły, że niedawno była napromieniowana.

Dwanaście lat, a wiązali ją jak kryminalistkę.

Sfrustrowany drugoroczny specjalizant właśnie polecił ją zakneblować. Na widok Jeremy'ego chrząknął i zmarszczył brwi.

– Wstrzymajmy się z tym – powiedział Jeremy i wziął dziewczynkę za rękę. Poczuł wstrząs bólu, kiedy jej paznokcie rozorały mu skórę do krwi. Spojrzał w jej zatrute paniką oczy, starając się nie skrzywić.

– Nienienienienienienienie! – wrzeszczała.

Spod pach ciekł mu pot, przewracał mu się żołądek, zaczął tracić równowagę.

Zastygł w bezruchu przy noszach, paznokcie dziewczynki wbijały się coraz głębiej. Zawyła, on się zachwiał. Nogi zaczęły mu się rozjeżdżać...

Mdleję, o cholera!

Specjalizant się na niego gapił. Wszyscy się na niego gapiłi.

Wziął się w garść. Odetchnął głęboko i – miał nadzieję – niepostrzeżenie.

Dziewczynka przestała wrzeszczeć.

Miał wrażenie, że za chwilę eksplodują mu kiszkę, lepki pot spływał mu po plecach, ale uśmiechnął się do niej, powiedział „kochanie”, bo zapomniał, jak ona się nazywa, chociaż przed chwilą ich sobie przedstawiono, do tego dopiero czytał jej cholerną kartę.

Spojrzała na niego.

Boże, zaufaj mi.

Sala wypaczyła się jak w rybim oku i zafalowała, Jeremy poczuł, że kolana znów się pod nim uginają. Opanował się i zaczął mówić do milczącej dziewczynki. Uśmiechał się i mówił, nucił monotonnie, mamrotał Bóg jeden wie co.

Dziewczynka znów zaczęła wrzeszczeć.

– Cholera – warknął specjalizant – dość tego.

– Zaczekajcie – rozkazał Jeremy. Siła jego głosu uciszyła wszystkich. Dziewczynkę też.

Skoncentrował się. Zdusił dreszcze, które mogły go zdradzić.

Przekonał ją.

Po kilku chwilach dziewczynka zamknęła oczy, zaczęła wolno oddychać i była w stanie kiwnąć głową, kiedy Jeremy zapytał, czy jest gotowa. Specjalizant, sam teraz wytracony z równowagi, zmobilizował się i zręcznie zrobił, co do niego należało, wyciągnął igłę, napełnił fiolkę złotym płynem rdzeniowym i wyszedł z sali zabiegowej, kręcąc głową.

Dziewczynka się rozplakała, ale to nic, to dobrze, ma prawo, biedactwo, biedne maleństwo, to tylko dziecko.

Jeremy został przy niej, wytrzymał jej chlipanie, siedział obok i czekał, dopóki się nie uśmiechnęła, bo do tego ją namawiał. Był zlany potem, cuchnął, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Później, na korytarzu, zagadnęła go jedna z pielęgniarek.

– To było niesamowite, doktorze Carrier – powiedziała.

Pacjentka Angeli z toczniem nie krzyczała. Drobną, ładną kobietą, Marian Boehmer wyraziła swoje przerażenie, kryjąc się w sztywnym milczeniu. Miała martwe oczy. Zaciśnięte, zwinęte do środka usta. W innych okolicznościach głupawy psychiatra mógłby przykleić jej łatkę katatoniczki.

Angela odsunęła się od niej i zrobiła miejsce Jeremy'emu. Jedwabiste włosy miała związane gumką na karku, makijaż zjedzony przez stres, a cerę poszarzała. Wyglądała, jakby bardzo długo już była na nogach.

To jej najgorsze chwile, pomyślał Jeremy. Tak wygląda rano, kiedy się nie wyśpi. A mimo to jest całkiem nieźle.

Zestaw do pobierania szpiku kostnego leżał rozpakowany na tacy przy łóżku. Chrom, szkło i ostre końce; to straszliwe urządzenie służyło do przebijania mostka, tak by można było wyssać komórki krwiotwórcze. Żeby przebić się przez kość, lekarz nachylał się nad pacjentem i naciskał, wkładając w to sporo siły. Pacjenci, którzy mieli ochotę potem rozmawiać o zabiegu, mówili, że czuli się, jakby ktoś dźgał ich nożem.

Policzki Marian Boehmer nie nosiły śladów wilczej wysypki, sygnalizującej, że z jej systemem odpornościowym jest coś nie tak. Była przerażona, mimo to wyglądała naprawdę nieźle. Jasnowłosa, o jasnej cerze, miała niedowaga, ładne rysy. Na palcu prawej dłoni obrączka i pierścionek zaręczynowy. Gdzie jest jej mąż? Czy jego nieobecność coś znaczy?

Wszystko coś znaczy. I co z tego? W tej chwili to było bez znaczenia, ta kobieta miała zabieg przebijania mostka.

Jeremy się przedstawił. Uśmiechał się i mówił, uśmiechał i mówił, trzymał Marian Boehmer za rękę i czuł znajome ukłucia własnych łęków – ucisk w piersi, pot, zawroty głowy.

Nie bał się kompromitacji – odcinała go od tego groza pierwszego razu.

Teraz już spodziewał się strachu. Witał go z otwartymi ramionami.

Kiedy pomagał, cierpiał. Chodziło o to, żeby tego nie okazywać.

Skrytość to klucz do przeżycia.

Głaskał kobietę po rękę, zaryzykował i delikatnie otarł jej czoło, a kiedy się nie wzdrygnęła, powiedział jej, że świetnie sobie radzi, a potem zaczął śpiewne uwodzenie hipnozą.

Żadnej oficjalnej indukcji, nic tak prostackiego. Tylko subtelne, stopniowe dążenie do reakcji przywspółczulnej, łączącej odprężenie z koncentracją i spowalniającej umysł i ciało.

Niech się pani przeniesie do jakiegoś lepszego miejsca, pani Boehmer, czy mogę pani mówić Marian, dziękuję, Marian, bardzo dobrze, Marian, doskonale, Marian.

Świetna robota, Marian, a to doktor Rios i tak, tak, nie ruszaj się, dobrze świetnie, doskonale, Marian i... proszę, świetnie się spisalaś, już po wszystkim, a ty byłaś wspaniała.

Podczas zabiegu Marian Boehmer się zmoczyła, a Jeremy udawał, że nic nie widzi, kiedy pielęgniarka wycierała jej uda.

– Niech pan tylko na mnie popatrzy – powiedziała, kiedy znów wziął ją za rękę. – Jestem jak dziecko.

Jeremy pogłaskał ją po głowie.

– Prawdziwy z pani zuch. Gdybym był w kłopotach, chciałbym mieć panią przy sobie.

Marian Boehmer zalała się łzami.

– Mam dwoje dzieci – powiedziała. – Jestem bardzo dobrą matką!

Jeremy został przy niej, dopóki nie przyszedł pielęgniarz, żeby odwieźć ją do jej sali. Otwierając drzwi, przygotował się na rozmowę z Angelą Rios w korytarzu. Na kliniczne pogwarki, które w nieunikniony sposób musiały skrócić w rejonu towarzyskie. Rios była śliczna, ale...

Wyszedł na korytarz, w gwar dalekich głosów, telefonów, stukotu obcasów, wezwań, ogłoszeń i grzechotu noszy na kółkach. W pobliskiej dyżurce, dziesięć metrów dalej, siedziała samotna pielęgniarka i wypisywała karty.

Korytarz był pusty. Ani śladu Angeli.

Rozdział 6

W deszczowy czwartkowy wieczór, tuż przed siódmą, wychodząc ze szpitala, Jeremy napotkał na swojej drodze obciążone płaszczem przeciwdeszczowym cielsko detektywa Boba Doresha.

Doresh kręcił się przy windach, niedaleko automatów ze słodyczami; pocierał masywną szczękę i coś pogryzał. Kiedy zobaczył Jeremy'ego, schował kolorowe opakowanie do kieszeni i podbiegł truchtem do psychologa.

– Ma pan chwilkę, doktorze?

Jeremy się nie zatrzymał; gestem dał Doreshowi do zrozumienia, żeby poszedł za nim.

– Co u pana, doktorze?

– W porządku. A u pana?

– U mnie? – Doresh wyglądał na urażonego tą zwykłą uprzejmością. Jakby jego praca dawała mu prawo do całkowitej prywatności. To ja zadaję pytania. – W porządku, doktorze. – Wytarł z kącika ust drobinę czekolady i zamrugął kilka razy. – Samopoczucie dopisuje, odżywiam się dobrze. A więc u pana wszystko gra.

– Jakoś żyję.

– No, to dobrze. Zwłaszcza, kiedy wziąć pod uwagę alternatywę.

Minęli marmurową ścianę z wrytymi nazwiskami dobroczyńców szpitala, przeszli przez szklane drzwi na zadaszony chodnik, prowadzący na parking dla lekarzy. Ten lepszy parking. Po Jocelyn mówiło się o przeniesieniu parkingu dla pielęgniarek bliżej, ale nic w tej sprawie nie drgnęło.

– Fajnie jest nie moknąć – powiedział Doresh.

– O co chodzi, detektywie? – spytał Jeremy.

– Przejdę od razu do rzeczy, doktorze. To zabrmi jak klisza z filmu, ale gdzie pan był wczoraj wieczorem, powiedzmy między dziesiątą a północą?

– W domu.

– Ktoś z panem był?

– Nie. Czemu?

– To rutynowe pytania.

Przez chwilę Jeremy myślał, że będzie się trzymał swojej roli. Potem jednak coś w nim pękło.

– Gówno prawda – warknął i zdecydowanie wyprzedził Doresha.

Detektyw go dogonił. Parsknął głośno śmiechem, w którym nie było jednak cienia wesołości. Zabrzmiało to jak ostrzegawcze warknięcie wielkiego, czujnego psa.

I te oczy. Patrzył na Jeremy'ego, jakby nabierał coraz większego szacunku. A może to była pogarda.

– Ma pan rację – powiedział. – Gówno prawda. Nie będę marnował czasu na przyjeżdżanie tu i pogawędki o pogodzie. A więc spytam wprost: czy może pan jakoś udowodnić swoją obecność w domu wczoraj wieczorem? Obu nam wyszłoby na dobre, gdyby pan mógł.

Jeremy zdusił odruchowe: A dlaczego mam coś udowadniać?

– Nie, na całe dwie godziny nie mogę. Wróciłem do domu późno, około ósmej trzydzieści, przez jakąś godzinę spacerowałem po okolicy. Ktoś mógł mnie widzieć, ale jeśli nawet, to ja tego nie zauważyłem. Potem wróciłem do domu, wziąłem prysznic i wypłem drinka, szkocką. Johnny Walkera, jeśli to pana interesuje, i zamówiłem kolację. Z całodobowej pizzerii. Średnią pizzę, pół z serem, pół z grzybami. Dostarczono ją około dziesiątej piętnaście. Dałem chłopakowi pięć dolarów napiwku, więc powinien mnie pamiętać. Zjadłem trzy kawałki, resztę mam w lodówce. Od szkockiej zaschło mi w ustach, pizza też zrobiła swoje, więc napiłem się wody. Trzy szklanki. Poczytałem gazety, pooglądałem telewizję. Jeśli pan chce, mogę wymienić programy.

– Poproszę – powiedział Doresh.

– Pan żartuje.

– Ależ nie, doktorze.

Jeremy wymienił listę programów.

– Sporo pan tego obejrzał.

– Normalnie o tej porze czytam przy świecach, ale właśnie skończyłem całe kompendium dzieł literatury, Chaucera i Szekspira, więc pomyślałem, że trochę odpocznę.

Doresh mu się przyjrzał.

– Ma pan poczucie humoru. Wcześniej tego nie zauważyłem.

Sytuacja niekoniecznie temu sprzyjała, durniu.

Przed nimi pojawił się parking dla lekarzy i Jeremy przyspieszył kroku. Deszcz padał na dach zakrywający chodnik, spływał bokami jak glicerynowe draperie.

– Co to była za pizzeria? – spytał Doresh.

– Kogo zabili? – odpowiedział pytaniem Jeremy.

– Kto powiedział...

– Niech pan sobie daruje. – Jeremy nie dał mu dokończyć. – Przeszedłem przez piekło, a pan mi tego wcale nie ułatwia. A teraz wciąż zawraca mi pan głowę, zamiast dociekać, kto zabił Jocelyn.

Doresh zmrużył oczy i zaszedł Jeremy'emu drogę.

– Nie płacą mi za poprawianie ludziom samopoczucia.

– Świetnie. W takim razie do rzeczy. Przyjechał pan, bo coś się stało. Coś na tyle podobnego do sprawy Jocelyn, że chciał pan jeszcze raz rzucić na mnie okiem.

Doresh spuścił wzrok. Jakby prawda go zawstydziała. Jakby czyjaś zbrodnia była jego osobistą porażką.

– W sumie, dlaczego nie – odparł. – I tak przeczyta pan o tym jutro w gazetach. Tak, wydarzyło się coś bardzo podobnego do przypadku panny Banks. – Owinął się szczelniej połami

płaszcz, ale go nie zapiął. – Chodzi o kobietę, prostytutkę w Iron Mount. Była nam od jakiegoś czasu znana, narkotyki, stręczycielstwo, to co zwykle. W tym sensie zupełnie się różniła od panny Banks. Ale rany...

– Dobry Boże – szepnął Jeremy.

Doresh zszedł mu z drogi.

– Iron Mount. To niedaleko Mielizn.

– Całkiem blisko, doktorze.

– prostytutka... Naprawdę pan myśli...

– Od czasu do czasu mi się zdarza. – Doresh uśmiechnął się, rozbawiony własnym dowcipem. – To wszystko, doktorze, miłego dnia.

– Zostawiłem panu kilka wiadomości, detektywie. Zdjęcie, które zabraliście mi z domu...

– Tak, tak. Materiał dowodowy.

– Kiedy mi je zwrócicie?

– Trudno powiedzieć. Może nigdy. – Doresh wzruszył ramionami tak lekceważąco, że Jeremy miał ochotę go uderzyć. – Lepiej już pójdę, doktorze. Roboty czeka.

Rozdział 7

Tamtej nocy sny Jeremy'ego nawiedził Doresh – Budda w płaszczu przeciwdeszczowym – a na języku młodego doktora osiadł oleisty posmak lekko nieświeżej krewetki. Rano wstał wcześniej i poszedł po gazetę. Nagłówki ociekały złowróżbnymi wizjami kryzysu gospodarczego i zbrodni polityków; felietoniści z właściwym sobie teatralnym dramatyzmem rozpisywali się o realnym zagrożeniu wojną, niesprawiedliwościach i szarganiu ludzkiej godności.

To, czego szukał, znalazł na stronie osiemnastej.

Kobieta nazywała się Tyrene Mazursky. Mimo polskiego nazwiska była czarnoskórą, czterdziestopięcioletnią, uzależnioną od narkotyków prostytutką z długą listą policyjnych notowań, o których wspominał Doresh.

Była też matką pięciorga dzieci.

Iron Mount – zapuszczony labirynt krętych uliczek i chaotycznie rozplanowanych zaułków, tak samo wąskich, jak za czasów końskich zaprzęgów, węgla i wytopu stali. Jeremy był tam tylko raz: bardzo dawno temu, jako stażysta, na domowej wizycie u dziecka, które jego środowisko uznawało za molestowane seksualnie.

Pijana matka, naćpany ojciec, pięcioletni chłopiec ledwie mieszczący się w normach wagi i wzrostu, słownictwo i sposób wyrażania się mowy na poziomie dwulotka. Szczęśliwa rodzinka plus jacyś bezimienni kolesie od igły, mieszkający w kolejowym mieszkanku nad warsztatem samochodowym, daleko od wody, ale wystarczająco blisko miejsca, w którym rzeka Kauwagaheel wypływała z jeziora, by gnijące gipsowe ściany przeszły smrodem bagna.

Jeremy zrobił swoje, wszystko zapisał. Tak samo przerażona stażystka z opieki społecznej; okazało się jednak, że mimo wad charakteru i nałogów rodzice chłopca opiekują się nim całkiem nieźle. Tymczasem dziecko złapało wirusowe zapalenie wątroby, które doprowadziło do zablokowania jelit, to zaś zahamowało wchłanianie substancji odżywczych i chłopiec przestał rosnąć.

Operacja i kroplówka z antybiotykiem zdziałały cuda. Próby rozmów z rodzicami okazały się o wiele mniej skuteczne i trzy tygodnie po ostatniej kontroli dziecka rodzina wyjechała z miasta.

Iron Mount. Na wschód od Mielizn, które wyglądały przy niej jak Eden.

Jeremy odłożył gazetę, wmusił w siebie kawę i pomyślał o zabitej Tyrene Mazursky.

Mój Boże!

Piątka sierot.

Zaczął się zastanawiać, skąd u czarnej kobiety polskie nazwisko; poczuł bezbrzeżny smutek na myśl o tajemnicach życia Tyrene Mazursky.

O wszystkich tajemnicach Jocelyn, których nigdy już nie miał poznać. Uderzyła go świadomość, że jej przecież nie ma. Dzień jeszcze się nie zaczął, a on już się załamał.

Kiedy szedł do samochodu, sąsiadka mieszkająca dwa domy dalej – Rumunka o umęczonych

oczach, która prawie nie wychodziła z domu i nie mogła widzieć domu Jeremy'ego zza żywoplotu – stała przy oknie i go obserwowała.

Czy Doresh wpadł do niej zadać kilka pytań?

Pani Bekanescu była jedną z niewielu osób w tym kwartale, która nie wynajmowała domu, lecz miała go na własność. Jeremy do niej pomachał, a ona pospiesznie zaciągnęła zasłony.

To, że tak wcześnie rano kogoś przestraszył, wydało się Jeremy'emu w jakiś perwersyjny sposób sprawiedliwością losu, jechał więc szybciej niż zwykle i słuchał wesołej muzyki. Kiedy znalazł się w swoim gabinecie, zrzucił płaszcz, poukładał papiery, włączył komputer i cały ranek spędził na wciskaniu klawiszy, sprawdzaniu danych i układaniu ładnych tabelk do swojej książki. Spróbował napisać wstęp, ale umysł mu się zablokował, a słowa natychmiast rozsypały. Zmienił temat, zaczął szkic rozdziału: *Dezorientacja czasowo-przestrzenna drugorzędna wobec pediatrycznej izolacji gnotobiotycznej.*

Jedynymi analogiami w literaturze były badania przeprowadzone na naukowcach przebywających w odosobnieniu na Antarktydzie czy w jakiejś innej dziurze.

Jeremy powędrował myślami od bezdennych lodowcowych szczelin i błękitnego lodu, który potrafił zabić, jeśli się go dotknęło, czy choćby musnęło, do prawdziwej grozy spadania bez końca wśród miliona lodowych skrzypiec, rzeżących symfonię tundry. Wyprostował się, kiedy usłyszał mocne, pewne pukanie do drzwi, a potem wszedł rozpromieniony Arthur Chess.

Rozdział 8

Patolog usiadł wygodnie na niewygodnym krześle. – Czy zastanawiałeś się nad pytaniem, które ci zadałem?

– Źródło zła – powiedział Jeremy.

Arthur odwrócił dłoń wnętrzem do góry.

– Zło to... słowo o sporym ciężarze znaczeniowym. Jest obarczone teologicznym brzemieniem. Wydaje mi się, że zgodziliśmy się na określenie „bardzo złe zachowanie”.

My.

– Nie, nie zastanawiałem się nad tym. Jak wspominałem, jest pewien zbiór danych, skromny, ale wymowny. Jeśli naprawdę to pana interesuje.

– Interesuje, Jeremy.

– Spiszę panu bibliografię. Ale wnioski mogą być nieprzyjemne.

– Dla kogo?

– Dla optymisty – odparł Jeremy. – Dla humanisty.

Zaczekał, czy Arthur odnajdzie się w którejś z tych kategorii.

Patolog przyglądał brodę i milczał. Na biurku Jeremy’ego zegarek wskazał pełną godzinę.

– Rzecz w tym, Arthurze, że pewni ludzie wydają się przychodzić na świat z wrodzoną skłonnością do porywczosci. Niewielka część z nich skłania się ku przemocy. Głównie mężczyźni, więc może pewną odpowiedzialność ponosi testosteron. Ale działa tu coś więcej niż tylko hormony. Znaczącą zmienną jest chyba niski próg podniecenia. Niższe niż normalnie tętno spoczynkowe. Spokojny układ nerwowy.

– Nadprzyrodzony spokój – powiedział Arthur, jakby już o tym kiedyś słyszał.

– Zna pan te badania?

Arthur pokręcił głową.

– Ale to, co mówisz, brzmi bardzo logicznie. Człowiek, który nie zna strachu, nie zna też sumienia.

– To jedna teoria – ciągnął Jeremy. – Strach jest doskonałym nauczycielem, a ci, którzy się od niego nie uczą, nie przyswajają sobie niezwykle cennej lekcji życia w społeczności. Ale można na to spojrzeć inaczej: uzależnienie od adrenaliny. Centralny układ nerwowy, który od urodzenia jest niedostatecznie stymulowany, powoduje rosnącą potrzebę coraz mocniejszych wrażeń. W mowie potocznej mówi się o takich ludziach, że są uzależnieni od adrenaliny.

– Widziałem coś takiego w wojsku u snajperów – zgodził się Arthur. – Żyli tylko dla coraz mocniejszych wrażeń, a tętno mieli tak niskie, że można było pomyśleć, iż zepsuł się stetoskop. Miałem takiego jednego, potrafił siedzieć bez ruchu przez kilka godzin, zupełnie jak posąg. Czy powiedziałbyś w takim razie, że służba wojskowa to akceptowana społecznie forma przestępczości?

Jeremy przypomniał sobie wojskową przeszłość Arthura. Staremu patologowi podobało się w wojsku.

– Samo szukanie mocnych wrażeń o niczym nie świadczy. Wspinacze wysokogórscy i spadochroniarze też chcą adrenalinowego haju, ale większość z nich nie popełnia przestępstw. Według pana bardzo, bardzo złe zachowanie bierze się z połączenia okrucieństwa i lekceważenia. A do tego dochodzi wpływ środowiska: niech pan weźmie dziecko uwarunkowane biologicznie, narazi je na molestowanie i zaniedbanie, a najprawdopodobniej stworzy pan... problem.

Arthur znów się uśmiechnął.

– Potwora? To zamierzałeś powiedzieć?

– Potwory – odparł Jeremy – miewają różne postacie. – Wstał. – Spiszę dla pana tę bibliografię i jutro ją przyślę.

To było nieuprzejme zachowanie, ale Arthur się nie zraził. Strzelił guzikiem od kamizelki i zerwał się na równe nogi z wigorem kogoś o wiele młodszego. Na lewym rękawie fartucha wciąż miał różowe kropki. Kolor ten sam, ale rozkład plamek inny.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli wolno.

– Słucham.

– Molestowanie, zaniedbanie: zakładasz, że to czynniki środowiskowe. Czy to możliwe, że to, co nazywasz rodzinną dysfunkcją, też jest dziedziczne? Gwałtowni rodzice przekazują swoje skłonności dzieciom?

– Wracamy do koncepcji złego nasienia – powiedział Jeremy.

– To kolejna koncepcja znaczeniowo naładowana teologicznie. I, jak twierdzisz, mało wiarygodna. Ale czy dane wyraźnie ją wykluczają?

– Dane są zbyt mętne, żeby cokolwiek udowodnić, Arthurze. Mogą coś zaledwie sugerować.

– Rozumiem – odparł Arthur. – A więc uważasz za mało prawdopodobne, że gwałtowność w ogóle – czy najczęściej – jest przekazywana z pokolenia na pokolenie w kwasie nukleinowym.

– Grzechy przodków – odparł Jeremy. – Pański chrząszcz z dżungli wstrzykujący swoje pasożytnicze potomstwo.

W pana przypadku nie ma czegoś takiego, jak zbieg okoliczności, prawda, doktorze Chess? Arthur parsknął śmiechem i podszedł do drzwi.

– Cóż, to była bardzo pouczająca rozmowa. Dziękuję za cierpliwość. Gdybym mógł się jakoś odwdzięczyć, jestem do dyspozycji.

Wyszedł. Jeremy nie usiadł. Zastanawiał się, czy pożegnalne słowa starego doktora były tylko uprzejmością, czy też patolog naprawdę oczekiwał, że Jeremy wpadnie do niego z jakimś pytaniem.

Czego miałby chcieć od patologa?

Obiektyw kamery jego wyobraźni przybliżył obraz twarzy Jocelyn. Przesunął się niżej. Rany, których nigdy nie widział, ale które sobie wyobrażał. Poszarpane ciało, ten obraz nawiedzał go z upiorną niejasnością.

Teraz Tyrene Mazursky.

Dziwki w średnim wieku i Jocelyn nie łączyło zupełnie nic. Oprócz ran.

To wystarczyło, żeby Doresh znów ruszył jego tropem.

Serce zabiło Jeremy'emu, kiedy zaczął się dręczyć wyobrażeniami horroru. Arthur czułby się z tym doskonale, sprowadziłby wszystko do biologii komórek, wagi narządów i chemicznych składników.

Arthur poradziłby sobie z nocnymi koszmarami i wrzaskami tak samo, jak gładko radził sobie z rakiem i mięsakami w każdy wtorkowy poranek: dobrodusznym manierą, swobodnym uśmiechem – pełne opanowanie – jakie on ma tętno spoczynkowe?

Pytania, które Jeremy chciał zadać starszemu doktorowi, uwięzły mu w gardle.

Rozmawiamy o tym, bo wiesz, przez co przeszedłem? To tylko chorobliwa ciekawość, czy do czegoś zmierzasz?

Dlaczego nie powiedział tego na głos?

Czego ty ode mnie chcesz?

Rozdział 9

Kiedy serce trochę się uspokoiło, Jeremy poszedł na oddział dodać otuchy swoim pacjentom. Najwyraźniej robił to, co trzeba, bo spojrzenia chorych pojaśniały, kilka osób się uśmiechnęło, ścisnęło jego dłoń, a jedna nastolatka zaczęła z nim niewinnie flirtować. Kiedy w samotności wypisywał karty zdrowia, czuł swoich podopiecznych w sobie, każdego z nich, co do jednego. Jakby nosił ich ze sobą niczym mama-kangurzyca.

Ciała chorych w dotyku niczym się nie różniły od ciał zdrowych ludzi. Aż do fazy terminalnej. Umierający pacjenci reagowali rozmaicie. Niektórzy w ostatnich chwilach popadali w brawurę, robili się gadatliwi, opowiadali nieprzyzwoite żarty. Inni bez końca wspominali albo rozdawali błogosławieństwa akolitom zgromadzonym wokół ich łóżek. Jeszcze inni po prostu gaśli. Wszyscy jednak mieli ze sobą coś wspólnego – coś, czego Jeremy'emu nie udało się jeszcze określić. Ktoś, kto pracował na oddziale wystarczająco długo, umiał rozpoznać rychłą śmierć.

Jeremy próbował wyobrazić sobie człowieka, którego podnieca cudze umieranie. Sama myśl o takiej możliwości sprawiła, że się przygarbił.

Kiedy zrobił sobie przerwę na kawę w stołówce lekarzy, zauważył Angelę Rios; siedziała przy stoliku i piła jogurt. Podszedł do niej, chwilę porozmawiał, zaprosił na kolację.

Był zdumiony spokojem swojego głosu. Czuł, że uśmiech wygina mu usta, jakby grał nimi brzechomówca.

Nie miał żadnego dobrego powodu, żeby się z nią umawiać, poza tym, że była piękna, inteligentna, pełna wdzięku i najwyraźniej nim zainteresowana.

– Przykro mi – powiedziała – mam dzisiaj dyżur.

– Szkoda – odparł Jeremy. Czyżby aż tak bardzo się pomylił?

– Jutro mam wolne – dodała, kiedy odwrócił się do wyjścia. – Jeśli to ci pasuje.

– Sprawdź w kalendarzu. – Jeremy odegrał przewracanie kartek. Kpina z samego siebie zawsze działała. Angela się uśmiechnęła.

Śliczna dziewczyna. Gdybym był zainteresowany...

– A więc jutro – powiedział. – Spotkamy się tutaj?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym mieć chwilę, żeby wrócić do domu trochę się odświeżyć. Kończę o siódmej, może wpadniesz koło ósmej?

Wyjęła swój notes, napisała coś, wyrwała kartkę i podała ją Jeremy'emu.

West Broadhurst Drive, w Mercy Heights.

Prawdopodobnie jeden ze starych, drewnianych domów kolonialnych, podzielonych na mieszkania. Smutny mały domek Jeremy'ego stał w dzielnicy Lady Jane, kawałek drogi spacerkiem od Mercy Heights Boulevard.

– Jesteśmy sąsiadami. – Powiedział jej, gdzie mieszka.

– Och – odparła. – Rzadko bywam w domu, sam rozumiesz, praca. Zapiszczał jej pager. Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Jakby na potwierdzenie – mruknął Jeremy.

– Jakby. – Zawiesiła stetoskop na szyi, wzięła podręcznik specjalizanta i notes, wstała.

– Do zobaczenia jutro.

– Koło ósmej. – Będę gotowa.

Jej mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze ponurego, dwupiętrowego budynku, który kiedyś musiał być pensjonatem. W korytarzu ze skrzypiącymi podłogami unosiły się zapachy lekarstw – może mieszkali tu inni stażyści i specjaliści, którzy przynosili próbki do domu – wykładzina była ubita, brązowa i dawno nieprana, dwa rowery stały przypięte łańcuchami do pokrytej grabą warstwą farby poręczy.

Angela otworzyła w kilka sekund po dzwonku Jeremy'ego. Swoje wspaniałe, ciemne włosy splotła w długi warkocz na plecach. Miękki, biały sweter sprawił, że zwrócił uwagę na jej piersi. Sweter kończył się tuż nad talią. Do niego Angela włożyła czarne spodnie biodrówki i czarne sandały na wysokim obcasie. W uszach miała kolczyki z perłami, a na szyi maleńki rubin na cienkim jak włos, złotym łańcuszku. Umalowała się delikatnie.

Mocno ściągnięte włosy podkreślały owal jej twarzy. Piuwe oczy patrzyły z żywym zainteresowaniem, usta rozchyłały się w uśmiechu. Wspaniałe pachniała.

– Gotowa, jak obiecałam! – Energicznie wyciągnęła rękę i mocno, stanowczo uściśniła mu dłoń.

Gest był niemal wojskowy i Jeremy stłumił uśmiech. Angela chyba wyczuła jego rozbawienie, bo się zaczerwieniła. Spojrzała na jego kurtkę.

– Zimno na dworze?

– Chłodnawo.

– Jestem dzieckiem słońca, zawsze marznę. Wezmę coś na wierzch i możemy iść.

Zabrał ją do średnio drogiej, rodzinnej włoskiej restauracji w lepszej części Lady Jane. Uszlachtej części: sklepy przekształcone w przytulnie oświetlone puby, księgarnie i małe restauracje. Pozostałości dawnych dni przypominały zamalowane witryny zakładów napraw odkurzaczy, krawców imigrantów, chińskich pralni i tanich aptek. Deszcz – lepka, kwaśna mżawka, która nękała miasto od czterech dni – w końcu przestał padać; powietrze pachniało słodko, a latarnie promieniały jakby z wdzięczności.

Jeremy pospiesznie otworzył Angeli drzwi – dawne nawyki; w akademii wpojono mu etykietę. Kiedy wysiadła z samochodu, wsparła się na jego ramieniu.

Dotyk – lekkie drapanie – kobiecych palców na rękawie...

Kelnerka była żoną szefa kuchni. Miała duży biust i przyjazny uśmiech. Posadziła ich przy stoliku w głębi, przyniosła paluszki chlebowe, menu i talerzyk pachnących czosnkiem oliwek.

Idealnych na randkę.

Bo to była randka.

Co teraz, geniuszu?

Angela zamówiła bez zastanowienia, jakby jedzenie nie było ważne.

Łatwo im się rozmawiało.

Z jakiegoś powodu – może to przez jej ochoczość, a może prostotę, z jaką się zachowywała – Jeremy uznał, że pochodzi z klasy pracującej i wszystko osiągnęła własnymi siłami. Możliwe, że jako pierwsza w rodzinie skończyła studia.

Mylił się we wszystkim. Angela wychowywała się wygodnie i beztrudnie na Zachodnim Wybrzeżu, oboje jej rodzice byli lekarzami – ojciec reumatologiem, matka dermatologiem. Oboje byli też profesorami w pierwszorzędnej szkole medycznej. Angela miała młodszego brata, który robił właśnie doktorat z fizyki cząstek.

– Rodzina naukowców – powiedział Jeremy.

– Ja taka nie byłam – odparła Angela. – To znaczy, nie było żadnych nacisków. Właściwie nigdy nie chciałam być lekarzem. Zaczynałam studia od tańca.

– Spory rozrzut.

– Spory. – Na moment jej twarz się ściągnęła. Jakby chcąc to zatuszować, Angela zjadła oliwkę z czosnkiem. – A ty? Skąd jesteś?

Jeremy rozważył możliwości. Odpowiedź krótka: ostatnie miasto, w którym mieszkał, uczelnia, którą ukończył, zręczne przejście na temat pracy. Odpowiedź długa: jednak, miał pięć lat, kiedy mama i tata zginęli w sylwestrowym karambolu dwudziestu samochodów na oblodzonej autostradzie. W chwili zderzenia spał u babki ze strony matki i śnił o grze planszowej Kraina cukierków. Wiedział o tym, bo ktoś mu powiedział, a on zachował to wspomnienie jak jakiś rzadki okaz. Ale reszta lat z okresu sprzed sieroctwa zlewała się w burą masę. Babcia niedługo potem zniedołężniała i została wysłana do domu starców, a Jeremy trafił pod opiekę matki swojego ojca, zgorzkniałej altruistki, która nigdy nie otrząsnęła się z miażdżącej odpowiedzialności. Kiedy ona też zniedołężniała, chłopiec, już ośmioletni, zaczął długą wędrówkę po kolejnych dalekich krewnych, potem po sierocińcach. Nigdzie go nie dręczono, ale i nie zwracano na niego większej uwagi. W końcu szkoła średnia Basalt Academy zgodziła się go przyjąć w ramach akcji charytatywnej, ponieważ członkowie nowego zarządu uznali, że trzeba wreszcie zrobić coś dla społeczeństwa.

Jego najważniejsze lata – okres, który psychoanalitycy absurdalnie nazywają fazą latencji – wypełniły twarde polowe łóżka, musztra i pełne menu upokorzeń, przy czym deser nigdy nie był pewny. Jeremy zamknął się w sobie, pokonał bogate dzieci w akademickiej grze, mimo korepetytorów, którzy garnęli się do nich jak remory. Ukończył szkołę z trzecim wynikiem w swojej klasie, odrzucił możliwość wstąpienia do West Point, poszedł na studia, zrobił magisterkę w pięć lat, bo musiał nocami pracować. Kolejny rok stania za barem, dostarczania zakupów i uczenia tępych, bogatych bachorów pozwolił mu odłożyć trochę pieniędzy, potem poszedł na

studia podyplomowe z pełnym stypendium.

Doktorat zrobił bez problemu. Dysertację napisał w trzy tygodnie. Wtedy jeszcze pisanie przychodziło mu łatwo.

Potem: głodujący stażysta, początkujący lekarz, posada w Centralnym Miejskim. Siedem lat na oddziałach. Jocelyn.

Zamiast tego wszystkiego powiedział:

– Wychowałem się na Środkowym Zachodzie... O, już mamy jedzenie.

Podczas kolacji któreś z nich – Jeremy nie wiedział już, które – skierowało rozmowę na politykę szpitala. Zaczęli gawędzić o pracy. Kiedy wracali do samochodu, Angela wzięła go pod ramię. Pod drzwiami swojego mieszkania spojrzała mu w oczy, wspięła się na palce, mocno pocałowała go w policzek i się odsunęła.

– Świetnie się bawiłam.

Jasno nakreśliła granicę: dotąd, ani kroku dalej. Jeremy'emu to pasowało, nie miał siły na požądanie.

– Ja też – powiedział. – Dobrej nocy.

Angela błysnęła idealnymi, białymi zębami. Otworzyła torebkę, znalazła klucz, pomachała Jeremy'emu i zniknęła w środku, zanim którekolwiek z nich poczułoby się zmuszone powiedzieć coś jeszcze.

Jeremy stał w obskurnym korytarzu i czekał, aż ucichnie odgłos jej kroków. Potem zawrócił i wyszedł.

Rozdział 10

W ciągu następnych trzech tygodni Angela i Jeremy spotkali się cztery razy. Trudno było im się zgrać: dwa razy Angela musiała odwołać randkę z powodu nagłych wezwań do pacjentów, raz Jeremy musiał przeproszać, kiedy ordynator niespodziewanie kazał mu wygłosić referat na temat leków proceduralnych podczas konsylium – potrzebował wieczoru, żeby się przygotować.

– Nie ma sprawy – powiedziała Angela, a kiedy Jeremy wygłaszał swój referat, siedziała w piątym rzędzie szpitalnej auli. Gdy skończył, mrugnęła do niego, uścisnęła mu dłoń i szybko dołączyła do innych specjalizantów na porannym obchodzie.

Następnego wieczoru spotkali się po raz piąty.

Czas spędzany razem upływał im zwyczajnie, nic specjalnego. Nie skakali razem na bungee, nie chodzili na modne koncerty, przedstawienia czy wystawy, nie jeździli za miasto, za port i zachodnie przedmieścia na równiny, gdzie księżyc był olbrzymi i gdzie można było znaleźć sobie cichy kąt do zaparkowania samochodu i rozważań nad nieskończonością. Jeremy dobrze znał równiny. Większość życia spędził na Środkowym Zachodzie, mimo to jednak czasem wciąż jeszcze potrafiły nim wstrząsnąć.

Dawno temu – przed Jocelyn, kiedy był po prostu samotny – często jeździł na równiny, pędząc usypiającą linią autostrady i zastanawiając się, ile kilometrów po równinie trzeba przejechać, żeby ziemia w końcu wypchnęła z siebie jakąś górkę.

Ich związek wyrastał na przyziemnym gruncie: pięć cichych kolacji w pięciu różnych, cichych, porządnym restauracjach: dwóch włoskich, jednej hiszpańskiej, jednej pseudofrancuskiej, która swoją kuchnię nazywała kontynentalną. Kiedy Angela zdradziła się ze swoją słabością do wschodnich potraw, Jeremy znalazł oświetloną neonami chińską restauracyjkę, która dostała dobre recenzje w „Clarionie”. Wydał więcej, niż zwykły wydawać, ale uśmiech na twarzy Angeli był tego wart.

Porządne jedzenie, szczerza rozmowa, od czasu do czasu przelotny dotyk palców, bardzo mało flirtu czy seksualnych obietnic.

Zupełnie inaczej niż było z Jocelyn. Jeremy wiedział, że z porównywania nie wynika nic dobrego, ale się tym nie przejmował, porównywanie przychodziło mu naturalnie. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście chce całym sobą zaangażować się w coś nowego.

Jocelyn to seks i perfumy, perfumy seksu. Wężowy balet języków, wilgotne majteczki na pierwszej randce, krągłe biodra, delta o zapachu piżma.

Jego pierwsza randka z Jocelyn skończyła się przed deserem. Pędem pojechali do niej do domu, zerwali z siebie ubrania. Jak ktoś tak drobny mógł mieć taką siłę? Jej szczupłe, twarde ciało uderzało o niego z podniecającą siłą, tak mocno, że zostały mu siniaki.

Z Jocelyn nigdy nie mógł złapać tchu.

Angela była uprzejma.

– Mam nadzieję, że to nie zabrmi niegrzecznie – powiedziała na drugiej randce – ale czy mogę spytać, ile masz lat?

– Trzydzieści dwa.

– Wyglądasz o wiele młodziej.

To nie było pochlebstwo, tylko stwierdzenie faktu.

Jeremy w wieku szesnastu lat wyglądał na dwanaście, nie musiał się golić, dopóki nie poszedł na studia. Nie mógł znieść opieszałości swoich hormonów, tych wszystkich dziewczyn, których pragnął, a które traktowały go jak dziecko.

Po trzydziestce twarz zrobiła mu się kanciasta, gładka, z tych, które opierają się starzeniu. Włosy miał delikatne i proste, w nijakim, jasnobrązowym kolorze, jak dotąd bez łysin i siwizny. Cesał się z przedziałkiem, na prawo; jeśli nie używał pianki do włosów, zawsze opadały mu na czoło. Uważał, że ma ziemistą cerę, ale kobiety zawsze mu powtarzały, że skórę ma wspaniałą. Jedna z nich, poetka, zaczęła nazywać go Byronem i upierała się, że jego nijakie, piwne oczy przeszywają spojrzeniem.

Był średniego wzrostu, średniej wagi, niezbyt umięśniony. Nosił buty rozmiar czterdzieści trzy i garnitury rozmiar czterdzieści.

Uważał się za człowieka tak przeciętnego, jak to tylko możliwe.

– Naprawdę – powiedziała Angela. – Wyglądasz bardzo młodo. Domyśliłam się, że musisz być mniej więcej w tym wieku, bo mówiłeś, że pracujesz w Centralnym od siedmiu lat. Ale spokojnie mógłbyś mówić, że masz tyle lat, co ja, albo nawet mniej.

– Czyli ile? – Zgadnij.

– Dwa lata po doktoracie oznacza dwadzieścia osiem.

– Dwadzieścia siedem. Przeskoczyłam trzecią klasę. Tyle samo miała Jocelyn.

– Nie dziwi mnie to – powiedział.

– Byłam po prostu rozwydrzonym bachorem – stwierdziła Angela i zaczęła opowiadać o rygorach specjalizacji.

Jeremy słuchał. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać wyuczony zawód.

Pożegnalny rytuał ustalony na pierwszej randce trwał: Jeremy odprowadzał Angelę do drzwi, milczenie, uśmiech, wyciągnięta ręka.

Potem mocne, pełne rezerwy cmoknięcie w policzek i jej zapewnienie, trochę sztuczne, że świetnie się bawiła.

Jeremy zaczął się zastanawiać, o co jej chodzi.

Po piątej randce, kiedy oboje najedli się chińszczyzny, Angela zaprosiła go do swojego obsesyjnie czystego, ale nędznie urządzonego mieszkania. Posadziła go na kanapie, którą czuć było środkiem dezynfekującym, naląła wina obojgu, przeprosiła i zniknęła w łazience.

Jeremy się rozejrzał. Angela miała dobre oko. Każdy mebel był tani, podrapany i wyraźnie tymczasowy. Żałosna roślina walczyła o życie na obłupanym parapecie. A mimo to wszystko razem robiło przyjemne wrażenie.

Jeremy się zdziwił: oboje rodzice lekarze. Na pewno stać ją na coś lepszego.

Wyszła z łazienki w długim, zielonym płaszczu kąpielowym – z jedwabiu czy czegoś podobnego – usiadła obok niego, napiła się wina, przysunęła bliżej, przygasiła światło. Zaczęli się głęboko całować. Kilka chwil później z Angeli zsunął się płaszcz; Jeremy w nią wszedł.

Nie poczuł dreszczu triumfu. Wręcz przeciwnie, zalała go zimna fala rozczarowania: Angela prawie się nie ruszała, wydawała się nieobecna. Jeremy pompował biodrami, mocno, równo, bez uczucia, błędząc myślami gdzieś daleko.

Może to przez tę chińszczyznę.

Może po pięciu randkach uważa, że powinna.

Jocelyn była.

Otworzył oczy i spojrzał w dół, na jej twarz. W mroku barwy popiołu zobaczył spokój. Angela leżała na plecach, przyjmowała biernie jego pchnięcia. Oczy miała mocno zamknięte. Czy otworzą się z trzepotem rzęs, gdy Angela wyczuje jego zainteresowanie?

Do diabła z tym, pomyślał, dogodzę sobie, co mi tam ona. Kiedy znów popatrzył na jej twarz, była już inna. Jakby ktoś przełączył w niej jakiś przełącznik. Albo jakby postanowiła nagle ożyć. Może była jedną z tych kobiet, które potrzebują czasu... Zresztą, kto tam wie, jak to jest z tymi kobietami. Przekreśliła głowę w bok, skrzywiła się, zaczęła napierać na Jeremy'ego biodrami. Objęła go rękami i nogami, ugryzła w ucho, a jej oddech przyspieszył do ochrypłego dyszenia. Zaciśnęła miednicę, mocno go przytrzymała.

Mechaniczny, obojętny Jeremy stał się czymś zupełnie innym, kiedy Angela ścisnęła jego jądra, pocałowała go i krzyknęła.

Z jego ust wyrwał się krzyk – ryk rozkoszy – i opadł, oboje opadli, spleceni, na śmierdzącą kanapę.

Później, kiedy do jego głowy zaczęły się wkradać myśli o Jocelyn, odrzucił je.

Pojechał do domu, czując łaskotanie niżej pasa. Dopiero potem, wiele godzin później – kiedy leżał zwinięty w kłębek we własnym łóżku, sam, świadom każdego drobnego szczegółu swojej sypialni – pozwolił wyrzutom sumienia ostudzić swoje zadowolenie.

Rozdział 11

Następnego dnia po nocy z Angielą Jeremy zadzwonił na jej pager. Wyciągnął ją z oddziału i zaprowadził do swojego gabinetu. Zamknął drzwi na klucz, sięgnął pod jej spódniczkę, a jej dłoń położył na swoim kroczu. Zamruczała.

– Czyżby? – spytała.

Zsunął jej pończochy i majteczki jednym ruchem i złączyli się, oparci o drzwi, słysząc co jakiś czas kroki na korytarzu.

– To okropne – powiedziała Angela, przywierając do Jeremy'ego.

– Mam przestać?

– Przestań, to cię zabiję.

Skończyli na zimnym linoleum podłogi. Angela otrzepała swój biały fartuch, wyprostowała się, poprawiła włosy i pocałowała go.

– Pacjenci czekają – powiedziała. Zrobiła smutną minę. – Mam dyżur przez następne dwadzieścia cztery godziny.

– Biedactwo – odparł Jeremy i pogłaskał ją po głowie.

– Będziesz za mną tęsknił?

– Pewnie.

Położyła dłoń na spódnicy, tuż nad miękkim miejscem, w którym przed chwilą był.

– Zrobisz mi to jeszcze raz, jak skończę dyżur?

– Tobie?

Wyszczrzyła się w uśmiechu.

– Mężczyźni robią to kobietom, tak to jest.

– Jeszcze raz, tak jak teraz? – spytał.

– Tutaj, gdzie indziej. Boże, jak ja tego potrzebowałam.

– Skoro tak – Jeremy wplótł palce w jej włosy – nic zostawiasz mi wyboru. Muszę cię zaspokoić.

Zaśmiała się, pogłaskała go po twarzy. Zniknęła.

Kiedy Jeremy został sam, spróbował zabrać się do swojej książki. Zaczął pisać rozdział o depriwacji sensorycznej, ale szło mu ciężko. Poszedł do stołówki lekarskiej na kawę. Personel dostawał ją za darmo – był to jeden z niewielu pozostałych do tej pory przywilejów i Jeremy często z niego korzystał. Wiedział, że w ten sposób łyka o wiele za dużo kofeiny, ale dlaczego nie? Dlaczego niby miałby być spokojny?

Sala była raczej pustawa, siedziało w niej kilku lekarzy, odpoczywających w przerwie między kolejnymi pacjentami.

I jeden, którego pacjenci nie mówili. Arthur Chess siedział sam przy stoliku w rogu, z

filiżanką herbaty i rozłożoną gazetą.

Idąc do dzbanka z kawą, Jeremy przeciął linię wzroku starego patologa, ale ten w żaden sposób nie zdradził, czy go poznał. Zignorował Jeremy'ego – o ile w ogóle go zauważył.

Jeremy siadł przy stoliku w drugim końcu sali. Napił się kawy i zdał sobie sprawę, że przygląda się Arthurowi.

Teraz zrozumiał, dlaczego patolog nie zareagował na jego widok – bo był zajęty obserwowaniem.

Przedmiotem jego fascynacji było trzech lekarzy zgarbionych nad kawą i ciastem dwa stoliki dalej. Trójka mężczyzn, pogrążona, jak się zdawało, w ożywionej akademickiej dyskusji.

Jeremy rozpoznał jednego z nich, kardiologa Mandela. W porządku facet, choć trochę rozkojarzony. Kilka razy doradzał Jeremy'emu, czasem błędnie, zawsze z jak najlepszymi intencjami. Siedział tyłem do niego, nachylony do przodu i skupiony.

Pozostali dwaj mieli na sobie zielone kitle chirurgów. Jeden był smagły – być może Latynos – o ciemnych, gładko zaczesanych włosach i przystrzyżonych czarnych wąsach. Drugi był biały. Dosłownie. Jego pociągła, ściągnięta twarz miała odcień bladości, który Jeremy do tej pory widywał tylko u obłożnie chorych, od dawna niewychodzących na świeże powietrze pacjentów. Kopulastą czaszkę porastały krótkie, jasne włosy. Nos miał zakrzywiony jak dziób, a policzki zapadnięte.

To właśnie on mówił, poruszając ustami i gestykulując pajęczymi dłońmi chirurga. Mandel słuchał go z uwagą. Smagły, wąsaty mężczyzna wydawał się coraz bardziej znudzony, jakby siedział tam na czyjeś polecenie.

Blady wyjął z kieszeni długopis, narysował coś na serwetce i znów zaczął gestykulować dłońmi o długich palcach. Mandel pokiwał głową. Blady wykonał gest piłowania i się uśmiechnął. Mandel coś powiedział, a jasnowłosy chirurg znów zaczął rysować. Cały czas do siebie mówili. Arthur nie odrywał od nich wzroku.

Najwyraźniej była to jakaś techniczna demonstracja. Dlaczego Arthur, grzebiący się w śmierci, używający pił do kości i narzędzi ciesielskich, miałby się tym interesować? Przez zwykłą ciekawość?

Pewnie tak. Arthur był żądny wiedzy, jak prawdziwy intelektualista. Jeremy, który w wolnym czasie czytywał czasopisma i rzadko otwierał klasyczne teksty psychologiczne ze swej kolekcji, w porównaniu z patologiem czuł się płytki.

Zastanawiał się, czemu Arthur nie wstał i nie przyłączył się do lekarzy. Byłoby to nieuprzejme, oczywiście, ale stary patolog był ważną osobistością w Centralnym i jego pozycja gwarantowała, że zostałby przyjęty z otwartymi ramionami.

Wtedy właśnie zainteresowanie Arthura jakby zmalowało i starzec przewrócił stronę gazety. Jeremy pomyślał, że mógł się pomylić. Może patolog nie zwracał na trzech mężczyzn większej uwagi niż na niego. Może pochłonęły go jakieś rozmyślenia – o motylach, drapieźnych chrząszczach, niuansach płynów ustrojowych, wszystko jedno – a to, że nachylał swoją wielką,

łysą głowę w stronę dyskutujących w pobliżu mężczyzn, było po prostu przypadkiem.

Teraz nie odrywał wzroku od gazety. Tym lepiej. Jeremy pomyślał, że w spokoju dopije kawę, wróci niezaczepiany do swojego gabinetu, siądzie z nogami na biurku i powspomina cudowny seks z Angelą.

Pozwoli sobie na fantazjowanie, jaki będzie następny raz.

Mężczyźni robią to kobietom.

Błady przestał wymachiwać długopisem. Dał sobie spokój ze swoim pokazem. Spojrzał przez salę na Jeremy'ego.

Spojrzał z uwagą.

A może Jeremy to sobie tylko wyobraził, bo mężczyzna powrócił do wykładu.

Arthur wstał, złożył gazetę i poprawił kąt przekrzywienia swojej muchy. Podeszedł prosto do stolika Jeremy'ego. Na jego różowej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– Jak to się dobrze składa – powiedział. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

Rozdział 12

Usiadł przy stoliku, rozpiął swój biały fartuch i wcisnął gazetę do kieszeni. Koszulę miał śnieżnobiałą, mocno wykrochmaloną, z wysokim, sztywnym kołnierzykiem. Dzisiejsza mucha była miętowo-zielona, z drogiego jedwabiu w maleńkie złote lilie.

– Zastanawiałem się – powiedział – i proszę, nie poczytaj mi tego za śmiałość... Zastanawiałem się, czy nie miałbyś ochoty dotrzymać mi towarzystwa w najbliższy piątek na kolacji. Jest kilka osób, interesujących osób, które chciałbym ci przedstawić. I których poznanie, pozwałam sobie przypuszczać, mogłoby ci sprawić przyjemność.

– To pańscy przyjaciele?

– Grupa... można tak to nazwać. – Starzec zazwyczaj wysławiał się płynnie, teraz zaczął się zacinać.

Arthur Chess zawstydzony?

Uśmiechnął się, może chcąc zamaskować ten wstyd.

– Spotykamy się od czasu do czasu i rozmawiamy na tematy, które nas interesują.

– Tematy medyczne? – spytał Jeremy. Potem przypomniał sobie natarczywą ciekawość Arthura odnośnie do bardzo złego zachowania. Czy wszystko to był wstęp do tego zaproszenia?

– Wachlarz tematów jest szeroki – odparł Arthur. – Dążymy do erudycji, ale nic zbyt ciężkiego, Jeremy. Towarzystwo jest sympatyczne, jedzenie dobrze przygotowane, naprawdę smaczne, do tego pijemy dobre alkohole. Jemy późno. Ale nie sądzę, żeby to był dla ciebie problem.

Skąd Arthur mógł wiedzieć o jego bezsenności?

– Dlaczegoż to?

– Jesteś energicznym młodym człowiekiem. – Patolog uderzył w stół swoją wielką dłonią. – A więc jak, jesteście umówieni?

– Przykro mi, w piątek nie da rady – odparł Jeremy.

Nie musiał kłamać. W piątek wieczorem Angela kończyła dyżur. Nie umówili się jeszcze, ale nie było powodu, by miała się nie zgodzić na spotkanie.

– Rozumiem. Cóż, a więc innym razem. – Arthur wstał. – Nie zaszkodziło spróbować. Nie miałem zamiaru naciskać. Gdybyś zmienił zdanie, nie wahaj się i daj mi znać.

Położył Jeremy'emu dłoń na ramieniu. Ciężką dłoń. Jeremy zdał sobie sprawę, jak zwalisty i silny jest patolog.

– Oczywiście. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał, Arthurze.

– Myślałem tylko o tobie. – Arthur nie cofnął ręki.

Jeremy poczuł zapach rumu, mocnej herbaty i czegoś ostrego, być może formaliny.

– Pochlebia mi pan – powiedział.

– Zastanów się jeszcze nad tym. W chwilach skrajnego niepokoju dobra, późna kolacja może

bardzo pomóc – stwierdził patolog.

– Niepokoju? – zdziwił się Jeremy.

Ale starzec odwrócił się już i odszedł.

Jeremy wrócił do gabinetu, ale nie udało mu się już wyobrazić sobie niczego, co miało związek z Angellą, ani z przeszłości, ani z przyszłości.

Jedno słowo krążyło mu w głowie: niepokój.

Nie mój; niepokój w mieście. Na świecie.

Mój.

Stary drań miał rację. Jak lepiej opisać czasy, kiedy kobiety są napadane i zabijane jak zwierzyna łowna tylko dlatego, że są kobietami? Kiedy mężczyźni o niskim tętnie spoczynkowym wybierają swoje ofiary z uwagą klientów sklepu warzywnego obmacujących arbuzy?

Mężczyźni, którzy łakną krwi i grozy w oczach, unicestwienia sił życiowych, najwyższej władzy.

Mężczyźni-potwory, którzy potrzebują tego wszystkiego, żeby ich własna krew zaczęła szybciej krążyć.

Słowo „niepokój” doskonale określało świat, w którym śmierć Jocelyn umieszczała ją w tej samej kategorii, co Tyrene Mazursky.

Jeremy nie potrafił przywołać obrazu Angeli, ale oczyma duszy zobaczył Jocelyn. Jej śmiech, nawet z najbardziej kiepskich dowcipów, to, jak opiekowała się swoimi pacjentami, dla których nie było już nadziei. Jej wesołą twarz, zaczerwienioną i wykrzywioną w spazmach rozkoszy.

Kiedy było jej naprawdę dobrze, czerwieniła się od bioder po szyję.

A potem inna twarz. Też wykrzywiona. Bez przyjemności.

Żołądek mu się zbuntował. Jeremy poczuł, że zaraz zwymiotuje; złapał kosz na śmieci i wsadził do niego głowę. Ale tylko sucho zacharczał. Siedział zgięty wpół, nad koszem, spocony i zdyszany.

Mężczyźni-potwory, twórcy ludzkich odpadów. A potem inni mężczyźni – szorstcy urzędnicy publiczni, tacy jak Hoker i Doresh – robili na tym kariery.

Jeremy’emu udało się odchrząknąć, splunął do kosza pecyną śluzu. Wyjął foliowy worek na śmieci, poszedł do męskiej toalety, wyrzucił go, wrócił do gabinetu, zamknął drzwi na klucz i otworzył notes z adresami.

Znalazł numer i wystukał go.

Odebrał detektyw Doresh.

– Wydział zabójstw.

– Zastanawiałem się – powiedział Jeremy – skąd czarna kobieta mogłaby mieć nazwisko Mazursky.

– Kto... Doktor Carrier? O co chodzi?

– Wydało mi się to dziwne – ciągnął Jeremy. A właściwie niepokojące. – A potem pomyślałem: może to był jej pseudonim. Bo prostytutki tak robią. Spotkałem się z tym, leczymy je tu, w szpitalu, przychodzą się leczyć z chorób przenoszonych drogą płciową i zakażeń dróg moczowych, niedożywienia, problemów z zębami, wirusowego zapalenia wątroby typu C. Jedna kobieta ma pięć różnych kart. Nie liczymy specjalnie na zwroty, ale staramy się wystawiać rachunki państwu, bo takie mamy polecenia od administracji. Ale w przypadku prostytutek to zazwyczaj nic nie daje, bo zbyt szybko zmieniają nazwiska. Robią to, żeby zmylić sądy, żeby ukryć dowody poprzednich aresztowań. A więc może tak właśnie zrobiła Tyrene Mazursky. Może miała więcej niż jedną tożsamość.

– Pseudonim – powiedział Doresh, wolno i wyraźnie. – Myśli pan, że nie przyszło nam to do głowy.

– Na... na pewno przyszło. Po prostu tak sobie pomyślałem.

– Pomyślał pan o czymś jeszcze, doktorze? – Tylko o tym.

Cisza.

– Chce mi pan powiedzieć coś jeszcze, doktorze?

– Nie, to wszystko.

– Bo ja słucham – odparł detektyw.

– Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem.

– Tyrene Mazursky – powiedział Doresh. – Zabawne, że pan o niej wspomniał, bo właśnie dostałem ostateczne wyniki autopsji, mam je przed sobą.

Nic ładnego, doktorze. Kolejna wyjątkowo nieładna sytuacja. Jak w tej piosence o Humpty-Dumptym*[W wolnym tłumaczeniu: Humpty-Dumpty siedział na ścianie/Humpty-Dumpty z niej spadł/I wszystkie konie Króla/I wszyscy ludzie Króla/Nie dali rady poskładać go do kupy (przyp. tłum.)].

Detektyw zamilkł, pozostawiając Jeremy'emu czas, żeby dobrze zrozumiał. Nie dało się poskładać jej do kupy... kolejna... to samo przydarzyło się Jocelyn.

Od chwili morderstwa to była najbardziej konkretna informacja, jaką usłyszał.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby krzyczeć. Wziął głęboki oddech.

– To straszne.

– Tyrene Mazursky – powtórzył Doresh. – Okazuje się, że wiele lat temu była żoną Polaka. Rybaka, jednego z tych, co wypływają na jeziora, rzucają sieci i wyciągają wszystko, co się nawinie. Poza tym był w załodze poszukiwaczy zatopionych kłód drewna, stuletnich kłód, które pospadały z barek. Z drogiego klonu robią na przykład skrzypce. W każdym razie facet był pijakiem. Kilka lat temu, zimą, utopił się, kiedy łódź wywróciła się do góry dnem. Zostawił żonę bez środków do życia. Już wcześniej trochę się kurwiła, bo jego nigdy nie było, przepijał wypłaty. Kiedy umarł, wzięła się do tego na poważnie. Zawodowo.

Jeremy'emu zrobiło się zimno, kiedy usłyszał życiorys Tyrene Mazursky sprowadzony do

tych kilku faktów. Zaczęły mu się trząść dłonie.

– Biedaczka – powiedział.

– Smutna historia – stwierdził Doresh. – Chyba obaj to wiemy, co? Miłego dnia, doktorze.

Jeremy odłożył słuchawkę na widełki. Wyobraził sobie Tyrene Mazursky, pracującą w dokach. Czekałą, aż przyplynie jej statek.

Jocelyn. Pracowała na oddziale, czekała na spotkanie z Jeremym tego wieczoru.

Mężczyźni robią to kobietom. Tak to jest.

Siedział zły potem, z kwaśnym posmakiem w ustach, patrząc, jak wieczór spowija ciemnością studnię za oknem.

W końcu znów podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny.

– Chess – zahuczał znajomy głos.

– To ja, Arthurze. Okazało się, że w piątek mogę przyjść.

Rozdział 13

Późno w piątek Jeremy znalazł w swojej skrzynce wiadomość, napisaną odręcznym, pochyłym pismem, czarnym atramentem na drogim, błękitnym, czerpanym papierze, z płynną elegancją wiecznego pióra.

Dr C:

Piątek, 21.30. Zadzwoń ze szczegółami.

A.C.

W piątek niespodziewanie zaczął padać deszcz, zimny, nieustępliwy jak szturm wojska. Przeciążone kanały burzowe wylały i pewne części miasta utonęły w potopie ścieków. Niczym werble na napiętej skórze miasta huczały samochodowe stłuczki. Powietrze pachniało tlenkiem rtęci. Oleiste rozbryzgi wody z jeziora pokryły śliską warstwą doki w porcie, kutry kołysały się i grzęzły w mule, a nieogoleni mężczyźni w wełnianych czapkach i kaloszach chowali się w ciemnych barach, by tam pić do utraty przytomności.

Samochód Jeremy'ego zarzucało przez całą drogę do szpitala. Angela zadzwoniła do niego pod koniec zmiany, miała zmęczony głos.

– Ciężki dzień?

– Cięższy niż zwykle – powiedziała. – Ale spróbuję się pozbierać. Gdybym zasnęła, obudź mnie.

– Przepraszam – powiedział Jeremy. – Coś mi wypadło. Wieczór z doktorem Chessem.

– Doktorem Chessem? W takim razie idź, oczywiście. To fantastyczny człowiek. O czym będziecie rozmawiać?

Jeremy miał nadzieję, że będzie choć trochę zawiedziona.

– O czymś mądrym. Nie mówił o szczegółach.

– Baw się dobrze. – Spróbuję.

– Zadzwoń, kiedy skończycie?

– Może być późno. Kolacja zaczyna się o wpół do dziesiątej.

– Rozumiem... A w sobotę? Wracam do pracy dopiero w niedzielę rano.

– Dobrze. Zadzwoń.

– Super.

Jeremy odwiedził swoich pacjentów i resztę dnia spędził na daremnych próbach pisania. Zmarnował dwie godziny w szpitalnej bibliotece, przeszukując behawioralne i medyczne bazy danych i próbując znaleźć artykuły, o których wiedział, że nie istnieją. Usprawiedliwiał to sobie tłumaczeniami, że badania naukowe idą szybko do przodu, że można się obudzić któregoś dnia i

odkryć, że wszystko, w co się wierzyło, to nieprawda. Ale ostatnie pół roku nie zmieniło zasadniczego faktu: jeśli chcesz napisać książkę czy choćby jeden rozdział, musisz zabrać się do tego sam.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, była za dwadzieścia dziewięć, a z jego skrzynki wysypywała się poczta. Przejrzał ją, w środku stosu znalazł odręcznie napisaną wiadomość: ta sama czarna kursywa na błękitnym papierze.

Dr C:

Będzie najlepiej, jeśli pojedziemy moim samochodem.

AC.

Jeremy zadzwonił do gabinetu Arthura. Nikt nie odebrał. Poszedł więc do głównego budynku szpitala, do piwnic, gdzie mieściło się laboratorium patologiczne. Cały oddział był zamknięty na klucz, korytarze ciemne i ciche, tylko mechanicznie skamlały artretyczne windy.

Mieszcząca się kawałek dalej kostnica również była zamknięta. Arthur wyszedł. Czyżby zapomniał?

Jeremy wszedł po schodach na parter, wstąpił do bufetu i nalał sobie ósmą tego dnia kawę. Usiadł, popijając powoli, w towarzystwie zamartwiających się rodzin, zaspanych stażystów i znudzonych pielęgniarzy.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, zobaczył Arthura – czekał pod drzwiami, ubrany w czarną pelerynę przeciwdeszczową z kapturem, tak długą, że sięgała niemal do kaloszy. Pod ich gumowymi podeszwami rozlewały się kałuże wody. Peleryna była mokra, nos Arthura też. Stary doktor wyszedł ze szpitala i wrócił.

Kaptur okrywał dużą część jego twarzy. Spod lateksowej krawędzi wystawało kilka białych włosów z brody, ale ogólnie patolog był solidnie zamaskowany.

Właściwy strój dla człowieka o takim zawodzie, pomyślał Jeremy. Ponury Żniwiarz.

– Cześć – powiedział Arthur. – Niezły potop. Mam nadzieję, że jesteś zabezpieczony.

Jeremy wziął swoją teczkę i płaszcz. Arthur popatrzył na pogniecione okrycie koloru khaki.

– Hm – mruknął jakby z ojcowską troską.

– Wystarczy – powiedział Jeremy.

– Chyba będzie musiało. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali moim samochodem, prawda? Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach cel naszej podróży leży nieco na uboczu. Dzisiaj... – Arthur wzruszył ramionami. Foliowy kaptur zaszeleścił, prysnęły krople wody.

Żniwiarz idzie na ryby, pomyślał Jeremy.

A potem: czego użyje jako przynęty?

Wnętrze lincolna Arthura było ciepłe i słodko pachnące, wyłożone jasnoszarym filcem, co

Jeremy widział do tej pory tylko w o wiele starszych samochodach. Silnik zaskoczył z pomrukiem i Arthur płynnie cofnął. Kiedy wyjechali z parkingu, siadł prosto, wielkie dłonie oparł lekko na kierownicy, a wzrokiem zaczął przeskakiwać z przedniej szyby na lusterko wsteczne, potem na oba boczne, z powrotem na drogę.

Był skoncentrowany, ale Jeremy czuł się niepewnie. Burza ograniczała widoczność do kilku metrów. Arthur jechał niemal na ślepo.

Skierował lincolna w stronę centrum, ale skręcił w lewo, kiedy w oddali rozbiły się światła drapaczy chmur. Jeremy próbował śledzić trasę, ale szybko się zgubił.

Na wschód, na północ, znów na wschód. Potem seria szybkich skrętów i Jeremy zupełnie stracił orientację.

Arthur nucił pod nosem.

Kiedy przed nimi zamigotały tylne światła, stary doktor wziął je za boje nawigacyjne. Gdy zapadała ciemność, a przednia szyba zamieniała się w matowy, czarny prostokąt, jechał równie swobodnie.

Deszcz bębnił o dach samochodu, wystukując szybkie, werblowe rytmy. Arthur nie zwracał na to uwagi, wciąż nucił. Był zrelaksowany – nawet więcej, wydawał się zadowolony z trudnych warunków jazdy. Jakby lincoln jechał po szynach, a prowadzenie go nie było bardziej niebezpieczne niż zabawa na torze zderzających się samochodzików w wesołym miasteczku.

Jeremy rozejrzał się dookoła. Udało mu się zauważyć w ciemności, że wnętrze lincolna jest nieskazitelnie czyste. Nic nie leżało na tylnym siedzeniu. Zanim wyruszyli, Arthur otworzył bagażnik; Jeremy zobaczył świeżo odkurzoną, szarą wykładzinę, apteczkę i dwie parasolki, przypięte klamrami do ścianki. Arthur położył teczkę Jeremy'ego obok apteczki i ostrożnie zamknął klapę.

Ta da da.

Jeremy zorientował się, że przysnął. Ocknął się i zerknął na zegarek. Spał ponad piętnaście minut.

– Dobry wieczór – przywitał go jowialnie Arthur.

Deszcz rozpadał się jeszcze bardziej.

– W jakiej części miasta jesteśmy? – spytał Jeremy. – Seagate.

– W dokach?

– To moja ulubiona okolica. Ta witalność, ta stymulacja zmysłów. Lud pracujący.

– Lud pracujący.

– Kręgosłup każdej cywilizacji. – Chwilę później: – Wywodzę się z długiej linii ludzi pracy, głównie farmerów. A gdzie ty się wychowałeś, Jeremy?

– Na Środkowym Zachodzie. Nie w tym mieście, ale niedaleko. – Jeremy wymienił nazwę miejscowości.

– Społeczność handlowców – stwierdził Arthur. – Masz w rodzinie jakichś farmerów?

– Już od wielu pokoleń nie.

– Farma uczy. Uczy człowieka o cyklach. Życie, śmierć i wszystko, co pomiędzy. Oraz, oczywiście, o przejściowej naturze wszystkiego: bardzo miło wspominać, jak pomagałem przy narodzinach cielaka. Był to dość krwawy spektakl. Miałem siedem lat i byłem przerażony. Kamieniałem ze strachu na myśl, że zmyje mnie zalew krwiwej tkanki. Mój ojciec się uparł.

– Zainspirowało to pana do tego, żeby zostać lekarzem?

– O, nie – odparł Arthur. – Wręcz przeciwnie.

– Jak to?

Arthur uśmiechnął się i odwrócił lekko w jego stronę.

– Krowa poradziła sobie sama, synu. Poczuję się zupełnie niepotrzebny.

– Ale mimo to został pan lekarzem.

Arthur pokiwał głową.

– Jeszcze tylko kilka przecznic.

Rozdział 14

Zapachy ryb, ropy, rdzy i kreozotu powiedziały Jeremy'emu, że doki są już blisko. Ale nigdzie nie było widać wody, tylko rzędy przysadzistych budynków bez okien, odartych z architektonicznej fantazji.

Arthur Chess wjechał w wąziutką uliczkę między magazynami. Deszcz zamienił chodniki w galarete; światła lincolna, żalozne bursztynowe rozmazy, gasły, zanim padły na asfalt. Nie było gwiazd, nie było księżyca, niczego, co pomogłoby odnaleźć drogę; siła ulewy zmuszała do wyteżania wzroku.

Lincoln skręcił w następną nieoświetloną uliczkę i zwolnił. Jeremy nie widział żadnych przecznic, żadnych chodników, tylko rzędy stojących obok siebie budynków o prostych fasadach.

Krwawy spektakl.

Drapieżne chrząszcze. Co tak naprawdę wiedział o starcu? W co się wpakował?

Arthur przejechał jeszcze kawałek, powoli wyhamował i zatrzymał lincolna przed niczym się niewyróżniającym, jednopiętrowym pudłem. Jeremy widział tylko betonowe ściany i wąskie drzwi, osłonięte rozwijaną markizą. Spod markizy lampa z matowego szkła rzucała wachlarz światła. Jeremy nigdy dotąd nie widział takiego światła – bladoniebieskiego, z purpurowym odcieniem, klinicznie zimnego.

Kiedy tylko Arthur wyłączył silnik, drzwi się otworzyły, a pod markizę wyszedł niski mężczyzna. Błękitne światło sięgało mu do pasa; niżej był prawie niewidoczny. Wyglądał tak, jakby miał obcięte nogi.

Półczłowiek wyciągnął rękę, z trzaskiem otworzył parasol i podbiegł do lincolna. Arthur wcisnął przycisk, kłapa bagażnika odskoczyła, a kiedy mężczyzna wrócił do drzwi kierowcy, miał w rękach dwie parasolki.

Otworzył Arthurowi drzwi, stanął na palcach, by osłonić o wiele wyższego patologa, i zmókł. Kiedy podał starcowi parasol, obszedł samochód i otworzył drzwi Jeremy'emu.

Z bliska Jeremy spostrzegł, że mężczyzna jest raczej w wieku Arthura niż jego i nie mierzy więcej niż metr sześćdziesiąt pięć. Miał rzadkie, ciemne włosy, zaczesane z przedziałkiem i przylizane, i okrągłą, puciołowatą twarz, w typie tych, jakie widuje się u karłów. Bystre, czarne oczy wyłapywały padające skądś światło i sypały iskrami w stronę Jeremy'ego.

Pod oczami bezwargi uśmiech.

Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Znów stanął na deszczu, oddając Jeremy'emu swoją parasolkę. Jeremy przysunął się bliżej, tak by obaj mogli się schować przed ulewą, ale mężczyzna biegł obok, kiedy zdążali do drzwi.

Gdy Jeremy znalazł się w kręgu bladoniebieskiego światła, jego oczy zaatakowała wypalająca żrenice fluorescencja.

Drzwi wypełniła wysoka postać. Arthur był już w środku.

Człowieczek o małpiej twarzy puścił Jeremy'ego przodem. Był przemoczony, ale wciąż się uśmiechał. Wszyscy trzej stanęli w małym, białym przedpokoju, dalej prowadziły białe drzwi. Nad sobą mieli podwieszany sufit. Jasne światło padało z przemysłowej lampy, przypominającej podłużnego gofra. Nie było tu żadnych mebli, żadnych zapachów, nie czuli też chłodu. Nie licząc plamek, zacieków i kałuż brudnej wody na pokrytej czarnym linoleum podłodze, pomieszczenie było na wskroś nieorganiczne.

– Laurent – powiedział Arthur. – Dziękujemy za osłonę przed deszczem.

– Nie ma za co, panie doktorze. – Człowieczek wziął od nich obie parasolki i postawił je w kącie. Pomógł Arthurowi zdjąć płaszcz, potem odwrócił się do Jeremy'ego.

– Laurent, to jest doktor Carrier.

– Miło mi pana poznać, panie doktorze. – Laurent wyciągnął rękę, a Jeremy uściśnął jego dłoń, w dotyku przypominającą bryłą sękatą dębiny.

– Pozostali już są – poinformował Laurent Arthura.

Jego garnitur, podobnie jak ubranie patologa, był doskonale skrojony, ale pochodził z innej epoki. Granatowa gabardyna, biała koszula. Kołnierzyk ze złotą spinką. Krawat z czarnej satyny. Na małe, wąskie stopy Laurent włożył czarne pantofle, tak wypastowane, że deszczówka spływała z nich na podłogę.

– Wspaniale – powiedział Arthur.

– Wszystko wygląda jak najlepiej, sir. – Laurent znów odwrócił się do Jeremy'ego. Miał zaróżowione policzki. – Szczęściarz z pana, młody człowieku.

Arthur otworzył białe drzwi i przytrzymał je, przepuszczając przodem Laurenta. Drzwi zamknęły się z szumem za Jeremym, a jego oczy znów przystosowały się do zmiany oświetlenia. Tu światło było łagodniejsze. Ciepłe, bursztynowe, jak pieszczota.

Przed nim ciągnął się długi korytarz, wyłożony złotym drewnem w ptasie oczka. Ręcznie rzeźbiona boazeria zwieńczona była karbowanymi zdobieniami. Podłogę pokrywał dywan w ciemniejszym odcieniu złota, miękki jak pluszowe siedzenia lincolna Arthura. Wysokie gipsowe sklepienie miało kształt kopuły zdobionej złotymi liśćmi.

Ptak w złoczonej klatce, pomyślał Jeremy.

Laurent poprowadził ich wytłumionym korytarzem. Powietrze było ciepłe, pachniało słodko wodą różaną. Na końcu znajdowały się wielkie, podwójne drzwi. W zwieńczeniu nad nimi kwiecistą czcionką wyryto trzy litery:

CCC

Rok trzechsetny?

Jakiś zapomniany sowiecki symbol? Czyżby Arthur był niereformowalnym komunistą?

Myśl ta rozbawiła Jeremy'ego, ale nie miał czasu na dalsze spekulacje: Laurent otworzył wrota, po czym wraz z Arthurem odsunęli się na boki. Arthur machnął ręką w teatralnym geście.

– Proszę, przyjacielu.

Jeremy zjrzał w głąb wspaniałej sali. Napotkał spojrzenie czterech osób.

Cztery uśmiechy.

Panowała tu innego rodzaju cisza – nagle, eksplodujące milczenie przzerwanej rozmowy. Nos Jeremy’ego wypełnił aromat pieczystego. Jego oczy musiały się przystosować do zupełnie odmiennego światła, światła dziesiątek przyciemnionych żarówek żyrandola. Monumentalnego żyrandola w postaci kryształowych łańcuchów, wisiorów i kul.

Pachniało przepysznie.

Jeremy wszedł do środka.

Sala miała ponad siedem metrów wysokości, była szeroka jak pałacowa sala balowa, długa jak pełnomorski jacht. Tak samo jak na korytarzu ściany wyłożono drewnem – starym orzechem koloru gorącego kakao, lśniącym od warstw lakieru i podzielonym na ośmiokątne panele. Spomiędzy kryształów olbrzymiego żyrandola przeświecało srebro najwyższej próby. Gipsowe sklepienie zdobione było medalionami i rozetami. Pod solidnymi sztukateriami wisiało kilka obrazów – scenek z życia wiejskiego.

Po przeciwnej stronie sali znajdowało się dwoje wahadłowych drzwi. Laurent zniknął w jednych z nich. Pomiędzy drzwiami stał kredens z mosiężnymi okuciami, na nim zaś waza pełna białych orchidei.

Pod żyrandolem ustawiono wypolerowany jak lustro mahoniowy stół w stylu chippendale, wykończony waniliowym drzewem aksamitnym. Wystarczająco długi dla dwudziestu osób, ale nakryty dla sześciu.

Pół tuzina lustrzanych nakryć naprzeciw siebie. Jedno krzesło po każdej stronie stołu było puste.

Arthur wskazał Jeremy’emu miejsce po lewej, sam usiadł na wprost niego, po prawej.

– Przyjaciele, oto nasz gość, doktor Carrier.

Poczwórne uprzejme mamrotanie.

Trzech mężczyzn, jedna kobieta. Jeden z mężczyzn był czarnoskóry. Podobnie jak pozostali miał na sobie dobry garnitur i elegancki krawat. Kobieta była ubrana w białą sukienkę z dzianiny, na szyi nosiła sznur wspaniałych, purpurowawych czarnych pereł, wielkich jak winogrona.

Wszyscy byli starsi od Jeremy’ego. On samą swoją obecnością znacząco zaniżał średnią wieku.

Gdzie stół dla dzieci?

Starął się zobaczyć jak najwięcej, nie przypatrując się przy tym natrętnie. Obrazy wyglądały na dzieła francuskich mistrzów. Wszystkie oprawione były w misternie zdobione ramy i nieco przesłodzone: bujne lasy, miodowo-złote promienie słońca, igrające fauny, pustockie kobiety o obfitych biustach, uchwycone w omdlewających pozach.

Pod ścianami stały dodatkowe krzesła, obite malinowym jedwabiem, obok nich cztery mniejsze stoliki. Białe, marmurowe postumenty wspierały wspaniale malowane chińskie wazy.

Były tam zmyślnie rozstawione, ozdobnie inkrustowane stoły i szklana etażerka z jadesowymi rzeźbami. Jeremy znał się trochę na antykach: jego przewlekle chora babka ze strony ojca wydała sporą część emerytury na kilka ładnych georgiańskich okazów. Te zgromadzone tutaj wyglądały lepiej niż wszystko, co udało się zgromadzić babci. Co się stało z jej kolekcją...?

Nikt się nie odzywał. Starsi ludzie wciąż się do niego uśmiechali. Podświadomie oczekiwał, że ktoś poklepie go po głowie. Odpowiadał uśmiechem i dalej wychwytywał wzrokiem szczegóły. Na stole stał wazon z wielkim bukietem czerwonych róż. Lustrzane nakrycia były szklanymi wielokątami w platynowych ramach. Na każdym stała czysta, biała, chińska porcelana, prosta i elegancka, obok leżał zestaw ciężkich, srebrnych sztućców i rubinowe lniane serwetki w złożonych krążkach; stały tam też kieliszki z rżniętego kryształu na wodę, czerwone i białe wino oraz o wiele wyższe, srebrne puchary o długich nóżkach, ze szklanymi wstawkami.

Sześć nakryć, pięć pucharów.

Po prawej stronie talerza Jeremy'ego stał prosty kieliszek do szampana – niezgrabny, tani, wyglądał jak z przeceny w supermarkecie.

Członkostwo daje pewne przywileje...

Arthur zaczął mówić, podkreślał swoje słowa zamaszystymi gestami.

– ...W rzeczy samej bardzo miło dostarczyć świeżej krwi naszemu posiwiątemu zgromadzeniu.

Przychylne śmiechy.

– Jeremy, pozwolisz, że przedstawię tych łotrzyków. – Arthur wskazał najdalszą z dwóch osób siedzących po tej samej stronie stołu co Jeremy: siwobrodego mężczyznę o oczach tak intensywnie błękitnych, że nawet z tej odległości zdawały się świecić jak gazowe palniki. – Profesor Norbert Levy.

Arthur wymienił słynny uniwersytet ze Wschodniego Wybrzeża.

Levy był rumiany, miał obwisłe policzki i gęstą grzywę niesfornych falistych włosów. Nosił tweedowy garnitur o szerokich klapach, w kolorze węgla drzewnego, do tego białą, tatarsalową koszulę i karmelowy krawat z grubym, windsorskim węzłem.

– Panie profesorze – ukłonił się Jeremy.

Levy odpowiedział ukłonem i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Profesorze emerytowany. Mówiąc wprost, wysłali mnie na zieloną trawkę.

– Norbert zbudował od zera ich wydział inżynierii – powiedział Arthur.

– Raczej wyrwałem go z rąk kilku zer – sprostował Levy.

Kobieta siedząca między inżynierem a Jeremym położyła dłoń na piersi. Zabrzęczały czarne perły.

– Nagła zmiana paradygmatu na skromność, Norbercie? Nie wiem, czy moje słabe serce zniesie taki wstrząs.

– Zrobię wszystko, byle byś nie zasnęła, Tino – odparł Norbert Levy.

– Jej eminencja, sędzia Tina Balleron, niegdyś z Sądu Najwyższego.

– A teraz z toru golfowego – uściśliła kobieta chrapliwym głosem.

Miała papierową cerę i bardzo piegowate dłonie, świadczące o codziennych osiemnastu dołkach; była szczupła i grubokoścista, o krótkich, falistych włosach ufarbowanych na kolor złocistego szampana. Nie nosiła żadnej biżuterii oprócz pereł, ale one wystarczały. Kiedyś była pewnie oszałamiająco piękna. Nawet teraz obwisała, miękka skóra nie ukrywała zdecydowanej linii jej szczęki. Kobieta mruczała raczej, niż mówiła, a Jeremy uświadomił sobie, że działa to na niego zaskakująco uwodzicielsko. Oczywiście miała czyste, ciemne i wesołe.

– Sąd Najwyższy – powiedział profesor emeritus Norbert Levy. – Pytanie brzmi, najwyższy spośród czego? Czy są sądy niskie?

Sędzia Tina Balleron cicho, gardłowo parsknęła.

– Biorąc pod uwagę jakość dzisiejszych prawników, powiedziałabym, że jest ich pod dostatkiem.

Arthur przeniósł spojrzenie na swoją stronę stołu, popatrzył na siedzącego najdalej mężczyznę.

– Edgar Marquis.

Nie określił zawodu, jakby samo nazwisko wszystko wyjaśniało.

Marquis wyglądał na najstarszego z grupy – miał dobrze ponad osiemdziesiątkę. Skurczony i bezwłosy, o poznaczonej błękitnymi żyłami, papierowej skórze, sprawiał wrażenie pożeranego przez własne ubranie. Jego głowa osadzona nisko, tuż przy ramionach, wysunięta była do przodu, jakby pozbawiona podpory szyi. Górna warga wystawała mu jak dziób żółwia. Miał na sobie garnitur uszyty z czarnego, prążkowanego jedwabiu. Rękawy spinały obszyte satyną guziki – Jeremy widział coś takiego tylko na smokingach. Koszula Marquisa była perłowszara, a jego wąski krawat – w kolorze tętnicznej krwi. Ot i podstarzały dandys.

Wyglądał, jakby spał. Jeremy już miał odwrócić wzrok, kiedy Marquis wykrzywił skórę czoła w miejscu, gdzie powinny być jego brwi, i mrugnął.

– Edgar – powiedziała Tina Balleron – był rzadkim przypadkiem rozsądku i konsekwencji w jakże trafnie nazwanym Foggy Bottom* [Foggy Bottom – popularna nazwa amerykańskiego Departamentu Stanu (tj. Ministerstwa Spraw Zagranicznych), często z intencją humorystyczną albo kpina, jako aluzja do domniemanej mglistości jego polityki albo oficjalnych oświadczeń. Etym.-amer.ang. Mglista Dolinka, była to pierwotnie lokalna nazwa Hamburga (miasta, które stało się częścią Dystryktu Kolumbi), a zwłaszcza jego bagnistych rejonów południowych, nad którymi nocą unosiły się niezdrowe opary. Część tych terenów zajęły później budynki rządowe, m.in. centrala Departamentu Stanu (przyp. tłum.)].

– Departamencie Stanu – dodał Arthur, jakby wyjaśniał trudne słowo dziecku. Wszyscy znów się uśmiechnęli, Marquis też. Nie były to uśmiechy rozbawienia, lecz zachęty. Bardzo się starali zrobić dobre wrażenie.

Traktują mnie, pomyślał Jeremy, z nerwowym szacunkiem należnym bystremu, ale nieobliczalnemu dziecku. Jakbym był dla nich ważny. Edgar Marquis poruszył się na swoim

krześle.

– Doktorze Carrier – powiedział szokująco dzwięcznym głosem. – Nie obowiązują mnie już reguły dyplomacji, proszę mi więc wybaczyć, jeśli od czasu do czasu osunę się w rzeczywistość.

– Oby tylko nie za często – odparł Jeremy, chcąc być dowcipny. Zależało mu na tym, żeby Marquis, żeby oni wszyscy poczuli się swobodnie.

– Oczywiście, proszę pana – powiedział Marquis. – Częstsze niż okazjonalne nawiązywanie do rzeczywistości byłoby nie do zniesienia.

– Oto życiowe motto – dodała Tina Balleron, postukując w srebrny puchar długimi, zakrzywionymi paznokciami.

– Okazjonalne otarcie się o rzeczywistość byłoby krokiem w górę dla pana Zwykłego Obywatela – stwierdził siedzący obok niej czarnoskóry mężczyzna. Odwrócił się do Jeremy'ego.

– Harry Maynard. Najwyraźniej zostawiono mnie na koniec. I siedzę na końcu stołu. Hm. Widać pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– No no – cmoknął Norbert Levy, a jego broda rozciągnęła się w wesołym uśmiechu.

– W obrady naszego małego zgromadzenia wdarła się sprawa natury społecznej. Czy nie powinniśmy zwołać komisji dochodzeniowej? – spytał Edgar Marquis.

– Jakżeby inaczej? – odparł Harry Maynard. – Niniejszym mianuję przewodniczącym samego siebie. Wszyscy jesteście winni zarzucanych wam czynów. Możecie się czuć gruntownie zbesztani.

– Winni czego? – spytał Levy.

– Wybierz sobie.

– Kto jest za? – spytał Marquis.

Ogólny śmiech.

– Proszę – powiedziała sędzia Balleron. – Oto demokracja bezpośrednia w całej swojej okazałości. A teraz, zachowuj się, Harry, dojdziemy do ciebie w swoim czasie.

Maynard pokiwał palcem.

– Życie jest za krótkie, żeby się dobrze zachowywać. – Odwrócił się znów do Jeremy'ego. – Pana doświadczenie bardzo się tu panu przyda. Miło mi pana poznać, synu.

Był wielki, potężny; miał na sobie granatowy garnitur, błękitną koszulę i ciemno-seledynowy krawat. Ten prawdopodobnie najmłodszy z obecnych wyglądał na sześćdziesiąt parę lat; cera o kilka tonów jaśniejsza od orzechowej boazerii, szare jak opiłki żelaza włosy krótko przycięte, nastroszone wąsy dokładnie tej samej szerokości co usta.

– Ostatni, ale tylko w kolejności przy stole, nieoceniony Harrison Maynard żyje we własnym świecie – powiedział Arthur.

– Harry pisze książki – dodała Tina Balleron.

– Kiedyś pisałem – sprostował Maynard, zwracając się do Jeremy'ego. – Nic niewarte śmieci. Pod pseudonimem. Świetna zabawa. Wydobywałem rudę estrogenu.

– Harrison zajmował się tym, co nazywano niegdyś powieścią romantyczną – wtrąciła Tina

Balleron. – Niezliczone rzesze kobiet znają go jako Amandę Fontaine, Chatelaine DuMont, Barbarę Kingsman albo kogoś o równie dźwięcznym nazwisku. To mistrz zgniecionego biustu. Bóg jeden wie, jak prowadziłeś swoje badania, Harry.

– Patrzyłem i słuchałem – odparł Maynard.

– To ty tak twierdzisz – powiedziała sędzia. – Moim zdaniem skakałeś po prostu z kwiatka na kwiatek.

Harrison Maynard się uśmiechnął.

– Każdy robi to, co musi.

Spojrzał w głąb sali. Prawe drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Laurent, pchając przed sobą wózek na kółkach. Człowieczek o małej twarzy przebrał się w krochmaloną, białą kelnerską kurtkę. Na wózku stało sześć srebrnych kopuł. Za Laurentem szła kobieta jego wzrostu i wieku, ubrana w czarną sukienkę; niosła dużą butlę wina. Ciemne włosy miała upięte z tyłu głowy w kok, skórę barwy bitej śmietany, a oczy jak pieczone migdały, lekko skośne – ślad ledwie widocznej fałdy mongolskiej.

Euroazjatyckie pochodzenie, pomyślał Jeremy. Kiedy kobieta podeszła bliżej, ich spojrzenia spotkały się nad stołem. Uśmiechnęła się nieśmiało i zatrzymała obok Edgara Marquisa.

– Nareszcie, jedzenie – powiedział wiekowy dyplomata. – Umieram z głodu, Jeremy spojrzał na pokurczoną sylwetkę Marquisa; ile z tych słów było żartem? Laurent zatrzymał wózek po prawej stronie Tiny Balleron.

– Pachnie wybornie – powiedział Marquis. – Niestety, damy mają pierwszeństwo.

– Damy zasługują na pierwszeństwo – odparła sędzia.

Marquis jęknął.

– To właśnie w takich chwilach, moja droga, człowiek zaczyna rozumieć tych nieszczęśników, którzy decydują się na operację zmiany płci.

– Wina, proszę pana? – spytała azjatycka służąca.

Marquis spojrzał na nią.

– Genevieve, napełnij mój puchar po brzegi.

Rozdział 15

Genevieve nalewała białego wina, a Laurent podał pierwsze danie: mus rybny z *quenelles* w pieprzonym sosie o delikatnym posmaku cytrusów. Edgar Marquis spróbował, oblizał wargi.

– Szczupak – stwierdził.

– Szczupak i turbot – powiedział Arthur Chess.

– Małże i ikra homara w sosie – dodał Norbert Levy.

– Dość spekulacji – ucięła Tina Balleron i wcisnęła guzik dzwonka u swoich stóp. Chwilę później pojawił się Laurent.

– Madame?

– Skład, proszę pana?

– Sielawa, turbot i gar.

– Gar – powiedział Edgar Marquis – jest zasadniczo szczupakiem.

– Ja – zawtórował mu Harrison Maynard – jestem zasadniczo homo sapiens.

– Sos, Laurent? – spytała Tina Balleron.

– Krab królewski, raki, trawa cytrynowa, kropla anyżówki, mielony pieprz, odrobina skórki grejpfruta.

– Przepyszne. Dziękuję.

Kiedy Laurent wyszedł, sędzia uniosła kieliszek z winem, a pozostali zrobili to samo.

Nikt nie wygłosił toastu; zapadła cisza, a potem kryształowe brzegi dotknęły ust.

Edgar Marquis wypił najszybciej; Genevieve pojawiła się jak za sprawą czarów, by ponownie napełnić jego kieliszek. Wino było białe i cierpkie, z delikatnym cytrynowym posmakiem, współgrającym z delikatnym musem.

Quenelles były tak lekkie, że rozplływały się Jeremy'emu w ustach. Zorientował się, że je za szybko, i postarał się zwolnić.

Gryź małe kawałki. Żuj dyskretnie, ale energicznie. Młody dżentelmen nie mlaszcze.

Młody dżentelmen nie mówi nikomu, kiedy starsi koledzy nocą wpełzają do jego łóżka...

Jeremy opróżnił kieliszek. Niemal natychmiast zakręciło mu się w głowie. Nie jadł nic od śniadania, a mus rybny był lekki jak naleśniki. Wino uderzyło mu do głowy.

Laurent pojawił się ponownie z koszem placków chlebowych i kromkami bardziej miękkiego pieczywa. Jeremy wybrał chleb z oliwką i coś nadziewanego sezamem. Kilka ziaren wykruszyło mu się na krawat. Strzepnął je, zawstydzony.

Niepotrzebnie. Nikt nic nie zauważył. Nikt nie zwracał na niego uwagi, koniec, kropka.

Wszyscy skupili się na jedzeniu.

Widział już coś takiego u starych ludzi. Wiedzieli, że zostało im niewiele czasu i że powinni się rozkoszować każdą przyjemnością?

Jeremy znieruchomiał z widelcem pełnym ryby w maśle, obserwując swoich towarzyszy.

Słuchał brzęku sztućców i porcelany, ledwie słyszalnej samby pieczołowitego przeżuwania.

Takie skupienie. Jakby to był ich ostatni posiłek.

Czy ja też taki będę, pomyślał, kiedy dopadnie mnie upływ czasu?

Arthur Chess nazwał grupę posiwiąłą gromadką, ale rozglądając się wokół, Jeremy widział czujność, zadowolenie z siebie i samodzielność. Czy to byli ludzie, którzy wspominali dobrze przeżyte lata?

Błogosławieństwo... Potem pomyślał o Jocelyn, której niedany był luksus stopniowego gaśnięcia.

Tyrene Mazursky.

Spróbował powstrzymać nagły przypływ obrazów łąpczym łykiem chłodnego wina. Kiedy tylko je wypił, kieliszek znów się napełnił. Siedząca obok Tina Balleron popatrzyła na niego: czy zachował się niedyskretnie? Zdradził swoje uczucia?

Nie, wróciła do jedzenia. Pewnie mu się wydawało.

Wypił za dużo, wziął jeszcze kawałek chleba, wyczyścił talerz. Rozmowa powróciła – słowa unosiły się wokół niego. Starzy ludzie rozmawiali płynnie i spokojnie. Żadnych sporów, żadnych ważkich tematów, tylko niezobowiązujące opinie na temat świeżych nagłówków gazet. Potem Norbert Levy powiedział coś o projekcie zapory elektrowni, skrytykowanym za kolejne niedopatrzania, przytoczył kilka faktów i liczb, przypomniał o katastrofie nad jeziorem Asuan w Egipcie, rzucił refleksję o daremności prób pokonania sił natury.

Tina Balleron przytoczyła książkę, którą czytała, o nieuniknionych wylewach Missisipi.

Harrison Maynard oznajmił, że wojskowy Korpus Inżynieryjny to frankensteiny w mundurach i zacytował słowa Jonathana Swifta, że gdyby ktoś nauczył się sadzić dwa kłosa kukurydzy tam, gdzie dotąd rósł jeden, przysłużyłby się ludzkości bardziej niż „cały ród polityków”.

– Swift był jednym z największych myślicieli wszech czasów – powiedział Arthur Chess. – Jego twierdzenie o nieśmiertelności jest niemal biblijne w swojej przenikliwości.

Patolog opowiedział, jak to odwiedził grób Swifta w Dublinie, a potem jak przyjemnie jest spędzać czas w czytelniach bibliotek Trinity College.

Edgar Marquis stwierdził, że Irlandczycy wreszcie się opamiętali: dali sobie spokój z ziemniakami i zainteresowali się technologią.

– W przeciwieństwie do... do innych narodów, znają się też na gotowaniu. Norbert Levy opowiedział o bajecznej uczcie w rodzinnej restauracji w dublińskim porcie. Doskonale wysmażona sola z grilla – Irlandczycy nigdy nie nazwaliby jej solą z Dover, bo nienawidzą Anglików. Mąż był szefem kuchni, żona ekspertem od wina.

– A co robiły dzieci? – spytał Harrison Maynard. – Piekły?

– Dzieci to lekarze i prawnicy – odparł Levy. – Szkoda.

Tina Balleron odwróciła się do Jeremy'ego.

– Jak panu smakuje ryba, mój drogi?

- Jest wspaniała.
- Bardzo się cieszę.

Na drugie danie była ciepła sałatka z gołąbich piersi i borowików na zieleninie, z dodatkiem dressingu. Nalano innego białego wina – ciemniejszego, wytrawnego, pachnącego lasem dębowym. Jeremy wypił je z radością, martwiąc się trochę w upojeniu, że zemdleje.

Ale pozostał czujny: jego organizm lepiej już przyswajał alkohol. Piękna sala była wyraźniejsza, jaśniejsza, jego kubki smakowe z niecierpliwością oczekiwały na każdy następny kęs, a głosy towarzyszy brzmiało kojąco jak ciepłe okłady.

Arthur opowiadał o australijskich motylach.

Edgar Marquis stwierdził, że Australia była Stanami w latach pięćdziesiątych, a Nowa Zelandia Anglią w czterdziestych.

- Trzy miliony ludzi, sześćdziesiąt milionów owiec. I nie wpuszczają tam gadów.

Harrison Maynard opisał miejsce na wybrzeżu Nowej Zelandii, z którego można było patrzeć na Morze Tasmana i południowy Pacyfik jednocześnie.

– To skrajny kontrast. Tasman bezustannie faluje, Pacyfik jest jak szkło. Znalazłem urwisko, na którym gnieździły się głuptaki. Żłotogłowe stworzenia, podobne do mew. Są monogamiczne. Jeśli jedno z nich zdechnie, drugie zostaje samotnikiem. Całe urwisko cuchnęło frustracją.

- Marne to przystosowanie – stwierdził Jeremy. Pięć par oczu obróciło się ku niemu.

– Z punktu widzenia reprodukcji – ciągnął. – Czy chodzi tam o kwestię kontroli liczebności populacji?

- Dobre pytanie – odparł Maynard. – Założyłem po prostu, że gnojki mają swoją moralność.

- To naprawdę dobre pytanie – zawtórował mu Arthur.

- Należałoby to zbadać – dodała Tina Balleron.

Jako trzecie danie podano bladuróżowy sorbet o smaku, którego Jeremy nie umiał określić, oraz wodę z lodem.

– Czerwona pomarańcza i pomelo – poinformował go Norbert Levy, jakby wyczuwając jego ciekawość. – To drugie to kuzyn grejpfurta. Widać dzisiaj jest dzień cytrusów.

– Większy niż grejpfрут, prawda? – spytał Edgar Marquis. – Sprzedają je chyba w Meksyku na wiejskich targach.

– Wielkie, niekształtne owoce – przytaknął Levy. Zwrócił się do Jeremy'ego: – Słodsze niż grejpfurty, ale nie nadają się do produkcji przemysłowej, bo mają za niski stosunek miąższu do skórki.

- I tak praktyka przebija cnotę – orzekł Harrison Maynard.

- Po raz kolejny – przytaknęła Tina Balleron.

- To prawda. – Arthur dotknął swojej muchy.

Wszyscy wpatrzyli się w swoje talerze.

Milczenie.

Jakby coś wyszło nagle z sali całą energię. Jeremy popatrzył na Arthura, szukając wyjaśnienia. Patolog odpowiedział przeciągłym, pytającym spojrzeniem. Smutnym spojrzeniem.

– Cóż, w takim razie należy się skoncentrować na cencie – stwierdził Jeremy.

Milczenie trwało. Miażdżące milczenie.

Arthur spuścił głowę i wetknął łyżeczkę w swój sorbet.

Rozdział 16

Jeremy nie był pewien, kiedy to się stało – przypuszczał, że po tym, jak podano mięsa.

Trzy rodzaje, ułożone jak klejnoty wśród duszonych warzyw, fasolki szparagowej i smażonego szpinaku. Do tego aksamitny burgund.

Jeremy'emu, który dawniej potrafił dużo zjeść, ostatnio jednak nie czerpał z tego przyjemności, nałożono na talerz medalion wołowiny, plastry gęsich piersi *ifoie gras* zawijane w polędwicę cielecą. Laurent nakładał mięsa, a Genevieve zieleninę.

Wszystko to zmieściło się bez problemu na talerzu Jeremy'ego. Dopiero teraz zauważył, że zastawa była większa niż normalna – talerze rozmiarami przypominały raczej półmiski.

Spod sufitu dobiegała cicha muzyka. Skrzypce. Czy grały od samego początku? Jeremy rozejrzał się za głośnikami i wypatrzył ich osiem, rozmieszczonych wokół sali, niemal niewidocznych wśród gipsowych ozdób.

Pomieszczenie było wykończzone bardzo starannie. I za duże pieniądze.

Starzy ludzie wciąż jedli z ochotą.

– Genevieve – powiedział Edgar Marquis – niech pani będzie taka dobra i przyniesie mi gęsie udko.

Kobieta wyszła i wróciła po chwili z wielkim kawałem mięsa. Marquis uniósł udo w obu dłoniach, wziął kęs z góry i zaczął stopniowo ogryzać udo wzdłuż. Jeremy starał się nie gapić – najwyraźniej nikt nie uznał takiego zachowania za niezwykle. Marquis jadł powoli, ale bez przerwy.

Jeremy przypomniał sobie coś: żart, który rzucił na jego temat jakiś daleki krewny podczas rodzinnego obiadu. Dawno temu, kiedy Jeremy należał jeszcze do jakiejś rodziny. W pewnym stopniu. Ile miał wtedy lat? Był małym szkrabem.

„Gdzie ty to upychasz, dziecko? Masz puste nogi?”

Kto to powiedział? Wuj? Kuzyn? Czy Jeremy naprawdę był żarłocznym dzieckiem? Co się stało z jego apetytem? Co się stało z jego życiem?

Siedząca obok Tina Balleron rozłożyła serwetkę i otarła usta. Arthur Chess po drugiej stronie stołu żuł jak koń.

– Pycha – powiedział Norbert Levy.

Jeremy spojrział na talerz. Wbił widelec w mięso.

To nie Arthur poruszył ten temat, tego był prawie pewny. Prawie, bo czerwone wino i szok kaloryczny go oszołomiły.

Kto to był... Maynard? A może Levy.

Ktoś poruszył temat przestępczej przemocy.

Aha, pomyślał Jeremy. Oto sedno sprawy, po to mnie tu sprowadzili.

Ale nikt o nic go nie pytał. Wręcz przeciwnie. Wszyscy rozmawiali ze sobą, jakby jego wśród nich nie było.

Równie dobrze mogli mnie posadzić przy stoliku dla dzieci.

Postanowił wycofać się w głąb własnych myśli. Ale głosy starych ludzi trudno było zignorować.

– Wszystkie mądrości objawione – mówił Harrison Maynard – to bzdury napuszonych bubków, którzy powtarzali je tak często, że sami w nie uwierzyli. Bieda przyczyną przestępczości. Ha. – Odłożył nóż. – Nie będę was zanudzał kolejnymi smutnymi wspomnieniami z mojego nieszczęśliwego, skażonego rasizmem, brutalnie segregowanego dzieciństwa. Dość powiedzieć, że nieważne, gdzie się dorasta, szybko staje się oczywiste, kim są źli ludzie, a to zjawisko niezależne od koloru skóry. Źli ludzie są jak pryszcze na ciele supermodelki. Tina Balleron ułożyła palce w pistolet i wycelowała w niewiadomo kogo.

– Słucham, moja droga? – spytał Maynard.

– Źli ludzie i dobrzy ludzie, Harry. To podejście bardzo macho, raczej... Louis L'Amour.

– Wspaniały pisarz – odparł Maynard. – Wspaniały człowiek. Nie zgadzasz się z tą koncepcją?

– Byłam sędzią, mój drogi. Źli ludzie to mój fach. Nie jestem przekonana co do tych rzekomo dobrych.

– Spotkałem wiele zła w korytarzach służby zagranicznej – wtrącił Edgar Marquis. – Kłamstwo dla rozrywki i zysku... Czasami można było odnieść wrażenie, że jedynym produktem departamentu jest korupcja. Ta profesja przyciąga łajdaków.

– Ach – zauważył Maynard. – O tym nie uczą w szkole dyplomatów.

– Nie uczą – zgodził się Marquis. Ze smutkiem w głosie, jakby naprawdę go to martwiło.

– Nie martw się, Edgarze, to samo dotyczy świata akademickiego – powiedział Norbert Levy. – Radziłem sobie z tym tak, że ignorowałem głupców i skupiałem się na swojej pracy. Przypuszczam, że w twoim zawodzie to nieosiągalny przywilej, Eddie. Konieczność współpracy i tak dalej. Jak ty to znosiłeś?

– Przez wiele lat bardzo źle, mój drogi. Moje dni w Waszyngtonie to była męka. W końcu odkryłem, że klucz to unikać tego, co uchodzi za cywilizację. Zaproponowano mi posadę w Anglii, w sądzie Saint James: asystenta nierządnic, którą mianowano ambasadorem. Nie mogłem sobie wyobrazić czegoś bardziej odrażającego niż ten amalgamat dwulicowości i szlachectwa. Odrzuciłem propozycję, zaprzepaściłem swoją przyszłość, zacząłem szukać odległych placówek, na których mogłem być przydatny, nie ulegając zarazem kulturze chciwości.

– Mikronezja – wyjaśnił Jeremy'emu Arthur. Był to pierwszy od jakiegoś czasu znak, że ktoś w ogóle zauważa jego obecność.

– Mniejsze, mniej popularne wysepki Mikronezji i Indonezji – sprecyzował Marquis. – Miejsca, w których antybiotyki i zdrowy rozsądek mogły zmienić czyjeś życie.

– Ależ Eddie – powiedziała sędzia Balleron – wynika z tego, że w duszy jesteś

społecznikiem!

Starzec westchnął.

– Był kiedyś taki czas, w którym dobre uczynki były doceniane.

W sali znów zapadła cisza i znów Jeremy pomyślał, że wszyscy wyglądają na zasmuconych.

Kryje się za tym jakaś historia, której nie znam. Coś, co ich łączy, a mi tego nie wyjaśnia, bo jestem tu tylko przelotnie.

Po co tu jestem?

Kolejna, daremna próba pochwycenia spojrzenia Arthura. Patolog spuścił wzrok na talerz, na którym kroił cielęcinę.

– Myślę, że dobrze to ująłeś, Harry – powiedział Norbert Levy. – Zawsze będą wśród nas źli ludzie i nie jest ich tak znów trudno zauważyć. Wręcz przeciwnie, są banalni.

– Banalni i okrutni – dodał Harrison Maynard. – Egoizm, bezdusność, niezdolność do zapanowania nad własnymi popędami.

– Dokładnie to wykazują dane, panie Maynard. – Jeremy usłyszał własny głos. – Przestępcy używający nagminnie przemocy są bezdusni i impulsywni.

Spoczęło na nim spojrzenie pięciu par oczu.

– Doktorze, mówimy o konkretnych danych psychologicznych czy o przypuszczeniach? – spytała Tina Balleron.

– O danych.

– Danych pojedynczych przypadków czy badaniach grupowych?

– Jedno i drugie.

– To wyniki ostateczne czy wstępne? – Ciche mruczenie kobiety nie umniejszało w żaden sposób siły jej pytań. Sędziowie zaczynają jako prawnicy. Jeremy wyobraził sobie Balleron biorącą w krzyżowy ogień pytań silnych mężczyzn i zamieniającą ich w skamłace męty.

– Wstępne, ale bardzo sugestywne. – Jeremy omówił wyniki bardziej szczegółowo. Nikt mu nie przerwał. Ciągnął, rozwijając przykłady, cytując źródła, coraz dokładniej.

Teraz ich zainteresował.

To był już prawie wykład. Jeremy zdał sobie sprawę, że się rozgrzewa, że ma problemy z oddzielaniem chłodnych faktów od obrazów, które tańczyły mu w głowie.

Sytuacja z rodzaju Humpty-Dumpty.

Nauka była żalosnym niedomówieniem.

Poczuł, że w gardle wzbiera mu łkanie. Przerwał.

– To wszystko – zakończył.

– Fascynujące – oznajmił Arthur Chess. – Absolutnie fascynujące.

Harrison Maynard pokiwał głową. Pozostali też.

Nawet Tina Balleron wyglądała na zgaszoną.

– Chyba czegoś się nauczyłam. Dziękuję panu za to, doktorze Jeremy Carrier.

Jeremy poczuł się niezręcznie. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Czy kogoś urażę – odezwał się Edgar Marquis – jeśli zamówię sobie jeszcze gęsie skrzydełko?

– Dałbyś już spokój, Eddie – zachnął się Harrison Maynard. – Każę podać szampana.

Tym razem ogłoszono toast.

Czyste, wytrawne wino Moet & Chandon pieniało się w zdobionych kielichach, chłód przenikał szkło, pokrywał szronem srebro.

Wino musowało w tanim kieliszku Jeremy'ego. Podniósł go do góry, kiedy Arthur wygłosił toast.

– Za naszego elokwentnego gościa. Pozostali powtórzyli te słowa.

Pięć uśmiechów. Prawdziwych uśmiechów, czystej życzliwości. Wieczór upłynął bez zgrzytów. Jeremy dobrze się spisał. Był o tym przekonany.

Napił się szampana i pomyślał, że nigdy nie smakował czegoś tak cudownego. Nigdy wcześniej nie czuł się tak akceptowany.

Rozdział 17

Jeszcze trochę niezobowiązujących pogaduszek, tort i koniak – i był wykończony.

– Przyjaciele – powiedział Arthur Chess – powinniśmy się zbierać. Wstał od stołu. Jeremy uniósł się i zachwiał.

Tina Balleron dotknęła jego łokcia.

– Wszystko w porządku – wymamrotał.

– Oczywiście – odparła, ale trzymała palce na jego rękawie, dopóki się nie wyprostował.

Zbliżał się ranek, ale pozostali wciąż siedzieli na swoich miejscach. Jeremy okrążył stół, ściskając dłonie i dziękując. Arthur pociągnął go lekko ku drzwiom. Jakby Jeremy za bardzo przedłużał uprzejmości.

Genevieve czekała przy wyjściu z ich płaszczami. Przechodząc pod zwieńczeniem, Jeremy rzucił jeszcze okiem na wycięte w drewnie potrójne C.

Czarny lincoln stał przy krawężniku z włączonym silnikiem. Genevieve wciąż była obok nich, trzymała się zwłaszcza Jeremy'ego.

Znów poczuł się jak dziecko. Rozpieszczane. Nie było to nieprzyjemne uczucie. Pozwolił Genevieve otworzyć sobie drzwi. Zaczekała, aż zapiął pasy, pomachała mu, zamknęła drzwi i zniknęła w ciemności.

Deszcz ustał, pojawiła się gęsta mgła cuchnąca starą wełną. Jeremy nie był w stanie prowadzić, zastanawiał się, jak ma się Arthur. Patolog siedział wyprostowany, z obiema dłońmi na kierownicy. Wyglądał dobrze.

Lincoln płynnie ruszył przed siebie.

– Arthurze, co oznacza CCC?

Arthur wahał się wystarczająco długo, by zrobić odpowiednie wrażenie.

– To taki mały żart. Wygodnie ci?

– Bardzo.

– To dobrze.

– Dobra kuchnia, prawda?

– Doskonała.

Arthur się uśmiechnął.

Jechali w milczeniu, a Jeremy na przemian budził się i zasypiał. Oprzytomniał trochę, kiedy uchylił okno, a gdy zbliżyli się do szpitala, w głowie mu się przejaśniło, oddychał wolno i swobodnie.

Arthur wjechał na parking lekarzy i przemknął niemal pustą alejką do samochodu Jeremy'ego.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś – powiedział.
- Było wspaniale, dziękuję. Ma pan interesujących przyjaciół.

Arthur milczał.

- Sprawiają wrażenie – ciągnął Jeremy – jakby żyli pełnią życia.

Cisza i:

- Żyli.
- Często się spotykacie?

Znów cisza, dłuższa.

- Nieregularnie.

Arthur dotknął muchy, poprawił guzik i odblokował drzwi Jeremy'ego. Unikając kontaktu wzrokowego, wyciągnął kieszonkowy zegarek i sprawdził godzinę.

Szorstkie pożegnanie.

- Interesujące grono osób – rzucił Jeremy.

Arthur zamknął zegarek i popatrzył przed siebie.

Co się stało z jego przyjacielskością? Jeremy'ego irytowała poufałość starego patologa, ale teraz – i to doprowadzało go do szału – brakowało mu jej.

Przyszło mu do głowy, że może zbyt dobrze ocenił swoje wystąpienie. Czy jego wykład był za długi? Nudny? W jakiś sposób nietaktowny?

Coś spieprzyłem?

Co mnie to obchodzi?

Nie potrafił wzbudzić w sobie obojętności: miał nadzieję, że nie wyszedł na prostaka. Lincoln mrucał na jałowym biegu, a Arthur wciąż patrzył przed siebie.

Jeremy otworzył drzwi, dał mu jeszcze jedną szansę.

W brzuchu czuł przyjemne ciepło współuczestniczenia w czymś życiu. Nagle – niewytłumaczalnie – zapragnął być lubiany.

Arthur wciąż patrzył na wprost.

- Cóż – powiedział Jeremy.
- Dobranoc.
- Jeszcze raz dziękuję.
- Nie ma za co – odparł Arthur. I nic więcej.

Rozdział 18

Kiedy dojechał do domu, zapomniał już o nagłym dziwnym chłodzie Arthura. W życiu zdarzają się gorsze rzeczy niż towarzyska wpadka. Gdy wpełzał do łóżka, głowę miał już pustą. Zasnął twardo.

Zimne światło poranka – i kac – położyły definitywny kres introspekcji. Jeremy łyknął aspirynę, zaryzykował przebieżkę na świeżym, lodowatym powietrzu, potem wziął parzący prysznic i zadzwonił do Angeli do domu, ale nikt nie odebrał. Była sobota, ale pacjenci na niego liczyli, i nagle nabrał ochoty do pracy. O dziewiątej siedział już za swoim biurkiem, starając się nie zwracać uwagi na piasek pod powiekami i łupanie w skroniach.

Żaloszny początek jego książki patrzył na niego z wyrzutem. Jeremy postanowił zrobić obchód wcześniej niż zwykle, zajrzeć do wszystkich pacjentów przed obiadem, spędzić z każdym z nich więcej czasu.

Ubrał się jak zwykle, ale miał wrażenie, że jest wymięty i zaniedbany. Zerwał biały fartuch z haczyka na drzwiach i zarzucił go na siebie. Rzadko go nosił, bo chciał odróżnić się od lekarzy.

Jestem doktorem, który nie robi ci krzywdy.

Dzięki temu łatwiej mu szło z dziećmi. Chociaż ostatnio rzadko widywał dzieci. Za dużo cierpienia. Niektórych rzeczy po prostu nie mógł znieść.

Dorosłych pacjentów nie obchodzi, jak się człowiek ubiera, tak długo, jak długo unika ekstremalnych fryzur i strojów. Niektórym wizerunek tworzony przez szpitalny fartuch wręcz dodaje otuchy.

Kliniczne rytuały, kapłańskie szaty. Oto idzie ekspert.

Gdyby tylko wiedzieli.

Kilka drobnych kryzysów zapewniło mu zajęcie do południa; rozciągnął dzień jeszcze bardziej, wydłużając terapię z pacjentami, rozmawiając z pielęgniarkami, uważnie wypisując karty, nietypowo jak na siebie czytelnie.

Angela przysłała mu wiadomość na pager.

– Przepraszam za dzisiaj, dostałam wezwanie.

Większy kryzys pojawił się tuż przed trzecią: mężczyzna z bronią pod kliniką ginekologiczno-położniczą. Lekarz dyżurny nalegał, żeby przyszedł właśnie doktor Carrier.

Zagrożeniem okazał się mąż pacjentki, której przeprowadzono histerektomię. Pielęgniarka zauważyła charakterystyczne wybrzuszenie pod jego swetrem. Teraz siedział sam, wzburzony, w opustoszałej poczekalni.

Wezwano ochronę, poinformowała Jeremy'ego pielęgniarka, kierowniczką zmiany. Mężczyzna był strasznym nerwusem, zawsze ją niepokoił. Szpitalny regulamin stanowił, że w takich przypadkach należy ściągnąć kogoś z oddziału zdrowia psychicznego, a na oddziale stwierdzono, że wypada kolej Jeremy'ego.

Cała sprawa okazała się raczej smutna niż groźna. Wbrew radom wszystkich wokół Jeremy wszedł do poczekalni, zanim przybyła ochrona. Nieogolony mężczyzna miał przekrwione oczy i wyglądał depresyjnie. Jeremy usiadł obok niego, zaczął rozmawiać i słuchać, a kiedy tamten zapytał: Dlaczego wszyscy są tacy nerwowi? – wskazał wybrzuszenie jego swetra.

Mężczyzna roześmiał się, a potem uniósł sweter i koszulę. Pod spodem miał worek kolostomijny.

– Mogą mnie przeszukać – powiedział. – Na własne, kurwa, ryzyko. Zaśmiał się jeszcze głośniej, a Jeremy mu zawtórował. Porozmawiali jeszcze trochę i biedak otworzył się na tematy, o których nie mówił dotąd nikomu. Wściekał się na swoją dolegliwość, na chorobę żony, na perspektywę bezdzietności; miał sporo powodów do gniewu. Po godzinie wydawał się już spokojny, ale Jeremy nie byłby zaskoczony, gdyby następnym razem mężczyzna pojawił się z bronią.

Kiedy obaj wyszli z poczekalni, spotkali trzech członków beużytecznej ochrony, zatrudnianej przez szpital. Ochroniarze starali się robić wrażenie pewnych siebie.

- Wszystko pod kontrolą – powiedział Jeremy. – Możecie, panowie, iść.
- Zaraz, doktorze... – zaczął najbardziej rosy ochroniarz.
- Możecie iść.

Czas spędzony z nieszczęśnikiem rozweselił Jeremy'ego. Cudze problemy. Strzelił obcasami na baczność jak prawdziwy wierny członek armii zdrowia psychicznego. Każdy dobry żołnierz wie, co jest kluczem do skutecznej walki: śmierć jednostki w służbie większego dobra.

Czując się godnie i bezosobowo, wrócił do swojego gabinetu.

Angela dzwoniła pół godziny wcześniej. Zadzwoił na jej pager, przełączyło go do oddziału chorób klatki piersiowej, gdzie dyżurny powiedział mu, że doktor Rios została właśnie wezwana do nagłej operacji płuca.

To go zaskoczyło. Angela była specjalizantką, a nie chirurgiem. Bez wątplenia musiało być jakieś wyjaśnienie.

Zerknął na stos papierów, leżących jak wyrzut sumienia, wyszedł odebrać pocztę. Tego dnia była spora; przejrzał zwyczajne okólniki, reklamy, ogłoszenia o sympozjach i konferencjach, w końcu na spodzie znalazł dużą, brązową kopertę międzyoddziałową.

Przysłano ją z oddziału otolaryngologii. Rubryka odbiorcy była pusta. Ostatni raz udzielał konsultacji w sprawie pacjenta otolaryngologii kilka miesięcy temu – chodziło o guz ucha wewnętrznego, który okazał się śmiertelny. Zdziwiło go, czego mogą chcieć teraz.

W kopercie były kserokopie stron niemających nic wspólnego z uszami, nosami ani

gardłami.

Artykuł sprzed siedemnastu lat, odbity z miesięcznika oftalmologicznego:

Usuwanie tkanki szklistej przy użyciu skalpela laserowego drugiej generacji CO2 Vari-Pulsar 4532.

Autorstwa zespołu chirurgów z Królewskiej Akademii Medycznej w Oslo. Międzynarodowego zespołu – były tam nazwiska norweskie, rosyjskie, angielskie. Żadne z nich nie mówiło nic Jeremu.

Najwyraźniej ktoś się pomylił: przysłano mu cudzą pocztę, często działo się tak z paczkami śmigającym przez rury pocztowe w zapleśniałych ścianach szpitala.

Zadzwoił na otolaryngologię. Odebrał sekretarz i powiedział, że nie ma pojęcia, o czym Jeremu mówi. Wobec tego wyrzucił kartki do kosza, a kopertę odłożył do przyszłego użytku. Odpowiedzialność fiskalna i tak dalej. Dział finansowy rozesłał kolejne polecenie oszczędzania.

Kiedy składał kopertę, coś zaszeleściło w środku, na dnie. Sięgnął tam i wyjął małą, białą kartkę z notesu, z napisaną na maszynie informacją:

Do Pana wiadomości.

Jeszcze raz przyjrzał się kopercie. Rubryka „odbiorca” była pusta. Rzadko widywał pacjentów z chorobami oczu, nie mógł sobie przypomnieć żadnego od wieków – ostatni raz, tego był prawie pewien, wezwano go pięć lat temu do ślepej kobiety, która postanowiła umrzeć. Po dwóch miesiącach psychoterapii Jeremu uznał, że jej pomógł, a nikt nie powiedział mu, że było inaczej. Nie, to nie mogło mieć związku z tamtą sprawą. Dlaczego miałyby go interesować lasery?

Wyjął artykuł z kosza, przeczytał. Natrafił na typowy medyczny bełkot, pełen liczb i tabel, prawie niezrozumiały. Przeskoczył do wniosków. Chodziło głównie o to, że siedemnaście lat temu laserowe skalpele uznano za dobry, czysty sposób operowania.

Techniki krojenia... Humpty-Dumpty... Nie, to głupie. Gdyby wczorajszy alkohol, zmieszanie i rozprawianie o przestępczości nie namąciły mu w głowie, nie wymyśliłby czegoś takiego.

Co za dziwna noc. Wspominana następnego dnia jawiła się jako komiczna i nierzeczywista. Jeremu uśmiechnął się smutno, przypominając sobie swój ostry atak potrzeby akceptacji. Dlaczego w ogóle go obchodziło, co pomyśli o nim gromada podstarzałych ekscentryków? Nawet gdyby zaprosili go jeszcze raz, nie poszedłby.

Jutro Komisja Nowotworowa. Był ciekaw, jak potraktuje go Arthur.

A potem przyszło mu do głowy, że to może właśnie Arthur przysłał ten artykuł.

Nie, patolog pisał odręcznie, wiecznym piórem, używał grubego, niebieskiego papieru. Był człowiekiem przywiązany do tradycji – lubił starocie, o czym świadczyły jego ubrania, stary samochód i staromodne słownictwo.

Wiadomość napisana na maszynie, na czymś tak prymitywnym jak kartka z notesu, zupełnie do niego nie pasowała.

Chyba że Arthur się maskował.

Niejednoznaczność była w jego typie. Jednego dnia wylewny, drugiego oziębły.

Gracz, wszystko jest zagadką. Czy w ten sposób rzucił Jeremy'emu wyzwanie?

Usuwanie tkanki szklistej? Laserowa chirurgia oka? Czy Arthur założył, że Jeremy będzie podzielał jego szerokie zainteresowania? Starzec przeskakiwał z motyli przez mięsaki do poważnych dyskusji na ważkie tematy, czemuż by więc nie lasery?

A jednak nie wybrał Jeremy'ego na chybił trafił. Wręcz przeciwnie, Arthur szukał czegoś, co by ich łączyło. Miejsca, w którym psychologia i patologia miałyby punkt wspólny. Zimnej, czarnej przestrzeni, w której zboczone umysły popełniały krwawe mordy.

Korzenie bardzo, bardzo złego zachowania.

Arthur miał wyraźny, jasny cel, a Jeremy nie mylił się co do tego, że zaproszenie na kolację miało z tym coś wspólnego.

Przypomniał sobie ciężką ciszę, która zaległa w sali, kiedy ktoś – chyba ten pisarz, Maynard – powiedział: „Praktyka przebija cnotę”. A sędzia Balleron dodała: „Po raz kolejny”.

A potem cisza. Nie rozmawiano o niczym poważnym – o owocach, grejpfrutach, nie, tych innych, pomelo. Słodkich, ale nienadających się do transportu.

A mimo to na kilka chwil nastrój w sali się zmienił.

Praktyka przebija cnotę.

Co za zgraja dziwaków, nie ma sensu marnować na nich więcej czasu.

Ani na to: laserowe skalpele... Zwykła pomyłka, ktoś coś popieprzył, a on za bardzo się tym przejął.

Nabijał sobie głowę bzdurami, bo chciał uniknąć konfrontacji ze swoją książką.

A jednak znów wrócił myślami do Arthura. Patolog potraktował go oziębło bez widocznego powodu, właściwie nawet niegrzecznie.

Zagadka. Ale niezbyt ważna.

Jeremy zrobił z kartki samolocik i posłał go do kosza. Za nim wrzucił artykuł. Kopertę też, do diabła z fiskalną odpowiedzialnością.

Z biurka patrzyły na niego dwa akapity szkicu rozdziału.

Pora przestać zajmować się głupotami. Czas stawić czoło swojej twórczej niemocy.

Rozdział 19

Była dziesiąta wieczorem. Leżeli w łóżku Angeli, nadzy w ciemnościach, nie śpiąc. Byli ze sobą prawie trzy godziny. Angela zadzwoniła, kiedy Jeremy wychodził już ze szpitala.

– Dobrze, że cię złapałam – powiedziała słabym głosem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Jasne – odparła. – Nie, kłamię. Spotkamy się? Może jakaś szybka kolacja, a potem wpadniemy do mnie?

– To mi się podoba. Masz ochotę na coś konkretnego?

– Może ta włoska restauracja na Hampshire, Sarno? To blisko, a ja muszę rozprostować nogi.

– Niech będzie Sarno. Ja stawiam.

– Nie, to moja kolej.

– Nic z tego. Jesteś głodującą stażystką, zasługujesz na darmowy posiłek.

Zaśmiała się. To był najprzyjemniejszy dźwięk, jaki słyszał przez cały dzień.

Spotkali się pod wejściem do szpitala i poszli, ramię w ramię, do restauracji. Angela miała na sobie długi, granatowy płaszcz. Jej ciemne włosy opadały na kołnierz ze sztucznego futra. Wyglądała jak bezdomna wyczerpana dziewczyna, szła wpatrzona we własne stopy, jakby musiała uważać, żeby się nie potknąć. Padał lekki deszcz, wilgoć spływała z ich ubrań niemal natychmiast.

Jeremy objął Angelę, a ona oparła głowę na jego ramieniu. Pocałował jej włosy. Jeśli nakładała jakiś makijaż, dawno już się starł. Zapach szamponu, którym rano myła głowę, mieszał się z zapachem środków odkażających sali operacyjnej.

Po chwili wsparła się na nim całym ciałem. Była ciężka, jak na tak szczupłą kobietę. Szli wolno i niezgrabnie przez trzy ciemne przecznice, dzielące ich od restauracji.

W końcu zobaczyli przed sobą neon Sarno – trójkolorowy włoski but.

– Jeremy – powiedziała Angela – jestem taka zmęczona.

Wmusiła w siebie jedną trzecią talerza *pasta carbonara* i wypila pół szklanki mrożonej herbaty. Jeremy'emu wrócił jego zwykły, czyli marny apetyt: obżarstwo z poprzedniego dnia wydawało mu się odległe i nierzeczywiste. Dziobał swoje ravioli, ledwie wypił kieliszek cierpkiego chianti.

Przekomarzali się chwilę nad rachunkiem i Angela w końcu pozwoliła mu zapłacić. Zapiszczał jej pager, poszła oddzwonić. Wróciła do stolika uśmiechnięta.

– To był Marty Bluestone, kolega specjalizant. Jutro ma rocznicę ślubu i chce wyjść gdzieś z żoną, więc zaproponował, że zostanie dzisiaj za mnie do końca zmiany. Mam wolne do jutra.

Pod granatowym płaszczem miała zwykły strój stażysty: sweter, dżinsy i tenisówki. Bez kitla i stetoskopu wyglądała jak studentka.

– Przez telefon mówiłaś, że nie wszystko jest w porządku.

– Tak tylko marudziłam. To było tuż po tym, jak zesłałam ze zmiany.

– Ciężki dzień, co?

– Nie pierwszy, nie ostatni. Kilka poważnych krwawień, inne paskudne niespodzianki.

Próbowała jeszcze coś zjeść, poddała się.

– Rano patrzyłam, jak doktor MacIntyre otwiera klatkę piersiową kobiety, która nigdy nie paliła. Prawe płuco miała czarne jak węgiel. Wyglądało jak popiół z grilla. Lewe niewiele lepiej. Nie musiałam tam być, ale to ja ją przyjąłam i polubiłam ją. Chciałam zobaczyć, co się tak naprawdę dzieje z moimi pacjentami. Jeremy, to naprawdę przeurocza, miła kobieta, kiedyś była zakonnicą, pomagała biednym. A teraz czeka ją tylko cierpienie i śmierć.

– Biedaczka.

– Przyszła, bo myślała, że ma zapalenie oskrzeli albo jest chronicznie przeziębiona. Kazałam jej dmuchnąć w balon i okazało się, że ma najniższą pojemność płuc, jaką w życiu widziałam, to cud, że w ogóle mogła ustać na nogach. Wysłałam ją od razu na prześwietlenie. Ja z nią zaczęłam i ja z nią skończyłam. Lekarz prowadzący miał jej podać diagnozę, ale zwalił to na mnie, był za bardzo zajęty. Usiadłam z nią, wyjaśniłam, że musimy ją operować i dlaczego. Nawet nie mrugnęła okiem, powiedziała tylko: Dziękuję, pani doktor, że tak miło mi to pani przekazała.

– Dobrze się spisałaś.

Oczy Angeli zaszyły łzami. Otarła je, sięgnęła po chianti Jeremy'ego.

– Mogę?

– Zamówię ci kieliszek.

– Nie, podzielmy się. – Napiła się, podała mu kieliszek. Objęli się, Jeremy też upił łyk. Widział coś takiego na jakimś weselu, etnicznym, może żydowskim. Pan młody i panna młoda spleceni ramionami. Wyrazista symbolika.

– Nie paliła – powiedział. – Bierna palaczka?

– Jej ojciec – odparła Angela – jest stary, ma cukrzycę; ona opiekuje się nim od dwudziestu lat, mieszkają w dwupokojowym mieszkaniu. Tatuś pali bez przerwy, dym krąży w powietrzu, a ona go wdycha. W zeszłym roku miał badaną klatkę piersiową. Poziom cukru trzysta dwadzieścia, krążenie słabe, ale płuca jak dzwon.

– Grzechy ojców – powiedział Jeremy bez namysłu.

– Chyba tak – odparła Angela cichym głosem. Była wyraźnie przygnębiona. Zaczęła się bawić widelcem.

Jeremy'emu przeszło przez myśl, że może wydał się jej zbyt nonszalancki.

– Zastużyłaś na mały relaks – stwierdził. – Z przyjemnością zaproponuję ci pomoc i pocieszenie.

– Brzmi nieźle. Chodźmy.

Do szpitala przyjechała autobusem, więc Jeremy odwiózł ją do domu. Przez całą drogę

trzymała dłoń na jego udzie. Raz, na czerwonym świetle, nachyliła się i pocałowała go namiętnie; usłyszał jej mruczenie.

Kiedy przyjechali do niej, wszystko odbyło się jak zwykle: posadziła go na nędznej kanapie, a sama poszła do łazienki przebrać się w zielony płaszcz kąpielowy. Przywiedła roślina zniknęła z parapetu. Mieszkanie nie wyglądało przez to wcale lepiej.

Drzwi do łazienki otworzyły się i Angela wyszła, owinięta płaszczem. Usiadła na kanapie, po czym położyła się z głową na kolanach Jeremy'ego. Dotknął jej brody, pogłaskał po włosach.

– Chodźmy do łóżka – szepnęła.

W jej sypialni było chłodno. Oboje przykryli się po szyje.

– Nie zrozumiem mnie źle — powiedziała Angela — ale nie chcę tego dzisiaj robić. Chcę tylko, żebyś mnie przytulił.

– Jak to „nie zrozumiem źle”?

– Jakbym cię zwodziła.

– Nie zwodzisz.

– W porządku.

Leżeli na plecach, trzymając się za ręce.

– Na pewno? – spytała. – Na pewno.

– To nie tak, że cię nie pragnę. Pragnę. Fizycznie. Po prostu... psychicznie to by nie wyszło. Dobrze?

– Nie musisz się tłumaczyć. – Jeremy pocałował ją w rękę. Przyłgnęła do niego, po czym zsunęła się tak, że oparła głowę na jego udach.

Jeremy usłyszał, jak westchnęła przeciągle, zadowolona. Z jakiegoś wariackiego powodu skojarzyło mu się to z mrużącym głosem Tiny Balleron.

Stara kobieta, ale wciąż... pociągająca. Nie, nie ona konkretnie. Kobiety. Dźwięki, które wydają. Cudowne rzeczy, które robiły. Jeremy wołał kobiety od mężczyzn. Zawsze tak było. Zwłaszcza pewien typ kobiet: bystre, inteligentne, raczej małomówne. Delikatne.

Jocelyn była zupełnie inna, a mimo to...

Nachylił się, ujął twarz Angeli w dłoń, pocałował ją w czoło.

Zmieniła pozycję, sięgnęła w dół.

– Masz ochotę.

– Tylko fizycznie.

– Bzdura.

– Obrażasz mnie, uważając za takiego prymitywa.

Zaśmiała się i znów przesunęła. Zaczęli się całować, zostali tak przez dłuższą chwilę. Bez pieszczot, bez pojedynków językami, tylko szepczący dotyk usta w usta.

– O rany – mruknęła Angela.

– Co takiego?

– Nic. Po prostu „o rany”. Jestem z tobą szczęśliwa.

– Miło mi.

– A ty jesteś ze mną szczęśliwy?

– Jasne.

– Naprawdę?

– O co ci chodzi?

– Jesteś szczęśliwy? Właściwie nie wiem, nie mówisz za wiele. Ogólnie mi się to podoba. Mój tata i brat są bardzo gadatliwi. To świetni goście, ale werbalnie przytłaczający. Zawsze, kiedy mój brat przyjeżdżał z uczelni do domu, byłam spychana do roli niemego świadka.

– A twoja matka?

– Po prostu wychodziła z pokoju. Jest lekarką, zawsze ma coś do roboty, jeśli chce.

– Dogodne wezwanie do pacjenta.

– Znasz się na tym, co? Powiedz, dlaczego nie chcesz o sobie mówić?

– Bo nie ma o czym.

– Pozwól, że ja to osądzę.

Jeremy nie odpowiedział. Okna Angeli zasłaniały tanie zasłony. Światło księżyca zamieniało je w wielkie płachty podobne do pergaminu. Gdzieś na ulicy grało radio. Za mocne basy. Trzeszczący rock.

– Zdenerwowałam cię – powiedziała Angela.

– Wcale nie.

– Nie chcę być wścibska, ale jesteśmy ze sobą... dość blisko.

– Masz rację. Co chcesz wiedzieć?

– Gdzie się urodziłeś, jaka jest twoja rodzina...

– Nie mam rodziny.

– W ogóle?

– Właściwie nie.

Opowiedział jej dlaczego. Zaczął od wypadku, od tego, jak go przetrucano z miejsca na miejsce. O uczuciach samotności – uczuciach, których nigdy dotąd nie ubierał w słowa, ani podczas ćwiczebnych psychoanaliz, ani podczas klinicznego nadzoru, ani w rozmowach z kobietami.

Nawet z Jocelyn. Uświadomił sobie, wstrząśnięty, jak mało ze sobą rozmawiali.

Skończył bez tchu, przekonany, że zrobił błąd, tak bardzo się otwierając. Sympatyczną, porządną dziewczynę z dobrej, kompletnej rodziny – klanu pewnych siebie profesjonalistów – na pewno zraziłby jego brak korzeni, smutek całej tej historii.

Ludzie mówią o dzieleniu się, ale nie można dzielić się przeszłością. Ani niczym innym, co ważne.

Rozmyślał o tym, co to oznacza dla jego wybranego zawodu, kiedy Angela usiadła prosto, objęła go i pogłaskała po włosach i po uszach.

– To już cała paskudna historia – powiedział.

Położyła jego dłoń na swojej piersi.

– Nie zrozum mnie źle, ale zmieniłam zdanie.

– Na temat czego?

– Na temat nierobienia tego.

– Pośpij sobie – powiedział Jeremy później, kiedy zaczęła ziewać.

– Przepraszam. Jestem wykończona. – Mocno go uściśnęła. – Chcesz zostać na noc?

– Lepiej nie.

– Ani razu jeszcze nie zostałeś. Pewnie masz jakiś powód.

– Źle sypiam, nie chcę ci przeszkadzać. Masz przed sobą wiele godzin pracy, do tego bierzesz zmianę tamtego faceta.

– Tak. Chyba masz rację.

– Praca – powiedzieli oboje chórem.

Odprowadziła go do drzwi.

– A jak tam kolacja z doktorem Chessem? – spytała.

– W sumie nijak.

– To było spotkanie lekarzy?

– Nie. Raczej ogólne. Uwierz mi, nic wartego uwagi.

Wyszedł od niej, wszedł do samochodu i włączył silnik. Kiedy zapalił światła, zapaliły się też światła innego samochodu, za nim, w połowie drogi do następnej przecznicy. Gdy ruszył, tamten pojechał za nim, w tym samym kierunku.

Co jest, do cholery?

Jeremy przyspieszył. Samochód za nim nie. Duża terenówka, sądząc po wysokości świateł. Kiedy skręcił w lewo, w Saint Francis Avenue, tamten pojechał prosto.

Tyle w temacie szpiegowskiej intrygi.

– Muszę się wziąć w garść – powiedział głośno Jeremy. Nieważne, co ci starzy durnie myślą o rzeczywistości, ja jej potrzebuję.

Rozdział 20

Arthur nie zjawił się na Komisji Nowotworowej. Przewodniczył jej inny patolog, profesor Barnard Singh, ubrany w turban i elegancki, szary garnitur. Był bystry i inteligentny, przeszedł od razu do rzeczy, wyświetlając slajdy mięsaka maziówkowego. Próbki wyglądały pięknie w fioletowej gencjanie.

– Gdzie jest doktor Chess? – zapytał Jeremy siedzącego obok radiologa, a ten w odpowiedzi wzruszył ramionami.

Jeremy przesiedział godzinne zebranie, niespokojny i wbrew sobie zaciekawiony.

Zadzwoił do gabinetu Arthura, kilka sygnałów telefonu i nic. Poszedł na górę, do swoich pacjentów, spróbował ponownie trzy godziny później. Nie wiedząc, co powie, gdyby Arthur odebrał.

Dzwonię spytać, co słyhać, stary drabie. Hm, phi. Co tam u koleżków z CCC?

Nikt nie odbierał.

Potem pomyślał: a jeśli coś mu się stało? Mimo pozornej krzepy Arthur miał swoje lata. A to, jak wlewał w siebie alkohol i opychał się cholesterolem...

A może dostał ataku serca i leży nieprzytomny na podłodze swojego laboratorium? Albo jeszcze gorzej.

Jeremy wyobraził sobie długą sylwetkę patologa rozciągniętą na posadzce, otoczoną słojami pływających w formalinie wnętrzności, fragmentów szkieletu, ciał w rozmaitych stadiach rozkładu. Jałowe narzędzia leżą przygotowane dla cieśli ludzkich tkanek... Laserowy skalpel? Drogi gadżet. Czy patolog miałby powód, żeby w coś takiego inwestować?

Podszedł szybko do głównego skrzydła, biegł schodami do piwnicy. Drzwi gabinetu Arthura znów były zamknięte i nikt nie odpowiadał na pukanie.

Kostnica mieściła się na drugim końcu korytarza, drzwi były otwarte. Zaspany pielęgniarz przy biurku wypełniał jakieś papiery. Nie, nie widział dzisiaj doktora Chessa, nie miał pojęcia, gdzie może być.

– Był tu wczoraj?

– Nie, chyba nie.

Jeremy wrócił na oddział patologii, za zakrętem po przeciwnej stronie korytarza.

Przy drzwiach, jak na warcie, siedziała puciołowata, czterdziestokilkuletnia kobieta.

– Dzień dobry – powiedziała. – Mogę panu w czymś pomóc, doktorze? – Szukam doktora Chessa.

– Nie ma go.

– Wszystko u niego w porządku?

– A czemu miałyby nie być w porządku?

– Tak się tylko zastanawiam. Nie było go na Komisji Nowotworowej, a nigdy dotąd żadnej nie opuścił.

– Cóż – odparła kobieta. – Jest zdrow jak ryba. Z tego, co wiem, wziął sobie wolne.

– Urlop?

– Raczej nie.

Uśmiechnęła się, widząc konsternację Jeremy'ego. – Nie zna go pan dobrze, prawda? – spytała. – Jak długo chodzi pan na KN?

– Rok.

– Aha. Cóż, doktor Chess nie należy już do kadry. A przynajmniej nie oficjalnie. – Ośłoniła dłonią usta. – Nie płacą mu za to – szepnęła.

– Jest wolontariuszem? – spytał Jeremy.

– Można tak powiedzieć, ale to nie jest najważniejsze słowo. – Zniżyła głos jeszcze bardziej, zmuszając Jeremy'ego, żeby się nachylił. – Nie przeprowadza już autopsji ani nie analizuje próbek. W ogóle niewiele robi, nie licząc Komisji. Ale jest tak błyskotliwym człowiekiem, a szpital tyle mu zawdzięcza, że pozwolono mu zatrzymać gabinet i robić wszelkie badania, na jakie ma ochotę. To nie jest tajemnica, ale też tego nie rozgłaszamy. Dla dobra doktora Chessa. Nie jest dla nas ciężarem, nic z tych rzeczy. Dzięki jego reputacji ten oddział wiele zyskuje. Właściwie, powiem panu, to właśnie on nadał temu oddziałowi j ego dzisiejszą rangę.

Podniosła głos. Z oburzeniem. W obronie.

– Jest błyskotliwy – zgodził się Jeremy, i to ją ułagodziło.

– Dlatego właśnie nie mówimy nikomu o jego... stanie zatrudnienia. Na tyle, na ile kogoś to może interesować, doktor Chess jest pełnoprawnym członkiem zespołu, mile tu widzianym zawsze, kiedy się zjawia. A to, że prowadzi KN, to z jego strony wielka uprzejmość. Wszyscy mówią, że ma encyklopedyczną pamięć. Oczywiście zawsze znajduje też czas dla młodszych patologów, jeśli chcą go o coś zapytać. A często to robią. Mają dla niego wielki szacunek, tak zresztą jak wszyscy. W swojej dziedzinie to autorytet.

– To prawda – powiedział Jeremy. – A więc... mówi pani, że po prostu postanowił nie przychodzić.

– Już wcześniej tak robił. Skąd te wszystkie pytania, doktorze... Carrier?

– Doktor Chess i ja jedliśmy razem kolację przedwczoraj wieczorem. Wyglądał... jakoś niewyraźnie.

Recepcjonistka zasłoniła dłonią usta.

– O, mój Boże. Mam nadzieję, że wszystko z nim dobrze.

– Pewnie przesadzam. Wydawał się po prostu trochę zmęczony. Był mniej energiczny niż zwykle. Dlatego, kiedy nie pojawił się dziś rano na KN, zacząłem się martwić.

– Kto prowadził rano Komisję?

– Doktor Singh.

– Zadzwońię do niego. – Wystukała numer. – Doktor Singh? Mówi Emily, przepraszam, że

przeszkadzam, ale jest u mnie doktor Carrier, pyta o doktora Chessa... Carrier. Z... – Spojrzała na identyfikator Jeremy'ego. – Z psychiatrii. Jadł przedwczoraj kolację z doktorem Chessem, doktor Chess wydał mu się trochę zmęczony. Chce się upewnić, czy z doktorem Chessem wszystko w porządku... Słucham? Dobrze, przekażę mu. Dziękuję, doktorze Singh. – Odłożyła słuchawkę na widełki. – Doktor Singh powiedział, że doktor Chess zadzwonił do niego wczoraj wieczorem i uprzedził, że zamierza wziąć wolne i że nie przyjdzie na Komisję. Doktor Singh twierdzi, że sądząc po głosie, nic mu nie dolegało.

– Świetnie, dobrze wiedzieć. Dziękuję. Jeremy odwrócił się i zamierzał odejść.

– To takie miłe – zatrzymała go Emily. – Jak on to robi...

– Co takiego?

– Jak doktor Chess sprawia, że ludzie się o niego martwią? To taki dobry człowiek.

Zadzwonił jej telefon. Podniosła słuchawkę i zaczęła rozmawiać z jakąś kobietą o imieniu Janine, która właśnie urodziła dziecko, i czy to nie wspaniale, i na pewno mały jest przesłodki, po prostu milusi, i kiedy tylko będzie mogła, wpadnie dać mu prezent, który kupiła, prześliczne śpioszki.

Rozdział 21

Sekretarka psychiatrii zadzwoniła do Jeremy'ego.

– Jest pan potrzebny na Szóstym Zachodnim. Była środa, późna kolacja ze starymi ekscentrykami dawno minęła i nie licząc okazjonalnych surrealistycznych wspominków, Jeremy wyrzucił to doświadczenie z głowy. Arthura Chessa też. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę przejmował się zdrowiem starego patologa.

W ciągu ostatnich kilku dni widział się z Angelą raz – pół godziny trzymali się za ręce przy kawie, zanim pobiegła do pracy. Mówiła głównie o swojej pacjentce z rakiem płuc, która nie czuła się dobrze.

– Teraz na mojej zmianie będę miała pacjentów chorych nie na płuca, ale na serce. Powinno być lepiej.

– Nieobecność to lekarstwo na płuca?

– Au.

– Przepraszam.

– Nie, podobało mi się. Twoją drugą stroną.

– Jaka strona?

– Zwyczajna. Nie tak... opanowana.

– Mam tak bez przerwy.

– No, ja tego dotąd nie widziałam. Podoba mi się.

Ścisnęła jego dłoń i poszła rozmawiać z umierającymi.

– Kto mnie wzywał? – spytał.

– Doktor Dirgrove – odparła sekretarka.

– Nie znam.

– No, tak tu jest napisane. Dirgrove. To chirurg. – Nie musiała wyjaśniać: Szósty był oddziałem chirurgicznym. – Chce, żeby pan ocenił stan pacjenta przed operacją.

– Po co?

– Nic więcej nie wiem, doktorze Carrier.

– Poprosił konkretnie o mnie?

– Tak. Pewnie jest pan sławny.

Zastał Dirgrove'a w kitlu, wypisującego karty pacjentów w pokoju lekarzy Szóstego Zachodniego.

To był ten błady blondyn, którego widział w stołówce: objaśniał coś kardiologowi Mandelowi i ciemnowłosemu, wąsatemu chirurgowi.

Jeremy'emu wydawało się, że Arthur obserwuje tę trójkę, on jednak zagłębił się w lekturze

gazety. I zaprosił Jeremy'ego na kolację.

Dirgrove wydawał się wysoki, kiedy siedział. Stojąc, był średniego wzrostu, nie wyższy od Jeremy'ego i jakieś pięć kilo lżejszy. Wyglądał jak ci patykowaci mężczyźni, co to wydają się poruszać, nawet kiedy stoją w miejscu. Przywitał Jeremy'ego ciepłym uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni.

– Doktorze Carrier, miło mi pana poznać. Bardzo dziękuję, że pan przyszedł. Mam na imię Ted.

Na zdjęciu na identyfikatorze był do siebie nawet podobny, a to nie zdarzało się często. Uśmiechał się na nim tak samo jak w tej chwili.

DR MED. T.M. DIRGROVE, KARDIOCHIRURGIA

– Jeremy. Co mogę dla ciebie zrobić?

Dirgrove odłożył kartę, oparł się o biurko, potarł jednym papierowym kapciem o drugi. Miał ciemnoniebieskie oczy, z kurzymi łapkami od śmiechu, czyste, szczere i zmęczone. Jego kanciastą szczękę pokrywała mgiełka żółtego zarostu. Ręce, zaróżowione od częstego mycia, bez przerwy się poruszały. Nosił ciemnoczerwony chirurgiczny kitel. Żeby nie było widać krwi, pomyślał Jeremy.

– Mam operować młodą kobietę z ubytkiem przegrody międzykomorowej. Pozornie rutyna.

– Dirgrove się uśmiechnął. – Wiesz, jak to mówią: rutyna zdarza się tylko innym, nigdy tobie. W każdym razie martwię się o tę dziewczynę. Bardzo się boi. My, chirurdzy, na ogół nie przejmujemy się takimi rzeczami, ale doświadczenie nauczyło mnie, że lepiej uważać.

– Uważać na strach? – spytał Jeremy.

– Na cały związek umysłu z ciałem. – Dirgrove złączył pączę palce. Widać było, że dba o ich wygląd, ale resztą chyba nie bardzo się przejmował: włosy miał krótkie, sterczące i nierówno przycięte, a kitel pognieciony. Po niedbałym porannym goleniu został mu placek dłuższych, jasnych włosów na brodzie.

– Taki ktoś jak ja może technicznie wszystko zrobić dobrze, ale jeśli umysł nie współpracuje, może się pojawić problem.

– Boisz się ataku paniki w trakcie operacji?

– Boję się każdej wyraźnej reakcji układu współczulnego. Widywałem już takie rzeczy, nawet pod narkozą. Pacjentów niby to nieprzytomnych, otwierasz ich, a im nagle rusza adrenalina, układ współczulny wyje, a ciśnienie krwi skacze niebotycznie. Kiedy anestezjolog ma pełne ręce roboty, ja nie mogę robić tego, co do mnie należy. Dlatego właśnie w swojej sali operacyjnej puszczam spokojną muzykę, a wszyscy muszą się zamknąć. Przeczucie mi mówi, że tę dziewczynę trzeba uspokoić. Słyszałem, że jesteś w tym dobry, więc jeśli nie masz nic przeciwko, mógłbyś do niej zajrzeć? Rodzina jest dobrze ubezpieczona.

– Co możesz mi o niej powiedzieć?

Dirgrove przetrząsnął stertę kart, znalazł jedną, otworzył ją, podał Jeremy'emu i ruszył do drzwi.

– Tu masz wszystko, o czym powinieneś wiedzieć. Dzięki. Byłoby miło, gdybyś zajął się tym jak najszybciej. Mamy ją operować jutro z samego rana, dlatego jeśli uznasz, że trzeba to odłożyć, postaraj się dać mi znać przed piątą.

Mrugnął okiem i wyszedł.

Merilee Saunders. Karta mówiła wiele o jej ubytku przegrody międzykomorowej i zamożności rodziny (faktycznie, doskonałe prywatne ubezpieczenie), natomiast nic na temat jej psychiki. Żadna z pielęgniarek nie odnotowała nagłych lęków, a jedynym stwierdzeniem Dirgrove'a w jej kwestii była uwaga, starannie dopisana do wczorajszych notatek: *Moż st lęk. Wezw psych.*

Jeremy zapragnął ją zobaczyć.

Dirgrove nie powiedział Merilee o konsultacji.

Była pucołowatą, młodą kobietą o porowatej cerze i bezładnie spiętych w kok ciemnych włosach. Szpitalny strój marszczył się jej na ramionach, leżała niewygodnie podparta. Czarne jak węgle oczy skierowały się na Jeremy'ego, kiedy tylko wszedł do pokoju; patrzyła nieprzyjaźnie, ale nic nie powiedziała. Na ośmiu palcach dłoni miała tanie, srebrne pierścionki. Trzy kolczyki w jednym uchu, cztery w drugim. Małeńka, różowa kropka nad lewym nozdrzem świadczyła, że Merilee Saunders zmieniła zdanie co do kolczyka w nosie.

Według karty miała dwadzieścia lat, ale na stoliku przy jej łóżku leżały tylko pisma dla nastolatków.

Jeremy się przedstawił, a ona zmarszczyła brwi.

– Lekarz od świrów? Pan żartuje. Co, ktoś myśli, że zwariowałam?

– W żadnym razie. Doktorowi Dirgrove'owi zależy, żeby przed operacją była pani jak najspokojniejsza, i uznał, że ja mogę pani w tym pomóc.

– Jeśli chce, żebym była spokojna, to niech mnie nie tnie.

Jeremy przysunął krzesło do jej łóżka.

– Mogę?

– A mam jakiś wybór?

– Oczywiście.

Merilee Saunders przewróciła oczami.

– A co tam. Niech pan siada.

– No więc – zaczął – nie przypuszczała pani, że operacja będzie konieczna. Odwróciła się gwałtownie, spojrzała na niego tak, jakby głowa pękła mu na pół i wypadł z niej mózg.

– A to dobre – powiedziała. – Dla mnie to wielka frajda, nie mogę się doczekać, aż mnie pokroją. Ale odjazd.

– Czy wyjaśniono pani powód operacji...

– Bła bła bła bła bła. Tak. Dziwny Dirgrove mówił mi o faktach.

– Dziwny.

– To sztywniak. Robot. Chyba że chce akurat uruchomić swój wdzięk. Moja mama za nim przepada.

Według karty rodzina Saundersów była pełna.

– A pani tata? – spytał Jeremy.

– Co mój tata?

– Lubi doktora Dirgrove'a?

– Jasne, czemu nie. – Merilee Saunders spojrzała na wiszący na ścianie telewizor. – Programy tu macie do niczego. Telezakupy, brazylijskie telenowele i inny chłam.

– To prawda – przyznał Jeremy. – Nie jesteśmy na czasie.

Młoda kobieta poruszyła się pod okryciem.

– Dirgrove powiedział panu, że mi odbiło?

– Skądże. Chce tylko mieć pewność, że jest pani w szczytowej formie do...

– A może mi odbiło – przerwała mu. – I co z tego? I co to ma wspólnego z krojeniem mojego serca? I dlaczego teraz? Przez tyle lat wszystko było dobrze, a potem nagle... Mam dwadzieścia lat. Nie muszę robić czegoś, czego nie chcę.

– Jeśli nie jest pani przekonana do...

– Niech pan posłucha, mam to... – poklepała się po lewej piersi – ...od urodzenia. Mówią mi, że mam dziurę w sercu, ale ja nie czuję się inaczej niż inni. Nie czułam się, dopóki jakiś doktorek nie przyłożył mi stetoskopu, nie usłyszał tego i wszyscy nie zaczęli wariować.

– Dobrze się pani czuje, więc dlaczego miałaby pani...

– To po prostu nie w porządku, rozumie pan? Przyjechałam do tej nory zdrowa, a oni wszyscy szturchają mnie, wpychają we mnie jakieś świnstwa, robią mi prześwietlenia, USG i różne inne cholerstwa, a jak się jutro obudzę, to będę się czuła, jakby przejechała mnie ciężarówka. To bez sensu, ale niech pan spróbuje to powiedzieć mamie. Jej chodzi przecież tylko o moje dobro.

– Pani matka...

– Moja matka uwielbia lekarzy – sarknęła Merilee. – Zwłaszcza tych przystojnych. Uważa, że Dirgrove jest przystojny. Ja nie. Dla mnie to sztywniak. Domyślam się, że zamierza pan zapytać o mojego ojca, no to powiem po prostu: tyra osiemset godzin na tydzień, płaci rachunki i resztą się nie przejmuje.

– Ma pani rację. Jest pani dorosła i chodzi o pani ciało. A więc jeśli ma pani poważne zastrzeżenia...

– Nie. Ja też się nie będę przejmować. Czemu nie? Co się może wydarzyć najgorszego, umrę? – Zaśmiała się.

Jeremy zaczął coś mówić, ale przerwała mu machnięciem ręki.

– Nie będę strześcić języka na te psychologiczne bzdury, ani myślę. Nawet jeśli mi odwaliło, co z tego? Nie mówimy o moim mózgu, tylko o moim sercu.

– Są rzeczy, dzięki którym można złagodzić takie doświadczenie – powiedział Jeremy. –

Ćwiczenia odprężające.

– Nienawidzę ćwiczeń.

– To coś więcej niż medytacja, hipnoza.

Merilee popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

– Co, chce mnie pan uśpić i powiedzieć, że serce mam zdrowe, a dziura sama się zarosła?

Jeśli pan coś takiego potrafi, to jasne, jedziemy.

– Przykro mi – powiedział Jeremy. – To przekracza moje umiejętności.

– A więc jaki z pana pożytek? – Merilee Saunders trzepnęła palcami, jakby otrząsała z nich drobiny brudu. – Niech mi pan da spokój, jestem zmęczona.

Pac. czuje raczej gniew niż niep. Rozumie potrzebę operacji intelekt., lecz nie emoc. Zalecane dokładniejsze omówienie procedury przez dr. Dirgrove'a. Pac. odmawia ćw. odpr.

DrJ. Carrier

To nie był jego triumf.

Jednak później, tego samego dnia, odsłuchiwał swoje wiadomości, i trzecia z tuzina brzmiała:

– Jeremy, mówi Ted Dirgrove. Bardzo mi pomogłeś. Dzięki.

Rozdział 22

Międzyoddziałową pocztą przyszła następna koperta. To samo źródło: Otolaryngologia. Znów niewpisany odbiorca, ale trafiła na stosik Jeremy'ego.

Tym razem było to ksero z pisma ginekologicznego sprzed pięciu lat. Technika histerektomii laserowej w leczeniu mięśniaka macicy, endometriozы i zapalenia miednicy.

Optymalnie pacjentka powinna zostać ułożona w pozycji grzbietowej litotomijnej z nisko opuszczonymi strzemionami, przygotowana i okryta...

Znów zespół autorów, lekarzy i inżynierów biomedycznych. Amerykanów, pracujących w szpitalu akademickim na Zachodnim Wybrzeżu.

Konstrukcja płata pęcherza... endoskopowy kittner... Przecinanie więzadeł szerokich.

Jeremy wsunął artykuł z powrotem do koperty, poszedł na oddział psychiatrii i zapytał Laureę, sekretarkę, która rozdzielała pocztę, kto dostarczył kopertę.

– Wszystko przychodzi w jednej partii z recepcji, doktorze Carrier.

Laura niedawno skończyła dwadzieścia lat. Wciąż była wystarczająco zielona, żeby odnosić się do zawodowej kadry z pełnym podziwu szacunkiem.

– To nie było zaadresowane do mnie. – Pokazał jej kopertę. – A więc ktoś musiał to podrzucić osobiście. Może pani wie, jakim cudem to się dostało do moich listów?

– Nie. Przykro mi.

– Kiedy poczta przychodzi tutaj, gdzie jest przechowywana?

– Tu. – Laura wskazała kosz na swoim biurku, po lewej. – Przeglądam ją, rozdzielam według nazwisk, potem każdą kupkę obwiązuję gumką i nalepiam karteczkę z nazwiskiem. Potem ktoś, ja albo jakiś ochotnik, roznosi listy po gabinetach. Pan był na końcu, bo pana gabinet jest na innym piętrze.

– A więc kiedy poczta była już rozdzielona, każdy mógł wsunąć jeszcze jedną kopertę w którąś paczkę?

– Chyba tak... Czy coś się stało, doktorze Carrier?

– Nie, pytam z ciekawości.

– Och – powiedziała ze spłoszoną miną. – Miłego dnia.

Wszedł do recepcjonisty otolaryngologii. Młodego mężczyzny, ładnie ubranego i uczesanego, którego palce tańczyły nad klawiaturą komputera.

– W czym mogę pomóc? – spytał recepcjonista, nie podnosząc wzroku. Jeremy rozpoznał jego głos, to z tym mężczyzną rozmawiał, kiedy pytał o pierwszą kopertę.

– Chciałem to wyjaśnić – powiedział.

Mężczyzna przestał pisać, a Jeremy podał mu kopertę.

– Nie dzwonił pan już do mnie w tej sprawie?

– Tamta była pierwsza, ta jest druga. Nie sądzę więc, żeby to był przypadek. Najwyraźniej ktoś myli mnie z kimś innym.

Młody człowiek obejrzał ksero artykułu.

– Hm... Nie, ja tego nie wysyłałem. Te koperty są cały czas w użyciu, nie wyrzucamy ich.

– Wychodzi na to, że ktoś zbiera koperty otolaryngologii.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Cóż, cieszymy się sympatią. Spróbował oddać Jeremy'emu kopertę.

– Dla pana – powiedział Jeremy.

Recepcjonista przygładził włosy.

– Po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś mi coś daje, ale nie, dziękuję.

Położył kopertę na blacie. Jeremy ją wziął.

Zaczął się zastanawiać. Przecinanie więzadeł szerokich.

Wrócił do gabinetu i zadzwonił do detektywa Boba Doresha. Tym razem się przedstawił.

Usłyszał westchnienie Doresha.

– Tak, doktorze?

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedział pan, że z Tyrene Mazursky było jak w piosence o Humpty-Dumptym, i sugerował, że z Jocelyn było tak samo...

– Niczego nie sugerowałem, doktorze, ja tylko...

– Dobrze, detektywie, nie łapmy się za słowa. Mam do pana pytanie. Czy te morderstwa wskazywałyby na jakieś umiejętności chirurgiczne? Czy to była sekcja?

Doresh nie odpowiedział. – Detektywie...

– Słyszałem pana, doktorze. Dlaczego pan o to pyta?

– Jajko – skłamał Jeremy. – Pęka na równe kawałki. Proste krawędzie, w zniszczeniu jest pewna precyzja. O to panu chodziło, kiedy mówił pan o Humpty-Dumptym, czy mówił pan tak ogólnie?

– Doktorze, nie będę się zagłębiał w to, o co mi chodziło. – Syknął Doresh z nutą utajonej groźby.

Zdenerwował się, Jeremy zdecydowanie go zdenerwował. Taka odpowiedź mu wystarczyła.

– Dobrze, rozumiem. Przepraszam, że przeszkadzam.

– Nic się nie stało – odparł Doresh. – Lubimy rozmowy z zatroskanymi obywatelami. Bo tak pan siebie widzi, prawda?

– Nie, detektywie. To coś więcej. Ja kochałem Jocelyn.

– Tak mi pan powiedział, kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy.

– Tak? – Jeremy mgliście pamiętał pierwsze spotkanie na posterunku. Małe pomieszczenie, potężni mężczyźni, ostre światło, wszystko w ruchu jak po metedrynie.

– Tak. To były pana pierwsze słowa: Kocham ją.

– Aha.

– Pomyślałem, że to interesujące. Że takie były pana pierwsze słowa.

– Dlaczego?

– Bo nigdy dotąd niczego takiego nie słyszałem. W takiej sytuacji.

– Widzi pan – powiedział Jeremy. – Co dzień nowe doświadczenie.

– Jak u chorego na alzheimera. To dobra strona tej choroby, co dzień poznaje się nowych ludzi.

Chwila milczenia.

– Nie śmieje się pan – zauważył Doresh.

– To niech pan opowie coś śmiesznego.

– Tak, ma pan rację, doktorze. To czarny humor. Tak już mamy przez to, że stykamy się z tak zwaną ciemną stroną życia. Żeby zmniejszyć stres, na pewno pan rozumie.

– Rozumiem. Dziękuję za...

– Panna Banks – przerwał mu Doresh – pracowała z chorymi na alzheimera. Z pacjentami z... jak to się mówi? Zaburzeniami postrzegania?

– Zgadza się.

– Słyszałem, że niektórzy w szpitalu żartują na ten temat. Nazywają ten oddział Warzywniakiem. Wychodzi na to, że wcale nie różnicie się od nas. Ludzie muszą sobie jakoś radzić.

– Ludzie...

– A jak pan sobie radzi, doktorze? Wszystko u pana poza tym w porządku?

– Poza czym?

– Poza troską o dowody w sprawie.

– Och, jasne – powiedział Jeremy. – Życie to bajka.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę siedział roztrzęsiony. Kiedy trochę się uspokoił, poszedł do skrzynki na korytarzu i wyjął swoją pocztę.

Telefon do Doresha był zupełnie irracjonalny. Co chciał przez to osiągnąć?

Drugi artykuł go przestraszył. Teraz nie można było już tego zlekceważyć i uznać za zwykłą pocztową pomyłkę. A jeśli się jednak myli, jeśli jakiś idiota po prostu dwa razy zrobił ten sam błąd?

Przecinanie... Nawet jeśli ktoś robił to specjalnie, nie mogło w tym być żadnego związku z Jocelyn.

Może to Arthur?

Jeremy wyobraził sobie starca, gromadzącego koperty międzyoddziałowe i inne szpitalne materiały w swoim zatęchłym, starym, wiktoriańskim domu.

Emeryt, ale w dobrej formie.

Gromadzenie rzeczy pasowało do ubrań Arthura, do jego samochodu, jego wspominków. Był przywiązany do staroci.

Żył w przeszłości. Nie umiał iść dalej.

Jeremy przysiągł sobie, że zapomni o nim i o jego kopertach, raz na zawsze. Pora zabrać się

do pisania książki, która jakimś cudem zaczęła nabierać kształtu. Kiedy Jeremy dostał pierwszy artykuł o laserach i uświadomił sobie, jak marnie był on napisany – jak ciężka i nadęta jest większość medycznych materiałów – uznał, że sam potrafi lepiej.

Napisał ze dwadzieścia stron, sprawdził je i poczuł satysfakcję z dobrze wykonanej pracy.

Dalej: książka i Angela.

W ciągu ostatnich ośmiu dni widzieli się tylko dwukrotnie, za każdym razem kochali się, pili wino i rozmawiali całymi godzinami – powoli zbliżali się do tej komfortowej sytuacji, jaka staje się udziałem dwojga ludzi, kiedy chemia się wycisza, ale nie znika.

Rozmowa z Angellą wyjaśniła jedno: to ona podała jego nazwisko doktorowi Tedowi Dirgrove'owi.

– Byłam na rotacji na kardiochirurgii, wygłosił tam świetny wykład o rewaskularyzacji transmiokardialnej. Potem poruszył temat lęków jako czynnika ryzyka podczas operacji. Pomyślałam, że to niezwykle jak na chirurga.

– To, że się przejmuję lękami?

– Większość z nich nie sięga wzrokiem dalej niż skalpelem. Dirgrove chyba faktycznie zdaje sobie sprawę, że chory to żywy, czujący człowiek. Wspomniałam mu o twojej pracy, o tym, co robisz, żeby pacjenci z lękami się odprężyli. Podałam mu przykład Marian Boehmer, mojej pacjentki z toczeniem. A skoro o niej mowa: ma się dobrze. Cokolwiek spowodowało u niej dyskrazję krwi, była samoograniczająca. W każdym razie Dirgrove wydawał się bardzo zainteresowany. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– No skądże. Niestety, nie pomogłem za wiele jego pacjentce.

– Naprawdę? Mówił, że pomogłeś.

– Myślę, że był po prostu uprzejmy.

– Może działałeś więcej, niż ci się zdawało.

Jeremy przypomniał sobie krótkie spotkanie z wrogo nastawioną Merilee Saunders; wątpił, czy działał coś poza tym, że zmienił jej lęk w złość.

Z drugiej strony czasem coś takiego miało działanie terapeutyczne – jeśli dzięki złości pacjent czuł, że ma kontrolę nad sytuacją, zmniejszała się panika, zrodzona z miażdżącej bezbronności.

Mimo to trudno mu było postrzegać ten przypadek jako coś innego niż nieudaną próbę nawiązania porozumienia. Ile czasu spędził z dziewczyną? Pięć, dziesięć minut?

– Dirgrove robił wrażenie zadowolonego – powiedziała Angela.

Jeremy pomyślał, że mogła mieć rację. Zdarzało się, że pacjenci kontaktowali się z nim całe lata po leczeniu, z wdzięczności. Niektórzy bardzo konkretnie pamiętali, co im pomogło.

To, co powiedział. Albo czego nie powiedział. Dobór słów i zdań, który okazał się najważniejszym bodźcem, pozytywnym terapeutycznym zastrzykiem.

W każdym z tych przypadków lekarstwo było niezamierzone. Jeremy nie miał pojęcia, że wystrzelił magiczny pocisk.

Ale zdarzało mu się również, że korzystał z każdej broni, jaką zawierał jego psychologiczny arsenał, i ponosił druzgocąca klęskę.

O czym to świadczyło? Że był pionkiem, nie królem?

Dziwny sposób zarabiania na życie.

– Myślę – powiedziała Angela – że czasami się nie doceniasz.

– Naprawdę? – Pocałował ją w nos.

– Tak. – Przeczesała palcami jego włosy.

– Miła jesteś.

– Czasami.

– Nie widziałem jeszcze, jak jesteś niemiła.

– Ha.

– Próbujesz mnie nastraszyć?

– Nie. – Nagle spoważniała. Przytuliła policzek do jego policzka. Oddech miała ciepły, lekki, alkoholowo słodki. – Nigdy bym tego nie zrobiła. Nie zrobiłabym niczego, co mogłoby nas od siebie oddalić.

Rozdział 23

Komisja Nowotworowa w tym tygodniu została odwołana. Na następnej sesji Arthur powrócił za katedrę i prowadził cały cyrk.

Jeremy się spóźnił i musiał usiąść z tyłu sali. Było tam ciemno – slajdy, ciągle tylko slajdy – i tak pozostało przez większą część godzinnego zebrania. Dźwięczny baryton starca rozwodził się nad potworniakami śródpiersia.

Kiedy jednak zapalono światło, Arthura nie było, a jego miejsce zajął doktor Singh.

– Doktor Chess – wyjaśnił – musiał wyjść wcześniej, ponieważ był umówiony. Kontynuujmy.

Ostatnie dziesięć minut zajęła ożywiona dyskusja na temat przepuszczalności komórek. Jeremy walczył z ogarniającą go sennością, pokonał ją tylko dzięki temu, że karciał się w myślach: to przynajmniej nauka, a nie jakiś losowo przebiegający proces, w którego przypadku tak zwani eksperci rozkładają ręce.

Następnego dnia przyszła trzecia koperta. Jeremy prawie skończył szkic swojego rozdziału i czuł się porządnie rozgrzany. Na widok nazwy „otolaryngologia” w rubryce „nadawca” jego palce zastygły nad klawiaturą.

Przeszło mu przez myśl, żeby wyrzucić list, nie otwierając go. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie i rozdarł kopertę tak energicznie, że odpadła z niej mała, metalowa klamerka.

W środku nie było wprawdzie kserokopii artykułu medycznego, ale Jeremy wyjął wycinek z gazety, kruszący się na krawędziach i pożółkły ze starości. Nie było na nim niczego, co pozwoliłoby go zidentyfikować – artykuł wycięto sporo poniżej górnego marginesu – ale styl i nazwy miejscowości sugerowały brytyjski brukowiec.

Zaginiona koleżanka Bridget znaleziona zamordowana

Dwa lata temu śliczna Bridget Sapsted po całej nocy serwowania piwa wyszła z pubu w Broadstairs w hrabstwie Kent i zniknęła. Mimo szeroko zakrojonego policyjnego dochodzenia los dziewczyny pozostał tajemnicą. Teraz została brutalnie zamordowana bliska przyjaciółka tej ładnej brunetki. Trwają wysiłki mające na celu ustalenie, czy to, co spotkało jedną z dziewcząt, ma jakiś związek ze zniknięciem drugiej.

Makabryczny zwrot w sprawie nastąpił dzisiaj wczesnym rankiem, kiedy ciało dwudziestotrzyletniej Suzie Clevington zostało znalezione przez idącego do pracy mężczyznę na obrzeżach Broadstairs. Suzie i Bridget chodziły razem do jednej klasy w szkole Belvington, w Branchwillow w hrabstwie Kent, i od tamtej pory pozostały przyjaciółkami. Marząc o karierze tancerki, Suzie wyjechała na jakiś czas do Londynu i na kontynent, niedawno jednak wróciła do domu w poszukiwaniu pracy.

– W tym momencie – powiedział kierujący śledztwem detektyw inspektor Nigel Langdon –

traktujemy oba te przypadki jako odrębne. Potraktujemy je jako powiązane, jeśli tylko za taką interpretacją przemówią fakty.

W odpowiedzi na plotki, jakoby zwłoki zostały straszliwie okaleczone, detektyw inspektor Langdon powiedział tylko, że policja nie może zdradzać wszystkich szczegółów sprawy z uwagi na dobro śledztwa.

Suzie Clevington została opisana przez rodzinę i przyjaciół jako otwarta, przyjacielska...

W tym miejscu artykuł się kończył, urwany w pół zdania.

Laserowe skalpele, chirurgia kobiet, zabita dziewczyna. Okaleczenie. Sytuacja jak z piosenki o Humpty-Dumptym.

To nie była pocztowa pomyłka.

Komuś w szpitalu zależało, żeby Jeremy się dowiedział.

Komuż by, jeśli nie Arthurowi?

Jeremy zadzwonił do niego do gabinetu. Nikt nie odebrał. Czyżby starzec wciąż był pochłonięty wczorajszym „umówionym” spotkaniem? Niecierpiącą zwłoki sprawą, która skłoniła go do opuszczenia Komisji Nowotworowej, zanim zebranie się skończyło?

Jeremy coś sobie uświadomił: wszystkie trzy koperty przyszły wtedy, kiedy Arthur był nieosiągalny. Co to miało oznaczać, alibi?

Poco?

Jeremy włożył fartuch, poszedł do sekretariatu i nałgał sekretarce – wyjątkowo pogodnej Annie Colon, z którą zawsze miał dobre stosunki – że kupił doktorowi Chessowi prezent i potrzebny mu jego adres domowy.

– Wiem, że się panowie przyjaźnicie – powiedziała Anna, podając mu czarny segregator „Personel Medyczny”. Nie przyszło jej do głowy zapytać: Skoro tak, to dlaczego nie zna pan jego adresu? Niektórzy ludzie są obdarzeni ufną naturą. A Jeremy? – często budził się w środku nocy, niepewny własnego istnienia.

– Jesteśmy raczej jak uczeń i mistrz – odparł. – Doktor Chess dużo mnie nauczył i chciałbym mu się jakoś zrewanżować.

– To bardzo miłe. Proszę.

Rozdział 24

Ta nie był wiktoriański dom w Queen's Arms, który sobie wyobrażał. Trafił do mieszkania w Ash View – na południowych przedmieściach, daleko od wody, dobre trzydzieści kilometrów za miastem.

Znów pomyłka. Wszystko, co dotyczyło Arthura, kompletnie Jeremy'ego zaskakiwało.

A może Arthur podsuwał mu podpowiedzi. Ash View było kiedyś okolicą rolniczą, a Arthur z uczuciem mówił o swoich farmerskich korzeniach.

Porody cieląt... krwawy proces. Starzec miał słabość do makabreski.

Czy wyczuł, że Jeremy również?

Z powodu Jocelyn?

Ostatnio sporo o niej myślał.

Mógł rozmawiać z Angellą, kochać się z Angellą. Ale Jocelyn... Tak bardzo mu jej brakowało. Musiał się zobaczyć z Arthurem.

Wcześniej poszedł na obchód, odwiedził swoich pacjentów i miał nadzieję, że żadnemu nie poświęcił zbyt mało uwagi, bo myślami był gdzie indziej.

Wszyscy się do niego uśmiechali – znajome uśmiechy, wdzięczne uśmiechy. Czyjaś żona mu podziękowała, czyjaś córka uściśniła mu dłoń i powiedziała, że jej matka z niecierpliwością na niego czeka, że jest jedynym lekarzem, który nie zadał jej bólu.

A że żaden z niego lekarz, więc nie miał jak zrobić wiele złego.

Jutro się poprawi.

Wyjechał swoją nową z parkingu lekarzy tuż po południu. Dzień był suchy – rzadkość – ale ponury, deszczowe chmury niczym latające talerze wisiały nad miastem, zaczerniając niespokojne wody chłostanego wiatrem jeziora. Zwiastuny nadchodzącej burzy wydawały się źle działać na kierowców. Od chwili, kiedy wjechał na most Asy Brandera, do zjazdu na dojazdówkę do południowej autostrady, był świadkiem licznych wykroczeń drogowych, kilku ledwie unikniętych kolizji, w końcu wypadku, którego skutkiem były objazd, korek i ogólny zły humor. W końcu udało się Jeremy'emu wcisnąć na płatną szosę, przez kilka kilometrów zmagając się z korkami, aż południowa fala dojeżdżających zelżała i w końcu pojechał gładko.

Mknął przez równinę. Nim wyruszył, sprawdził drogę na mapie, ale niewiele brakowało, a przegapiłby skręt w lewo, który poprowadził go obok cmentarza wielkiego jak miasto, sklepów dla klasy średniej i kilku osiedli dla emerytów, z których każde kusiło „niezależnością”.

Czyżby takie właśnie życie wybrał Arthur? Kanasta, bingo i koncerty akordeonowe, równanie w dół razem z wierną żoną?

Wesoły, kolorowy znak oznajmiał: DO ASH VIEW TRZY KILOMETRY. Okolica była tu już trochę gorsza: sklepy dla robotników, stacje benzynowe, zakłady wulkanizacyjne, szopy, a przed

nimi wyschnięte trawniki i rdzewiejące auta.

Nie to, co splendor CCC. Cokolwiek ten skrót oznaczał.

Jeremy minął restaurację Dairy Queen, bar Denny'ego i trzy budy z hamburgerami. Nie to, co *foie gras*.

W dzień niezależność, w nocy łakomstwo. Arthur Chess jest człowiekiem, z którym trzeba się liczyć.

Ash View: puste połacie terenu, wałęsające się psy i bezładnie rozrzucone domy. Pod wskazanym mu adresem Arthura Jeremy znalazł duży, kwadratowy, drewniany budynek z płaskim dachem, stojący na skraju czegoś, co kiedyś było polem żyta, a teraz wielką trawiastą łąką. Najbliższym punktem orientacyjnym było stojące pół kilometra dalej, zapomniane kino na wolnym powietrzu, z obłupaną markizą.

Deszczowe chmury nadawały równinie wygląd cieniściego krajobrazu księżycowego.

Jeremy zaparkował i przyjrzał się domowi. Niegdyś wytworny budynek był teraz zaniedbany i podzielony na kwatery. Tak samo jak ten, w którym mieszkała Angela.

Starzec tak właśnie mieszkał. Wybrał oddalenie od przyjemności miasta i kto wie, czego jeszcze.

Powozownię niedaleko domu, po prawej stronie zamieniono w garaż na cztery samochody. Wszystkie drzwi były zamknięte, ale Jeremy nie widział kłódek. Wysiadł, uniósł pierwsze z lewej i znalazł za nimi nissana. Za następnymi stał ford falcon, trzeci garaż był pusty, w czwartym schronił się czarny lincoln town car Arthura.

Umówione spotkanie. Starzec po prostu urwał się z Komisji Nowotworowej i pojechał do domu.

Jeremy wszedł na betonowe schody domu i przeczytał nazwiska na starej, mosiężnej skrzynce na listy.

A. CHESS – nie podano tytułu – mieszkał pod numerem 4.

Frontowe drzwi miały szybki z rżniętego szkła – resztką minionej chwały. Jeremy je otworzył.

Na górę po schodach i w prawo. W domu pachniało kukurydzą, zsiadłym mlekiem i proszkiem do prania. Schody były strome, poręcz prosta i nieskazitelnie biała. Ściany otynkowano teksturowanym gipsem, tak samo białym i tak samo czystym. Pod stopami Jeremy miał wyschnięte, sosnowe deski, przykryte wydeptaną niebieską wykładziną. Drewno było stare, ale ani jeden stopień nie skrzypiał. O budynek troskliwie dbano.

Na drzwiach Arthura nie było jego nazwiska. Dobra, jesteśmy.

Jeremy zapukał. Odpowiedziała mu cisza.

– Arthurze? – zawołał.

Nic. Kiedy zastukał mocniej, uchyliły się drzwi mieszkania po przeciwnej stronie półpiętra. Gdy powtórzył imię Arthura i dodał własne, szpara się poszerzyła i Jeremy zobaczył jedno

ciemne oko.

– Dzień dobry – powiedział. – Jestem doktor Carrier, szukam doktora Chessa.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich niska, okrągła, sympatycznie wyglądająca kobieta w jasnożółtej podomce. Miała siwe włosy i wyraźne, ciemno-rude brwi. Ktoś z pokolenia Arthura. W rękę trzymała filiżankę w kwiaty i uśmiechała się do Jeremy'ego. Jej ciemnobrązowe oczy niemal wpadały w czerń, z uszu zwisały wielkie, okrągłe kolczyki.

Wygląda jak stara wróżka, pomyślał Jeremy.

– Czy profesor się pana spodziewał, mój drogi?

– Niezupełnie – odparł Jeremy. – Pracuję w Szpitalu Centralnym, mamy do omówienia pewną kwestię dotyczącą terapii.

– Nagły wypadek?

– Raczej nie, proszę pani. Ale to dość istotna sprawa.

– Och... I przyjechał pan taki kawał aż tutaj. Bardzo się pan przejął, to taki porządny szpital. Urodziłam tam wszystkie moje dzieci. Profesor Chess był wtedy młodym mężczyzną. Wysokim i przystojnym. Doskonale wiedział jak i co. – Zachichotała. – Oczywiście ja też byłam wtedy młoda. Spisał się po mistrzowsku.

– Profesor Chess przyjmował pani porody?

– Och, tak. Wiem, że teraz jest patologiem, ale w tamtych czasach zajmował się różnymi gałęziami medycyny. Cudowny z niego człowiek. Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy się dowiedziałam, że mamy być sąsiadami. Obawiam się, mój drogi, że go nie ma.

– Wie pani, gdzie jest?

– Och, on bez przerwy gdzieś wyjeżdża. Czy mam mu przekazać, że pan był, doktorze...?

– Carrier. A więc na pewno wyjechał?

– Tak. Kiedy profesor Chess wyjeżdża, odbieram jego pocztę i przekazuję mu wiadomości. – Uśmiechnęła się, przełożyła filiżankę do lewej ręki i wyciągnęła prawą. – Ramona Purveyance.

Jeremy przeszedł przez półpiętro. Dłoń kobiety była miękka, lekko wilgotna. Grube palce nawet się nie zacisnęły.

– Lubi podróże – powiedział.

Ramona Purveyance skwapliwie pokiwała głową.

– Jak długo może go nie być? – zastanawiał się Jeremy.

– Trudno powiedzieć. Czasem to jeden dzień, czasem tydzień. Przysyła mi pocztówki.

– Skąd?

– Zewsząd. Niech pan wejdzie, pokażę panu.

Jeremy wszedł za nią do skromnego mieszkania, rozświetlonego przez okna wychodzące na nieskończone morze traw. Właściwie na łąkę, wznoszącą się niemal niezauważalnie ku horyzontowi. W górze krążyło stado kruków – wtapiały się w niebo koloru sadzy i wlatywały w smugi światła, rozdzielające burzowe chmury. Wyglądało to dość upiornie – jak wyładowania elektryczne.

– Zawsze tam są – powiedziała Ramona Purveyance. – Piękne stworzenia, mimo ich reputacji.

– Jakiej reputacji?

– Wie pan, jak to jest w Biblii? Noe wysłał kruka, żeby odszukał ziemię, ale krukowi się to nie udało. Dopiero gołębica przyniosła gałązkę oliwną. Mimo to ja uważam, że są piękne. Ale agresywne. Czasami przylatują tu kardynały, śliczne, czerwone. Kruki je przepędzają.

Postawiła filiżankę na szklanym stoliku, podreptała do klonowego sekretarzyka, otworzyła górną szufladę.

– Jestem pewna, że je tu wkładałam.

Jeremy rozejrzał się po mieszkaniu: ściany pomalowane na zielono – szpitalna zieleń – meble nowe, jasne i niedrogie. Dwa obrazki – oprawne w ramki krajobrazy morskie wycięte z kalendarzy – jako jedyna ozdoba. Żadnych bibelotów, żadnych pamiątek. Żadnych świadectw rodzinnej historii, jakich można by się spodziewać w mieszkaniu staruszki.

Ale to było głupie myślenie, uromantyczniona wersja życia rodzinnego. Czasami rodziny się rozpadały. Albo w ogóle nie powstawały.

A co on będzie miał do pokazania na starość?

Ramona Purveyance otwierała po kolei szuflady i zamykała je.

– Hm – mruknęła.

Salon otwierał się na małą, nieskazitelnie czystą kuchnię. Jeśli staruszka gotowała, jej gotowanie nie pozostawiało żadnego zapachu.

– Ach, no i proszę – zawołała. W ręku trzymała plik pocztówek, przewiązanych szeroką, czerwoną taśmą. Bez wahania podała je Jeremy'emu.

Pierwszych kilkanaście – zagranica. Londyn, Paryż, Konstantynopol, Sztokholm, Monachium. Strefa kanału – czyżby Arthur odwiedzał rejon swojej służby wojskowej? – Brazylia, Argentyna. Następny plik – pocztówki tylko amerykańskie: Jezioro Kraterowe w Oregonie, Nowy Jork, St. Louis, Los Angeles, Bryce Canyon, Santa Fe, Nowy Meksyk.

Z jednej strony śliczne zdjęcia słynnych miejsc, z drugiej ta sama wiadomość napisana znajomym charakterem pisma:

Droga pani P.

Podróżuję i uczę się.

A.C.

– Jest przemiły, zawsze o mnie pamięta.

– Mieszka tu, odkąd go znam – skłamał Jeremy. – To będzie już...

– Dziesięć lat. Pięć lat po tym, jak ja się tu wprowadziłam. To spokojna okolica, niektórym ludziom z miasta trudno się przystosować. Ale nie profesorowi. Sprzedał swój wielki dom razem z zawartością i odnalazł się tu doskonale.

– Dom w Queen's Arms.

– Tak. Pokazywał mi zdjęcia. Wielki, stary dom, w stylu wiktoriańskim. Coś się zgadza!
Wreszcie!

– Cudownie musiało się tam mieszkać – ciągnęła. – Dobre stare meble, okna z witrażami. Ale dla jednej osoby za dużo miejsca. Profesor mówił mi, że mieszkał tam o wiele za długo... długo po... po tym, jak powinien był się wyprowadzić. – Wzdrygnęła się. – Pan też jest patologiem, doktorze Carrier?

– Psychologiem. Po tym, jak powinien był się wyprowadzić, pani Purveyance?

Czekoladowe oczy patrzyły spokojnie.

– Po tym jak zrozumiał, że tak wielki dom nie nadaje się dla kogoś, kto mieszka samotnie.

– Można się przyzwyczaić do mieszkania samotnie,

– Mieszkał pan kiedyś sam, doktorze?

– Całe życie.

Ramona Purveyance splótła palce i przyjrzała mu się uważnie.

– Psycholog. To musi być interesujące.

Uśmiechała się, ale coś w tonie jej głosu powiedziało Jeremy'emu, że nie interesuje jej to nic a nic.

– Profesor Chess i ja od czasu do czasu omawiamy pewne kwestie kliniczne – powiedział. – Ciekawią go tematy psychospołeczne.

– Nic dziwnego – odparła Ramona. – Ten człowiek jest ciekawski jak małe dziecko. Czasami widuję go na dworze. – Wskazała bezkresne morze traw za oknem. Kruki zebrały się tuż nad horyzontem, małe i czarne jak ślady po muchach. – Chodzi i bada, przyklęka i rozgarnia trawę, szuka owadów i czego tam jeszcze. Czasami wyciąga swój wykrywacz metalu i chodzi z nim po okolicy. Albo bierze ogrodowy szpadel i kopie.

– Znalazł coś kiedyś?

– Och, oczywiście. Groty strzał, stare monety, butelki. Raz znalazł perłowy naszyjnik i dał mi go w prezencie. Małe barokowe perełki, niektóre powgniatane, ale całość wciąż śliczna. Podarowałam je mojej wnuczce Lucy, jest już dość duża, żeby doceniła, co jest piękne. Świat to skrzynia pełna skarbów, jeśli tylko człowiek wie, gdzie szukać. – Zerknęła na drzwi. – Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję. Lepiej już pójdę.

– Doktorze Carrier – powiedziała – to określenie, którego pan użył, psychospołeczne. Co to dokładnie znaczy? – Przekrzywiła głowę na bok, niby onieśmielona. – Lubię wzbogacać swoje słownictwo.

– To interakcja między psychologią a kwestiami społecznymi. Problemami, które stoją przed społeczeństwem. Ubóstwo, przestępczość, przemoc. Profesora Chessa interesuje zwłaszcza przestępcza przemoc.

Ramona Purveyance spojrzała na swoje dłonie.

– Rozumiem... Cóż, czeka na mnie pranie. Mam mu przekazać, że pan był?

– Bardzo proszę i dziękuję. Pewnie pani nie wie, kiedy profesor wraca... Zabrał ze sobą dużo rzeczy?

– A skąd miałabym to wiedzieć? – Ramona sięgnęła po filiżankę. Herbata musiała być już zimna, ale kobieta powoli się napiła. Znad filiżanki patrzyły na Jeremy'ego ciemne oczy.

– Nie domyśla się pani?

– W nocy wsunął mi pod drzwi kartkę z prośbą, żebym zajęła się jego pocztą. Musiał to zrobić późno, bo położyłam się dopiero o jedenastej. Kiedy wstałam o szóstej, już go nie było.

Ręka z filiżanką się opuściła. Twarz Ramony Purveyance nic nie wyrażała, ale w jej spojrzeniu była czujność. Jeremy się uśmiechnął.

– To cały profesor Chess. Pojechał na spotkanie kolejnej przygody tym swoim pięknym lincolnem.

– Śliczny samochód, prawda? Bardzo o niego dba, myje, poleruje, odkurza go co tydzień, ale nie, nie sądzę, żeby go wziął. Kiedy podróżuje, zazwyczaj przyjeżdża po niego taksówka. Albo jedzie swoim drugim samochodem i zostawia go na lotnisku.

– Swoim drugim samochodem?

– Furgonetką – wyjaśniła Ramona. – Ma furgonetkę forda, starą, ale w doskonałym stanie. Powiedział, że kupił ją od miasta na wyprzedaży. Przedtem należała do biura koronera, czy to nie pyszny dowcip? – Staruszka zaśmiała się i objęła ramionami. – Profesor Chess zapewnił mnie, że dokładnie ją wyczyszczono. Zawsze tak z nimi robią.

– Z nimi? – zapytał Jeremy.

– Z rzeczami z kostnicy. – Znów chichot. – Z rzeczami śmierci.

Rozdział 25

Kiedy był w połowie drogi z powrotem do miasta, rozpętała się burza. Całymi kilometrami jechał zygzakiem, z zaparowaną przednią szybą, czuł, jak hamulce przestają trzymać, niewiele brakowało, a znalazłby się w karambolu siedmiu aut. Pod koniec zdał się na los. Jakimś cudem dotarł do domu cały i zdrowy. Na kolację zjadł zupę z puszki i grzanki, popił czarną kawą.

Następnego dnia udało mu się wreszcie wyrwać z Angeli ze szpitala; zabrał ją do restauracji lepszej niż dotąd: przy Hale Boulevard, na North Endzie. Ze względu na pogodę pojechali taksówką, a Jeremy zabrał parasolki dla obojga.

Nauczył się tego od Arthura.

Weszli do restauracji: obite zielonym zamszem ściany, granitowe ławy, nakrochmalone lniane obrusy koloru świeżego masła. Idąc do swojego stolika w głębi sali, Jeremy i Angela minęli najpierw skrzynię z lodem pełną ryb tak świeżych, że ich oczy wciąż patrzyły z wyrzutem, a potem drugą z wieprzowiną i wołowiną z marmurkowymi plamami tłuszczu. Wojownicze homary ze związanymi szczypcami drapały nieskazitelnie czyste ściany trzymetrowego akwarium.

Barbarzyński dostatek.

Jeremy zrobił rezerwację dwa dni wcześniej i załatwił Angeli zastępstwo innego specjalizanta. Faceta, który był na psychiatrii jako stażysta i parę razy przyszedł na wykłady Jeremy'ego.

Atmosfera, jedzenie, wszystko było wspaniałe. Angeli zaimponowało to, że Jeremy wszystko tak dobrze zaplanował. Wzruszyło ją to prawie do łez.

Usiadła tuż obok niego tak, że stykali się udami.

– Jak ja mam po tym wrócić do życia specjalizanta?

– Spokojnie – poradził Jeremy. – Unikaj niepotrzebnych wstrząsów sensotycznych.

– To wszystko jest jeden wielki wstrząs. To, jak mnie traktujesz.

– Założę się, że dla ciebie to nie pierwszyna.

– Dlaczego tak uważasz?

– Jedyńca w rodzinie lekarzy. Coś mi mówi, że miałeś okazję doświadczyć luksusu.

– Masz rację. Wychowywali mnie z miłością, dawali, czego zapragnęłam, zawsze powtarzali, że mogę osiągnąć wszystko, jeśli tylko się przyłożę. Podobno nie wolno mi nigdy tracić wiary w siebie, tak? Ale tracę. Prawie codziennie. Ta praca, tylu ludzi, którzy na mnie polegają. Co będzie, jak pomyślę się o jedno miejsce po przecinku w dyspozycji? Albo nie wyłapię, jak pomylił się ktoś inny... Zdarzyło mi się coś takiego, kiedy byłam na stażu. Nadęty prowadzący bardziej przejmował się wystawianiem rachunków niż dbaniem o swoich pacjentów, wypisał dyspozycję podania insuliny diabetykowi. Sto razy za dużo. Mielibyśmy nagły zgon i wszyscy by się dziwili dlaczego.

– Zauważyłaś? – spytał Jeremey.

Angela pokiwała głową. Kelnerka o lalkowatej urodzie przyniosła im darmowy likier melonowy w maleńkich, zielonych kieliszkach i lakierowaną tackę smażonych przekąsek. Angela ujęła w palce swój kieliszek. Podniosła maleńką ośmiorniczkę.

– To zbyt okrutne – mruknęła i odłożyła ją z powrotem.

– A więc uratowałaś człowiekowi życie. Powinnaś się cieszyć.

– Niewiele brakowało, a bym tego nie zauważyła, Jer. Strzykawka była już pełna, przygotowała ją pielęgniarka, ja miałam zrobić zastrzyk, ale przypadkiem zerknęłam na dyspozycję. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy tamtego pacjenta. To był starszy facet, krzepki gość, który za młodu pracował ciężkim sprzętem i wciąż lubił flirtować. Musiał zobaczyć moją twarz, zauważył, jak bardzo mnie trzepnęło. Spytał: Wszystko gra, mała? Jasne, odpowiedziałam i odstawiłam cały kabaret ze sprawdzaniem strzykawki. Potem skłamałam, powiedziałam mu, że coś jest nie tak z igłą, że za dużo w środku bąbelków powietrza i że musimy założyć nową. Zostawiłam go, wywaliłam tę cholerną strzykawkę do najbliższego kosza na odpady biologiczne, zwołałam dyżurną pielęgniarkę i pokazałam jej dyspozycję. To była mądra kobieta, doświadczona, znała się na dawkach lepiej niż niejeden lekarz. O rany, powiedziała, potem się otrząsnęła i dodała: Oczywiście nikomu o tym nie powiemy, prawda? A ja na to: Oczywiście, że nie. Zasugerowała, żebym poprawiła dyspozycję, i ja to zrobiłam. Potem naciągnęłam nową strzykawkę, wróciłam i wstrzyknęłam tamtemu biedakowi insulinę. Uśmiechnął się do mnie. No, jesteś, stęskniłem się za tobą. Może moglibyśmy razem gdzieś wyskoczyć, słodziutka, trochę się razem pokręcić, co? Też się do niego uśmiechnęłam, byłam za bardzo wstrząśnięta, żeby się obrazić, a poza tym, to był starszy facet, inne pokolenie, jak można się na takiego obrazić? Powiedziałam: No, panie Takitoataki, nigdy nic nie wiadomo. A kiedy wychodziłam, pokręciłam trochę tyłkiem. Żeby go rozweselić. Wiem, że to było trochę prymitywne, ale niewiele brakowało, a facet by umarł, i to ja bym go zabiła. Zasłużył na trochę rozrywki, prawda? I na jakies zadośćuczynienie też.

Drżały jej usta. Podniosła maleńki zielony kieliszek i jednym haustem wypija likier.

– Niby za co? – spytał Jeremey. – To ty byłaś bohaterem w tej historii.

– Czysty fart. Tak mało brakowało. Od tamtej pory mam bzika na punkcie dawek, sprawdzam wszystko po dwa, trzy razy. Może dzięki temu będę lepszym lekarzem. Wiesz, co w tym wszystkim było najgorsze? Tamten prowadzący, ten dureń, który nie umiał liczyć miejsc po przecinku, nigdy się o niczym nie dowiedział. Kryłyśmy go, nawet jemu nic nie powiedziałyśmy. Więc kim ja jestem? Współspiskowcem?

– Gdybyś mu powiedziała, to by się wyparł. I wszystko skupiłoby się na tobie.

– Wiem, wiem – przytaknęła ponuro Angela. – To miał być romantyczny wieczór, przepraszam, Jer.

Jeremey pogłaskał ją po ciepłym, miękkim miejscu za uchem. Kobiety są takie łagodne. Tak delikatne.

– Cudowny z ciebie facet – powiedziała. – Proszę, niech tak zostanie.

Tydzień później dostał pocztówkę z Oslo.

Niesamowite zdjęcie, z miejsca zwanego parkiem rzeźb Vigelanda. Monumentalne rzeźby nadludzko umięśnionych postaci ludzkich stały wśród parkowej zieleni. Jeremy uznał, że postacie są agresywnie proletariackie – wagnerowskie.

Z drugiej strony kartki skreślono odręcznie wiecznym piórem, pochyłym pismem:

Drogi doktorze C

Podróżuję i się uczę.

A.C.

Stary ot tak zbiera się i wyjeżdża. Bo niby czemu nie? Jest na emeryturze, mieszka sam, nie ma żadnych zobowiązań.

Zmienił lokum na mniejsze.

Jeremy był pewien, że Arthur nie dlatego wyprowadził się z wiktoriańskiego domu, że nagle stwierdził, iż jest dla niego za duży.

Ramona Purveyance знаła prawdziwą przyczynę i prawie ją zdradziła – mieszkał tam o wiele za długo, po...

Ale kiedy Jeremy zaczął drażnić, wykreśliła się zręcznie od odpowiedzi.

Czy w życiu Arthura rozegrała się jakaś tragedia? Coś, co je zmieniło? Może doświadczył jednej z odwiecznych życiowych tragedii: wdowieństwa.

Strata żony, jak Jeremy sobie wyobrażał, wystarczyłaby, żeby Arthur przestał być towarzyski. Żeby zaczął szukać przyjemności gdzie indziej.

Choćby w spotykaniu się na późnych kolacjach z podobnymi sobie ekscentrykami.

Jeremy schował pocztówkę do szuflady biurka. Kiedy znów zajrzał do Anny, sekretarki, podziękował jej za adres Arthura, powiedział, że staremu doktorowi bardzo podobał się prezent i że Arthur wyjechał.

– Tak, często wyjeżdża – odparła. – Przysyła mi śliczne pocztówki. To bardzo miłe, że pamięta.

– Dobry sposób, żeby się czymś zająć – powiedział Jeremy.

– Co takiego?

– Podróże. Skoro mieszka sam i w ogóle.

– Na pewno ma pan rację.

– Od jak dawna profesor jest samotny?

– Odkąd go znam. Chyba zawsze był sam, doktorze Carrier. Zaprzysięgły kawaler i tak dalej. Szkoda, nie sądzi pan? Taki miły mężczyzna.

Mieszkać samotnie oznacza, że można skoczyć na lotnisko, poczarować panią w kasie

biletowej, wejść na pokład samolotu, rozwiązać sznurówki, pochrupać solone orzeszki, łyknąć martini z dwiema cebulkami perłowymi i usiąść wygodnie w oczekiwaniu na długi lot.

Może więc to Arthur stał za międzyoddziałowymi kopertami, wysłał Jeremy'emu dwa artykuły o chirurgii laserowej i wyjechał z kraju wkrótce po wysłaniu starego wycinka o zaginionej Angielce i jej zamordowanej psiapsiółce.

Jeremy założył, że to stary artykuł, bo papier był suchy i zbrązowiały. O co w tym chodziło? Lekcja historii zbrodni? Jeremy miał się zastanowić nad jeszcze jednym przykładem bardzo złego zachowania?

Arthur chciał go do czegoś doprowadzić...

Jeśli tak, jego tajemniczość była nie do zniesienia.

Gdzie się podział ten wycinek... Jeremy przeszukał biurko i przypomniał sobie, że go wyrzucił. Jak się nazywała ta zamordowana dziewczyna... Suzie Jakaśtam, nazwisko zaczynało się na C... Zmagał się z pamięcią, czuł, że wspomnienie mu umyka, pozostawia kwaśny posmak na miękkiej, gąbczastej tkance za językiem...

Ale drugie nazwisko przyszło mu na myśl mimo woli.

Dziewczyna, która zniknęła, niespotykane nazwisko: Sapsted, Bridget Sapsted.

Włączył swój przestarzały komputer, przetrzymał popiskiwanie kapryśnego modemu (szpital przeszedł na system komputerowy znacznie później niż pozostałe placówki i wciąż nie chciał założyć stałych łączy), usiadł wygodnie i zaczął liczyć kropki na panelach podwieszanego sufitu, aż w końcu połączył się z Internetem.

Wpisał nazwisko zaginionej dziewczyny do wyszukiwarki, komputer zaczął szumieć, prychać i puszczać bąki – jakby przejadł się danymi i miał teraz niestrawność.

Trzy trafienia, wszystkie z brytyjskich brukowców.

Sprawa wcale nie była taka stara: zaprawiony tragedią papier szybko niszczał.

Sześć lat temu, jak napisano w wycinku, Bridget Sapsted zaginęła.

Dwa lata później Bridget Sapsted została znaleziona martwa.

Szkieletowe szczątki dziewczyny były płytko zakopane w gęsto zalesionym terenie, niecałe pięćset metrów od zwłok jej przyjaciółki Suzie Clevington. Znaleziono ją trzy tygodnie później. Nie zostało nic oprócz kości: według oceny koronera Bridget Sapsted leżała w ziemi pełne dwa lata, zanim wywahały ją psy.

Znalezienie Suzie pomogło zawęzić zakres poszukiwań – powiedział detektyw inspektor Nigel Langdon. – Uważamy teraz obie młode kobiety za ofiary tego samego mordercy. Z powodów proceduralnych w chwili obecnej nie możemy podeprzeć tego założenia żadnymi wyjaśnieniami.

Jeremy wpisał nazwisko policjanta do kilku wyszukiwarek. Tylko jedno trafienie i to bez związku z pracą policyjną: w zeszłym roku niejaki Nigel Langdon wygłosił wykład o uprawie

peonii w Klubie Ogrodniczym Milicent Haverford Memorial. Kent.

Ten sam okręg, a więc to musiał być ten sam człowiek. Może detektyw inspektor też przeszedł na emeryturę i znalazł sobie spokojniejsze zajęcie.

Jeremy zadzwonił do informacji zagranicznej, kilka razy mu się nie powiodło, w końcu połączył się z właściwą angielską centralą i zdobył numer domowy Nigela Langdona w Broadstairs.

Gdzie zamordowane dziewczyny chodziły do szkoły.

Z powodu różnicy czasu w Anglii był wieczór, ale na tyle wczesny, by można było zadzwonić.

Jeremy wystukał numer, zaczekał, słuchając zamorskich popiskiwań, i na moment zamarł w osłupieniu, kiedy w słuchawce zaczął wesoły, kobiecy głos.

– Halo, kto mówi?

– Czy mogę poprosić z panem Langdonem?

– Ogląda telewizję. Kto dzwoni, gdyby spytał?

– Doktor Carrier, ze Stanów Zjednoczonych.

– Ze Stanów... Pan żartuje.

– W żadnym razie. Rozmawiam z panią Langdon?

– O ile mi wiadomo, tak. To nie żart? No więc? Jakiej specjalności amerykańskim lekarzem pan jest?

– Psychologiem. Jestem przyjacielem doktora Arthura Chessa.

– Doprawdy? – odparła kobieta. – Na pewno bardzo się z tego ucieszy, kimkolwiek jest. A więc uważa pan, że Nige potrzebuje lekarza od głowy?

– Nic z tych rzeczy, pani Langdon. Doktor Arthur Chess... Profesor Chess jest znanym patologiem, który interesuje się jedną ze spraw pana Langdona... Mówimy o detektywie inspektorze Nigelu Langdonie?

– Emerytowanym inspektorze... Nigey ma te paskudztwa już za sobą... To te zamordowane dziewczyny, prawda? Na pewno tak.

– Rzeczywiście, tak...

– Aha! I kto jest w tej rodzinie detektywem? – roześmiała się kobieta.

– Skąd pani wiedziała? – spytał Jeremy.

– Bo to jedyna sprawa, jaką zajmował się Nige, która mogłaby interesować psychologa. To musiał być wariat... Ale nic więcej nie powiem. Dyskrecja i w ogóle. Czego pan i pana przyjaciel profesor chcecie od Nigeja?

– Chciałbym mu zadać tylko kilka pytań.

– Pan i wszyscy inni.

– Ktoś się ostatnio interesował tą sprawą?

– Ostatnio nie. Ale po tym, jak to się stało, kiedy znaleźli tę drugą, Bridget, telefon po prostu się urywał. – Chwila milczenia. – Dzięki Bogu mamy to już za sobą. A więc chce pan z nim

porozmawiać, tak?

- Byłbym wdzięczny. Tylko kilka...
- Chyba nic się nie stanie. Narzekał ostatnio na nudę. Nige!

Mężczyzna mówił niewyraźnie, jakby miał usta pełne jajecznicy.

– O co chodzi? – zapytał. – To ma jakiś związek z Suzie i Bridget? Kim pan jest? Co to ma znaczyć?

Jeremy naopowiadał mu o umiejętnościach badawczych Arthura, o dyskusjach, jakie ze sobą prowadzili na temat ważnych przypadków, o tym, że starzec poprosił go, by zajął się psychospołecznym aspektem spraw, które według niego pozostawały nierozwiązane.

– No, ta na pewno jest nierozwiązana – mruknął Nigel Langdon. – Nie zamknęliśmy jej. Same niespodzianki. Skoro były dwa trupy, uznałem, że to będzie seryjniak, sam pan rozumie. Ale na tym się skończyło, na dwóch. Drań zmasakrował te biedne dziewczyny i zniknął. Jedna z nich miała chłopaka, kawał drania, siedział w Broadmoor za napad, byłem pewien, że to on. Ale miał alibi. Siedział w Broadmoor, sam pan przyzna, że trudno o lepsze. Poza nim, nikogo. A teraz dobranoc...

– Zmasakrował – powiedział Jeremy. – Czy były ślady gwałtu?

– Mówiłem... ogólnie, proszę pana. Czemu miałbym udzielać panu takich informacji? To trochę aroganckie...

– Jeszcze jedno pytanie, inspektorze Langdon. Proszę. Czy morderstwa nosiły ślady chirurgicznej precyzji?

Cisza.

– O co – zapytał Langdon – tak naprawdę pan pyta?

– Właśnie o to. Czy ciała były pokrojone... umiejętnie? Czy coś sugerowało umiejętności lekarskie?

– Mówi pan, że skąd dzwoni, chłopcze?

– Z Centralnego Szpitala Miejskiego. – Jeremy wyrecytował adres, powiedział Langdonowi, że z przyjemnością poda mu swój numer telefonu, żeby inspektor mógł zadzwonić i go sprawdzić.

– Skąd taka ciekawość ze strony Centralnego Szpitala Miejskiego? – przerwał mu Langdon.

– Już mówiłem, inspektorze. Nie tylko ciekawość, ale i głęboka troska profesora Chessa i moja o sprawy psychospołeczne. Źródła przemocy.

– Macie tam taki sam przypadek, prawda?

Jeremy się zawahał.

– Ja tu o wszystkim opowiadam – zdenerwował się Langdon – a pan udaje głupiego?

– Może i mamy, inspektorze. Ale to nic pewnego. Profesor Chess jest patologiem, pracował w biurze koronera tu, na miejscu. Razem zajmujemy się sprawami... Nigdy pan nie słyszał o profesorze Chessie?

– Chess... jak szachy? – Właśnie.

– Nie, chyba go nie znam.

– To naukowiec światowej sławy – powiedział Jeremy. – Wyjechał właśnie do Oslo.

– Nieźle – odparł Langdon. – Jako taka większa rybacka wioska, Oslo jeszcze ujdzie. Ale ci ludzie. Sardynki i oliwa to wszystko, co ich interesuje.

W sumie, nic dziwnego, ha, ha. Przywykli do jedzenia swoich tłustych ryb i dorobili się na ropie, ci Nordycy. Są gorsi niż Arabowie. Tyle forsy, a nie mogą się ogarnąć i zainstalować kanalizacji w letnich domach, ciągle chodzą z plecakami. Widzi pan w tym jakąś logikę, żeby bogaci ludzie obchodzili się bez kanalizacji w domach?

Długa przemowa. Langdon podniósł głos – jakby niespokojny – a Jeremy zaczął się zastanawiać, czy inspektor nie trajkocze tak, żeby coś ukryć.

– Pan był w Oslo, inspektorze.

– Bywało się tu i tam. A teraz skończymy tę rozmowę, bo wyciąga pan na światło dzienne i przypomina mi różne paskudne rzeczy. Wolę kwiaty, lubię kwiaty. Kwiaty nie zarzynają się nawzajem bez powodu, a potem nie znikają i nie pokazują swoich wstrętnych, psychopatycznych mord.

Prychnął i rzucił słuchawką.

Langdon był w Oslo i nie chciał o tym rozmawiać. Jeremy się nad tym zastanowił i uznał, że nic więcej nie wymyśli. Koniec, kropka.

Ale wcale tak nie było. Dwa dni później dostał e-mail [od NigelLflour@uklink.net](mailto:odNigelLflour@uklink.net). Jako detektyw z krwi i kości, Langdon zapamiętał nazwisko Jeremy'ego i nazwę szpitala, wytropił stronę jego oddziału i zdobył jego adres.

Drogi doktorze Jeremy Carrier

Obawiam się, że potraktowałem Pana niepotrzebnie ostro podczas naszej niedawnej rozmowy. Szorstkość tę tłumaczy pewnie fakt, że zaskoczył mnie pan niezapowiedzianym telefonem i nieprzyjemnym tematem w spokojny poza tym wieczór.

Uważam jednak, że jestem zobowiązany przekazać panu następujące informacje:

Co do pańskich pytań o różne aspekty spraw, o których rozmawialiśmy i za które nie jestem już odpowiedzialny, obawiam się, że nie wolno mi zdradzać szczegółów. Zwłaszcza że, jak mówiłem, sprawy te pozostają otwarte. Aktami Clevington/Sapsted zajmuje się teraz detektyw inspektor Michael B. Shreve, choć z tego, co wiem, nie prowadzi aktywnego dochodzenia, gdyż sprawy te uznano za wstrzymane do czasu uzyskania nowego materiału dowodowego, którego, według moich informacji, dotąd nie zdobyto. Stąd też jest wysoce prawdopodobne, że pozostają w zawieszeniu.

Podaję jednak panu nazwisko detektywa inspektora Shreve'a i uważam, że czyniąc to, spełniam swoją powinność w tej materii.

Co więcej, wątpię, by detektyw inspektor Shreve zechciał rozmawiać o owych sprawach z osobami cywilnymi. Podaję jednak jego telefon, gdyby mimo wszystko postanowił pan próbować. Z najlepszymi życzeniami,

Nigel A. Langdon (zdecydowanie emeritus)

Jeremy zadzwonił do Michaela B. Shreve'a i usłyszał od oficera dyżurnego, formalisty, że detektyw inspektor jest na urlopie.

– Do kiedy?

– Do swojego powrotu, proszę pana.

– A kiedy to może nastąpić?

– Nie wolno mi zdradzać szczegółów osobistych, proszę pana.

Jeremy podał mu swoje nazwisko i numer telefonu i wyjaśnił, że interesują go Suzie Clevington i Bridget Sapsted. Jeśli nazwiska te mówiły coś panu formalistcie, nie zdradził się z tym.

– Czy inspektor jest w Norwegii?

– Dziękuję, proszę pana. Miłego dnia, proszę pana.

Rozdział 26

Coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Jeremy zapomniał wyłączyć pager, który odezwał się podczas sesji terapeutycznej.

Pacjentem był trzydziestoletni Josh Hammett, elektryk, przechodzący ostatnią fazę przeszczepu skóry po głębokich oparzeniach, których doznał ubiegłego roku, kiedy zerwany przez burzę przewód wysokiego napięcia rozharatał mu pierś i obciął lewą rękę.

Kilka miesięcy po amputacji odezwały się bóle fantomowe, a skoro nic innego nie pomagało, chirurg plastyczny wezwał na pomoc psychologa.

To było szóste spotkanie Jeremy'ego z młodym mężczyzną. Josh doskonale poddawał się hipnozie; bez problemu, a nawet z ochotą przyjął sugestię Jeremy'ego, że jego ręka spoczywa w spokoju.

Teraz leżał na leżance w sali terapeutycznej, a Jeremy siedział u jego wezglowia. Pacjent oddychał powoli i regularnie, a na ustach miał niewinny uśmiech śniącego niemowlęcia.

Pisk dobywający się z paska Jeremy'ego nie obudził go. Był pod głęboką hipnozą. Jeremy wyłączył pager, zostawił Josha w krainie snów trochę dłużej niż zwykle, potem stopniowo go wybudził. Kiedy młody mężczyzna podziękował mu i powiedział, że czuje się świetnie, po prostu świetnie, wprost fantastycznie, Jeremy odwzajemnił komplement.

– To wszystko pana zasługa, Josh. Jest pan w tym doskonały.

– Tak pan myśli, doktorze?

– Oczywiście. Zrobił pan po prostu wszystko najlepiej jak można.

Josh rozpromienił się z dumy.

– Nigdy nie sądziłem, że dam radę, doktorze. Prawdę mówiąc, kiedy pierwszy raz pan o tym wspomniał, pomyślałem, że to jakieś czary-mary. Ale pomysł z tablicą rozdzielczą był doskonały. Kiedy tylko ją sobie wyobrażam, wszystkie obwody na swoim miejscu, widzę te wszystkie migające światełka, wszystko działające bez zarzutu, od razu wpadam. O, tak. – Pstryknął palcami swojej jedynej dłoni. – Dzisiaj – ciągnął – naprawdę się wczułem. Wyobraziłem sobie, że jestem na rybach, na wodzie. Holowałem szczupaki w takich ilościach, że ledwie mieściły się w łodzi. Mówię panu, czułem ich zapach, jak smażyły się na patelni.

– Niech pan zostawi trochę dla mnie.

– No jasne, doktorze.

Jeremy wyszedł z sali zadowolony. Numer Angeli na wyświetlaczu pagera wywołał uśmiech na jego twarzy.

– Mam pół godziny – powiedziała, kiedy zadzwonił do niej na oddział chorób płuc. – Co powiesz na kawę i ciastko w stołówce?

– Już biegnę.

Kiedy dotarł do lekarskiej stołówki, Angela siedziała przy stoliku z Tedem Dirgrove'em, kardiochirurgiem. Przed nią stały filiżanka kawy i talerzyk z pączkiem nadziewanym czekoladą. Przed Dirgrove'em nic. Chirurg nie miał już na sobie czerwonego kitla, był ubrany w zapięty biały fartuch. Spod wycięcia w serek wyglądała czarna koszulka.

Bardzo modna.

Wstał, kiedy Jeremy podszedł.

– Jeremy.

– Ted.

Dirgrove odwrócił się do Angeli.

– Będę to robić w czwartek, więc jeśli chce pani popatrzeć, nie mam nic przeciwko temu, proszę tylko dać znać mojej sekretarce.

– Dziękuję, doktorze Dirgrove.

Dirgrove spojrział znów na Jeremy'ego.

– Zamierzałem do ciebie zadzwonić w sprawie tej dziewczyny, Saunders.

– Wszystko w porządku?

– Nie. – Chirurg rozprostował swoje pajęczne palce, a jego koścista twarz zeszywniała. – Umarła na stole.

– Boże. Co się stało?

Dirgrove potarł oko.

– Prawdopodobnie reakcja na narkozę, wiesz, idiopatyczna. Jej odczyty zupełnie oszalały, najpierw wystrzeliły w górę, jak się tego obawiałem, a potem poleciały na łeb na szyję. W pierwszej chwili byłem pewien, że to typowy błąd anestezjologa. Rura w przetyk zamiast w tchawicę, bo nagle spadła jej oksygenacja. Kiepska sprawa, ale to się zdarza; jak się szybko zauważy, można jeszcze coś zrobić. Anestezjolog sprawdził i wszystko było jak trzeba. Po prostu nie był w stanie jej utrzymać. Otworzyłem ją, odciągnąłem mostek, właśnie dotarłem do serca.

Dirgrove relacjonował wypadek głuchym głosem, jakby mówił przez bambusową tubę. Oczy miał zmęczone, ale rano dokładnie się ogolił i wyglądał porządnie.

– Wszystko szło świetnie, a potem nagle zgasła. Co zrobić.

Jeremy przypomniał sobie pucołowatą, młodą kobietę z kolczykami w uszach i rozczochranymi włosami. Tyle w niej było gniewu. Dirgrove wybrał ją jako przypadek wysokiego ryzyka.

„Przyjechałam do tej nory zdrowa... a jak się jutro obudzę, to będę się czuła, jakby przejechała mnie ciężarówka”.

„Jest pani dorosła i chodzi o pani ciało... a więc jeśli ma pani poważne... zastrzeżenia...”

„Nie. Ja też się nie będę przejmować... Co się może wydarzyć najgorszego, umrę?”

– Paskudna sprawa – powiedział Jeremy.

– Jak cholera. – Dirgrove pokręcił ramionami. – Niedługo powinny przyjść wyniki autopsji. Nie ma sensu tego rozpamiętywać.

Poszedł.

– Biedak – szepnęła Angela.

– Biedna pacjentka – poprawił Jeremy.

Powiedział to ostrym tonem i Angela zbladła.

– Masz rację, przeprasza...

– To ja przepraszam – przerwał jej. – Zdenerwowałem się. – Usiadł naprzeciw niej, wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń koniuszkami palców. Były zimne, suche. – Zaskoczyło mnie to. Nie odzywał się po operacji, więc zakładałem, że...

– To okropne. Jest jeszcze jakiś powód, dla którego jesteś zdenerwowany?

– Za dużo pracy, za mało zabawy.

– Chciałabym się z tobą pobawić, ale mnie też wyzyskują.

Spojrzał na jej pączka.

– Weź, ja już nie chcę – powiedziała.

– Na pewno?

– Więcej niż na pewno.

Oderwał kawałek, przeżuł, połknął.

– Nie chciałem na ciebie warczeć.

– Nic się nie stało. Nie powinien być tak nagle ci tego mówić. Pewnie zrobiło mi się go żal, bo postawiłam się na jego miejscu. Wszyscy się tego boimy i wcześniej czy później każdemu musi się to przydarzyć. Ja już straciłam parę osób, ale nie byłam lekarzem prowadzącym, to nie byli tak naprawdę moi pacjenci. To duży plus tego, co robisz, prawda? Pacjenci nie umierają. Przynajmniej w większości.

– Zawsze jest jeszcze samobójstwo.

– Tak. Oczywiście. Co ja sobie wyobrażałam? – Angela cofnęła rękę, przeczesała włosy. Miała zapuchnięte, zmęczone oczy. – Nie idzie mi najlepiej, co? Za dużo pracy, za mało zabawy. Ale kolacja była świetna. Wspaniale było się tak oderwać. Podoba mi się to, co dla mnie robisz, Jeremy. – Znów podała mu dłoń. Całą dłoń. Już trochę cieplejszą. – Mogę cię o coś zapytać? Kiedy coś takiego się dzieje, samobójstwo albo kiedy umiera pacjent, którym się zajmowałeś, jak ta dziewczyna, jak sobie z tym radzisz?

– Trzeba samego siebie przekonać, że zrobiło się wszystko, że nie można było lepiej, i żyć dalej.

– Coś takiego właśnie powiedział Dirgrove. Nie ma sensu rozpamiętywać.

– Zgadza się. Nie można być robotem, ale opłakiwać wszystkich w nieskończoność też nie.

– A więc nauczyłeś się to robić. Dystansować się.

– Trzeba się tego nauczyć. Inaczej człowiek więdnie.

– Pewnie tak.

– Chcesz kawy?

– Nie, dzięki.

Jeremy wstał, nalał sobie kubek kawy z dzbanka lekarzy i wrócił.

– Ta dziewczyna, która zmarła – powiedziała Angela. – Myślisz, że Dirgrove mógł się słusznie czegoś obawiać?

– Że co, że umrze ze strachu?

– Nie, nie tak... Tak, chyba o to właśnie mi chodzi. Czy to możliwe, że działo się z nią coś, kiedy była nieprzytomna? Czy istnieje jakaś śmiertelna siła, która wzbiera w ludziach i zabija ich, sprawia, że ich układ autonomiczny wariuje, zatruwa ich organizm hormonem stresu? Jest chyba takie plemię w Wietnamie, co ma wysoki odsetek nagłych zgonów? Nic nie da się przewidzieć, prawda? Na studiach człowiek się tego wszystkiego uczy, myśli, że da sobie radę. A potem widzi: pacjentów, którzy przychodzą w beznadziejnym stanie, a jednak wracają do zdrowia i wychodzą o własnych siłach, i innych, z którymi nie jest wcale źle, a mimo to kończą w złej rubryce raportów Ch/Ś.

Choroba/Śmierć. Prawa kolumna zarezerwowana dla zgonów. Ch/Ś były wyznacznikiem pracy oddziału Arthura. Znów on... Niech sobie siedzi w Skandynawii, ze śledziem *lutefisk*, pornografią i co tam jeszcze produkują...

– A jeśli nieważne jest to, co ja robię? – pytała Angela. – Jeśli wszystko to sprowadza się do czynników psychologicznych? Albo wudu? Równie dobrze może istnieć psychiczny odpowiednik wirusa, który kolonizuje nasz instynkt przetrwania i nagina go do swojej woli. Merilee Saunders mogła czuć, jak przejmuje nad nią władzę. Dlatego się denerwowała. – Uśmiechnęła się. – Co ja plotę. Zdecydowanie brak mi snu.

Jeremy wyobraził sobie twarz Merilee. Gniewna, napięta... świadoma?

– To, o czym mówisz – odparł – to autoimmunologiczne schorzenie duszy.

Angela spojrzała na niego uważnie.

– Co się stało? – spytał.

– To, co właśnie powiedziałaś: autoimmunologiczne schorzenie duszy. Umiesz dobierać słowa. Szkoda, że tak mało mówisz. Uwielbiam cię słuchać. Milczał. Mocno ścisnęła jego dłoń.

– Naprawdę. Ja bym tego nigdy tak ładnie nie ujęła.

– „Psychiczny wirus” brzmi całkiem nieźle.

– Nie – zaprzeczyła – słowa to nie moja działka. Przez całą szkołę byłam świetna w matematyce, fizyce i chemii, ale wypracowanie na trzy strony kładło mnie na łopatki.

Oczy błyszczały jej jak w gorączce. Nad górną wargą pojawiły się kropelki potu.

– Dobrze się czujesz? – spytał Jeremy.

– Jestem po prostu zmęczona. Założę się, że wypracowania przychodziły ci bez wysiłku.

Roześmiał się.

– Gdybyś tylko wiedziała.

Opowiedział jej o swoich zmaganiach z książką.

– Dasz sobie radę – zapewniła. – Coś cię rozpraszało.

– Co?

– Ty mi powiedz.

Znów się roześmiał i zjadł resztę pączka.

– Jeremy, to ty panujesz nad słowami, a nie one nad tobą.

– Słowa to wszystko, co mam, Ang. Ciebie wspiera nauka. Dla mnie liczy się tylko to, co mówię i kiedy. Koniec, kropka. U swoich podstaw to prymitywna dziedzina...

Położyła mu chłodny palec na ustach, a on wyczuł betadynę i francuskie mydło.

– Następnym razem, kiedy się spotkamy – szepnęła – opowiesz mi więcej o sobie.

Rozdział 27

Następnym razem spotkali się dwa dni później, u Angeli. Nie miała akurat dyżuru, pracowała raptem piętnaście godzin na dobę. Jakimś cudem znalazła czas, żeby przyrządzić zapiekankę z mięsem i fasolą, do tego sałatkę z młodych jarzyn. Zjedli na kanapie z second-handu, słuchając muzyki. Angela lubiła rocka, dla Jeremy'ego zbyt nowoczesnego.

Po raz pierwszy został na noc.

Mówił. Nie o sobie, o Angeli. Mówił jej, że jest piękna, mówił, jak się czuje, kiedy jest przy niej. Nie odrywała od niego spojrzenia, dopóki rozkosz nie zmusiła jej do zamknięcia oczu. Kiedy pozmywali i wytarli talerze, wrócili na kanapę i rzucili się sobie w objęcia. Drapała go, oplatała jak krab trzymający swój obiad, a kiedy skończyli, powlekli się do łóżka i spali do rana.

Jeremy odwiózł Angelę do szpitala i odprowadził do windy. Kupił gazetę w kiosku z drobiazgami, a potem wziął kawę z automatu i zaniósł kubek i relacje o tragediach dnia do swojego gabinetu.

Leniwie przrzucał strony; to samo, co zwykle. A potem zapało mu dech w piersiach, kiedy zobaczył artykuł na końcu działu wydarzeń w mieście.

W nocy zamordowano kobietę, na wschód od Iron Mount, niedaleko miejsca, w którym zmasakrowano Tyrene Mazursky. Bezimienną kobietę. Jej zwłoki zostawiono na widoku, na piaskowym cyplu nazywanym Palcem Saugatuck, na północ od portu.

Jeremy znał to miejsce – trzysta metrów żwiru w kształcie bumerangu, otoczone z trzech stron sosnami i świerkami, ze stołem piknikowym, skleconym byle jak z kilku desek. Można tam było tylko grzebać w piasku albo brodzić po żwirowym dnie w wodzie, która wyglądała na czystsza, niż była w rzeczywistości. Czasem zatoka śmierdziała. W ciepłe miesiące na cypel przyjeżdżały rodziny biedaków – na piknik.

Kiedy niebo przybierało barwę żelaza, nikt nie przyjeżdżał. Miejsce pustoszało. W nocy było tam upiornie.

Artykuł nie podawał żadnych szczegółów, autor nie próbował łączyć tego morderstwa z zabójstwem Tyrene Mazursky.

Humpty-Dumpty na plaży?

Jeremy już chciał dzwonić do Doresha, ale się rozmyślił. Odłożył gazetę i zabrał się do prawie skończonego już szkicu rozdziału. Pora zasłużyć na pochwały Angeli. Przyszło mu do głowy jeszcze kilka tez, które zamierzał dodać.

Ostatecznie rozdział okazał się prawie dwa razy dłuższy niż w zamierzeniu.

Jeremy wiedział natomiast więcej, niż mu się wydawało.

Nie wiedział nic o kobiecie z Palca Saugatuck.

– Pieprzyć to wszystko – powiedział i cały ranek spędził na pisaniu.

Następnego dnia, kiedy miał właśnie wyjść na lunch, zadzwonił do niego z Anglii detektyw inspektor Michael Shreve.

Która tam była godzina? Dziewiąta wieczorem. Shreve wydawał się rzeński. Po głosie sądząc, był od Nigela Langdona młodszy i bardziej zrównoważony. Głos miał wyraźny, wymowę człowieka wykształconego. Serdecznie odpowiedział na pozdrowienie Jeremy'ego.

– Dzień dobry, doktorze.

– Dziękuję, że pan oddzwonił, inspektorze.

– Musiałem. Zadzwonił do mnie lekarz z Ameryki, ciekawość wzięła górę. Niech mi pan powie, o co chodzi.

Jeremy sprzedał mu tę samą historyjkę, którą opowiedział Langdonowi.

– Profesor Arthur Chess – powtórzył Shreve.

– Zna go pan?

– Nie, ale może powinienem... To ktoś w rodzaju waszego miejscowego Sherlocka Holmesa?

– Niezupełnie – odparł Jeremy. – To po prostu szanowany lekarz o ciekawym usposobieniu.

– Pracuje pan z nim.

– W Centralnym Szpitalu Miejskim.

– Rozumiem. I profesor Chess rozmawiał z panem o naszych dziewczynach.

– Przesłał mi stary wycinek z prasy, dotyczący tej sprawy. Rozmawialiśmy o źródłach przestępczej przemocy. Przypuszczam, że uznał to za dobry przykład.

– Przesłał panu? – zdziwił się Shreve. – Podróżuje.

– Dokąd wyjechał? – Do Oslo.

– Ach – powiedział Shreve. – Nie najgorsza pora roku na północne regiony, ale i nie najszcześniejsza. Mają tam teraz trochę światła dziennego, to wszystko.

Podobnie jak Langdon, Shreve mówił o Norwegii, jakby tam był.

– Zna pan Oslo, inspektorze?

– Jako turysta... Czy ciekawość tego Chessa skupia się na jakimś konkretnym aspekcie naszej sprawy?

– Jak już mówiłem, interesuje się genezą przemocy. – Jeremy zaryzykował bezczelne kłamstwo. – Pojawiło się również pytanie o chirurgiczne cechy morderstwa.

– Czy to... Czy to profesor Chess zadał to pytanie?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie umiem na to odpowiedzieć, inspektorze. Poruszył tę kwestię. Zanotował coś takiego na wycinku: Drogi Jeremy, czy sądzisz, że możemy tu mieć do czynienia z chirurgią?

O, jak spletaną sieć tkamy.

– Hm – mruknął Shreve. – Patolog... Myśli pan, że wiązał przypadek naszych biedaczek z jakąś swoją sprawą?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie zajmuje się już medycyną sądową;

– Ale kiedyś się zajmował.

– Lata temu. Panie inspektorze, przed jego wyjazdem zamieniliśmy ledwie kilka słów. Potem dostałem wycinek. Było tam też nazwisko inspektora Langdona, no i zadzwoniłem do niego z ciekawości. Skierował mnie do pana, więc zrobiłem to samo. Prawdopodobnie przesadziłem, tylko zająłem panu czas. Przepraszam.

– Z Oslo – powiedział Shreve, jakby tego wszystkiego nie słyszał. – Stamtąd przyszła kartka.

– Tak. Było na niej zdjęcie parku rzeźb Vigelanda.

– Aha... Cóż, proszę pana, jak pan wie, te sprawy pozostają otwarte, więc niestety nie mogę panu zdradzić żadnych szczegółów. Może pan jednak przekazać swojemu profesorowi, że wciąż szukamy rozwiązania, nikogo nie wyeliminowaliśmy.

– Powtórzę mu.

– Według życzenia, doktorze. Miło było z panem rozmawiać.

Obaj detektywi byli w Norwegii, a teraz pojechał tam Arthur. Norwegia wzbudziła zainteresowanie Shreve'a.

Coś na północy miało związek z morderstwami w Anglii? Z morderstwami tutaj?

Jeremy przypomniał sobie autorów pierwszego artykułu o laserach. Okuliści z Norwegii, Rosji i Anglii. W drugim reprimendzie Amerykanie.

Wyrzucił oba.

Zalogował się do bazy danych Ovid, wycężył pamięć, żeby przypomnieć sobie dokładny tytuł norweskiego artykułu, ale daremnie. Pomogła mu trochę znajomość daty – sprzed siedemnastu lat – i ostatecznie, przejrzawszy trzydzieści kilka odnośników, trafił na właściwy.

Siedmiu autorów. Trzech oftalmologów z Królewskiej Akademii Medycznej w Oslo, tyłuż moskiewskich okulistów na urlopach naukowych w norweskiej stolicy i brytyjski fizyk, pracujący dla producenta lasera.

Żadne z nazwisk nic Jeremy'emu nie mówiło. Spisał je wszystkie na kartce i ją schował. Bez konkretnego powodu; miał już po prostu dość wyszukiwania pogubionych informacji.

Resztę poranka spędził na zebraniach oddziału psychiatrii. Bezsensowna strata czasu, to samo, co zwykle. Udawał, że słucha, wykręcił się od zaproszenia trzech innych psychiatrów na drugie śniadanie i wrócił do siebie.

Pod drzwiami gabinetu czekał detektyw Bob Doresh.

Rozdział 28

Dzień dobry, doktorze.

– Dzień dobry, detektywie.

– Mogę wejść?

Jeremy pchnął drzwi i przepuścił zwałistego Doresha przodem. Policjant miał na sobie szaroniebieski płaszcz przeciwdeszczowy i czuć go było morską wodą. Był tak potężnej postury, że przy nim gabinet wydawał się jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości. Doresh stał, z grubymi rękami spuszczoneymi wzdłuż boków, dopóki Jeremy nie wskazał mu krzesła.

– A więc, doktorze, jak leci?

– Przyjechał pan w sprawie tej kobiety na Palcu Saugatuck – powiedział Jeremy. – Znów sytuacja z rodzaju Humpty-Dumpty?

Doresh popatrzył na ekspres do kawy. Na brązową lurę, którą Jeremy wciąż codziennie parzył, ale rzadko pijał.

– Zwietrzała, ale niech się pan częstuje, detektywie.

– Dzięki.

Doresh sięgnął po kubek, udało mu się go napełnić bez wstawania. Napił się, skrzywił, odstawił kubek.

– Uprzedzał mnie pan. Był pan kiedyś na Palcu?

– Kilka razy – odparł Jeremy. – Czasami jeżdżę tam w lecie.

– Ładne miejsce.

– Czy ja wiem? Kiedy się dokładniej przyjrzy wodzie, widać brud. Wychowywałem się daleko od wody, więc wiele mi do szczęścia nie trzeba. Kto to był?

– Jeszcze jedna – powiedział Doresh.

– prostytutka?

Detektyw nie odpowiedział.

– A pan przyjechał tu, bo...? – zapytał Jeremy.

– Pana ostatni telefon, w sprawie tej Mazursky... Od razu się zorientowałem, że bardzo pana to wszystko interesuje. Mój partner i ja nie zrobiliśmy żadnych większych postępów w tej sprawie, pomyślałem więc, że może skorzystam z pana przemyśleń.

– Brawo. – Jeremy poluzował krawat. – Pieprzenie. Gówna prawda.

Doresh założył nogę na nogę, zakołysał grubą kostką i zrobił urażoną minę.

– Z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu – ciągnął Jeremy – uważa mnie pan za podejrzanego o to wszystko. Jeśli chce pan się dowiedzieć, gdzie byłem wczoraj w nocy, mogę panu powiedzieć tylko tyle, że byłem w domu, oglądałem telewizję i spałem. Sam. Tym razem nie byłem dość przewidujący, żeby zamówić jedzenie z dostawą, więc żaden chłopak od pizzy tego nie potwierdzi.

– Doktorze...

– Wiem, że przestrzega pan protokołu. Lekarze też przestrzegają. Większość naszych pacjentów z rakiem leczymy według protokołu. Ale zostawiamy pewien margines na kreatywne myślenie. Oczywiście, bliscy ofiar zawsze są gruntownie prześwietlani. I choć koszmar, jaki przeżyłem po śmierci Jocelyn, pogorszył jeszcze i tak trudne doświadczenie, rozumiem to. Ale teraz, dwa inne morderstwa? prostytutki? To by nie miało sensu, przerzucanie się z własnej dziewczyny na nieznaną. To nie tak się dzieje, prawda?

Doresh podniósł kubek, zajął do środka, przełożył go do drugiej ręki.

– Jak pan sam powiedział, doktorze, zawsze zostawia się margines na kreatywne myślenie. Wystarczy odpowiednio długo kręcić się w okolicy, a zawsze coś się wydarzy.

Oparł dłoń na kolanie i nachylił się do przodu.

– Pytanie, które mi pan zadał, o chirurgiczną precyzję, skąd tak naprawdę pan to wziął?

– Już panu mówiłem...

– Moja uwaga o Humpty-Dumptym. Oczywiście. – Doresh się uśmiechnął. Zęby miał białe i równe, tylko jeden żółty kiel wystawał i zaczepiał o górną wargę. Kiedy się wywinęła, uśmiech nabral drapieżności. – I kto tu teraz pieprzy?

– Tak właśnie było – powiedział Jeremy. – Obrazy Humpty-Dumpty’ego. Szkoda, że pan to powiedział.

– Męczyło to pana, prawda?

– Przeżyłbym, gdybym tego nie wiedział.

– Zbyt bujna wyobraźnia, doktorze?

Jeremy milczał.

– Pewnie przydaje się panu przy tych wszystkich hipnozach – stwierdził Doresh. – Moja żona tego próbowała, dała się zahipnotyzować. Chciała schudnąć, więc jej lekarz wysłał ją do jakiegoś faceta w śródmieściu.

– Pomogło?

– Ani trochę. Ale to nic, kocham ją nawet grubą. – Odstawił kubek i obiema rękami nakreślił w powietrzu kształt dużej klepsydry. – Wie pan, jak to jest? Kochać kobietę tak bardzo, że nie obchodzi pana, jak wygląda ani co robi?

Jeremy poczuł na twarzy falę gorąca, a potem zimna. Miał wrażenie, że zmienia kolory jak kameleon: od czerwieni do bieli. Nie wtapiał się w tło, wręcz przeciwnie. Zdradzał swoją słabość.

Doresh mu się przyglądał. Spokojnie.

Jeremy powoli, głęboko odetchnął – zatrzymywał wściekłość głęboko w sobie, nie zamierzał podłożyć się draniowi.

– Romantyk z pana, panie Doresh. Kupuje pan żonie kwiaty? Pamięta pan o rocznicach? Mówicie do siebie zdrobnieniami?

Tym razem to detektyw zmienił się na twarzy.

– Coś jeszcze? – zapytał Jeremy.

– Skoro pan o to pyta... Rozmyślałem o doktorze Chessie. To pana kumpel, prawda? Ma jakieś teorie na temat tych spraw?

A więc o to chodzi. Detektyw inspektor Michael Shreve, dociekliwy detektyw – i podejrzliwy sukinsyn – porozmawiał przez telefon z Jeremym, a potem gorączkowo zaczął szukać za oceanem kolegi po fachu, tropiącego psychopatycznego mordercę. Coś, co Jeremy powiedział – albo czego nie powiedział – obudziło podejrzania Anglika, który postanowił to zbadać.

Pytanie o chirurgię, to musiało być pytanie o chirurgię. Co oznaczało, że Jeremy miał rację co do angielskich morderstw. Czy raczej, że miał ją Arthur.

– Doktor Chess interesuje się ogólnie zbrodnią – powiedział. – Jest patologiem, pracował kiedyś w biurze koronera.

– Naprawdę? I co o tym sądzi? W sensie wniosków.

– Tego panu nie powiem. W tej chwili doktor jest w podróży.

– Gdzie?

– W Norwegii.

– Ładne miejsce – powiedział Doresh.

On też?

– Był pan tam? – spytał Jeremy.

Detektyw prychnął.

– Nie licząc wojska, byłem za granicą dokładnie jeden raz. Cztery dni w Rzymie, wiele lat temu. Moja żona lubi dobrze zjeść. Wróciła podekscytowana tym, że nauczyła się gotować po włosku, ale robi tylko pieczeń i zapiekankę z makaronem.

Od rodzinnych opowieści Doresha Jeremy'emu cierpły zęby. Szczęściarz...

– Gdzie służył pan w wojsku, detektywie?

– Na Filipinach. A pan? Był pan w wojsku?

– Nie wie pan?

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Myślałem, że dokładnie mnie pan prześwietlił. Uśmiech Doresha zdradził, że Jeremy siebie przeceniał.

– Nie był pan w wojsku, co?

Jeremy pokręcił głową.

– Szkoda – stwierdził Doresh. – Sporo pan stracił.

– Nie wątpię. Detektyw wstał.

– Mówię to z całą powagą, doktorze. Służba krajowi, wszystko, co się robi dla innych, dobrze działa na duszę. Z drugiej strony, pan pewnie załatwia to pracą. Hipnozą czy co pan tam praktykuje.

Wspomniał o hipnozie więcej niż raz, żeby pokazać Jeremy'emu, że jednak go sprawdził.

Gierki, zawsze gierki. A tymczasem giną kobiety. Facet jest do niczego.

Jeremy wstał.

– Spokojnie, nie musi mnie pan odprowadzać – powiedział Doresh. – A jeśli znów będzie pan miał jakiś pomysł, doktorze, niech pan śmiało dzwoni.

Rozdział 29

Wizyta Doresha wstrząsnęła Jeremym.

Wparowuje tu nagle, a ja się czuję jak podejrzany. Co się ze mną dzieje?

Może to przez tę kobietę na Palcu Saugatuck, bezimienną. Tyrene Mazursky znana mu była chociaż z imienia i nazwiska. Co to miało znaczyć? Bezosobowe, ot, takie sobie ofiary? Teraz nie zasługiwały nawet na nazwisko?

Zaczął szybciej oddychać, zaszczypały go oczy. Poczuł, że dusi się w tym gabinecie. Zadzwoił na pager Angeli, ale nie oddzwoniła. Spróbował znowu, myśląc, że drugi raz oznacza, że jej potrzebuje i może jest gotowy na to, by znów się z kimś związać?

Wciąż nic.

Jestem tak zmęczony samotnością.

Studnia za oknem była czarna, a szyba zrobiła się nagle mokra i oleista. Deszcz, ostra, brudna ulewa, splunął na szkło.

Jeremy narzucił płaszcz i wyszedł ze szpitala – do antykwariatu gburowatego niemego.

Kiedy tam dotarł, płaszcz miał doszczętnie przemoczony, w butach mu chlupało, a włosy przykleiły mu się do głowy.

Na ulicy poza nim nie było nikogo. Nikt nie był tak głupi. Przed antykwariatem stał nowy model kombi. Biały, dlatego z daleka widoczny. Zaciemnione okna sprawiały, że w półmroku antykwariatu prawie nie było widać. Jeremy otworzył drzwi i wszedł do środka.

Nie było grubego mężczyzny za ladą.

Nie było lady.

Ani pótek, ani książek. Nic. Światło się paliło, ale pomieszczenie było puste, tylko jakiś płaszcz leżał na krześle, odłączona kasa stała na szarym linoleum, a podłogę zamiatała jasna blondynka.

– Biedaku... – powiedziała. – Jest pan klientem?

– Byłem.

– Nic pan nie wie. Przepraszam. Szkoda, że nie mam ręcznika czy czegoś takiego.

– Nie wiem o czym?

– Sklepu już nie ma. Ojciec zmarł.

Jeremy desperacko spróbował sobie przypomnieć nazwisko grubego... Arthur je wymienił... Renfrew. W końcu jakieś neurony zaczęły stykać gdzie trzeba.

– Pan Renfrew nie żyje? – spytał.

Kobieta oparła miotłę o ścianę i podeszła bliżej. Miała okrągłą, sympatyczną twarz, biodra, na których chciało się położyć dłonie, matczyne piersi i kręcone włosy do ramion, w najładniejszym odcieniu, jaki Jeremy w życiu widział. Mleczna cera, jasne piegi, zielone oczy, około czterdziestki. Dyskretny makijaż, bo wiedziała, że ładnie się starzeje.

Miała na sobie ubranie nieodpowiednie do sprzątanania – dobrze skrojony, miętowo-zielony kostium i pasujące do niego buty, skromny złoty łańcuszek i obrączkę z diamentami. Płaszcz na krześle był płowy, suchy, równo złożony.

– Jestem Shirley Renfrew DePaul, córka pana Renfrewa. – Rozejrzała się po pustym lokalu.
– Obawiam się, że to koniec pewnej epoki.

– Tak, to prawda. – Jeremy się przedstawił.

– Ze szpitala – powiedziała – przychodziło tu dużo lekarzy i pielęgniarek. Tata stworzył instytucję. W czasach, kiedy ta okolica należała do lepszych, wpadali tu najróżniejsi intelektualiści: pisarze, poeci, rozmaici artyści. Nie byli lojalni. To wy, ludzie ze szpitala, pomogliście tacie wytrwać ostatnich kilka lat. Wiedział pan, że tata studiował za młodu medycynę?

– Naprawdę?

– Przez dwa lata, potem się rozmyślił. Bardziej przemawiała do niego poezja. Był wrażliwym człowiekiem, wychował mnie sam.

Shirley Renfrew DePaul uśmiechnęła się przez łzy, a Jeremy odrzucił wspomnienie starego gbura, który nigdy nie zwracał na niego uwagi.

– To było wspaniałe miejsce, pani DePaul, a pani ojciec nadał mu charakter. Kiedy zmarł?

– Będzie już ponad miesiąc. Wiele lat temu chorował na raka gardła; bez przerwy palił fajkę. Wycięli mu większą część podniebienia i uszkodzili struny głosowe, ale pokonał chorobę. Potem zaczęło mu szwankować serce i mieliśmy świadomość, że to tylko kwestia czasu. Mąż i ja chcieliśmy, żeby zamieszkał z nami, ale odmówił, upierał się, że chce być blisko sklepu.

Operacja podniebienia. Jeremy przypisywał niemotę grubasa jego ogólnej gburowatości.

Z moimi osiągnięciami muszę przestać cokolwiek zakładać.

Renfrew zmarł miesiąc temu, czyli niedługo po ostatniej wizycie Jeremy'ego.

Był śmiertelnie chory, ale nic nie dał po sobie poznać.

Uśmiech Shirley DePaul zgasł, a jej oczy znów zaszyły mgiełką łez. Miała zielone tęczęwki, podkreślone kolorem kostiumu. Naprawdę wyglądała oszałamiająco. Nie była piękną kobietą, w żadnym wypadku, co najwyżej ładną. Ale Jeremy był pewien, że nigdy nie brakowało jej męskiego towarzystwa.

– Miałam nadzieję, że to się stanie tak, jak się stało – powiedziała.. – Tata przyszedł do antykwariatu w poniedziałek, usiadł, zrobił sobie kawę bezkofeinową, wypił, a potem oparł głowę o blat i już się nie obudził. Piękna śmierć, zmarł wśród książek, które kochał.

Kiedy Jeremy był tu po raz ostatni, natknął się na Arthura, czytającego coś o strategii wojskowej. Parę tygodni później Arthur pojawił się w jego gabinecie i zaczął go czarować. Jako stary klient, ktoś, kto wiedział, jak antykwariusz się nazywał, musiał wiedzieć o jego śmierci. A mimo to nic nie powiedział.

– Nie cierpiał – powiedział Jeremy.

– Miał to szczęście. Jak przez całe życie. – Po ustach Shirley DePaul znów przemknął lekki

uśmiech. – Prawie całe. – Odetchnęła głęboko i spojrzała na miotłę. – Tata uwielbiał wszystko, co wiązało się z księgarstwem. Jestem jedynaczką, ale nie do końca. Ten lokal to moje rodzeństwo. Bywało, że przegrywałam z nim w rywalizacji. – Wysoki obcas zastukał w linoleum. – Budynek został sprzedany firmie deweloperskiej. Zadzwonili tydzień po śmierci taty. Sępy, mówię panu, pewnie czytają nekrologi. Ale mój mąż powiedział: Dlaczego się z nimi nie dogadać, po co nam ten lokal? Jest dentystą, bardzo praktycznym człowiekiem. Mamy sześcioro dzieci, a ja ledwie znajduję czas na oddech. Mieszkamy daleko, za granicą hrabstwa, nic by z tego nie było. Więc sprzedaliśmy. Dali nam dobrą cenę, nawet po odliczeniu podatków. Na pewno to zburzą i postawią jakiegoś potwora, ale tu nie chodzi o cegły i zaprawę, prawda? Tata włożył w to miejsce swoją duszę, a teraz spoczywa gdzie indziej.

– Oczywiście – odparł Jeremy. – Co się stało z książkami?

– Wszystkie sprzedane.

– Była jakaś aukcja? Próbowałbym niektóre kupić.

– Nie było, doktorze. Wszystko poszło do jednego nabywcy.

– Do kogo?

Shirley DePaul pokręciła głową.

– Nie mogę powiedzieć, rozumie pan, sprawy podatkowe. Tak jest najlepiej, myślę, że trafiły w dobre ręce. Przynajmniej mam taką nadzieję. – Otarła kącik oka. – Chyba skończę sprzątać. Chociaż prawdę mówiąc, nie wiem, po co, skoro i tak mają to wyburzyć.

Wróciła po miotłę, poszła w inny kąt pomieszczenia i zaczęła zamiatać, szerokimi ruchami, zamaszyście.

Coraz mocniej. Chłostała wyłożoną linoleum podłogę.

Jeremy zostawił ją i wyszedł na lejący niemiłosiernie deszcz.

Rozdział 30

Wrócił do szpitala, wyglądając jak zmokła kura. Wszedł tylnym wejściem, nigdy niestrzeżonym, przeszedł przez dział gospodarczy i po schodach do holu głównego.

Minał marmurową ścianę ofiarodawców, na której nazwiska wyryto ukośnymi kapitalikami. Nie był w nastroju do rozmyślań o dobroczynności.

Idąc do wind, zobaczył Angelę i Teda Dirgrove'a, w białych kitlach. Uśmiechnięci, szli korytarzem i rozmawiali z ozywieniem.

Byli tak blisko siebie, że musnęli się ramionami.

Angela go zauważyła, zatrzymała się. Pomachała wesoło, powiedziała coś do Dirgrove'a i podeszła do Jeremy'ego.

Pocałowała go mocno w policzek. Za mocno. Jeremy rozejrzał się za Dirgrove'em, ale chirurg już zniknął za zakrętem korytarza.

– Mój Boże – powiedziała Angela, patrząc na przemoczone ubranie Jeremy'ego. – Co ci się stało?

– Nie wpadłem na to, żeby się schować przed deszczem.

Dotknęła jego mokrych włosów, wsunęła mu rękę pod ramię, cofnęła ją szybko, kiedy dotknęła przemoczonego rękawa.

– Nie ma na tobie suchej nitki. Dotknęła czubka jego nosa.

– Jestem lekarzem i musisz mnie słuchać. Chociaż badania nie wykazały żadnego powiązania między przemoknięciem a zachorowaniem, czuję się w obowiązku ostrzec cię przed czymś takim.

– Dziękuję, pani doktor. – Głos Jeremy'ego brzmiał sucho.

Angela popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Wszystko w porządku?

– Aha.

– Masz się w co przebrać?

– Jak tylko to zdejmę, będzie dobrze. – Jeremy zdjął płaszcz i trzymał go w wyciągniętej ręce. Woda kapła na podłogę. Angela znów mu się przyjrzała.

– Chyba jakoś przeżyjesz.

Znów wsunęła mu rękę pod ramię i razem ruszyli do wind.

– Parę razy dzwoniłem na twój pager – powiedział Jeremy, kiedy jechali w górę, sami w windzie.

– Wiem – odparła Angela. – Byłam na konferencji pulmonologicznej, doktor van Heusen miał wykład, a on nie znosi, kiedy coś mu przerywa. Powinłam była to draństwo wyłączyć, całe szczęście, że miałam włączony alarm wibracyjny. – Uśmiechnęła się szeroko. – Wiesz, jak to jest, my dziewczyny i wibracje. Kiedy wyszłam, dzwoniłam do ciebie, ale nie było cię w

gabinecie. Co się stało?

– Zastanawiałem się tylko, czy masz może trochę czasu.

– Och. – Zachmurzyła się. – Nie, nie mam. Naprawdę nie mam. To był wariacki dzień, Jer, a zapowiada się nie lepszy. Mam ponad tuzin poważnie chorych pacjentów, potem dyżur w przychodni, a przy tej pogodzie na pewno przyjdzie mnóstwo ludzi z zapaleniem oskrzeli i astmą i dzieciaków z krupem. A potem zebrania, zebrania, zebrania i znów dyżur.

– Praca.

– Czasami się zastanawiam, że pieczenie ciastek wcale nie jest złe. Ale z drugiej strony... sama nie wiem. Jadłeś moją zapiekankę. To był dobry wyznacznik moich umiejętności kulinarnych.

Jeremy wiedział, że oczekuje się od niego celnej riposty. Był cholernie zmęczony, za bardzo zmęczony, żeby coś wymyślić.

– Życie domowe nie dałoby ci satysfakcji – mruknął.

Angela cofnęła się i spojrzała na niego.

– Czy coś się stało, kochanie? Kochanie.

– Nie – odparł, zmuszając się do uśmiechu. – Czasami pieczenie ciastek naprawdę nie jest wcale takie złe.

Zaśmiała się i pomasaowała mu ramię. Winda zatrzymała się na jej piętrze; Jeremy wysiadł razem z nią.

– Jak tylko będę miała czas, zadzwonię do ciebie.

– Super.

Angela się odwróciła.

– A więc Ted Dirgrove to twój nowy przyjaciel? – zapytał Jeremy.

Oddział był gwarny i pełen ludzi, wózków pchanych przez pielęgniarzy o pustych oczach, lekarzy czytających w marszu karty pacjentów, pielęgniarek biegających między salami. Angela zatrzymała się i zawróciła, podeszła do Jeremy'ego, odciągnęła go w cichszy kąt. Zmrużyła ciemne oczy.

– Coś cię dręczy.

– Nic... nieważne, niepotrzebnie to powiedziałem.

– Jeremy, pracuję na pulmonologii, a Dirgrove jest chirurgiem klatki piersiowej. Mamy wspólne przypadki i... tak zainteresowałam się tym, co robi. Nie dla siebie, nigdy nie chciałam kroić ludzi. Ale chcę być dobrym lekarzem, a jak ci już mówiłam, to oznacza, że muszę naprawdę zrozumieć, co przechodzą moi pacjenci, ich wnętrza, wszystko. Nie wystarcza mi przepisywanie lekarstw na płuca, kiedy nie wiem, jak wygląda i jak reaguje chore płuco. Rozmowa o chorym sercu to jedno. Widzieć, jak skacze, jak z wysiłkiem próbuje bić, to drugie.

Zamilkła, czekała.

Bił od niej żar. Była zaczerwieniona. Zawsze działała na wysokich obrotach, ale to było co innego.

– Masz rację – powiedział Jeremy.

Angela wzięła go za ręce i pocałowała w usta. Kiedy się objęli, wiszący na jej szyi stetoskop wbił mu się w mostek. Kilka przechodzących obok osób obrzuciło ich spojrzeniem, większość nie zwróciła uwagi. Jeremy próbował się odsunąć, ale Angela trzymała go mocno, nie przejmując się innymi.

– Jesteś zazdrosny – szepnęła mu do ucha. – Nie masz powodu, ale mnie wzruszyłeś. To mnie kręci, cudownie jest wiedzieć, że komuś na mnie zależy. Znajdę trochę czasu, zobaczysz. Tak czy inaczej, zobaczysz.

Nie odezwała się już tego dnia ani następnego. Jeremy zabrał się do wstępu do swojej książki, ale sprawiał mu tyle kłopotu, że nie zrobił żadnych postępów.

Przejrzał „Clariona”, szukając dalszego ciągu sprawy ostatniej zamordowanej kobiety, nic jednak nie znalazł.

Czemu miałby coś znaleźć? Nie zasługiwała nawet na nazwisko, po co marnować farbę drukarską.

Przestał dostawać koperty z otolaryngologii. Skończyły się też kartki od Arthura. Może starcowi przeszło to, co go opętało.

Kiedy Angela zadzwoniła trzeciego dnia, głos miała ochryply, drżący, ledwie słyszalny.

– Jestem chora – powiedziała. – Grypa, wyobrażasz sobie? Przez cały okres na pediatrii nie złapałam żadnego wirusa, a to są zaraźliwe łobuzy, wierz mi. Potem trafiam do chorób płuc, gdzie pacjenci jadą na antybiotykach, sale są najczystsze w całym szpitalu, a ja dostaję tego dziadostwa.

– Biedactwo. Gdzie jesteś?

– W domu. Van Heusen wygonił mnie z oddziału. Jeszcze złośliwie powiedział, że Tyfusowa Mary* [Mary Mallon (1869-1938), imigrantka z Irlandii, nosicielka tyfusu, która wywołała jego epidemię w Nowym Jorku. Aresztowana i poddana dożywotniej kwarantannie (przyp. tłum.)] nie będzie się zadawać ze słabymi i niedołącznymi. Poczulałam się jak wyrzutek. Powinnam być wdzięczna za chwilę wolnego, ale to żadna przyjemność. Za bardzo źle się czuję, żeby czytać, a tych kilka programów, które odbiera mój mały telewizorek, to chłam.

– Kiedy cię wzięło?

– Wczoraj.

– Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłaś?

– Byłam za bardzo wypluta, żeby rozmawiać, przespałam cały dzień i obudziłam się jeszcze bardziej zmęczona. Chciałabym się z tobą zobaczyć, ale nie ma mowy, nie zarażę cię. Nie przyjeżdżaj.

– Wpadnę wieczorem.

– Nie. Mówię poważnie.

– Wiem.

– Naprawdę, Jeremy. – A potem: – Dobrze.

Rozdział 31

To była druga noc Jeremy'ego u Angeli. Zanim otworzyła drzwi, upłynęła długa chwila. Kiedy Jeremy ją zobaczył, widok ścisnął go za serce.

Wyglądała, jakby się skurczyła. Stała zgarbiona, opierając się o futrynę.

Zaprowadził ją z powrotem do łóżka. Była czerwona, miała wysuszoną skórę, rozpaloną od gorączki – niby lekarka, a nie uzupełniała płynów i nie brała środków przeciwbólowych. Podał jej tylenol, potrzymał w ramionach, wmusił w nią ostrą, kwaśną zupę kupioną w chińskim barze – właścicielka zapewniała go, że przyprawy zabijają zarazki – napoił ją herbatą i nakarmił milczeniem. Zasypiała i budziła się, a on rozebrał się do bokserów i położył obok, na jej nierównym, wąskim łóżku.

Nie dała mu zasnąć przez prawie całą noc, kaszłała, dyszała i chrapała.

Kiedy znów się obudziła, powiedziała:

– Rozchorujesz się. Musisz iść.

Pogłaskał ją po plecach i po chwili znów zasnęła, a on leżał wpatrzony w ciemność.

Godzinę później wyciągnęła do niego ramiona, w półśnie. Znalazła jego rękę, przesunęła palcami niżej, położyła na sobie jego dłoń. Poczul sprężystą kępkę włosów pod jej bawełnianymi majteczkami. Przycisnęła go, a on rozpląszczył dłoń na jej kroczu.

– Mmm – mruknęła. – Tak jakby.

– Tak jakby co?

Rano gorączka spadła i Angela obudziła się zlaną potem; szczykała zębami, choć opatulona była po szyję dwoma kocami.

Długie włosy miała splątane, oczy zaczerwienione, a między nosem i ustami smużkę zaschniętych smarków. Jeremy ją umył, przyłożył na czoło chłodny okład z ręcznika, ujął jej twarz w dłonie i musnął ustami policzek. Oddech miała nieświeży, cuchnący skwaśniałym mlekiem, a skórę usianą czerwonymi kropkami.

Małeńkie wybroczyny – pamiątki po spazmach kaszlu. Angela wyglądała jak naćpany, skołowany nastolatek, a Jeremy bardzo chciał ją objąć.

O dziewiątej rano obmyła się, związała włosy i widać było, że dochodzi do siebie. Jeremy zaparzył jej miętę, wykapał się w jej popękanej, wyłożonej glazurą kabinie prysznicowej, psiknął się pod pachami jej dezodorantem i włożył wczorajsze ubranie. Od dziesiątej do drugiej miał zaplanowanych pacjentów – nie chciał wyglądać i czuć się nieświeżo.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Angela, kiedy wszedł z powrotem do jej sypialni. – A ja okropnie.

– Jesteś fizycznie niezdolna wyglądać okropnie.

Wydęła wargi.

– Taki miły facet, a już sobie idzie.

Jeremy usiadł na łóżku.

– Mogę jeszcze chwilę zostać.

– Dzięki – powiedziała. – Ale nie o to mi chodziło.

– A o co?

– Chcę się z tobą kochać. Tutaj. – Poklepała się w lewą pierś. – Ale tam, na dole, nie mogę.

Jak wy to nazywacie... dysonans poznawczy?

– Nie – odparł. – Po prostu frustracja. Zdrowiej, skarbie. Mamy mnóstwo czasu.

Chlipnęła, sięgnęła po chusteczkę, wytarła nos.

– Tak tylko mówisz. Czasami wydaje mi się, że wcale nie mamy.

Nie, nie mamy.

Głowę Jeremy'ego wypełniła Jocelyn. Jej twarz, jej głos, jej obejmującego ramiona.

– Powiedziałam coś nie tak? – spytała Angela.

– Oczywiście, że nie.

– Zmieniłeś się na twarzy, przez chwilę. Jakby coś cię wystraszyło.

– Nic mnie nie wystraszyło. Przed wyjściem zrobię ci jeszcze herbaty.

Zaparzył jeszcze jeden dzbanek, podgrzał puszkę zupy pomidorowej, pocałował Angelę w czoło, już chłodne, chwala Bogu, i pojechał do pracy. Czuł się... rodzinnie. Z Jocelyn nigdy nie czuł się rodzinnie.

Popołudniową wewnętrzną pocztą przysła sterta śmieci. I czwarta koperta z otolaryngologii.

Poza tym zwykłą pocztą Jeremy dostał kartkę od Arthura.

Artykuł pochodził sprzed dziesięciu lat, był wycięty z „Journal of American Medical Association”. Samobójstwa lekarzy. Czynniki ryzyka, statystyki, zalecenia co do zapobiegania.

Mądre rzeczy, chociaż nic, czego Jeremy by już nie wiedział. Ale to nie miało znaczenia, prawda? Tu nie chodziło o wykształcenie.

A o co chodziło, tego Jeremy nie umiał odgadnąć.

Zdjęcie na pocztówce od Arthura przedstawiało osiemnastowieczną kuchnię, pełną ceramiki i żelaznych przyborów. Legenda na drugiej stronie głosiła: Le Musée de l'Outil. Muzeum Narzędzi. Wy-dit-Joli Village, 95240 Val d'Oise.

Znajoma, czarna kursywa, wiadomość nie była żadnym zaskoczeniem:

Drogi doktorze C

Podróżuję i się uczę.

AC.

Jeremy spojrzął na stempel pocztowy. Wy-dit-Joli, Francja, trzy dni temu. Arthur mógł od

tamtej pory wrócić do Stanów.

Jeremy zadzwonił do gabinetu starca. Nikt nie odbierał.

– Nie, nie będzie go – powiedziała sekretarka patologii.

Jeremy zadzwonił do informacji i zdobył numer sąsiadki Arthura, Ramony Purveyance, tej od nieustannego dobrego humoru i żółtej podomki. Odebrała po pierwszym dzwonku, sprawiała wrażenie, że bardzo ucieszył ją telefon od Jeremy'ego.

– Jak to miło! ...nie, jeszcze nie wrócił. Mam całą jego pocztę. Głównie reklamy, ale nigdy sama bym niczego nie wyrzuciła. Jeśli spotka go pan pierwszy, niech go pan ode mnie pozdrowi, doktorze Carrier. Tak mu zazdroszczę.

– Czego?

– Francji, pojechał do Francji. Przysłał mi stamtąd śliczną kartkę!

– Muzeum Narzędzi?

– Co takiego?

Jeremy powtórzył.

– Nie, nie. Piękne zdjęcie Giverny. Ogrody kwiatowe Moneta? Śliczne płaczące wierzby, woda i kwiaty, zbyt cudowne, żeby mogły być prawdziwe. Profesor wie, że uwielbiam kwiaty. To taki życzliwy człowiek.

Dla niej kwiaty, dla mnie narzędzia.

Przykrawał wiadomość na miarę?

Ale jaką wiadomość?

Nie wiadomo, czy Arthur był w mieście, kiedy przyszły pierwsze artykuły. Przewodniczył Komisji Nowotworowej na dzień przed tym, jak pojawił się wycinek o dziewczynach z Anglii. Ale tym razem wszystko wskazywało na to, że starzec wciąż jest za granicą.

A więc kto przysłał artykuł o samobójstwach?

Czyżby Arthur miał zmiennika?

A może Jeremy się mylił, znów się mylił, i Arthur nie miał nic wspólnego z kopertami z otolaryngologii?

Czy mógł się pomylić aż tak?

W takim razie, co z pocztówkami? Zbieg okoliczności?

Kwiaty dla pani Purveyance, narzędzia dla mnie.

Laserowa chirurgia oczu, laserowa chirurgia kobiet. Zamordowane kobiety. Lekarze popełniający samobójstwa.

Rzeźba w Norwegii, norwescy autorzy pierwszego artykułu. Rosjanie, Amerykanie...

Narzędzia we Francji. Żadnych autorów francuskich.

Jeśli spojrzeć na to chłodno, nie ma powodu wiązać medycznych reprintów z kartkami.

Ale nie ma też powodu, dla którego nie mogłyby być powiązane.

Arthur i jego przeklęta ciekawość. Śmierć, przemoc, wytrawna kuchnia i insekty z ojcowską

obsesją wgrzyżające się pod skórę.

Późna kolacja, w retrospekcji tak dziwaczna, że Jeremy zaczynał powątpiewać, czy w ogóle była.

Bez względu na punkt widzenia, koperty były próbą manipulacji. Przysyłano mu różne rzeczy, ale nie pisząc jego nazwiska jako adresata. Ktoś zadawał sobie trud, żeby wsunąć je w spięty gumką stosik na blacie sekretariatu psychiatrii.

Sezon łowiecki na pocztę Jeremy'ego ogłaszamy za otwarty.

Zadzwonił do Laury, młodej recepcjonistki, i zapytał, czy zauważyła kogoś przy jego poczcie.

– Ee, nie – odparła. – Powinnam jej pilnować czy coś w tym rodzaju?

– Nie, niech się pani nie przejmuje.

– Miewamy tu spory ruch, doktorze Carrier.

– Proszę zapomnieć, że pytałem.

Odłożyła słuchawkę, a Jeremy wyobraził sobie, jak będzie opowiadała o tej rozmowie rodzinie i znajomym: Strasznie dziwni ci psychiatrzy. Bardziej szurnięci niż ich pacjenci. Jest, na przykład, taki jeden, co ma obsesję na punkcie swojej poczty...

Bo tym się to właśnie stało. Obsesją, jak każda neuroza marnującą czas i wyczerpującą.

Dość tego. Jest zajęty, ma pacjentów do zbadania, książkę do napisania.

Ale ktoś wyraźnie się z nim bawił. Jeśli nie Arthur, to kto?

Arthur, który rozbudził oczekiwania, a potem je pogrzebał?

Starzec podkopał nawet intuicję Jeremy'ego. Przed poznaniem Arthura Jeremy wierzył w swoją umiejętność oceniania ludzi, wyciągania wniosków, przewidywania – we wszystkie te sztuczki, których znajomość człowiek sobie wmawia, żeby być w stanie przechodzić z sali do sali i dodawać otuchy chorym, przerażonym i umierającym.

Tymczasem ostatnio wynikiem jego wysiłków były tylko błędy. Wierna żona, luksusowy dom, wykwintne jedzenie. Okazało się, że stary drań wynajmował mieszkanie na równinie, otoczone fast foodami.

Tamtę pierwszego razu w antykwariacie Jeremy założył, że Arthur będzie czytał książkę o motylach – okazało się, że studiował wojenną strategię.

Gdzie ta wojna, starcze?

Nie pomylił się przynajmniej co do domu w Queen's Arms. Kilkadziesiąt lat za późno, ale w zasadzie trafił.

Słaba pociecha. Zamieniał się powoli w Pana Pomyłkę. Potrzebował swojej intuicji. Bez niej nic by już nie działał.

Arthur z całą pewnością prowadził go jakąś drogą.

Późna kolacja, dobre wino, wykwintne jedzenie, starzy ekscentrycy napelniający swoje geriatryczne brzuchy.

Zabawa i dobry humor, a potem krótkie, szorstkie pożegnanie.

Teraz to. Pocztówki.

Starzy ekscentrycy...

Czy Arthur powierzył wysyłanie artykułów któremuś z nich? Wręczył plik kopert otolaryngologii jednemu ze swoich kolegów i zostawił instrukcje co do ich wysyłania pod jego nieobecność?

Dlaczego nie? Artykułów nie nadano z zewnątrz, wrzucono je po prostu w wewnątrzszpitalną rurę. Mógł się do niej dostać każdy. Wystarczyło przejść przez hol, znaleźć wrzutnię poczty i puf.

Jak system pocztowy właściwie działa? Jeremy przekartkował swoją szpitalną książkę telefoniczną i znalazł numer wewnętrzny do działu pocztowego. W piwnicy, piętro pod patologią.

Telefon odebrał mężczyzna o niskim głosie.

– Poczta, tu Ernest Washington.

– Panie Washington, mówi doktor Carrier. Interesuje mnie, jak poczta trafia z rur na poszczególne oddziały.

– Doktor jaki?

– Carrier.

– Carrier – powtórzył Washington. – Tak, kojarzę nazwisko. Pierwszy raz ktoś mnie o to pyta.

– Zawsze jest pierwszy raz.

– Doktor Carrier z...

– Psychiatrii.

– Tak, zgadza się. – Po chwili: – To jakiś dowcip?

– Nie. Jeśli chce pan do mnie oddzwonić, mój numer wewnętrzny...

– Mam pana numer, chwileczkę... Doktor Jeremy Carrier wewnętrzny 2508.

– Zgadzasie się.

– To naprawdę pan?

– O ile mi wiadomo.

Washington parsknął śmiechem.

– Dobrze, dobrze, przepraszam. Po prostu nikt mnie nigdy nie pytał... To jakiś psychiatryczny eksperyment?

– Nie, proszę pana, zwykła ciekawość. Przechodziłem obok wrzutni i uświadomiłem sobie, że pracuję tu tyle lat, a nie wiem, jak trafia do mnie moja poczta. To musi być niezłe wyzwanie.

– Jasne. Nawet pan sobie nie wyobraża – odparł Ernest Washington. – Siedzimy tu cały dzień, a nikt nas nie widzi. Jesteśmy jak niewidzialni.

– Wiem, co pan chce powiedzieć.

Washington chrząknął znacząco.

– System jest podzielony. Zwykła poczta nie idzie rurami, przywożą ją ciężarówkami, raz dziennie, i trafia prosto do naszej rozdzielni, tu, gdzie teraz jestem. Rozdzielamy ją i wysyłamy do was.

– A poczta wewnętrzna?

– Ta idzie rurami. Działa to w ten sposób, że rury prowadzą do trzech koszy zbiorczych, tu, w piwnicy. Jeden jest w północnej części budynku, jeden w południowej i jeden tu, na środku. Moi ludzie sprawdzają każdy z nich, regularnie, żeby wasze bardzo ważne lekarskie listy docierały do was jak najszybciej. Rozdzielamy je i rozsyłamy na wasze oddziały. Nie raz dziennie, jak zwyczajną pocztę. Dwa razy dziennie. Żebyście wy, lekarze, byli na bieżąco z waszymi ważnymi, medycznymi sprawami. Teraz już wszystko jasne?

– Jak słońce – odparł Jeremy. – Czy jest istotne, skąd poczta przychodzi?

– Co ma pan na myśli?

– Jeśli przychodzi z otolaryngologii zamiast, dajmy na to, z chirurgii, czy jest traktowana inaczej?

– Nie – odparł Washington. – Dla nas wszyscy jesteście tacy sami.

Ogólnodostępna wrzutnia. Jakiś miła starsza osoba mogłaby wrzucić kopertę i nikt nie zwróciłby na nią uwagi ani nikogo by to nie obchodziło. W rurę można by wrzucić nawet bombę.

Jeremy uświadomił sobie, że marnował czas swój i Ernesta Washingtona. Koperty trafiły do niego, mimo że były nieoznakowane. Co znaczyło, że ktoś miał dostęp do jego poczty w czasie między jej dotarciem do dominium Washingtona a dotarciem do niego.

Ktoś z psychiatrii? Czy później?

Nie wyobrażał sobie w tej roli nikogo z armii zdrowia psychicznego. W większości stanowili sympatyczną, nijaką gromadę. Byli troskliwi, mili. Mili do znudzenia. Jeremy cieszył się, że miał gabinet z dala od nich.

Ktoś jeszcze wiedział, że pracuje w odosobnieniu, i wykorzystywał to.

– Kto? Jak? – zapytał na głos.

Obsesja.

A więc tak to jest z ciekawością. Minęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni w głowie tańczyły mu znaki zapytania. A potem Arthur Chess, najbardziej dociekliwy człowiek, jakiego Jeremy kiedykolwiek spotkał, pojawił się na jego drodze, i umysł Jeremy'ego nie zaznał już spokoju.

Ciekawość jest zaraźliwa jak wirus.

To przypomniało mu o biednej Angeli. Zadzwoił do niej do mieszkania, nikt nie odebrał. Pewnie śpi. Dobrze.

Artykuł o samobójcach i kartka z Muzeum Narzędzi spoglądały na niego z blatu biurka. Jeremy znalazł w szufladzie pocztówkę z Oslo i wszystko to razem umieścił w segregatorze, który podpisał *Ciekawość*.

Potem wziął długopis i sporządził listę. Alfabetycznie, bo dawało mu to tak bardzo pożądane złudzenie kontroli.

Tina Balleron

Arthur Chess

Norbert Levy

Edgar Marquis

Harrison Maynard

Pierwszego pacjenta miał zapisanego na dwunastą – za pół godziny – potem jeszcze kilka spotkań. Co oznaczało, że na resztę dnia będzie musiał zapomnieć o sobie i skupić się na innych. Pozostało mu więc dla siebie trzydzieści minut.

Rozdział 32

Wszyscy smakosze z CCC mieli zastrzeżone numery telefonów. Dwadzieścia minut, potem będzie musiał lecieć, Jeremy wyteżył pamięć, próbując przywołać jakieś szczegóły.

Harrison Maynard pisał romanse pod kobiecymi pseudonimami; tu nic by łatwo nie znalazł. Stareńki Edgar Marquis, niegdyś urzędnik Departamentu Stanu, pracował na dalekich wyspach. To też nie obiecywało zbyt wiele.

Norbert Levy. Inżynier. Był profesorem emeritusem na uniwersytecie na Wschodnim Wybrzeżu. Kampus półtora tysiąca kilometrów stąd i Levy mieszkający tutaj: to oznaczało sam tytuł, bez faktycznej posady.

Jeśli Levy faktycznie mieszka tutaj.

Koniec z zakładaniem. Jeremy zadzwonił na uczelnię, połączył się z wydziałem inżynierii i poprosił profesora Levy'ego.

– Odszedł na emeryturę – poinformowała sekretarka. – Już jakiś czas temu.

– Ma pani jego obecny adres?

– A o co chodzi?

Jeremy przedstawił się i wcisnął jej historyjkę o zjeździe inżynierów biomechaników, na który chciałby Levy'ego zaprosić.

– W porządku – odparła sekretarka. – Dyktuję.

Levy nadawał swoją korespondencję na poczcie w południowej części śródmieścia, niedaleko dzielnicy Seagate, dokąd Arthur zabrał Jeremy'ego na kolację z potężną dawką konsternacji na deser.

Gdyby to był film, Jeremy zacząłby się pod skrzynką na listy. W prawdziwym życiu nie miał ani czasu, ani możliwości, ani rozsądnego powodu, by to zrobić. Miał czekać, dzień i noc, na deszczu? A gdyby jakimś dziwnym zrzędzeniem losu spotkał siwobrodego naukowca?

Profesor Levy, cóż za zbieg okoliczności! Nie przysyła mi pan przypadkiem dziwnych rzeczy w szpitalnych kopertach?

Jeremy musiał z kimś porozmawiać. Spojrzeć w oczy, odczytać pozawerbalną wiadomość, w której odszyfrowywaniu był podobno wyszkolony.

Zostawała sędzia Tina Balleron, dawniej z Sądu Najwyższego.

Teraz z toru golfowego.

Jej gigantyczne czarne perły świadczyły o tym, że była ustawiona finansowo. Może życie na wysokim poziomie oznaczało klub golfowy.

W mieście było ich trzy. Haverford, stosunkowo nowoczesny, choć z sześćdziesięcioletnią tradycją, przyjmował wybrane mniejszości etniczne. Shropshire i Fairview pozostały czysto białe i protestanckie.

Czy Balleron to latynoskie nazwisko?

Jeremy zadzwonił najpierw do Haverford i poprosił do telefonu panią sędzię.

– Chyba jeszcze nie przyjechała – powiedział mężczyzna, który odebrał telefon.

– Mówi doktor Carrier. O której powinna się pojawić?

– Zobaczmy... Ma zamówiony tor na piętnastą. Doktor... Czy pani sędzia dobrze się czuje?

– Wybornie – odparł Jeremy i odłożył słuchawkę.

Mężczyzna nie pytał o męża ani innego członka rodziny. Założył, że jeśli ktoś ma jakieś kłopoty, to właśnie sędzia.

Czy to znaczy, że Tina Balleron żyje samotnie? Jak Arthur.

Jak Jeremy?

I co z tego?

Koniec z zakładaniem.

Odwiedził wszystkich po kolei pacjentów, bez przerw, nie poszedł na lunch ani na kawę, pospiesznie wypisał karty. Płaszcz nosił cały czas ze sobą, żeby móc wyjść ze szpitala, nie wracając do gabinetu.

O drugiej piętnaście pojechał do Hale Boulevard, potem tą wąską, mało uczęszczaną ulicą między osiedlami z widokiem na jezioro i wyjechał na północ za miasto.

Trasa była malownicza. Kierunek przeciwny niż do domu Arthura w Ash View.

Jeremy jechał przez bogatsze przedmieścia, potem wśród stadnin, nobliwych farm i szkółek jeździeckich, minął kilka szkół z internatem, otoczonych bujną zielenią. Dalej pojawiła się sieć jezior rynnowych; ziemia między nimi była podmokła jak pola ryżowe. Później rozpostarły się przed nim puste łąki. Jaskrawe szyldy reklamowały czterdziestohektarowe działki. O drugiej czterdzieści Jeremy podjechał do żelaznej bramy kilkumetrowej wysokości i kamiennych słupów klubu Haverford.

Za bramą opadał w dół podjazd, wzdłuż niego stały niskie murki z otoczek. Z obu stron w niebo strzelały monumentalne drzewa. W oddali widać było białą stróżówkę. Jeremy zaparkował na poboczu.

Słońce nie chciało zaświecić, ale nie odbierało to piękna okolicy. Jeremy opuścił szybę; powietrze miało słodki zapach. Kilometry równo przystrzyżonej trawy były niewiarygodnie zielone, a zmoczone deszczem pnie drzew lśniły niczym obsydianowe kolumny. Mężne rododendrony i odważne róże wbrew porze roku przyciągały wzrok żywymi kolorami. Paprocie chyliły się tajemniczo, a pośród zarośli pojawiało się i znikało stadko szkarłatnych kardynałów.

Żadnych kruków. Niebo wiszące ponuro tam nad miastem tutaj wyglądało ładnie: płyty polerowanego srebra, morelowe smugi wpadające gdzieś w karmazyn.

Jeremy'emu przypomniał się plakat, wiszący w gabinecie jednego z jego kolegów. Psychologa Seliga, uprzejmego, inteligentnego mężczyzny, który dorobił się ładnej sumki na giełdzie, ale wciąż przyjmował pacjentów, bo lubił leczyć. Do pracy jeździł starą hondą, w

garażu trzymał nowego bentleya.

„Byłem biedny i byłem bogaty. Lepiej być bogatym”.

Jeremy zastanawiał się, jakby to było, być bogatym. Leczył wystarczająco wielu zamożnych ludzi z depresją, żeby wiedzieć, że za pieniądze nie można kupić szczęścia. Czy można nimi choć trochę osłodzić sobie gorycz, kiedy robi się naprawdę źle?

Siedział w samochodzie, ze wzrokiem utkwionym w bramę klubu. W ciągu czternastu minut przyjechało pięć luksusowych aut; zatrzymywały się przed domofonem, kierowcy wstukiwali kod, a kiedy żelazna brama się otwierała, wjeżdżali pewnie do środka.

Szóstym samochodem był biały cadillac Tiny Balleron. Kiedy się zatrzymał, Jeremy czekał parę kroków od bramy.

Cadillac nie był nowy. Pięcio-, sześćoletni, z przyciemnianymi szybami i chromowanymi felgami. Potężną karoserię przecinał wąski, czerwony pasek, a po świeżo nałożonym wosku spływały krople wody.

Podobnie jak lincoln Arthura, samochód był dobrze utrzymany.

Ciemne okna były zamknięte. Kiedy się opuściły, Jeremy zauważył, że są o wiele grubsze niż normalne – dobry centymetr wypukłego szkła.

Jeremy spodziewał się, że sędzia będzie zaskoczona jego obecnością, ale jej twarz pozostała spokojna.

– Doktorze Carrier. – Pani sędzio.

– Gra pan w golfa?

Jeremy się uśmiechnął.

– Niezupełnie. Miałem nadzieję z panią porozmawiać, zanim zaatakuje pani dołki.

Sędzia zerknęła na wysadzany brylantami zegarek. Tym razem nie miała czarnych pereł, ale wiszącą na złotym łańcuszku różową kameę. W oczy koralowej kobiety wstawiono maleńkie brylanciki. Jedna z obwieszonych srebrem dłoni Tiny Balleron zaciskała się na kierownicy. Druga spoczywała na kremowej torebce ze strusiej skóry. Na tylnym fotelu leżało futro.

– Najpierw zaparkuję – powiedziała.

Ustawiła cadillaca za samochodem Jeremy'ego. Jeremy podszedł, usłyszał pstryknięcie, znak, że odblokowała zamki, obszedł samochód od strony drzwi pasażera.

Opuściła się w nich szyba. Z takiego samego, grubego szkła.

– Jest zimno, proszę wsiąść, Jeremy.

Kiedy otwierał drzwi, poczuł ich ciężar. Szyba zasunęła się z sykiem wrót skarbcza. Samochód był opancerzony.

Jeremy wśliznął się na fotel pasażera. Wnętrze auta obite było rubinowo-czerwoną skórą. Na małej, złotej tabliczce, przymocowanej do klapy schowka, widniał napis: DLA TINY, Z NAJWIĘKSZĄ MIŁOŚCIĄ, BOB. WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

Sierpniowa data, ponad pięć lat temu.

A więc był jakiś mąż. Może nadal jest.

Torebka leżała na smukłych udach Tiny. Sędzia miała na sobie jasnobłękitny, wełniany kostium i granatowe pantofle. Widać było, że właśnie wyszła od fryzjera. Futro na tylnym fotelu pasowało kolorem farbowanych norek do jej jasnych włosów w odcieniu szampana. W kryształowym wazoniku w uchwycie na słupku między oknami po stronie kierowcy stała samotna, biała różyczka.

– A więc, o co chodzi? – zapytała sędzia.

– Przepraszam, że tak panią napadam, ale szukam Arthura. Nie mogę się z nim skontaktować już prawie od tygodnia.

– Arthur wyjechał.

– Wiem. Przysyła mi kartki.

– Doprawdy? Cóż, to dobrze.

– Dlaczego?

Tina Balleron się uśmiechnęła.

– Arthur pana polubił, Jeremy. To dobrze, kiedy ludzie wyrażają swoją sympatię, nie uważa pan?

– Chyba tak... Często wyjeżdża?

– Od czasu do czasu... Jeremy, mój drogi, nie przejechał pan takiego kawału drogi, żeby rozmawiać o podróżniczych zwyczajach Arthura. O co naprawdę chodzi?

– Dostaję też inne rzeczy pocztą. Szpitalną pocztą.

– Rzeczy – powtórzyła sędzia. Bawiła się klamerką strusiej torebki.

– Artykuły z czasopism medycznych, o chirurgii laserowej. Potem informacje o morderstwie w Anglii sprzed dziesięciu lat i wycinki gazet o samobójstwach lekarzy.

Zaczekał na jej reakcję. Nie zareagowała.

– Pani sędzio, założyłem, że to Arthur mi je przysyła, bo nie przychodził mi do głowy nikt inny, kto mógłby za tym stać. Ale Arthur jest w Europie, a więc to nie on.

– A pan się głowi.

– Pani by się nie głowiła?

– I przyjechał pan aż tutaj, żeby sobie ulżyć w tym głowieniu. Ulżyć, tego samego słowa użył, kiedy to sobie tłumaczył.

– Kto mógłby za tym stać – powtórzyła Tina Balleron, gładząc torebkę. – Brzmi to tak, jakby podejrzewał pan jakiś spisek.

– Chyba tak właśnie myślę. Artykuły przychodzą bez uprzedzenia, bez wyjaśnienia, a ja nie mogę znaleźć żadnego powodu, dla którego to ja jestem ich adresatem. To trochę niepokojące, nie sądzi pani?

Tina Balleron się zamyśliła.

– Założyłem, że to Arthur je wysyła – ciągnął Jeremy, nie doczekawszy się odpowiedzi – bo interesuje go przemoc... Z tego, co słyszałem podczas kolacji, wszystkich państwa interesuje.

Balleron otworzyła torebkę, po czym zamknęła ją z trzaskiem.

– A pan uważa, że to oryginalne zainteresowanie.

– Przemoc?

– Sprawy życia i śmierci. Czy to nie najważniejsze kwestie dla każdego kulturalnego człowieka? – Machnięciem ręki wskazała wewnątrz samochodu. – Ładne rzeczy są przyjemne, Jeremy, ale koniec końców służą tylko odwróceniu uwagi.

– Od czego?

– Od ważkich kwestii. Arthur jest człowiekiem mądrym i doświadczonym. Kto długo żyje, gromadzi dużo doświadczenia.

– Chce pani powiedzieć, że w przeszłości Arthura jest coś, co dało mu..

– Niech się pan nie martwi o Arthura, mój drogi. – Sędzia wyciągnęła rękę i oparła palce o rękaw Jeremy'ego. – Niech się pan skupi na celu.

– Na jakim celu?

– To już musi pan odkryć sam.

– Naprawdę, pani sędzio..

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. Angela robiła to samo. Cicho, chłopcze.

Do bramy podjechał mercedes. Boczna szyba się opuściła, a zza niej do sędzi uśmiechnął się mężczyzna o okrągłej twarzy.

– Hank – przywitała go sędzia. – Gotowy?

– Jak zawsze, Teen. Do zobaczenia na torze.

Mercedes podtoczył się do bramy, a ta automatycznie się otworzyła. Niewidoczny wartownik – w dali, w stróżówce – wiedział, kto jest swój, a kto nie.

Balleron uśmiechnęła się do Jeremy'ego.

– Miło było znów pana spotkać, ale obawiam się, że będziemy musieli przerwać nasze pogaduszki. Czas gry jest święty. Golf jest nie tyle grą, ile religią. Człowiek przeoczy coś na starcie i naraża się na gniew swoich współwyznawców.

Jej dłoń oderwała się od jego rękawa i opuściła zasłonę przeciwsłoneczną. Po wewnętrznej stronie było lustro; sędzia się w nim przejrzała. Otworzyła strusią torebkę, wyjęła puderniczkę i zaczęła pudrować twarz.

Poprawia makijaż przed partią golfa?

Torebkę zostawiła szeroko otwartą, mógł bez problemu zobaczyć, co leży na samym wierzchu różnych kobiecych różności.

Błyszczący, mały automatyczny pistolet.

Tina Balleron wiedziała, że Jeremy go zobaczył. Odblokowała drzwi.

– Do widzenia.

– Sędzio Balleron, tamtej nocy padły słowa: Praktyka przebija cnotę. Cała sala zamilkła...

– Milczenie może być cnotą samą w sobie, mój drogi. Do następnego razu.

Uśmiechnęła się, nachyliła do Jeremy'ego, pocałowała go w policzek i odblokowała jego drzwi. Wysiadł z cadillaca, a biały samochód potoczył się do bramy klubu.

Zatrzymał się. Szyba poszła w dół.

– Przy okazji! – zawołała sędzia. – Sprawdziłam te głuptaki, te małe monogamiczne stworzenia, o których mówił nam Harrison. Sugerował pan kwestię populacyjną. Nie znalazłam na to żadnych dowodów.

Uśmiechnęła się do Jeremy'ego.

– No tak – powiedział.

– Może robią po prostu to, co właściwe.

Zasunęła szybę, ruszyła. Jeremy stał i patrzył, jak otwiera się przed nią brama. On został na zewnątrz. Outsider, zawsze outsider.

Rozdział 33

O wpół do piątej był już przy swoim biurku i przeglądał wiadomości – prośby o konsultację, zawiadomienia o zebraniach, jakieś pospolite bzdury.

Żadnych pocztówek, żadnych kopert z otolaryngologii.

Ale tych nie mogło być. Jeszcze nie. Wszystko w swoim czasie.

Siadł do komputera.

„Clarion” był typową dziennikarską miernotą, ale miał internetowe archiwum, z którego można było za opłatą skorzystać. Jeremy podał numer karty kredytowej i zalogował się.

„Robert Balleron” wyskoczył pięć razy, wszystkie artykuły pochodziły sprzed czterech do pięciu lat.

Przemysłowiec znaleziony zamordowany w biurze

Morderstwo Ballerona może być powiązane z jego sukcesem na rynku nieruchomości

Morderstwo Ballerona pozostaje tajemnicą

Żona Ballerona, sędzia, przesłuchiwana

Policja nie przerywa śledztwa w sprawie morderstwa Ballerona

Robert A. Balleron, lat sześćdziesiąt dziewięć, został zamordowany sto kilometrów stąd, w Greenwood, zamożnej dzielnicy sypialni. Gazeta nie opisywała zbrodni bezpośrednio; każdy artykuł trzeba było ściągać.

Jeremy otworzył je, jeden po drugim. Deweloper i magnat rynku nieruchomości został znaleziony w gabinecie swojej „pałacowej posiadłości”, w fotelu za zdobionym biurkiem, martwy po licznych ranach postrzałowych. Robert Balleron działał w polityce, był bardzo ambitny i skłonny do zwady, kiedy czuł, że zagrożone są jego interesy. Był twardy, ale z etycznego punktu widzenia nieskazitelny, i pewien siebie: w przeszłości kilkakrotnie oskarżał o korupcję tych, którzy według niego na to zasługiwali.

Gazeta bardzo skąpo opisywała szczegóły miejsca zbrodni: nie było śladów włamania, system alarmowy domu został wyłączony, a morderca najwyraźniej wszedł przez podwójne, oszklone drzwi gabinetu, po pokonaniu kilkuset metrów posiadłości.

Anonimowe źródła spekulowały, że cięty język Ballerona i agresywna taktyka biznesowa komuś dopiekły; sugerowano morderstwo na zlecenie. Ale teoria ta nie znalazła rozwinięcia.

Żona ofiary, sędzia Sądu Najwyższego Tina Balleron, w noc morderstwa była poza domem – na kolacji z przyjaciółmi – i po powrocie znalazła ciało.

Przesłuchano ją, ale rzecznik policji z całym naciskiem twierdził, że sędzi nie uznano za podejrzaną.

Jeremy wpisał w wyszukiwarce archiwum „morderstwo Balleron”, nic więcej nie znalazł.

Wylogował się, sprawdził kilka wyszukiwarek internetowych i wpadł na pojedynczą wzmiankę, którą przeoczył: sześć miesięcy po morderstwie policja wciąż nie znalazła żadnego tropu i sprawa pozostawała otwarta.

Wrócił do gazety i przejrzał następnych kilka roczników, szukając czegokolwiek na temat Tiny Balleron. Nic.

Taka znana kobieta, głośne morderstwo. Bardzo się pilnowała, żeby trzymać się z dala od oka opinii publicznej.

Jeremy poszukał zabójstw innych deweloperów z Greenwood i znalazł tylko jedną śmierć w wypadku: przed trzema laty Michael Srivac, budowniczy centrów handlowych, zginął w wypadku samochodowym. Poświęcono mu cztero wierszowy nekrolog: Zamiast kwiatów prosimy o darowizny na rzecz Świadomego Rodzicielstwa.

Jeremy zebrał myśli. Robert Balleron został zabity pięć lat temu. Cadillac Tiny Balleron nie był starszy. Deweloper podarował swojej żonie opancerzony samochód na krótko przed swoją śmiercią.

Wiedział, że była w niebezpieczeństwie.

Przeżyła. I miała się dobrze. Odeszła z sądu, przeprowadziła się do miasta, zapisała się do Haverford.

Dobrym sposobem, żeby zejść z widoku, było opuścić dom.

Perły, futro i pistolet w torebce... najweselsza z wdówek. Silna kobieta, która umie o sobie zadbać.

Jeremy przypomniał sobie coś, co sędzia powiedziała tego popołudnia: „Kto długo żyje, gromadzi dużo doświadczenia”.

„Może robią po prostu to, co właściwe”.

Czy to tragiczne doświadczenia były tym, co mieli ze sobą wspólnego członkowie CCC? Wszyscy byli ofiarami zbrodni? Czy to miało tłumaczyć ich zainteresowanie genezą przemocy?

To by pasowało do ponurej ciszy, która zapadła po uwadze Maynarda, że praktyka przebija cnotę.

Jeremy w końcu poczuł, że coś ma. Z bijącym sercem wpisał do wyszukiwarki archiwum „zabójstwo Chess”.

Nic nie znalazł.

Tak samo w przypadku „zabójstwo Marquis”. „Zabójstwo Levy” wyrzuciło sprawę zaginionego stażysty w Waszyngtonie, ale Jeremy nie umiał powiązać tego z profesorem Norbertem.

Wyszukiwarki internetowe też nie pomogły.

Pan Pomyłka. Może powinien po prostu zacząć się do tego przyzwyczajać.

Trzecia pocztówka przyszła trzy dni później. W tym czasie Jeremy spotkał się z Angelą raz na kawie i drugi na szybkim obiedzie w stołówce lekarzy, zanim Angela pobiegła z powrotem na

dyżur. Była zmęczona i powtarzała, że ledwie się trzyma na nogach.

A mimo to znalazła czas, żeby obserwować dwie operacje Dirgrove'a.

– Nie masz nic przeciwko, prawda?

– Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko?

– To nic osobistego, Jer... Chyba mam poczucie winy. Przeładowuję swój i tak zapchany rozkład dnia, brak mi czasu dla ciebie... Obiecuję, że się poprawię, kiedy trochę się to wszystko uspokoi.

– Nie trzeba, jest dobrze.

– To miło, że tak mówisz... Teraz poznałeś mnie od tej strony.

– Jakiej strony?

– Obsesyjnej, łatanej. Ojciec zawsze żartował: Ktoś cię goni, księżniczko? – Angela uśmiechnęła się słabo do Jeremy'ego. – Na zdrowy rozum wiem, że miał rację, ale sęk w tym, że w głębi serca naprawdę czuję, że ktoś mnie goni. Czas, czas, po którym umysł i ciało zwalniają, zatrzymują się i człowiek kończy dwa metry pod ziemią. Chore, co?

– Po prostu za dużo godzin na oddziałach – powiedział Jeremy.

– Nie, zawsze taka byłam. Jeśli trzeba było napisać życiorys na pięć stron, ja oddawałam siedem. Kiedy wuefista kazał robić dziesięć damskich pompek, ja robiłam męskie i wyciskałam dwadzieścia. Na pewno mam lekkie zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Kiedy miałam osiem lat, przechodziłam fazę rytuałów: sprzątałam swój pokój przez godzinę, zanim położyłam się spać. Ustawiałam równo buty. Nikt o tym nie wiedział. Pozwalałam matce odprowadzić mnie do łóżka, a potem wyskakiwałam i odstawiałam całą tę szopkę. Jeśli coś mi przerwało, zaczynałam od początku.

– Jak przestałaś?

– Powiedziałam sobie, że to głupie, i leżałam rozdygotana pod kołdrą, aż przymus mijał. Miałam tak przez kilka miesięcy, ale nie odpuszczałam. W wieku dwunastu lat dostałam wrzodów na żołądku. Lekarz i moi rodzice upierali się, że to była infekcja bakteryjna. Podawali mi antybiotyki i w końcu mi się poprawiło. Ale wciąż... Teraz znasz już całą moją żalną przeszłość. Pokusi się pan o psychoanalizę, doktorze?

Jeremy pokręcił głową.

– Poważnie – upierała się Angela. – Co o tym myślisz?

– Straciłaś kiedyś kogoś bliskiego?

– Babcie. Miałam sześć lat, a ona była stara i schorowana, ale byłyśmy ze sobą blisko... To był dla mnie szok. Fakt, że już nigdy jej nie zobaczę.

Jeremy pokiwał głową.

– A więc twierdzisz, że strata była tak dotkliwa, że nabawiłam się urazu na punkcie śmierci? Sensu, trwania? A teraz muszę gnać przez życie jak kurczak z obciętą głową, gromadząc doświadczenia?

– Myślałem raczej o przedwczesnej śmierci. O kimś, kto umarł przed swoim czasem. Ale

oczywiście. Jeśli śmierć twojej babci była dla ciebie szokiem, mogło to tak na ciebie wpłynąć. Traumatyczna strata miewa taki skutek. Poczucie odeszłości.

– Odeszłości. – Angela pokręciła z uśmiechem głową. – Ty i słowa. Przy okazji, jak ci idzie pisanie?

– Męczarnia.

– Dasz sobie radę. – Jej spojrzenie zrobiło się nieobecne. – Może masz rację. Sama nie wiem.

– Odwróciła oczy, ściszyła głos. – Przedwczesna śmierć. Ty przez to przeszedłeś.

– Co masz na myśli? – spytał Jeremy bezwiednie głośniejszym głosem.

– Wiesz.

Wbił w nią wzrok. Wiedział, że ma w oczach wściekłość, ale nie mógł się powstrzymać.

– Zmieńmy temat – burknął.

Angela zbladła.

– Jasne, przepraszam, zapomnij, że o tym wspomniałam.

– Nie przejmuj się – powiedział, ale serce waliło mu jak młotem i chciał jak najszybciej skończyć rozmowę.

Jesteśmy ze sobą tak blisko, ale są miejsca, w które nie mogę jej wpuścić. Są rzeczy, którymi się nie podzielę.

– Jeremy?

– Tak.

– Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Muszę iść. Nie wiem, kiedy będę miała wolny czas.

– Dzisiaj masz dyżur?

– Nie, ale muszę wcześniej się położyć. Wciąż nie doszłam jeszcze do siebie, może grypa do końca nie odpuściła.

– Chcesz, żebym odprowadził cię na oddział?

– Nie, nie trzeba.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

Następnego popołudnia Angela zadzwoniła z informacją, że utknęła na chirurgii i zamierza posiedzieć tam dłużej.

Ted Dirgrove „wykonał” pięciokrotny bypass. Czasownik skojarzył się Jeremy’emu ze sceną i batutą.

– Interesujące – powiedział.

– Coś niesamowitego. Warto zobaczyć.

– I pacjent przeżył.

– To znaczy?

– Jedyne wspólna moja i Dirgrove’a pacjentka nie przeżyła.

– Och. – Z Angeli uszło powietrze. – Tak, to było straszne... Chyba lepiej już pójdę...

Podziękowałam ci za opiekę nade mną, kiedy miałam grypę?

– Nie raz.

– Nie byłam pewna. Odkąd wróciłam do pracy, wpadłam w kierat, a wiem, że my nie... Tak czy inaczej, dzięki jeszcze raz. Za zupę i całą resztę. To był akt wielkiej odwagi.

Jej wdzięczność wydawała się oficjalna. Angela tworzyła między nimi dwojgiem dystans.

Kogo próbował nabrać? To jego własna zasługa. Spiorunował ją wzrokiem, kiedy ona tylko spytała o...

– Wciąż czujesz się zmęczona?

– Trochę, ale już jest lepiej.

– A więc bypass był niesamowity.

– Naprawdę, Jer. Ludzkie serce, takie małe coś, jak duża śliwka... pomidor bez skórki. Jak cudownie zsynchronizowane są komory i zastawki. Niczym... filharmonia, Kiedy łączą arterie, utrzymują bicie sztucznie i to jest jak... Cały czas przychodzą mi do głowy orkiestrowe skojarzenia, ta doskonała równowaga, to tempo... Oho, właśnie ktoś do mnie dzwoni, muszę lecieć.

Trzecia kartka przyszła z Damaszku. Zdjęcie starożytnej Kasby – lśniące ujęcie bezładnie ściśniętych straganów i ich właścicieli, ubranych na biało mężczyzn handlujących wyrobami z mosiądzu, dywanami i suszonymi orzechami.

Stempel z Berlina.

Aha!

Co, aha?

Jeremy potrafił wymyślić tylko tyle, że podróżnicza gorączka Arthura ma swoje granice. Starzec nie chciał rezygnować z wygod zachodniego świata, by odwiedzić Lewant.

Chciał za to, by Jeremy pomyślał o Lewancie.

Damaszek... Jeremy wiedział, że w Syrii panuje brutalna dyktatura, poza tym jednak kraj i jego stolica z niczym mu się nie kojarzyły.

Oslo, Paryż, Damaszek... Oslo, Paryż, Berlin, Damaszek? Jeśli to była jakaś gra, Jeremy nie wiedział nawet, gdzie jest boisko.

Umieścił kartkę w segregatorze „Ciekawość”. Po namyśle wyjął go, przejrzał jeszcze raz zawartość i dopadł go potworny ból głowy.

Połknął aspirynę, zaryzykował łyk własnej, wstrętnej kawy.

Pod koniec dnia, sam, bez szans na spotkanie z Angelą, mając wkrótce przed sobą perspektywę swojego ciemnego, zimnego domu, zdał sobie sprawę, że z nadzieją czeka na następną kopertę z otolaryngologii. Zresztą na cokolwiek, byle tylko rozjaśnić sobie w głowie. Wpadł do sekretariatu psychiatrii, żeby sprawdzić, czy nie przyszła nowa poczta.

Sekretariat był zamknięty.

Nic nie przyszło także następnego dnia. I jeszcze następnego.

Nagle życie stało się za spokojne.

Weekend się włókł. Angela znów miała dyżur, a Jeremy jakoś przetrwał samotną sobotę: rozwiązywał krzyżówki, udawał zainteresowanie sportem, uśmiechał się do pani Bekanescu, która wyszła pozamiatać ganek. W zamian został obdarzony nieprzyjaznym spojrzeniem.

Co Doresh jej powiedział?

Przeczytał całą niedzielną gazetę, ciekaw, czy znajdzie jakieś szczegóły o bezimiennej kobiecie z Palca. Nie znalazł. W niedzielę wieczór zaczynał już chodzić po ścianach.

Jego pager milczał przez cały weekend. Jeremy zatelefonował do centrali i spytał, czy ktoś do niego dzwonił.

– Nie, doktorze.

I tak pojechał jednak do szpitala, zaatakował swój wstęp do książki i zdziwił się, że idzie mu jak z płatka. Do dziesiątej wieczorem skończył całość, sprawdził, kilka rzeczy zmienił i zapakował tekst, żeby wysłać go do zrecenzowania ordynatorowi onkologii.

Co teraz?

Nie tak dawno temu cieszyłby się z samotności. Teraz czegoś mu brakowało.

Włączył komputer, wszedł do archiwum „Clariona”, uruchomił swoje konto i wpisał do wyszukiwarki nazwisko Norberta Levy’ego. Nie ograniczając go tym razem słowem „zabójstwo”.

Nic.

To samo w przypadku Edgara Marquisa i, jak można było się spodziewać, ukrywającego się pod pseudonimami Harrisona Maynarda.

Tina Balleron wymieniła jego kilka pseudonimów. Amanda... Fontaine, Barbara Kingsman.

Nic, pod żadnym *nom de plume*.

Poddał się, wyłączył komputer, pojechał do hotelu Excelsior, poszedł prosto do baru. Pustego baru, mógł więc wybrać stolik. Wybrał ten sam, przy którym razem z Arthurem rozmawiali, pili i pogryzali *hors d'oeuvre*.

Zamówił podwójną szkocką.

Starego kelnera, który wtedy ich obsługiwał, dzisiaj nie było. Młody mężczyzna, który przyniósł drinka, miał nijaką twarz, był wesoły i chodził sprężystym, energicznym krokiem jak – tak skojarzyło się Jeremy’emu – koń wyścigowy, gryzący wędzidło.

– Jakaś konkretna marka, proszę pana?

– Nie.

Ta sama sala, ten sam stolik, ale nic nie było tak samo.

Jeremy siedział długo, zwlekając z dolewkami, przed samym sobą udając samokontrolę.

Młodemu kelnerowi się nudziło, zaczął czytać gazetę. W tle grała cicho mdła muzyczka. Kiedy Jeremy dopił trzecią szkocką, w głowie mu już szumiało.

Nie ma smutniejszego miejsca niż wielki hotel w niedzielę. Miasto chlubiło się swoją środkowozachodnią moralną atmosferą, a niedziela była dniem rodzinnym. Nawet hol był pusty, akwizytorzy pojechali do swoich stęsknionych żon, hotelowe dziwki robiły to, co pracujące dziewczyny robią w niedziele.

Czasami umierały.

Jeremy odpędził tę myśl, dosłownie machnąwszy ręką. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zauważyć ten odruchowy gest, więc go powtórzył. Ucieszony jak niegrzeczne dziecko, któremu uszedł na sucho jakiś psikus.

Zamówił jeszcze jednego drinka, rozcieńczył sobie krew alkoholem, twarz mu się zaróżowiła. W jakimś stopniu – powierzchownie – było to przyjemne doświadczenie. Ogólnie jednak Jeremy czuł się nieobecny.

Żył w cudzej skórze.

Rozdział 34

W poniedziałek obudził się w paskudnym nastroju, bez siły i odrętwiały; zastanawiał się, czy nie złapał grypy od Angeli.

Po szybkim spacerze w porannym chłódzie trochę się rozczmuchał i jadąc do pracy, czuł się już prawie jak człowiek. Wstąpił do stołówki na kawę, zobaczył Teda Dirgrove'a z innym lekarzem, pograżonych w ożywionej dyskusji. To był ten sam smagły wąsacz, który siedział z chirurgiem, kiedy Jeremy po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę. Siedzieli wtedy razem, tamci dwaj i kardiolog Mandel.

Teraz nie miał powodu, by zwracać na nich uwagę, bo sala była pełna lekarzy, a Dirgrove i jego towarzysz zaszyli się w przeciwległym kącie. Ale chirurg miał w sobie coś takiego... Angela była tak zachwycona tym, co robił...

Jeremy rzeczywiście był zazdrosny.

Nalał sobie kawy, wyszedł. Dirgrove i nieznajomy nie wstali. Ich dyskusja sprawiała wrażenie nerwowej – rozmawiali o sprawach naukowych? Nie, to wyglądało na coś osobistego. Zachowywali się jak dwa warczące na siebie psy.

Potem Dirgrove się uśmiechnął, wąsacz też.

Dwa psy szczerzące kły.

Wyrównane szanse. Drugi lekarz był wzrostu Dirgrove'a, podobnej, smukłej budowy i tak samo jak Dirgrove krótkowłosy. Tyle że kędzierzawą czuprynę miał ciemną jak wąsy.

Rozmawiając, gestykulował. Rzucił ostatnie słowo i wyszedł ze stołówki. Dirgrove, sam, stał z zaciśniętymi pięściami. Jeremy'emu poprawiło to humor; stwierdził, że jest głodny, i wrócił po drożdżówkę.

Postanowił usiąść i zjeść. Dirgrove wyszedł. Kilka chwil później w stołówce pojawiła się Angela z grupą specjalizantów.

Rozgadanych, radosnych, podnieconych. Wszyscy wyglądali bardzo młodo.

Angela mówiła, że jest zmęczona, teraz jednak była uosobieniem energii.

Wszyscy byli. Dzieci.

Nagle osiem lat różnicy między nią a Jeremym wydało się mu różnicą całego pokolenia. Jocelyn była w wieku Angeli, ale sprawiała wrażenie bardziej... doświadczonej, starszej. Może wpłynęły na to lata pracy jako pielęgniarki. Albo fizyczne zajęcia, jakich miała się w szkole pielęgniarskiej.

Angela, pełna obaw i obsesji mimo szczęśliwego dzieciństwa, księżniczka swojego ojca, mogła nigdy nie pokonać poczucia winy z racji swojego dobrego urodzenia.

Rodzina Jocelyn mieszkała w przyczepie kempingowej, a sama Jocelyn, odkąd skończyła osiemnaście lat, musiała radzić sobie sama. Wszystko ją cieszyło.

Dziewczyna pracująca.

Nie. To zabrzmiało wstrętne.

Oczy Jeremy'ego zaszyły łzami. Odsunął drożdżówkę i kawę i szybko się wymknął, uważając, żeby nie zobaczyła go Angela.

Przyszła czwarta koperta. W końcu.

We wtorek rano, wciśnięta w sam środek sterty rzeczy do wyrzucenia. Jeremy nabrał zwyczaju krążenia pod sekretariatem psychiatrii i wyglądania czasami ze swojego gabinetu, w nadziei, że zobaczy nieznajomego listonosza.

Bez skutku. Zresztą tak naprawdę nie miało to przecież znaczenia. Najważniejsza była sama wiadomość.

Koperta była cienka, cieńsza niż zwykle. W środku znajdowała się kartka z wypisaną na maszynie pojedynczą linijką tekstu:

Etyka Ojców, Sforno, 5:8e

Najwyraźniej był to jakiś odnośnik. Do starożytnego tekstu? Buddyjskiego? Włoskiego?

Jeremy siadł do komputera i w kilka chwil znalazł odpowiedź.

Tekst był religijny, ale nie buddyjski. *Etyka Ojców* była częścią – „traktatem” – żydowskiego Talmudu, jedyną z sześćdziesięciu trzech, która nie dotyczyła przede wszystkim praw.

„Bartlettem judaizmu” określał ją jeden z autorytetów.

„Kompendium moralności” nazywał inny.

Sforno to był Ovadiah Sforno, włoski rabin i lekarz z czasów renesansu, znany głównie ze swojego komentarza do Biblii.

Napisał też mniej znany komentarz do *Etyki Ojców*.

Gdzie można coś takiego znaleźć?

Może u Renfrewa, gdyby niemowa jeszcze żył.

Jeremy zadzwonił do dwóch miejskich bibliotek. Żadnego egzemplarza, w żadnym wydaniu. Wyjął książkę telefoniczną, sprawdził księgarnie na żółtych stronach.

Spróbował u kilku sprzedawców książek nowych i w antykwariatach. Żaden z właścicieli nie miał pojęcia, o czym Jeremy mówi. Dwie księgarnie reklamowały się jako „religijne”, ale okazały się odpowiednio katolicką i luterańską.

– Może niech pan spróbuje u Kapłana – poradził właściciel katolickiej. – Gdzie to jest?

– Przy Fairfield Avenue.

– Fairfield, na wschód od śródmieścia?

– Zgadza się. To była żydowska dzielnica, dopóki wszyscy Żydzi nie wyprowadzili się stamtąd na przedmieścia – wyjaśnił księgarz.

– Kapłan wciąż tam jest?

– Z tego, co wiem, tak.

Fairfield Avenue znajdowała się kawałek drogi samochodem od szpitala; były to dwa pasy krętego, dziurawego asfaltu, biegnące między poczerniałymi od sadzy, przedwojennymi budynkami. Prawie wszystkie witryny sklepowe zamurowano; handlową niegdyś ulicę teraz zajmowały głównie magazyny do wynajęcia. Wyblakłe napisy na brudnych murach świadczyły o przeszłości:

PIKLE SCHIMMELA

Kram rybny Shapiro

Koszerny rzeźnik

Księgarnia miała trzy metry szerokości, nad wejściem widniał wymalowany łuszczącą się złotą farbą napis: KSIĄŻKI, UPOMINKI, JUDAICA, i pod spodem to samo po hebrajsku, jak założył Jeremy. Szkło było ciemne – nie czarne, jak u Renfrewa, lecz ciemne od nieoświetlonej przestrzeni za nim.

Zamknięte. Ostatni gasi światło.

Kiedy jednak Jeremy nacisnął mosiężną klamkę, drzwi się otworzyły; wszedł do maleńkiego, ciemnego pomieszczenia. Pod sufitem nie było żadnego oświetlenia; lampka o miedzianym korpusie i bursztynowym kloszu rzucała stożek światła na poobijane dębowe biurko. Powietrze powinno być stęchłe, ale nie było.

Za biurkiem siedział starszy mężczyzna, gładko ogolony, w czarnej, zamszowej mycce na siwych, bardzo krótkich włosach. Starszy, ale potężny, nieskurczony upływem czasu. Barczysty i grubokościsty, po wojskowemu wyprostowany, w białej koszuli, ciemnym krawacie i skórzanych, plecionych szelkach. Na wąskim, smukłym nosie miał okulary do czytania w złotej oprawce. Za nim stała przeszklona gablota pełna najróżniejszych przedmiotów: srebrnych pucharów i świeczników, płyt z gwiazdami Dawida na okładkach (*Wujek Shimmy śpiewa zemiry*), gier planszowych, czegoś, co wyglądało jak plastikowe baki, aksamitnych torebek haftowanych również w sześcioramienne gwiazdy. Pod spodem – trzy półki z książkami.

Mężczyzna dłużej przy czarnej, skórzanej skrzynce ze zwisającymi skórzanymi paskami, Podniósł wzrok.

– Tak?

– Czy ma pan komentarze rabina Sforno do *Etyki Ojców*!

Mężczyzna przyjrzał się Jeremy'emu.

– Może pan to zamówić przez Internet.

– Wolałbym mieć od razu.

– Pilno panu do nauki? To bardzo dobry komentarz.

– Tak słyszałem.

– Jak mnie pan znalazł?

– Poleciała mi pana księgarnia katolicka. – Ach, Joe McDowell, zawsze był lojalny.

Mężczyzna uśmiechnął się i wstał. Mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Miał potężny

tors; Jeremy zastanawiał się, jak on się czuje w pomieszczeniu wielkości szafy. Księgarz wyciągnął rękę.

– Bernard Kapłan.

– Jeremy Carrier.

– Carrier... To francuskie nazwisko?

– Z dawnych czasów – powiedział Jeremy. Potem wybełkotał: – Nie jestem Żydem.

Kapłan się uśmiechnął.

– Mało kto jest... Proszę wybaczyć ciekawość, ale mało kto prosi o komentarz Sforno. Rzadko, bardzo rzadko.

– Poleciał mi go lekarz ze Szpitala Centralnego, gdzie pracuję.

– Dobry szpital – stwierdził Kapłan. – Wszystkie moje dzieci się tam urodziły. Żadne nie zostało lekarzem.

– Przyjmował je doktor Chess?

– Chess? Nie, nie znam go. Opiekował się nami doktor Oppenheimer. Sigmund Oppenheimer. Był wtedy jednym z niewielu Żydów, których przyjęli.

– W szpitalu była segregacja?

– Oficjalnie nie. Ale oczywiście była. Jak zresztą wszędzie. W niektórych miejscach jest do dziś.

– W klubach.

– Gdyby tylko w klubach. Nie, pana szpital nie był cytadelą tolerancji. We wczesnych latach pięćdziesiątych dość głośno agitowano za wyrzuceniem z niego kilku żydowskich lekarzy. Dzięki doktorowi Oppenheimerowi do tego nie doszło. Przyjął tyle porodów, że wyrzucenie go zbyt poważnie obcięłoby dochody szpitala. Przyjmował dziecko burmistrza i wszystkich tych, którzy chcieli mieć najlepszego położnika. Miał złote ręce.

– Często wszystko sprowadza się do pieniędzy – powiedział Jeremy.

– Często. I o tym właśnie jest mowa w *Etyce Ojców*. Nie powinno. W życiu chodzi o coś więcej niż pieniądze. To wspaniała książka. Mój ulubiony cytat brzmi: „Im więcej mięsa, tym więcej robaków”. Co oznacza, że kto umrze, mając najwięcej zabawek, ma po prostu najwięcej zabawek. Albo: „Kto jest szczęśliwy? Ten, kto jest zadowolony z tego, co ma”. Gdybyśmy tylko potrafili sobie to uświadomić, i mówię tu też o sobie. W każdym razie, doktorze Carrier, przypadkiem mam egzemplarz komentarza Sforno, bo zamówiłem go dla kogoś, kto się rozmyślił i zostawił mi go, kiedy trafił na wyprzedaż w Internecie.

Kapłan otworzył szklaną gablotę, wyjął z niej książkę w miękkiej, blad różowej okładce i podał ją Jeremy'emu.

Jeremy przeczytał tytuł.

– *Pirk...*

– *Pirkei* – podpowiedział Kapłan. – Po hebrajsku to znaczy „rozdziały”. *Pirkei Avos*, dosłownie rozdziały Ojców.

– Kim byli Ojcowie?

– Na pewno nie kapłanami. – Kapłan parsknął śmiechem. Oczy miał szaro-niebieskie, wesołe, lekko przekrwione. – W hebrajskim to słowo oznacza nie tylko ojca, ale też mędrca. W naszej tradycji, kiedy ktoś uczy cię czegoś ważnego, staje się dla ciebie równie drogi jak rodzic. Proszę, niech pan sobie przejrzy.

– Nie, wezmę ją – powiedział Jeremy. – Ile?

– Piętnaście dolarów. Dla pana dwanaście.

– Nie, nie trzeba.

– Robi mi pan przysługę, młody człowieku. Nie sprzedam jej raczej nikomu innemu. Nikt już tu nie przychodzi. Jestem reliktem i powinienem mieć dość rozumu, żeby dobrowolnie wyginać. Ale emerytura oznacza śmierć, a ja lubię tę starą dzielnicę, tę ulicę, wspomnienia o ludziach, których znałem. Jestem właścicielem tego budynku i kilku innych przy Fairfield. Kiedy umrę, moje dzieci wszystko sprzedadzą i będą ustawione do końca życia.

Jeremy'emu się to z czymś skojarzyło.

– Czy znał pan pana Renfrewa, antykwariusza?

– Shadleya Renfrewa. Oczywiście. Porządny człowiek.. Ach, znał go pan, bo miał sklep blisko szpitala.

– Tak.

– Słyszałem, że zmarł. Szkoda.

– Pokonał raka, a potem serce odmówiło mu posłuszeństwa.

– Rak gardła... To dlatego nigdy się nie odzywał. Przed rakiem śpiewał. Miał wspaniały głos.

– Naprawdę?

– O, tak. Irlandzki tenor. Może miał szczęście.

– W jakim sensie?

– Był zmuszony do milczenia – wyjaśnił Kapłan. – Może to go czyniło mądrzejszym. O tym też jest tu mowa. – Postukał w książkę. – „Uważaj na swoje słowa, w przeciwnym razie nauczą się kłamać”. Pan pozwoli, zapakuję ją.

Sięgnął do szuflady i wyjął z niej coś lśniącego i pomarańczowego.

– Landrynka. Pierwszorzędna, z Izraela. Są bardzo dobre. Kiedyś dawałem je dzieciom, kiedy przychodziły. Pan jest najmłodszym człowiekiem, jaki pojawił się tu od wieków, więc dzisiaj to pan będzie dzieckiem szczęścia.

Jeremy podziękował i zapłacił za książkę.

– Tamten klient mógł zaczekać na swoją etykę – powiedział Bernard Kapłan, kiedy Jeremy wychodził. – Cieszę się, że pan nie.

Rozdział 35

Idąc do samochodu, Jeremy wrzucił landrynkę do ust i pogryzł ją na słodką, cytrusową miazgę.

Włączył silnik nowy, zostawił go na biegu jałowym i otworzył książkę. Po prawej stronie znajdował się tekst hebrajski, po lewej tłumaczenie na angielski. Podczas tych kilku minut, kiedy Jeremy był w sklepie, temperatura zdążyła spaść i w samochodzie zrobiło się lodowato. Do zimy było jeszcze daleko, ale przednią szybę pokryła cienka warstewka szadzi. Sprawiała to bliskość jeziora. Nad wodą wiały wiatry, wychładzając okolicę.

W pierwszym roku pracy Jeremy'ego w szpitalu burza z północy przyniosła spadek temperatury z plus pięciu do minus czterdziestu w dwie godziny. Zapasowe generatory szpitala omal się nie powyłączały.

Nikt nie umarł, jak twierdzili optymiści, ale Jeremy słyszał opowieści o wyłączających się respiratorach, lampach nad stołami operacyjnymi, które gasły, kiedy chirurg był w połowie nacięcia.

Włączył ogrzewanie, sięgnął do włącznika wycieraczek, żeby usunąć szron, ale się rozmyślił. Dobrze mu było z tą odrobiną prywatności.

Pora nauczyć się etyki od Ojców. Po cytatach Bernarda Kapłana i porównaniu do Bartletta Jeremy spodziewał się zbioru homilii i na stronach, które przeglądał, szukając rozdziału piątego, znalazł tego potwierdzenie.

Ale rozdział piąty, ustęp ósmy, był zupełnie inny.

Zawierał litanie kar, wymierzonych światu za liczne przewinienia.

Głód za zaniechanie płacenia dziesięciny, plaga dzikich zwierząt za niedotrzymane przysięgi, wygnanie za czczenie fałszywych bożków.

Paragraf e brzmiał:

Miecz wojny spada na świat za opieszałość w sprawiedliwości.

Komentarz rabina Sforno uzasadniał to cytatem z Księgi Kapłańskiej: „Miecz, który się pomści za złamanie przymierza” [Biblia Tysiąclecia, Ks. Kapłańska 25,26 (przyp. tłum.)].*

Ktoś postanowił zaprowadzić porządek.

Przymierze – układ – żeby przywrócić ład.

Rozwiązując nierozwiązane sprawy morderstw?

Czy popełniając nowe – oczyszczająca plaga?

Rozdział 36

Widziane przez pryzmat sprawiedliwej zemsty artykuły jawiły się zupełnie inaczej. Laserowa chirurgia kobiet. Gazety piszące o dwóch zamordowanych kobietach. Laser, oczyszczająca broń – oczyszczające narzędzie? Czy jakiś szaleniec wykorzystał starożytny tekst jako podstawę swojej osobistej sprawiedliwości?

Albo jeszcze gorzej: czy były to zwykłe przechwałki potwora w ludzkiej skórze?

Jeremy przerzucał strony różowej książki i patrzył, nic nie rozumiejąc, na hebrajskie litery. Czy to możliwe, że w całej sprawie było jakieś żydowskie ogniwo? Czy ktoś chciał, żeby on tak myślał?

Przypomniało mu to coś, co czytał wiele lat temu, na studiach. O Kubie Rozpruwaczu. Profesor psychologii anormalnej, na siłę szukając przykładów, umieścił relację z morderstw w Whitehall na swojej liście lektur, twierdząc, że obrazuje ona sadystyczną psychopatię lepiej niż wszystkie podręczniki razem wzięte.

Szukanie przykładów na siłę było tak naprawdę robotą głupiego, a Jeremy uznał tekst za jeszcze bardziej ogłupiający: mnóstwo spekulacji, teorii, których nie można było udowodnić ani obalić, całe strony makabrycznych zdjęć.

Teraz jednak przysłała mu do głowy jedna, konkretna ilustracja. Ryta reprodukcja graffiti kredą, na czarnym ceglany murze londyńskiego East Endu. Wiadomość pozostawiona w miejscu zamordowania prostytutki – coś o tym, że „Żydy” nie są niczemu winne. Oryginalny napis starto i jakiś policjant odtworzył go z pamięci. Rytnik opierał się na jego wyobraźni.

Rozpruwacz działał w żydowskich slumsach; według przyjętej interpretacji napisu był on próbą obarczenia odpowiedzialnością za zbrodnię grupy etnicznej, otaczanej i tak powszechną niechęcią.

Zdaniem Kapłana, reputację Szpitala Centralnego nadszarpnął kiedyś antysemityzm.

Zamordowane dziewczyny z wycinka prasowego były Angielkami.

Czując zawroty głowy, Jeremy zamknął książkę i ruszył w drogę powrotną do szpitala.

Oslo, Paryż, Damaszek przez Berlin. Syryjska stolica z całą pewnością była miejscem nieprzyjaznym Żydom. A Żydzi nigdzie nie rozkwitli pełniej niż w Niemczech. Czyżby Arthur prowadził go w określonym kierunku?

Arthur i inni? Tina Balleron nie była ani trochę zaskoczona, kiedy usłyszała o kopertach.

Może więc artykuły nie były korespondencją od mordercy, lecz dokładnie tym, za co Jeremy brał je od początku: poleceniem Arthura, wypełnianym przez jednego z jego zastępców.

Prowadzającym go do starego, żydowskiego tekstu.

Jedynym członkiem CCC o żydowskim nazwisku był Norbert Levy; zaczynając poszukiwania, Jeremy nie znalazł niczego, co łączyłoby profesora inżynierii z jakimkolwiek zabójstwem. Może trzeba pokopać głębiej.

Docisnął mocniej pedał gazu, przyspieszając niebezpiecznie na ulicy śliskiej od ropy i deszczu, wjechał na parking lekarzy, błyskawicznie zaparkował. Wskoczył z samochodu i szybkim krokiem poszedł do gabinetu.

Konkretne zadanie. Przyjemne uczucie.

Ledwie zdążył powiesić płaszcz i włączyć komputer, kiedy zadzwoniła Angela.

– Muszę wpaść.

– Teraz?

– Tak... mogę? Proszę...

– Wszystko w porządku? .

– Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. Masz chwilę? Proszę, powiedz, że masz.

– Mam.

– Zaraz będę.

Wpadła ubrana w czarną bluzkę wpuszczoną w spodnie khaki. W adidasach. Nie miała fartucha ani stetoskopu. Włosy, niedbale związane, sterczały na wszystkie strony; oczy czerwone, policzki mokre od łez.

– Co się stało? – spytał Jeremy.

Uśmiechnęła się tak, że zrobiło mu się niedobrze. Uosobienie klęski. Kiedy wreszcie udało się jej coś wykrztusić, głos miała zduszony.

– Jestem taka głupia, taka głupia.

Dirgrove się do niej dobierał. Nie na żarty.

Doszło do tego niedawno – pół godziny temu – w jego gabinecie. Przesiedziała w szoku w szatni specjalizantów, w końcu zebrała dość sił, by zadzwonić do Jeremy'ego.

Dirgrove wszystko skrupulatnie zaplanował, zaprosił ją do siebie, żeby omówić z nią skutki uboczne zakładania bypassów naczyń wieńcowych.

Powinna to pani wiedzieć, doktor Rios, jako czynny zawodowo lekarz.

Kiedy przyszła, przywitał ją ciepło, ale oficjalnie, nie wychodząc zza biurka. Wskazał kilka fachowych pism, które ułożył dla niej w równym rzędzie. Zakładki oznaczały strony, które uznał za godne uwagi.

Kiedy usiadła, zaczął wykład o opiece nad pacjentem, potem kazał jej przeczytać konkretny artykuł. Krawat miał ciasno zawiązany, pachniał świeżością, jakby dopiero się kąpał. Kiedy Angela zaczęła czytać, Dirgrove wyszedł zza biurka, ostentacyjnie zaczął poprawiać szyte na miarę, białe fartuchy i świeżo wyprasowane kitle, wiszące na drewnianym wieszaku obok bulgoczącego morskiego akwarium.

Potem stanął za nią. Stał tam, kiedy czytała.

Była w połowie paragrafu o metodologii, kiedy na jej ramieniu usiadła dłoń.

Tak właśnie pomyślała: usiadła. Jak ptak – nie, nawet coś drobniejszego – owad. Jętka.

Dotyk pajęczych palców był tak delikatny.

Z bliska zapach czystości nabrał nowych nut. Przyjemna woda po goleniu, coś ziołowego, męskiego, oszczędnie użytego.

Słyszała własny oddech, ale jego nie.

Wciąż mówił – słowa się zlewały, a ona czuła tylko dotyk jego palców.

Powoli bębnił nimi o jej ramię. Przesunął dłoń na jej kark, ciepłą i suchą.

Pewny siebie. To właśnie to – świadomość tego, jaki był pewny siebie – tak ją zmroziła.

Strząsnęła go – gwałtownie, tak myślała. Ale nie zareagował, uniósł tylko jętki palców.

Powiedziała sobie: zapomnij o tym, poczytaj jeszcze przez chwilę, a potem wymyśl jakąś wymówkę i wyjdź.

Usłyszała, jak westchnął. Miała nadzieję, że było to westchnienie rozczarowania. Nic złego się w końcu nie stało.

Wtedy dłoń wróciła. Obie dłonie. Szybkie i ruchliwe. Zanim Angela zdała sobie sprawę, co się dzieje, jedna wsunęła się jej za bluzkę, wpełzła pod stanik, objęła pierś i uszczypnęła lekko sutek, żeby go pobudzić. Druga głaskała niemal niewidoczny meszek na jej policzku. Jakby szkicowała kontur. Rysowała linię nacięcia.

Angela się zerwała, stanęła z Dirgrove'em twarzą w twarz.

Ręce trzymał przy sobie. Ugiął kolano – żaden inny gest nie mógł być bardziej swobodny.

– Mogę cię zadowolić – powiedział.

Przygotowała oburzoną ripostę; słowa zamarły jej na ustach. Uśmiechnął się pod nosem.

– Jak... – wychrypiała – jak pan może!

– To sprzeciw? – zapytał. – Czy pytanie o technikę? Jeśli to drugie, to z przyjemnością pokażę ci, jak mogę.

Zaczął masować swoje krocze – coraz bardziej widocznie wypychało mu spodnie. Angela uciekła. Trzaskając drzwiami, usłyszała jego śmiech.

– Zgłoś bydlaka – syknął Jeremy przez zaciśnięte zęby. Z trudem panował nad swoim głosem.

Angela rzuciła mu się w objęcia, wyswobodziła się, zaczęła krążyć po gabinecie. Zatrzymała się przy oknie, popatrzyła na studnię, załamała ręce.

– O, cholera – jęknęła. – Zostawiłam tam mój fartuch. I stetoskop. Będę musiała po nie wrócić.

– Nie ma mowy. Ja pójdę.

– Nie, proszę. Nie chcę sceny. Po prostu o tym zapomnijmy. Coś wymyślę. Jeremy nie odpowiedział.

– O co chodzi? – spytała. – Czemu nic nie mówisz?

– Naprawdę będziesz umiała o tym zapomnieć?

– Nie wiem.

– Powinnaś go zgłosić, Angelo.

– I co wtedy? Jego słowo przeciwko mojemu? Specjalizantka przeciwko profesorowi? Niczego nie udowodnię. Że trochę mnie pomacał? Narobię sobie kłopotów. Już nigdy nic nie będzie tu dla mnie takie samo. – Uderzyła pięścią w parapet. – Niech go szlag! Pieprzyć go! – Na jej usta wypełził blady uśmiech. – Kiepski dobór słów... Boże, Jeremy, jak mogłam być taka durna!

Podbiegła do krzesła dla pacjentów i ciężko na nie opadła.

– Mój fartuch i stetoskop. Tylko to mnie teraz obchodzi, więcej nie chcę oglądać go na oczy. Za dwa dni i tak zresztą kończę chirurgię klatki piersiowej. Nie będę musiała się z nim spotykać. Co ja sobie wyobrażałam? Nie zostanę chirurgiem. Co mnie opętało, że tak chciałam marnować na niego czas?

– Nie w tym rzecz, że jesteś głupia. Chciałaś być lepszym lekarzem. Wierzyłaś, że chciał cię uczyć.

– Tak. To prawda. – Ciężko westchnęła. – Ale ty wiedziałeś, o co mu naprawdę chodzi, prawda?

– Nie. Byłem po prostu zazdrosny.

Angela słabo się uśmiechnęła.

– Och, Jer, jak ja mogłam być tak naiwna? Czy zadawałabym się z nim, gdyby wyglądał jak troll? Gdyby nie zwrócił na mnie uwagi, nie wybrał spośród innych specjalizantów? Chciałabym myśleć, że tak. Tak bym chciała mieć pewność.

Zgięła się wpół na krześle. Kiedy się wyprostowała, jej spojrzenie wyrażało wielkie... poczucie winy. Dirgrove ją pociągał. Moja zazdrość nie była bezpodstawna. Może wraca mi intuicja.

– Nie ma znaczenia, co myślałaś czy czułaś – powiedział. – Molestował cię. Zwabił pod fałszywym pozorem, dotykał bez pozwolenia, a kiedy dałaś mu do zrozumienia, że nie jesteś zainteresowana, obraził cię jeszcze bardziej, łapiąc się za fiuta.

– Tak – przytaknęła. – Tak właśnie było. Obrzydlistwo. I to, jak się uśmiechał. „Mogę cię zadowolić”. Twardzielskie pieprzenie. Idiota naoglądał się za dużo pornosów. Pokazywał mi, że nic dla niego nie znaczę. Że to on panuje nad sytuacją... Jezu, jak mogłam być taka głupia!

– Dałaś się zaskoczyć. To się zdarza każdemu.

– Założę się, że tobie nie. Jesteś taki... opanowany. Wszystko zawsze przemyślisz. Dobierasz słowa, zanim coś powiesz. Twój zawód, ludzie, z którymi pracowałeś... Pewnie nigdy nie dajesz się zaskoczyć.

Ktoś zapukał do drzwi. Angela podskoczyła.

Jeremy otworzył.

Za drzwiami stał młody mężczyzna w żółtym uniformie pielęgniarza. Trzymał fartuch i stetoskop.

– Jest tu doktor Rios?

– Ja to wezmę – powiedział Jeremy.

– Jasne, panie doktorze. Doktor Dirgrove mówi, że zostawił to pan w jego gabinecie. Kazał pana pozdrowić.

Jeremy zamknął drzwi.

– Dobrze wiedział, gdzie pójdę – stwierdziła Angela.

– To chyba nie tajemnica.

O to właśnie chodzi, pomyślał. Dirgrove'a podniecało to, że pokazał im obojgu, że ma ich w garści. Tu chodziło o władzę. Dawał im do zrozumienia, kto tu rządzi.

Jeremy coś sobie przypomniał. To było jak olśnienie. W zeszłym tygodniu, kiedy wyszedł późno w nocy od Angeli, miał wrażenie, że śledzi go jakiś samochód.

Gdy pojazd szybko pojechał swoją drogą, Jeremy uznał tę myśl za przejaw paranoi. Teraz nie był już tego taki pewien.

Niedługo potem Dirgrove poprosił go o pomoc w przypadku Merilee Saunders.

Doktor Wrażliwiec, zmartwiony lękami swojej pacjentki. A może czymś innym?

Nie zadał sobie trudu poinformowania pacjentki, że przyjdzie do niej inny lekarz, wysłał Jeremy'ego po klęskę.

A potem pacjentka umiera. Ot, wypadek przy pracy.

Dirgrove przekazał przez Angelę, że Jeremy świetnie się spisał, podczas gdy w rzeczywistości nic nie działał.

Bawił się nim? Tak czy inaczej, Jeremy wyczuwał, że będzie miał jeszcze do czynienia z doktorem Theodorem Dirgrove'em.

Rozdział 37

Odprowadził bardzo przygnębiającą Angelę z powrotem na jej oddział i powiedział, że zostaje do późna w pracy, że kolację zjedzą w bufecie.

- Nie w lekarskiej stołówce – zauważyła.
 - Dzisiaj nie, ale w końcu tam też pójdziemy. Do diabła z nim.
 - Jeśli dostanę fobii, zaaplikujesz mi terapię?
 - Szybką terapię. Nic ci nie będzie.
- Pocałowała go w usta.
- Mimo że tyle przeszedłeś jako dziecko, wyrósł z ciebie prawdziwy książe.
 - Jedźmy do mnie, mam dla ciebie szklany pantofelek.
 - Naprawdę. Mówię poważnie.

Jeremy wrócił do gabinetu, wspominając łóżka w internacie, twarde i płaskie jak łupkowa skała, chłód porannych zapraw, nijakie jedzenie i porozumiewawcze uśmiechy tych, którzy się do tego dostosowali.

Z powrotem do komputera. W archiwach „Clariona” nie było nic na temat Norberta Levy’ego, przysła więc pora rozszerzyć poszukiwania na cały Internet.

Pierwszych kilka wzmianek, które Jeremy znalazł na temat emerytowanego profesora, nie miało nic wspólnego z jego pracą naukową. Levy odegrał kluczową rolę w konstrukcji superniezawodnych kondensatorów, używanych w statkach kosmicznych, żyroskopach okrętowych i systemach uzbrojenia.

Uwagę Jeremy’ego przykuło jednak coś zupełnie innego: sprawozdanie z sympozjum na Wschodnim Wybrzeżu, poświęconego sprawie holocaustu i zwołanego przez grupę tych, którzy ocaleli.

Tematem konferencji był współdziałanie pozostałej części Europy: szwajcarskich bankierów, gromadzących ukradzione miliony, hiszpańskich, włoskich i skandynawskich dyplomatów, kupujących zrabowane dzieła sztuki za grosze, francuskich polityków, którzy twierdzili, że stawiali opór hitlerowcom, podczas gdy wychodziło na jaw, że byli chętnymi kolaborantami.

Levy, posiadacz dwóch doktoratów – z fizyki i inżynierii lądowej – został zaproszony ze względu na swoje doświadczenia osobiste. Jego ojciec, Oscar Levy, wybitny fizyk urodzony w Niemczech, opuścił Vaterland w 1937 roku, kiedy antysemityzm szerzący się na jego uniwersyteckim wydziale zmusił go do szukania posady wykładowcy – którą zresztą otrzymał – w Oksfordzie. W następnym roku Levy, jego matka i dwie siostry zostali przewiezieni w tajemnicy do Anglii, dzięki czemu uniknęli deportacji i śmierci, losu całej dalszej rodziny. Ich dom w Berlinie wraz z całą zawartością został skonfiskowany przez hitlerowców. Przepadły pamiątki zbierane od pokoleń, w tym kolekcja Egonów Schiele, Gustawów Klimtów i innych

drogich dzieł sztuki.

Obrazów tych, obecnie wartych dziesiątki milionów, nigdy nie odzyskano; najprawdopodobniej pozostawały w rękach prywatnego kolekcjonera.

Norbert Levy postanowił wygłosić wykład o moralności. Stary profesor nie padł ofiarą pojedynczego zabójstwa. Jego interesowała najgorsza ze wszystkich zbrodni.

Jeremy nie znalazł tekstu jego wykładu, ale po dłuższym i dokładniejszym przeszukaniu zasobów sieci udało mu się dotrzeć do jego streszczenia, na stronie zatytułowanej JewishWorldnet.com. ZNANY NAUKOWIEC TWIERDZI, ŻE INTELIGENCJA NIE MA NIC WSPÓLNEGO Z MORALNOŚCIĄ.

Słynny fizyk, profesor Norbert Levy wygłosił wykład przed członkami Komitetu Zrabowanych Dzieł Sztuki, w którym skrytykował trwającą wciąż inercję europejskich rządów i muzeów, nieprzynajmniej do współudziału w hitlerowskich zbrodniach wojennych. Mimo wciąż rosnącej liczby dowodów, wskazujących, że znaczna część obecnych europejskich wystaw prezentuje skarby skonfiskowane przez hitlerowskie SS, uczyniono bardzo niewiele, by zlokalizować skradzione dzieła sztuki czy wynagrodzić ich stratę prawowitym właścicielom. Levy w swym wystąpieniu opierał się na bogatym zbiorze źródeł, wykazując, że niektóre z najświatlejszych umysłów najbardziej cywilizowanych narodów stosunkowo łatwo ugięły się przed barbarzyństwem. Uhonorowany licznymi nagrodami naukowiec, w przeszłości potencjalny kandydat do Nagrody Nobla, zacytował słowa psychiatry i powieściopisarza Walkera Percy'ego: „Możesz dostawać same piątki, a i tak oblać egzamin z życia”.

– Inteligencja jest jak ogień – powiedział Levy. – Można spalić dom, nauczyć się gotować albo wypalić wspaniałą ceramikę. Wszystko sprowadza się do moralności osobistej, a tej brakuje większej części podobno inteligentnego społeczeństwa. Kluczem do osobistego i narodowego rozwoju jest połączenie sprawności moralnej z intelektualną dyscypliną. Pragnienie sprawiedliwości przebija wszystko inne.

Choć Levy podkreślił, że nie jest człowiekiem religijnym, położył nacisk na wpływ, jaki żydowskie wartości humanistyczne odegrały w jego wychowaniu. Powoływał się przy tym na święte teksty, cytując wezwania do sprawiedliwości z Biblii i talmudycznego traktatu Etyka Ojców.

Jeremy spróbował znaleźć ślady innych pozazawodowych Wystąpień Levy'ego, na nic jednak nie natrafił.

Wpisał: „Edgar Marquis”, bez ogranicznika „zabójstwo” i znów nic nie znalazł. Już właściwie bez większych nadziei wystukał: „Harrison Maynard”. Pisarz krył się za pseudonimem, nie było powodu zakładać, że w jakiejś sprawie wypowiadał się publicznie.

Nazwisko Maynarda pojawiło się jednak w składzie komitetu honorowego kolacji, wydanej na Wschodnim Wybrzeżu na cześć Martina Luthera Kinga. Była to tylko lista bez żadnych odnośników, jeden z tych wyrwanych z kontekstu strzępów informacji, błędzących po kosmosie cyberprzestrzeni.

Hasło „kolacja Martin Luther King” wywołało jeden odnośnik do niedawnego wydarzenia w Kalifornii; nazwisko Maynarda się nie pojawiło. Jeremy poszerzył zakres poszukiwań do „Martin Luther King” i wyświetliły mu się prawie trzy tysiące odnośników. Przeszukiwał je przez prawie dwie godziny, zanim znalazł to, czego szukał.

Strony z żurnala bankietowego. Zdjęcia sławnych gości i dobroczyńców. Między nimi był

Harrison Maynard, nieco szczuplejszy, o włosach i wąsach nie tak siwych, ale poza tym ten sam człowiek, z którym Jeremy jadł kolację.

Uśmiechnięty, dobrze odżywiony i odszykowany w smokingu. Obok niego stał Norbert Levy, również w oficjalnym stroju. Siwobrody fizyk nie został wymieniony w podpisie pod zdjęciem. Maynarda opisano jako dawnego kolegę doktora Kinga, jednego z pierwszych, którzy podbiegli do postrzelonego przywódcy ruchu obywatelskiego, kiedy umierał na motelowym parkingu. Harrison Maynard był „człowiekiem znacząco udzielającym się charytatywnie”. Nie wspomniano, jak doszedł do pieniędzy.

Od walki o prawa obywatelskie do opisów zdzierania sukienek. Filantropia Maynarda świadczyła o tym, że ważna była dla niego moralność, tak jak dla Norberta Levy'ego.

Jeremy zaczął rozumieć starych ekscentryków.

Maynard walczył o równość, a jego idol został zabity na jego oczach. Dalsza rodzina Levy'ego została wymordowana, a jego dziedzictwo zrabowane. Tina Balleron straciła męża, brutalnie zabitego.

Wszyscy byli ofiarami. A Arthur? A Edgar Marquis? Stary dyplomata przyznał między wierszami, że zbyt często był świadkiem dwulicowości w służbie zagranicznej – dlatego przerwał swoją dobrze zapowiadającą się karierę, prosząc o wysyłanie go na pozbawione znaczenia placówki w Mikronezji i Indonezji.

Tam, gdzie mógł zrobić coś dobrego.

Wszyscy byli idealistami.

Choć rozmiłowani w dobrym jedzeniu i winie, walczyli o sprawiedliwość – o swoją wizję sprawiedliwości.

A teraz zabiegali o niego.

Z powodu Jocelyn.

Chciał przemyśleć to wszystko dokładniej, ale zapadł wieczór, a on za dziesięć minut miał się spotkać z Angellą na szybką kolację w stołówce.

Zanim wyszedł, sprawdził numer gabinetu Theodore'a Dirgrove'a w spisie personelu.

Ostatnie piętro Gmachu Gabinetów Medycznych. Zajmowane przez psychiatrię, dopóki chirurdzy go nie przejęli.

Kiedy pracowali tu psychiatrzy, było to zwykłe piętro, nędznie urządzone. Teraz podłogi pokrywały świeże i czyste wykładziny, a ściany wyłożono boazerią. Białe prostokąty drzwi zastąpił polerowany mahoń.

Drzwi Dirgrove'a były zamknięte. Widniało na nich jego nazwisko, duże, złote litery.

Jeremy stał chwilę na korytarzu, w końcu podszedł i zapukał.

Nikt nie otworzył.

Ruszył na spotkanie z Angellą i natknął się na Dirgrove'a wysiadającego z windy.

Chirurg był ubrany w dobrze skrojony, czarny garnitur i czarny golf. Paznokcie miał nieskazitelnie czyste. Na widok Jeremy'ego zacisnął usta.

Spojrzeli sobie w oczy. Dirgrove się uśmiechnął, ale nie podszedł. Jeremy odpowiedział uśmiechem i zrobił krok w jego stronę. Uśmiechał się tak intensywnie, że szczypały go oczy.

Dirgrove się nie cofnął. Wzruszył ramionami i roześmiał się, jakby chcąc powiedzieć: To niepoważne.

– Straciłeś ostatnio jeszcze jakichś pacjentów, Ted? – zapytał Jeremy.

Usta Dirgrove'a nagle opadły, jakby coś ściągnęło w dół ich kąciki. Jego szczupła, blada twarz zrobiła się śmiertelnie biała. Odszedł, a Jeremy stał i patrzył za nim. Chirurg zaciskał i rozprostowywał dłonie, strzelając pajęczymi palcami, jakby iskrzyły mu synapsy.

Nerwowo. Niedobrze, jak na chirurga.

Rozdział 38

Angela na siłę kończyła swoją kanapkę z indykiem. Niedługo musiała wracać na dyżur. Jeremy skubał swoją pieczeń rzymską i patrzył, jak Angela przesuwając po talerzu liść sałaty.

– Nie najlepsze ze mnie towarzystwo – powiedziała. – Może lepiej już pójść.

– Zostań jeszcze chwilę.

Zapisał jego pager.

Angela się roześmiała.

– To znak.

Jeremy odebrał telefon w stołówce, teraz opustoszałej. Dzwonił onkolog Bill Ramirez, z nagłym przypadkiem. Pacjent, którego leczyli wspólnie przed siedmioma laty, młody mężczyzna, Doug Vilardi, z mięsakiem Ewinga III stopnia w kolanie, teraz wrócił.

Jeremy pracował z Dougiem i całą jego rodziną tuż po diagnozie. Złe wieści, osłabiająca terapia i strata nogi – było nad czym rozpaczać. Jeremy jednak w końcu odkrył, że siedemnastoletni chłopak najbardziej boi się perspektywy bezpłodności spowodowanej radioterapią.

Wzruszający optymizm, pomyślał wtedy, zważywszy na okoliczności. Statystyki przeżywalności w przypadku zaawansowanego ewinga nie były krzepiące. Mimo to Jeremy nie rozwiewał złudzeń, porozmawiał z Ramirezem o pobraniu spermy przed terapią, dowiedział się, że da się to zrobić, pomógł rodzinie wszystko zaaranżować.

Doug stracił lewą nogę, ale przeżył raka – to był jeden z tych przypadków, które dodają człowiekowi otuchy i chęci do działania. Nie miał bólów fantomowych, nie załamał się po amputacji. Zaczął od kul, szybko przeszedł na laskę, wspaniale przyzwyczał się do protezy. Jeremy ostatni raz rozmawiał z nim przed czterema laty. Chłopak grał w koszykówkę ze swoją plastikową nogą i uczył się murarki. Co teraz?

– Nawrót? – spytał Ramireza.

– Gorzej, niech to szlag – odparł onkolog. – Druga postać raka. Naczyniomięśniakotłuszczak albo świeżo rozwinięta przewlekła białaczka szpikowa, patologia jeszcze tego nie stwierdziła. Tak czy inaczej to białaczka, bez wątplenia po radioterapii, którą zafundowaliśmy mu siedem lat temu.

– O nie.

– O tak. Dobra wiadomość, młody: rozwaliliśmy twojego guza. Zła wiadomość: rozwaliliśmy twój system krwiotwórczy i załatwiliśmy ci zasnęłą białaczkę.

– Jezu.

– Tak, on by się przydał – mruknął Ramirez. – Biorąc pod uwagę jednak, że Jezus miał wyłączony pager, musisz mi wystarczyć ty. Zrób mi przysługę, Jeremy. Znajdź chwilę, żeby dzisiaj się zobaczyć z Dougiem. Jak tylko będziesz mógł. Wszyscy tu są, on, jego rodzice, jego

siostra. I, wyobraź sobie, żeby było jeszcze gorzej, jego żona. Chłopak ożenił się dwa lata temu. Użył spermy, którą dla niego trzymaliśmy, teraz dziewczyna jest w ciąży. Super, co? Leży na Piątym Zachodnim. Kiedy, cholera, dasz radę przyjść?

- Jak tylko skończę kolację.
- Mam nadzieję, że nie odebrałem ci apetytu.

Jeremy wrócił do stołu. Pod jego nieobecność Angela nie zjadła ani kawałka.

– Kłopoty? – spytała.

– Nie nasze.

Usiadł ciężko, zjadł kawałek pieczeni, popił colą, poprawił krawat i dopiął fartuch. Potem wyjaśnił Angeli sytuację.

– To tragedia – powiedziała. – Od takich rzeczy ustawia się człowiekowi właściwa perspektywa. Ja i moje małostkowe problemy.

– Małostkowość to konstytucyjne prawo. Nie powiem ci, która to poprawka, ale wierz mi, jest coś takiego w Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Widuję rodziny, które rozpadają się po traumatycznych diagnozach, wszyscy z całych sił koncentrują się na ważnych problemach. W kryzysie tak trzeba, ale nie można tak żyć w nieskończoność. W końcu zawsze im mówię: Kiedy znów zaczniecie być małostkowi, będziecie wiedzieli, że znów żyjecie.

Angela położyła dłoń na jego dłoni.

- Gdzie on leży, na Piątym?
- Piątym Zachodnim. Ty cały czas jesteś na Czwartym?
- Aha.
- Podejdźmy tam razem.

Zostawił Angelę i pojechał w górę na oddział nowotworów. Wyobrażał sobie, że wysiada, mija oddział, przechodzi korytarzem do skrzydła gabinetów. A potem wbiega po schodach na ostatnie piętro.

Nie miał pojęcia, co by zrobił czy powiedział, gdyby znów wpadł na Dirgrove'a, ale czuł, że dobrze rozegrał pierwsze spotkanie.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na Piątym Zachodnim i wysiadł, wyglądał jak człowiek z misją, nawet dla przygodnego obserwatora.

Co, do cholery, powie Dougowi Vilardiemu i jego rodzinie?

Najpewniej będzie trzymał gębę na kłódkę i słuchał.

Cnota milczenia. *Etyka Ojców.*

W wieku siedemnastu lat Doug był wysokim, niezgrabnym, ciemnowłosym chłopakiem. Kiepsko się uczył, najlepiej mu szło na zajęciach technicznych. Od tamtej pory przybrał na wadze, stracił trochę włosów, które odrosły mu po chemii, w lewe ucho wetknął kolczyk z

brylantem, zapuścił hiszpańską bródkę w kolorze herbaty, a na prawym przedramieniu zrobił sobie tatuaż. MARIKA niebieskim pismem.

Wyglądał jak zwykły facet, który zarabia na chleb, tylko ten kolor skóry – specyficzny odcień – i zażółcone oczy, które rozbłysły, kiedy Jeremy wszedł do sali.

Rodziny nie było, Doug leżał sam. Protezę nogi oparł w kącie o ścianę. Miał na sobie szpitalną koszulę, od pasa w dół był przykryty prześcieradłem. Podłączono mu już kroplówkę, która co jakiś czas cicho pstrykała.

– Pan doktor! Kopę lat! Pan zobaczy, co ze sobą zrobiłem.

– Nudziło ci się, co?

– Tak, życie zrobiło się cholernie nudne. – Doug się zaśmiał. Wyciągnął na powitanie dłoń, kciukiem do góry. Mięśnie się napięły, a MARIKA podskoczyła, kiedy ścisnął palce Jeremy’ego.

– Dobrze pana widzieć, doktorze.

– Ciebie też.

Doug się rozplakał.

Jeremy usiadł przy jego łóżku, znów wziął go za rękę i ścisnął ją. Rękę takiego faceta; gdyby spróbował tego w innych okolicznościach, szukałby guza. – Siedem lat temu Jeremy często to robił. Doug przestał łkać.

– Kurwa mać, tego właśnie nie chciałem, nie chciałem ryczeć.

– Myślę – powiedział Jeremy – że można ci wybaczyć odrobinę emocji.

– Aha... Cholera, doktorze, co za syf! Rodzi mi się dzieciak, co ja mam, kurwa, robić?

Jeremy siedział u niego dwie godziny – głównie słuchał, czasami wyrażał współczucie. Po godzinie do sali zajrzeli rodzice, zobaczyli Jeremy’ego, uśmiechnęli się słabo i wycofali.

Weszła pielęgniarka, zapytała Douga, czy coś go boli.

– Trochę, w kościach, nic wielkiego. – Doug potarł zębra i szczękę. Według karty miał już powiększoną śledzionę, może nawet niebezpiecznie.

– Doktor Ramirez powiedział, że mogę panu dać percocet, jeśli pan chce.

– Jak pan myśli, doktorze?

– Sam wiesz, jak się czujesz – odparł Jeremy.

– To nie będzie cykorowanie?

– W żadnym razie.

– No to dobra. Niech mnie pani szprycuje. – Doug uśmiechnął się do pielęgniarki. – Mogę dostać od razu trochę rumu? Albo piwo.

Pielęgniarka była młoda, mrugnęła do niego okiem.

– Wszystko w swoim czasie, ogierze.

– Fajowo – powiedział Doug. – Może pan doktor załatwi mi coś odświeżającego.

– Współudział w przestępstwie? – spytała pielęgniarka.

Wszyscy parsknęli śmiechem, żeby wypełnić czymś czas. Pielęgniarka wstrzyknęła percocet

do kroplówki. Lek przez chwilę nie dawał żadnego efektu, potem Doug powiedział:

– Tak, już lepiej... Panie doktorze, mogę się kimnąć?

Rodzice i żona czekali tuż za drzwiami. Marika była niewysoka, ładna, miała potargane jasne włosy, przestraszone niebieskie oczy i brzuch wyduęty wczesną ciążą. Wyglądała na jakieś szesnaście lat.

Nie odzywała się, tak samo jak ojciec Douga, Doug Senior. Pani Vilardi mówiła za nich wszystkich; Jeremy został z nimi przez następną godzinę. W uszach dźwięczał mu szloch, duszę przepełniła żalność.

Potem przyszedł czas na rozmowę z Billem Ramirezem, kolejnych dwadzieścia minut odpowiadania na rozsądne, pełne troski pytania pielęgniarek z nocnej zmiany, obmyślanie planu psychologicznego wsparcia na przyszłość, a potem, w końcu, wypisywanie karty.

Kiedy Jeremy wyszedł wreszcie na korytarz, już prawie świtało, a oczy same mu się zamykały.

Wrócił do swojego gabinetu po płaszcz i teczkę, zastanowił się, czy usiąść jeszcze raz do komputera, zdecydował, że nie.

Jechał do domu na wpół przytomny. Minął zaciemnioną fasadę Excelsiora i sunął pustymi ulicami w kolorze sepii, nie zauważając nawet, że świeci księżyc, z głową szczęśliwie wolną od myśli i obrazów.

Wtoczył się do domu. Udało mu się rozebrać, zanim ugięły się pod nim nogi. Na poduszkę opadł już pogrążony w głębokim śnie.

Rozdział 39

Zaspał, nie zjadł śniadania, ubrał się jak w transie. Pierwszą wizytę miał o jedenastej, u Douga Vilardiego. Młody mężczyzna tego popołudnia miał zacząć chemioterapię. Gdyby ona i kolejne naświetlania nie spowodowały ustępowania choroby, jedynym wyjściem byłby przeszczep szpiku kostnego, a to oznaczało przeniesienie do innego szpitala, oddalonego o osiemdziesiąt kilometrów.

Decyzja poddania się terapii musiała być bardzo trudna. Terapia uratowała Dougowi życie, zatrała jednak także jego szpik. Doug się nie wahał.

– Chuj z tym, panie doktorze. Co mam niby zrobić, zwinąć się w kłębek i zdechnąć? Rodzi mi się dzieciak.

Nie był specjalnie bystry ani elokwentny, nie potrafił się wysławić. Dla Jeremy'ego wyzwaniem było pomóc Dougowi ubrać swoje myśli w słowa. I kiedy udało im się to osiągnąć, dalej poszło jak po maśle.

Jeremy zapytał Douga o murarstwo.

– Szkoda, że pan tego nie widział, postawiłem kilka porządných murów. Naprawdę, niewąskich murów.

Ja też.

– Zna pan tę katedrę, Świętego Urbana, w południowej części miasta? Jest tam probostwo, taki mniejszy budynek, cały z cegły, nie tak jak kościół, który jest z kamienia. My go remontowaliśmy, moja firma i ja. Miał tyle luków, człowiek patrzy i myśli sobie, jak oni to robili.

Jeremy znał katedrę, nigdy nie zwrócił uwagi na probostwo.

– I wyszło dobrze.

– Lepiej niż dobrze, wyszło... pięknie. Wszyscy tak mówili, księża, no wszyscy.

– Świetnie ci poszło.

– Nie tylko mnie, to była robota całej brygady. Uczyłem się od tych gości. Teraz mamy nowych i to ja ich uczę. Muszę wracać do roboty. Jak nie pracuję, to się czuję...

Doug rozłożył ręce.

Jeremy pokiwał głową.

– Mama boi się tej terapii. Mówi, że to przez nią mam te nowe problemy. Ale chuj z tym, panie doktorze. Co ja mam niby robić...

Jeremy pojechał do szpitala, myśląc o optymizmie młodego mężczyzny. Musiał być wrodzony; Jeremy zaobserwował, że pozytywne nastawienie do życia ma niewiele wspólnego z faktycznymi życiowymi doświadczeniami. Niektórzy widzą pączek, inni dziurę.

Tamta późna kolacja świadczyła, że starzy ekscentrycy widzieli pączki. Przetrwali ci, którzy widzieli siebie jako godnych lnu, porcelany i srebra, dania z trzech mięs, *foie gras*, *petit four* i

najlepszego szampana.

Tamta późna kolacja była pierwszym naprawdę bajecznym posiłkiem, którym Jeremy cieszył się od... od lat.

Jak on odnajdował się w kontinuum pączek-dziura?

Jako obserwator, może nawet pamiętnikarz.

W gabinecie czekała na niego notka od ordynatora onkologii.

JC: Przejrzałem pana rozdział Załączam kilka sugestii, ale ogólnie jest dobrze. Kiedy możemy się spodziewać całości?

W skrzynce leżało też kartonowe pudełko z pieczętką BOOK RATE i lokalnym stemplem pocztowym; W środku znajdowała się książka w twardej oprawie z zielonego płótna. *KREW ZASTYGA W ŻYŁACH:*

Seryjni mordercy i ich zbrodnie

Colin Pugh

Wydanie sprzed dwunastu lat, brytyjskie wydawnictwo, bez obwoluty, żadnych danych o autorze.

Na wewnętrznej stronie okładki widniała napisana ołówkiem cena – dwanaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów – i czarne, gotyckie litery pieczętki: CENTRALNA KSIĘGARNIA RENFREWA, ANTYKWARIAT, oraz adres i numer telefonu nieistniejącej już księgarni.

Jeremy nigdy nie przypuszczał, że antykwariat miał jakąś nazwę, nie mówiąc już o numerze telefonu – nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał tam dzwonek. Wykręcił siedmiocyfrowy numer, usłyszał sygnał „odłączony”, poczuł się pewniej.

Na pudełku nadrukowano jego nazwisko i adres szpitala. Zajrzał do środka, szukając kartki albo jakiejś wiadomości, nie znalazł niczego takiego, przerzucił parę stron książki.

Nic.

Otworzył pierwszy rozdział i zaczął czytać.

Piętnaście rozdziałów, piętnastu morderców. O większości z nich słyszał – Vlad Palownik, Sinobrody, Dusiciel z Bostonu, Ted Bundy, Syn Sama, Kuba Rozpruwacz (rozdział o potworze z Whitehall potwierdził to, co Jeremy pamiętał z napisu na ścianie: *Żydy to ci, których za nic się nie będzie winić*). Kilku nie znał: Peter Kurten (Potwór z Dusseldorfu), Herman Mudge, Albert Fish, Carl Panzram.

Przeglądał tekst. Szczegóły zbrodni zaczęły się rozmywać, a ich sprawcy zlali się w jedną, upiorną masę. Przy całej okropności ich czynów psychopatyczni mordercy byli nudnymi kreaturami o chorych upodobaniach, odlanymi z tej samej, spaczonyj formy.

Wzrok Jeremy’ego przykuł tytuł ostatniego rozdziału.

Gerd Dergraav: Laserowy Rzeźnik.

Dergraav był urodzonym w Norwegii lekarzem, synem niemieckiego dyplomaty na placówce w Oslo i dentystki, która porzuciła rodzinę i wyjechała do Afryki. Gerd świetnie się uczył, skończył medycynę jako otolaryngolog i oftalmolog. Po raz kolejny zmieniając zainteresowania, zatrudnił się jako specjalizant w Instytucie Medycyny Kobiecej na oddziale ginekologiczno-położniczym. Lata wojny upłynęły mu na badaniach naukowych w Norwegii. W 1946 roku ukończył w Paryżu kurs leczenia nowotworów narządów rodnych.

Jego ojciec zmarł w 1948 roku. Posiadając pełne uprawnienia w trzech specjalnościach, Dergraav przeprowadził się do rodzinnego miasta swojej matki, Berlina, gdzie założył odnoszącą spore sukcesy praktykę, przyjmując porody i lecząc kobiece choroby. Pacjentki uwielbiały go za jego delikatność i umiejętność słuchania. Żadna nie wiedziała o sześciu kamerach ukrytych w gabinecie Dergraava, dzięki którym doktorowi udało się zgromadzić sześćsetdziesiątą bibliotekę nagich kobiet.

Na temat jego wczesnego dzieciństwa nie było nic wiadomo i autor, Pugh, zastąpił fakty freudowskimi spekulacjami. Jedną rzecz potwierdzono: niedługo po przybyciu do Niemiec miły i dobrze wychowany doktor zaczął umawiać się z prostytutkami i torturować je. Ich milczenie kupował dużymi sumami pieniędzy oraz brakiem blizn: Dergraav miał upodobania brutala, ale rękę chirurga. Późniejsze przesłuchania jego pierwszych ofiar ujawniły, że z lubością je poniżał; na jego skonfiskowanych nagraniach wideo można było zobaczyć, jak chłoscze, okłada pięściami, gryzie i dźga igłami od strzykawek ponad dwieście kobiet. Lubił także wpychać ich ręce do lodowatej wody i tamować krążenie w kończynach, a potem mierzyć czas do pojawienia się pierwszych oznak bólu. Dergraav często filmował również siebie samego, w zbliżeniach. Zawsze lekko się uśmiechał.

Pugh uznał, że doktor był przystojnym mężczyzną, chociaż nie potwierdził tego fotografiami.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Dergraav ożenił się z kobietą z wyższych sfer, córką kolegi lekarza, i miał z nią dziecko.

Niedługo potem w berlińskich slumsach zaczęto znajdować pocięte na kawałki zwłoki prostytutek.

Trop ulicznych plotek poprowadził w końcu do doktora Dergraava. Podczas przesłuchania w swoim gabinecie ginekolog wyraził zaskoczenie, że policja może podejrzewać go o coś złego. Nie okazał niepokoju ani skruchy. Detektywi nie bardzo potrafili wyobrazić sobie uroczego, spokojnego chirurga o cichym głosie w roli demona, stojącego za straszliwymi okaleczeniami zwłok, które znajdowano coraz częściej. Dergraava uznano za mało prawdopodobnego podejrzanego.

Seria morderstw prostytutek ciągnęła się przez blisko dziesięć lat. Pogarda mordercy dla ofiar była coraz większa; odczłowieczał je, mieszając części ciał, tak że w koszach na śmieci zaczęto znajdować foliowe worki z kończynami i narządami kilku różnych kobiet. Gdy w 1964 roku koroner na podstawie oględzin szczątków stwierdził, że do ćwiartowania użyto lasera,

policjanci przejrzeni na nowo swoje notatki i odkryli, że Dergraav ponownie wyjechał do Paryża, tym razem na kurs obsługi pozostającego w fazie eksperymentów nowego narzędzia w chirurgii oka. Wydało im się to interesujące, bo Dergraav nie był okulistą, więc przesłuchali go ponownie. Dergraav poinformował ich o swojej specjalizacji okulistycznej, poparł to dyplomami i oznajmił, że zastanawia się nad powrotem do swoich pierwotnych zainteresowań ze względu na nowe metody leczenia rogówki z użyciem lasera.

Policjanci zapytali, czy mogą przeszukać jego gabinet.

Zgoda doktora była konieczna, ponieważ nie istniały podstawy do wydania nakazu. Uśmiechając się uroczo, Dergraav odmówił. Podczas przesłuchania śmiał się i zapewniał śledczych, że nie mogą być dalsi od prawdy – wykorzystywał laser tylko do badań naukowych, a sam instrument był zbyt drogi, by mógł sobie na niego pozwolić. Co więcej, jako ginekolog specjalizował się w chirurgicznym leczeniu bólesności sromu. Był lekarzem, jego życiową misją było pomagać ludziom w cierpieniu, a nie przysparzać bólu.

Policjanci odeszli z kwitkiem. Trzy dni później gabinet i dom Dergraava zostały opróżnione, zamknięte na kłódki i wyczyszczone z odcisków palców. Doktor i jego rodzina zniknęli.

Żona Dergraava pojawiła się rok później w Anglii, potem w Nowym Jorku – utrzymywała, że nic nie wie o poczynaniach swojego męża ani miejscu jego pobytu. Wniosła pozew o rozwód, otrzymała go, zmieniła nazwisko i tyle o niej słyszano. Pugh sugerował, że Dergraav znalazł schronienie u Amerykanów w podzięce za zasługi swojego ojca, który współpracował z nimi w czasie wojny. Dyplomata na placówce w Oslo zdradził swoich hitlerowskich panów, przekazując aliantom bardzo ważne informacje. Teoria ta pozostała jednak tylko pogłoską, a samego Dergraava widywano później daleko od Stanów: w Szwajcarii, Portugalii, Maroku, Bahrajnie, Bejrucie, Syrii i Brazylii.

Dwa ostatnie miejsca potwierdzono. Na początku lat siedemdziesiątych Dergraav potajemnie dostał się do Rio de Janeiro, korzystając z syryjskiego paszportu, wystawionego na własne nazwisko, i uzyskał w trybie ekspresowym brazylijskie obywatelstwo. Powtórnie się ożenił; z żoną i dzieckiem zamieszkał – nie kryjąc się – w Rio, gdzie kupił willę nad plażą Ipanema. Użytył swoich umiejętności organizacji działaczy społecznych, którzy oferowali darmową pomoc lekarską mieszkańcom cuchnących miejskich *favillas* – slumsów.

Dergraav pływał, opalał się, dobrze jadł (najbardziej lubił befsztyk po argentyńsku) i wytrwale pracował za darmo. Wśród pracowników organizacji i *favillitos* stał się znany jako Biały Anioł – dzięki swojej jasnej karnacji i czystej duszy.

Podczas jego pobytu w Rio zaczęto tam znajdować martwe i pocięte na kawałki prostytutki. Powtarzane rządy terroru Dergraava trwały kolejnych dziesięć lat. Ostatecznie wpadł w bardzo banalnych okolicznościach. Krzyki prostytutki, którą próbował udusić, ściągnęły gromadę włóczęgów, i musiał ratować się ucieczką. Włóczędzy dokonali na związanej i zakneblowanej kobiecie zbiorowego gwałtu, pozostawili ją jednak przy życiu. Po krótkim wahaniu zgłosiła się do lekarza i na policję.

Dom Dergraava przeszukali detektywi z Rio, którzy nie przejmowali się procedurami tak bardzo jak ich niemieccy koledzy. Znaleźli zbiór kaset wideo, wśród nich tę, na której doktor ciął zwłoki

kobiety na czterdzieści kawałków przy użyciu laserowego skalpela. Okaleczając ciało, Dergraav opowiadał, co robi, opisywał całą procedurę tak samo, jak relacjonowałby ją podczas prawdziwej operacji. W jego domu znaleziono również wyłożoną zamszem skrzynkę z damską biżuterią oraz palisandrowe pudełko, w którym grzechotały ludzkie kręgi, zęby i kłykie.

Dergraav oczekiwał na proces dwa lata, zamknięty w więzieniu Salvador de Bahia, wciąż ujmujący. Strażnicy przynosili mu międzynarodowe wydania gazet, czasopisma literackie i naukowe magazyny. Przywożono mu jedzenie spoza więzienia. Tłumacząc się troską o poziom cholesterolu, Dergraav jadł mniej wołowiny, a więcej drobiu.

Zaczęły krążyć pogłoski, że niedługo z ręki do ręki mają przejść jakieś pieniądze i że doktor pod osłoną nocy zostanie deportowany z powrotem na Bliski Wschód. Wtedy o aresztowaniu dowiedziały się władze niemieckie, które poprosiły i otrzymały zgodę na ekstradycję. Proces trwał długo; Dergraava widywano siedzącego na więziennym dziedzińcu, zrelaksowanego, ubranego w tropikalną biel, przytulającego żonę i bawiącego się z dzieckiem.

W końcu niemieckie władze postawiły na swoim. Dzień po podpisaniu końcowych dokumentów Dergraav zatkał dziurkę od klucza w drzwiach swojej celi gumą do żucia, podarł swoje przydziałowe ubranie na pasy, związał je w sznur i się powiesił. Miał prawie sześćdziesiąt lat, ale wyglądał na czterdzieści. Strażnik, który znalazł jego ciało, zeznał, że Biały Anioł po śmierci wyglądał zdrowo i spokojnie.

Siedemnaście lat temu, niemal co do dnia, prochy Gerda Dergraava rozrzucono nad oceanem.

Rozdział 40

Siedemnaście lat temu – Jeremy aż podskoczył.

Pierwszy artykuł o laserach wydano właśnie w tamtym roku.

Norwescy autorzy. Rosjanie, jeden Anglik. Jeremy sprawdził nazwiska jeszcze raz. Dergraava wśród nich nie było.

To na datę miał zwrócić uwagę. Na początki w Oslo.

Siedemnaście lat temu powiesił się lekarz-morderca.

Chirurgia laserowa, samobójstwa lekarzy.

Oslo, Paryż, Damaszek przez Berlin.

Gerd Dergraav urodził się i studiował w norweskiej stolicy, kobiecej chirurgii uczył się we Francji, osiadł, torturował i mordował w Berlinie.

Uciekł do Damaszku.

Arthur i jego koledzy szli krwawym tropem Laserowego Rzeźnika.

Kiedy przyjdzie kartka z Rio?

Ładne zdjęcie Głowy Cukru, białych piasków Ipanema albo jakaś inna, brazylijska panorama?

Doktorze C,

Podróżuję i się uczę.

Kartki układały się we wzór: artykuły go uzupełniały. Laserowa chirurgia oczu, bo Dergraay był okulistą, zanim przerwano go na otolaryngologię, skąd przychodziły koperty.

Lasery do chirurgii kobiecej w zgodzie z jego ostatnią ścieżką kariery: lekarza kobiet. Mordercy kobiet.

Jak się do tego mają angielskie dziewczyny? Kiedy je zamordowano, Dergraay dawno już nie żył.

Po co poświęcać tyle uwagi człowiekowi, którego prochy rozpuściły się w ciepłych wodach oceanu siedemnaście lat temu?

Jeremy przypomniał sobie wieczorne spotkanie z Arthurem na drinku. Spotkanie w barze Excelsiora, na które starzec tak nalegał. Patolog opowiedział wtedy historię pozornie bez związku z czymkolwiek. O drapieżnych owadach, które wgryzały się pod skórę ofiary, żeby zostawić tam swoje pasożytnicze potomstwo.

I morał, który Jeremy sam wyciągnął z tej opowieści.

Grzechy ojców.

Ulubiony temat Arthura: geneza bardzo, bardzo złego zachowania.

Kiedy Gerd Dergraay uciekł z Niemiec, jego żona uciekła do Stanów, zmieniła nazwisko, zniknęła w morzu amerykańskiej wolności.

Razem z synem.

Dergraav.

Dirgrove.

Arthur wyłożył mu to czarno na białym. Chciał, żeby Jeremy zrozumiał.

Ten syn był tutaj.

Jeremy wiedział już, że jego pierwsze wrażenie było słuszne: tamtego dnia na stołówce Arthur naprawdę przyglądał się Dirgrove'owi.

A Dirgrove od jakiegoś czasu przyglądał się Jeremy'emu. Obserwował go, śledził. Jego i Angelę. Taki wrażliwy, zawsze miał czas, by wysłuchać specjalizantki w potrzebie. Bez wątplenia pacjenci go uwielbiali – ładny przypadek genetycznego uroku osobistego. Matka Merilee Saunders dała mu się zwieść, ale Merilee nie.

Sztywniak Dirgrove. Robot.

A teraz Merilee nie żyje.

Czy Wrażliwy Ted miał w swoim gabinecie zainstalowaną kamerę? Przy obecnej technologii było to o wiele łatwiejsze niż za czasów jego ojca, wszystko było zminiaturyzowane, skomputeryzowane.

Pozbył się córki, wziął matkę.

Branie było sednem – Dirgrove wziął na cel Angelę, bo już spotykała się z innym mężczyzną.

Tak jak małpy napadają kolonie innych małp, mordują samców i uciekają z samicami, to samo robią niektórzy ludzie, pod przykrywką wojny, religii czy dowolnego dogmatu, jaki akurat jest pod ręką.

Niektórzy nie potrzebują pretekstu.

Jeremy uświadomił sobie nagle coś strasznego.

Wrażliwy Ted i Jocelyn.

Morderca jego kochanki otrzymał nagle twarz i to sprawiło, że cała groza wróciła – Jeremy poczuł przesywający ból i rozpląkał się tak samo jak wtedy, kiedy się dowiedział. Wzrok zasnuła mu czerwona płachta, z trudem trzymał się na nogach.

Podszedł do okna i otworzył je szeroko, wpuszczając do środka stęchłe opary studni. Stał tak, słuchając grzechotu generatora, strzępów rozmów, wiatru. Serce tłukło mu się nierówno w piersi, oddech miał chrapliwy. Dusił w gardle krzyk.

Jocelyn, którą mu odebrano. Odebrano z jego powodu.

A teraz Dirgrove wziął na celownik Angelę.

Zmusił się do zachowania spokoju. Przekonywał sam siebie, wciąż wyglądając na studnię.

Zabijanie i ćwiartowanie było dla potwora jak późna kolacja. Miła dziewczyna, jak Jocelyn, jako danie główne, ulicznice na przekąskę.

Angela jako... deser?

Nie, bankiet się nie skończy, dopóki jedzący się nie udławi.

Jeremy pomyślał o technice Dirgrove'a. Chirurg przyciągał do siebie Angelę swoją wrażliwością. Wyróżniał się spośród innych chirurgów.

Tę samą sztuczkę stosował jego ojciec. Uroczy Ted, miał lat dwadzieścia kilka, kiedy Gerd Dergraav się powiesił. Jeden krok z okresu dojrzewania w męskość, wiek rozbudzonej seksualności, silnych impulsów.

Dobrze wiedział, jakie impulsy powodowały jego ojcem.

Geneza bardzo, bardzo złego zachowania.

To bystry człowiek, ostrożny człowiek. Atak na Angelę zaplanował z chirurgiczną precyzją. Zaprosił ją na lekcję medycyny, rozłożył na biurku pisma z zakładkami.

Angela, zawsze pilna uczennica, zaczyna czytać, on staje za nią.

Mogę cię zadowolić.

Czy to wszystko był wstęp – przystawka – do głównego planu?

Czy Dirgrove tak samo podszedł Jocelyn? Nigdy nie wspominała o nim Jeremy'emu, ale czemu miałyby to robić? Chirurg rozmawiający z pielęgniarką to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Czy Dirgrove mógł leczyć pacjentów Jocelyn z neurologii? Gdyby któryś z nich miał problemy z sercem, oczywiście.

Czy to możliwe, że dobierał się do Jocelyn, a ona nie powiedziała nic Jeremy'emu?

Ludzie dużo mówią o szczerości, ale...

Jocelyn bardzo dbała o swoich pacjentów. Lekarz, który udawałby to samo, zrobiłby na niej olbrzymie wrażenie.

Angela jest bardzo inteligentną kobietą, a też dała się oszukać.

Jocelyn, mimo swojego doświadczenia, była niewinna.

Łatwy łup.

Chirurg, który późno w nocy pojawia się na parkingu pielęgniarek, macha i uśmiecha się, nie wzbudziłby w Jocelyn niepokoju. Zawsze była zbyt pewna siebie, wyśmiała sugestie Jeremy'ego, żeby nie chodziła sama do samochodu.

Zmęczony wojownik w bieli, wlokący się w jej kierunku po ciężkim dniu na oddziale, wywołałby jej współczucie.

Podchodzi, zaczynają rozmawiać.

Zabiera ją.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Dirgrove bawił się też nim. Poprosił go, żeby porozmawiał z Merilee Saunders, ale samej Merilee nic o tym nie powiedział. Wiedział, że Jeremy'ego spotka z jej strony gniew i opór, że po rozmowie będzie się czuł przegrany.

Drwił z niego, mówiąc, że bardzo mu pomógł.

Przekazując mu to przez Angelę.

Prośba o pomoc była podstępem.

A może czymś o wiele gorszym? Czy kiedy Dirgrove rozwdził się nad ryzykiem kryzysu układu autonomicznego, kładł tylko podwaliny pod to, co wiedział, że wydarzy się na sali operacyjnej?

Czy Merilee bała się operacji, bo wyczuła coś w samym chirurgu?

To sztywniak... Chyba że chce akurat wykorzystać swój wdzięk. Moja mama za nim przepada.

Dirgrove nie zadał sobie nawet trudu, żeby powiedzieć Jeremy'emu o tragedii na sali operacyjnej. Poinformował go o tym przy okazji, w stołówce, kiedy skończył rozmawiać z Angelą.

Jak to zrobił? Niedostrzegalny ruch nadgarstka, kiedy już rozkroił pierś dziewczyny, przepiłował kość, odsłonił worek osierdziowy, pożądliwie wsunął weń dłoń, by ująć pulsującą śliwkę – pomidora bez skórki – która utrzymywała przy życiu Merilee?

Co się może wydarzyć najgorszego, umrę?

Jeremy za pięć minut miał odwiedzić Douga Vilardiego. Poszedł naokoło, przez parter skrzydła administracyjnego, zajrzał do kadr i poprosił sekretarkę, żeby pozwoliła mu rzucić okiem na jego CV w Aktach Statusu Akademickiego.

– Pańskie, panie doktorze?

– Chcę sprawdzić, czy macie najnowszą wersję.

Zaschło mu w ustach, był roztrzęsiony, miał nadzieję, że wypadł wiarygodnie. I że sekretarce nie będzie się chciało wyjmować jego CV ze skoroszytu, tylko że poda mu cały.

– Proszę, panie doktorze.

Tak!

Zabrał skoroszyt, usiadł na krześle po drugiej stronie pokoju, otworzył go na chirurgii klatki piersiowej, a kiedy sekretarkę pochłoneła osobista rozmowa telefoniczna, wyrwał najświeższy zyciorys Theodore'a G. Dirgrove'a, złożył go pospiesznie i wepchnął do kieszeni.

Szybko poszedł do najbliższej męskiej toalety i zamknął się w kabinie. Papiery wypały mu dziurę w kieszeni – gwałtownie je wyszarpnął.

Theodore Gerd Dirgrove. Urodzony w Berlinie, w Niemczech, 20 kwietnia 1957 roku.

Data pasowała doskonale do podanej przez Colina Puga chronologii życia Laserowego Rzeźnika: małżeństwo z kobietą z wyższych sfer, narodziny dziecka pod koniec lat pięćdziesiątych.

Dirgrove podał, że wychowywał się w Baltimore, studia medyczne ukończył na elitarnym uniwersytecie na Wschodnim Wybrzeżu. Nie tej samej, porośniętej bluszczem cytadeli, w której Norbert Levy wykładał inżynierię lądową i fizykę, ale w bardzo podobnej.

Nagrody, dyplom z wyróżnieniem, nic, czego nie można by się spodziewać.

Bydlak opublikował sporą liczbę artykułów w czasopismach chirurgicznych. Angela wspominała, że czytała o rewaskularyzacji serca i prosiła: była to jedna ze specjalności Dirgrove'a.

Laserowe kanałowanie endomiokardialne przy rewaskularyzacji.

Może to właśnie pokazywał Mandelowi i ciemnowłosemu mężczyźnie z wąsami. Chwalił się swoją sprawnością, dumny z wirtuozerii w posługiwaniu się instrumentem, którego jego ojciec używał w tak twórczy sposób.

Sytuacja z rodzaju Humpty-Dumpty...

Jeremy przejrzał życiorys i coś jeszcze zwróciło jego uwagę.

Od sześciu lat Dirgrove wyjeżdżał na lato do Londynu, gdzie wykładał chirurgię bypassu na Królewskim College'u Medycyny.

Sześć lat temu Bridget Sapsted została porwana i zamordowana w Kencie, kilka godzin jazdy od miasta, a jej szkielet znaleziono dwa lata później, kiedy jej przyjaciółkę Suzie spotkał ten sam los.

Dirgrove był w Anglii, kiedy popełniono oba morderstwa.

To dlatego pytanie Jeremy'ego o chirurgiczną precyzję zwróciło uwagę detektywa inspektora Nigela Langdona (em.). Który bez wątpienia zadzwonił do swojego następcy, detektywa inspektora Michaela Shreve'a. A Shreve zadzwonił do Jeremy'ego. Nie, żeby cokolwiek mu powiedzieć, lecz żeby samemu wycisnąć z niego informacje. Potem odnalazł i zaalarmował swojego amerykańskiego odpowiednika, Boba Doresha.

Co przywiodło Doresha do Jeremy'ego.

Langdon i Shreve obaj byli w Oslo. Przypadkowa podróż? Czy raczej brytyjscy śledczy znali szczegóły krwawego szlaku Gerda Dergraava i zdawali sobie sprawę z tego, jak morderstwa z Kentu do niego pasowały?

A teraz jeszcze morderstwa w Ameryce.

Ile z tego Doresh rozumiał? Zachowywał się jak tępak, ale Jeremy pamiętał, jakie wrażenie zrobili na nim on i jego partner Hoker. Mieli oczy, których spojrzeniu nic nie umykało.

Teraz jednak nie dostrzegali bardzo wielu rzeczy.

Dlaczego wciąż podejrzewają mnie?

Bo biurokracja przebija kreatywność, a praktyka przebija sprawiedliwość.

Nie było sensu zadawać się z Doreshem czy jemu podobnymi. Mimo tego, co Jeremy wiedział – koszmarnej prawdy, co do której miał pewność – podzielenie się tym z mułowatym detektywem nic by nie dało. Gorzej nawet, rzuciłoby na niego jeszcze poważniejsze podejrzenia.

Świetna teoria, doktorze. A więc... bardzo pana interesują takie makabryczne kawałki, co?

Nie, załatwianie tego drogą oficjalną było skazane na niepowodzenie.

Nic nie mogło go ograniczać.

I o to, uświadomił sobie z oślepiającą jasnością, od początku chodziło. W korespondencji Arthura, w wiadomościach, jakie starzec przysyłał mu osobiście i przez swoich kolegów z CCC.

To było zadanie późnej kolacji.

Sugestii Tiny Balleron, by skupił się na celu.

Pomyśl o głuptakach, które robią po prostu to, co należy.

Wydarzyło się wiele zła i zbyt często praktyka przebiła sprawiedliwość. Prawo wymagało dowodów i należytego procesu, ale rzadko kiedy naprawiało krzywdy.

Mężów mordowano za ich biurkami, a mordercy nigdy nie stanęli przed sądem. Ludzie głoszący pokój ginęli na brudnych parkingach, rabowano fortuny, całe rodziny – całe ludzkie rasy – ścierano z powierzchni ziemi, i nikt za to nie zapłacił.

Drobna, jasnowłosa piękność, która urodziła się z uśmiechem na twarzy, mogła być tak łatwo uprowadzona...

Nie można liczyć na to, że inni wyrównają czyjeś krzywdy.

Arthur był pewien, że Jeremy to zrozumie, bo Jeremy sam przez coś takiego przeszedł.

Jeremy siedział w kabinie i czuł, jak opływa go fala spokoju.

Patologia i psychologia były biegunowymi przeciwieństwami, ale to nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się cierpienie.

„Miecz wojny spada na świat za opieszałość w sprawiedliwości”.

Nauka Ojców miała już dwa tysiące lat, ale Jeremy nie mógł jej odczytać w stosowniejszym momencie.

Zerknął na zegarek i wrócił do rzeczywistości.

Dotknięty chorobą po raz drugi Doug Vilardi już na niego czekał. To jeszcze jeden rodzaj cierpienia.

Jego cierpienie było przynajmniej czymś, z czym Jeremy'ego nauczono sobie radzić.

Słowa. Strategiczne pauzy, łagodność w oczach. Przekonanie.

Za mało, o wiele za mało...

Oto nadchodzę, ofiary całego świata. Niech Bóg pomoże nam wszystkim.

Rozdział 41

Doug wyglądał jak pacjent.

Podłączony do kroplówki z chemią, wciąż w dobrym nastroju i pogodny, ale mięśnie jego twarzy zaczęły obwisać. Proteza leżała na podłodze w plastikowym pokrowcu. Jeremy usiadł, chwilę z nim pogawędził, spróbował sprowadzić temat rozmowy na murarkę. Doug nie dał się zwieść.

– Wie pan, co mnie męczy, panie doktorze? Dwie rzeczy. Po pierwsze, innym ludziom pozwalają brać chemię w domu, ale mnie wolą trzymać tutaj,

– Pytałeś o to doktora Ramireza?

– Tak, mam zjebaną śledzionę. Może będą musieli mi ją wyciąć. – Wyszczrzył się w uśmiechu. – Nie wolno mi dźwigać, bo mogę eksplodować, zajebać wszystko dookoła. – Uśmiech zbladł. – I wątrobę mam też nie najlepszą. Widzi pan?

Ściągnął w dół powiekę. Białko oka miał beżowe, z zielonkawym odcieniem.

– Dzisiaj nie będzie piwa – powiedział Jeremy.

– Szkoda... No, co tam u pana?

– Mówiłeś, że męczą cię dwie rzeczy.

– A, właśnie. Numer dwa: wszyscy są tu dla mnie jacyś za bardzo mili. Aż mnie ciary przechodzą. Jakby myśleli, że zaraz wykituję czy coś.

– Mogę wypisać zalecenie, jak chcesz: Z przepisu lekarza wszyscy mają być dla Douga wredni.

Chory się roześmiał.

– Aha, niech pan tak zrobi... No, to wszystko u pana w porządku?

– Może być.

– Wygląda pan, jakby był pan trochę, sam nie wiem, zmachany. Za bardzo gonią tu pana do roboty?

– Jak to w pracy.

– Aha... Bez urazy, za ten tekst, że wygląda pan na zmęczonego. Może to ja... może to ja źle widzę. Prawda jest taka, że jak pana wczoraj zobaczyłem, po tych wszystkich latach, to sobie pomyślałem: Ten facet w ogóle się nie zmienia. Wtedy, kiedy pana poznałem, ja byłem dzieciakiem, a pan był dorosły, a teraz ja jestem dorosły, a pan prawie w ogóle się nie zmienił. Jakby... Jak to jest, życie zwalnia, kiedy człowiek robi się starszy? Tak to właśnie jest?

– Bywa.

– Pewnie to zależy od tego, ile człowiek ma rozrywki – stwierdził Doug.

– To znaczy?

– Wie pan, jak to mówią. Czas leci szybko, jak się człowiek bawi. Mnie życie szło jak rakietka, rach-ciach. Jedna rzecz po drugiej, same, kurwa, przygody, jednego dnia stawiam mury,

a potem... a teraz rodzi mi się dzieciak. – Zerknął na wenflon w grzbiecie swojej dłoni. – Mam nadzieję, że się pospieszą z tym leczeniem. Muszę stąd spierdalać. Czeka mnie kupa rzeczy do zrobienia.

Kiedy Doug zapadł w sen, Jeremy wyszedł z sali i natknął się na jego rodziców i żonę. Spotkanie zamieniło się w kolejną godzinę spędzoną w bufecie; Jeremy przyniósł całej trójce coś do picia i zjedzenia. Słabo odmawiali, gorąco podziękowali. Młoda Marika prawie się nie odzywała. Wciąż w szoku, unikała spojrzenia Jeremy'ego, kiedy próbował nawiązać kontakt wzrokowy.

Doug Vilardi Senior przez większość czasu starał się wprawić wszystkich w dobry humor. Jego żonę wydawało się to męczyć, ale nie protestowała. Przez niemal godzinę rozmawiali o błahostkach.

Kiedy Jeremy wstał, matka Douga też się poderwała. Odprowadziła go na korytarz.

– Nigdy nie spotkałam takiego lekarza, jak pan – powiedziała, a potem ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w czoło.

Matczyny pocałunek. Skojarzyło się to Jeremy'emu z czymś, co przydarzyło mu się bardzo dawno temu. Ale czy na pewno?

Odwiedził swoich pozostałych pacjentów i poszedł po Angelę, która kończyła swój ostatni dzień na oddziale chorób klatki piersiowej. Znalazł ją w towarzystwie trojga innych specjalistów – szła na jakieś zebranie. Odciągnął ją na bok uniesieniem brwi i zabrał do pustej dyżurki pielęgniarek.

– Jak sobie radzisz?

– Dobrze. – Przygryzła wargę. – Myślałam o tym, co się stało. Chyba przesadziłam.

– Nie przesadziłaś. To się stało i było złe.

– No, to mnie pocieszyłeś.

– To się stało, Angela.

– Oczywiście, że się stało. Nigdy w to nie wątpiłam, ale...

– Powtórzyłem to specjalnie – powiedział. – Bo w końcu możesz zacząć w to wątpić. Na tym polega wypieranie.

– Ja wypieram? – Jej ciemne oczy rozbliły.

– To nie jest obelga. Wypieranie to nie słabość, nie neuroza. Tak po prostu jest, to naturalny mechanizm obronny. Twój umysł i ciało w naturalny sposób chcą się chronić. Zaakceptuj to. Możesz być zaskoczona, że masz dobry humor. Nie walcz z tym.

– Mogę być zaskoczona? – powtórzyła Angela. – Co to ma być, jakaś hipnotyczna sugestia?

– To rozsądne przewidywanie.

– Bardzo mi daleko do dobrego humoru.

– Wcześniej czy później powróci. Uczucia miną. Ale to się wydarzyło.

Angela spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Tyle rad.

– To nie koniec – powiedział Jeremy. – Trzymaj się od niego z daleka. To bardzo zły człowiek.

– Co ty...

– Po prostu trzymaj się z daleka.

– O to bym się nie martwiła. Dzisiaj rano był na obchodzie, szedł prosto na mnie korytarzem. Nie skręciłam i kiedy mnie zobaczył, poszedł inną drogą. Odwrócił się i poszedł naokoło. Tylko po to, żeby się ze mną nie spotkać. A więc sam widzisz, że to on boi się mnie.

Gdybyś tylko wiedziała. – I niech tak zostanie.

– Co ty chcesz powiedzieć, Jeremy? Myślisz, że nie dam sobie z nim rady?

– Na pewno dasz. Po prostu go unikaj. Posłuchaj mnie. Proszę. – Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie.

– Zaczynam się bać.

Dobrze.

– Jeśli będziesz czujna, to nie ma się czego bać. Obiecuj mi, że będziesz się od niego trzymać z dala. I uważać na siebie.

Odsunęła się od niego.

– Jeremy, przerażasz mnie. Co się dzieje?

– To zły człowiek, nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Co? Tamta pacjentka, która umarła? Dowiedziałeś się czegoś na ten temat?

– Na ten być może też.

– Na ten też... Boże, co tu się dzieje?

– Nic.

– Przychodzisz tu z tymi strasznymi przepowiedniami, a teraz się wycofujesz? Co w ciebie wstąpiło?

– Kończysz oddział klatki piersiowej, więc nie powinno być żadnych problemów. Po prostu rób swoje i trzymaj się od niego z daleka. – Uśmiechnął się. – Nie bierz cukierków od obcych.

– To wcale nie jest śmieszne – warknęła. – Nie możesz tak po prostu.

– Myślisz – przerwał jej – że próbuję cię nastraszyć?

– Nie... Nie wiem. Bardzo bym chciała wiedzieć, co ci się stało. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Jeremy się zastanowił.

– Bo nie mam pewności.

– Co do Dirgrove'a?

– Co do wszystkiego, co zrobił.

– Wszystkiego. – Jej spojrzenie stwardniało. – Tu chodzi o nią, o Jocelyn, prawda? I nie zamykaj mi się tu, jak wtedy, kiedy przedwczoraj o niej wspomniałam. Wiem, że przeszedłeś

piekło, wiem, że nigdy tego do końca nie zrozumie. Ale nie sądzisz, że po tym, co między nami zaszło, że skoro tak szybko staliśmy się sobie bardzo bliscy, mógłbyś mi zaufać na tyle, żeby się ode mnie nie odgradzać?

Jeremy'emu huczało w głowie. Chciał ją objąć, pocałować, zabrać gdzieś daleko.

– Tu nie chodzi o to, że się zamykam – powiedział cicho. – Nie ma o czym mówić. I to nie jest właściwa pora.

– Nie ma o czym – powtórzyła. – Przechodzisz przez coś takiego i nie ma o czym?

Nie odpowiedział.

– A więc tak to musi być? – spytała.

– Na razie – odparł.

– W porządku. To ty jesteś ekspertem od ludzkich uczuć... Muszę iść. Odciągnąłeś mnie, kiedy szliśmy na rozmowę z szefem. Tropikalna choroba płuc. Może następny kurs zrobię w jakiejś klinice w dżungli.

Głowę Jeremy'ego wypełniły rojące się, brzęczące owady.

– Dżungla – powiedział – to interesujące miejsce.

Popatrzyła na niego jak na wariata, ominęła go, unikając dotyku, doszła do drzwi i mocno nacisnęła klamkę.

– Kiedy będziesz wolna? – spytał.

– Nieprędko – odparła, nie odwracając się. – Wiesz, jak to jest. Praca.

Wypisał wszystkie karty, porozmawiał z Ramirezem o Dougu Vilardim i zadzwonił na pager Angeli z telefonu na Piątym Zachodnim. Nie odpowiedziała. Zadzwonił jeszcze raz, kiedy wrócił do gabinetu. Jego pager wciąż milczał. Jeremy obdzwonił dyżurkę pielęgniarek na oddziale chorób klatki piersiowej, szatnię specjalizantów, kadry. Nic.

Minęły dwie godziny, odkąd ją rozgniewał, i już za nią tęsknił.

Samotność była teraz inna. Nie była już częścią niego, jak fantomowa kończyzna.

Nie można tęsknić za kimś po dwóch godzinach. To głupie.

A nawet jeśli Angela przez jakiś czas nie będzie chciała się z nim widzieć, tym lepiej. Jeśli tylko go posłucha i będzie się trzymać z dala od Dirgrove'a.

Sądził, że tak właśnie będzie, Angela była wyjątkowo inteligenta i zaradna.

Pomyślał o obsesyjno-kompulsywnych rytuałach, do których mu się przyznała.

Kobieta pełna energii. Tym lepiej. Ostatecznie zdrowy rozsądek przeważy, a ona będzie się nim kierować.

Poza tym Jeremy musiał pobyć przez jakiś czas sam.

Miał zadanie do wykonania.

Rozdział 42

Nocne zadanie.

Jeremy unikał ciekawskich oczu, przychodząc o różnych godzinach i wchodząc do szpitala przez jeszcze jedno boczne wejście – na poziomie piwnic, prowadzące do hali załadunku. Było to jedno z zapomnianych miejsc koniecznych w budowlu tak starej i tak dużej jak Centralny Miejski. Znajdowało się na tym samym poziomie, co patologia i kostnica, lecz w przeciwległym skrzydle. Jeremy mijał pomieszczenia pralni, komorę bojlera, elektryczne trzewia, magazyny na stare karty pacjentów.

Bebechy. Podobało mu się to.

Trzymał się rozkładu: odwiedził Douga i pozostałych pacjentów o wyznaczonych porach, ale opuścił oddział schodami, zamiast windą.

Nie pił kawy ani nic nie jadł na stołówce czy w bufecie. Kiedy był głodny – co zdarzało się rzadko – kupował coś w przelocie na stoisku z fast foodem. Zaczęła mu się przetłuszczać skóra, ale to była cena, jaką musiał zapłacić.

Raz, kiedy wpychał w siebie frytki, nie czując nawet smaku, pomyślał: To nie to, co *foie gras*. Byle jakie jedzenie obciążało mu żołądek – po prostu super, dziękuję. Może nigdy nie było mu przeznaczone nic lepszego.

Pamiętał, żeby pod koniec dnia sprawdzić pocztę, ale nie dostał już więcej kartek od Arthura ani żadnych niespodzianek w międzyoddziałowych kopertach.

Wiedzą: zostałem dostatecznie wyedukowany.

Kiedy wychodził z pracy, zapominał o szpitalu. Skupiał się na swoim nocnym zadaniu. Jeździł.

Krążył po zaślanych śmieciami zaułkach Iron Mount, mijając komisje, biura wykupu kaucji, przytułki i stragany z używaną odzieżą, których slumsy były pełne. Parę razy pojechał na Palec Saugatuck, gdzie mimo zimna zdejmował buty i chodził boso po mokrym, szorstkim piasku. Nic nie przypominało już sceny zbrodni, były tylko plaża, jezioro, mewy i obdrapane stoły piknikowe. Za cyplem majaczyły w tle wysokie drzewa, które tak bardzo ułatwiły mordercy zadanie.

Za pierwszym i za drugim razem został tylko kilka chwil, przyglądając się ciemnym zmarszczkom na wodzie; tu znalazł zdechłego kraba, tam obłupany przez burzę kamień. Kiedy zaczął padać deszcz, tak zimny, że zapowiadający deszcz ze śniegiem, Jeremy pozwolił, by chłostał jego odkrytą głowę.

Czasami krążył po przemysłowej dzielnicy, leżącej między dwoma miejscami zbrodni, i zastanawiał się, gdzie zostanie znaleziona następna kobieta. Nie krył się, radio *novy* ryczało starymi przebojami, a on myślał o strasznych rzeczach.

Któregoś wieczoru po zmroku pojechał trasą turystyczną na północ. Tą samą drogą, która zaprowadziła go niedawno do bram klubu Haverford, gdzie odbył krótką, chłodną rozmowę z Tiną Balleron. Tym razem zatrzymał się daleko od miejsca, gdzie zaczynały się tereny klubu, na samym końcu Hale Boulevard. Przedtem przez jakiś czas jeździł wolno po eleganckich, ocienionych wiązami ulicach, pełnych kawiarni, butików, zakładów jubilerskich i domów z szarego kamienia, szukając odpowiedniego punktu obserwacyjnego.

Punktu, z którego było dobrze widać kremowy wieżowiec z piaskowca.

Postmodernistyczny w stylu, bogato wykończony, z zieloną markizą nad wejściem, brukowanym, okrągłym podjazdem i niejednym, lecz dwoma portierami w bordowej liberii. To był jeden z najlepszych adresów przy Hale, pierwszej klasy apartamentowiec.

Miejsce, które doktor Theodore G. Dirgrove w swoim CV wpisał jako „adres domowy”.

Był to dokładnie taki rodzaj modnego, luksusowego budynku, w którym mógłby mieszkać chirurg z żoną i dwójką dzieci.

To było trochę zaskakujące – Dirgrove żonaty, z dziećmi, udający szczęśliwą rodzinę. Potem Jeremy pomyślał: wcale nie. Oczywiście, że by udawał. Tak samo jak jego ojciec.

Żona: Patricia Jennings Dirgrove

Dzieci: Brandon, 9; Sonja, 7.

Uroczo.

Kolejna niespodzianka: Dirgrove jeździł byle jakim samochodem – pięcioletnim buickiem. Jeremy spodziewał się czegoś droższego – smukłego, niemieckiego, to dopiero byłby ładny hołd złożony tacie, prawda?

Po raz kolejny dała o sobie znać przebiegłość Dirgrove'a: kto zwróciłby uwagę na szaroniebieski samochód, wyjeżdżający z ciemnego zaułka w nędznej dzielnicy?

Kiedy człowiek wie, z czym ma do czynienia, wszystko zaczyna wyglądać logicznie.

Jasność rozumowania uderzała do głowy. Jeremy pracował cały dzień, jeździł całą noc, żywił się przemyśleniami, wmawiał sobie, że właściwie nie musi spać ani jeść.

Chirurg pracował w godzinach pracy chirurga, często wychodził z domu przed szóstą rano i wracał długo po zmroku.

Trzeciego dnia obserwacji Dirgrove zabrał rodzinę na obiad, a Jeremy mógł się dobrze przyjrzeć jego żonie i dzieciom, kiedy wskakiwali do buicka.

Patricia Jennings Dirgrove była niewysoka i ładna; miała ciemne włosy, ostrzyżone krótko, raczej po męsku. Niezła figura, dużo energii, zwinna. Sądząc po twarzy, którą Jeremy dostrzegł w przelocie, była kobietą stanowczą. Miała na sobie czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem, niezapięty. Jeremy'emu mignęły czerwone, dzianinowe spodnie i taki sam top. Oczko lepiej niż dresy. Ubierała się tak, by było jej wygodnie. Dirgrove został w garniturze i krawacie, w którym chodził cały dzień.

Dzieci były bardziej podobne do Patty – jak zaczął ją nazywać Jeremy – niż do Teda. Krępy Brandon miał gęste, ciemne włosy, mała Sonja jaśniejsze, jednak bez śladu nordyckości Dirgrove’a.

Ze względu na nie Jeremy miał nadzieję, że brak podobieństwa do ojca na tym się nie kończy.

Słodkie dzieciaki. Wiedział, co je czeka.

Pojechał za nimi. Ted i Patty wybrali średnio drogą, włoską restaurację, dziesięć przecznic na południe; usiedli niedaleko wejścia, widoczni z ulicy przez szybę ozdobioną złotymi literami. W środku znajdowały się drewniane boksy, bar cappuccino z mosiężną poręczą i miedziany automat do espresso.

Jeremy zaparkował za rogiem i przeszedł obok restauracji, zasłaniając twarz kłapami płaszczu, z niedawno kupioną czarną fedorą spuszczoną na oczy.

Minał witrynę, jego oczy były niewidoczne spod runda kapelusza. Kupił gazetę dla niepoznaki i wrócił. W tę i z powrotem. Trzy razy. Dirgrove nie podniósł wzroku znad swojej lazanii.

Siedział znudzony. Brandon, Sonja i mama rozmawiali, uśmiechnięci.

Patty zajmowała się dziećmi, pomogła małej nawinąć spaghetti na widelec. Podczas ostatniego kursu Jeremy zobaczył, że zerknęła na męża. Ted tego nie zauważył; siedział zapatrzony w automat do espresso.

Rodzinny obiad.

Kiedy opuści ciepłe domowe ognisko i będzie robić to, co go naprawdę kręci?

Wydarzyło się to w czwartą noc.

To był dzień pełen niespodzianek: rankiem Jeremy dostał pocztówką z Rio. Piękne ciała na białym piasku brazylijskiej plaży.

A więc miał nosa.

*Drogi doktorze C,
Podróżuję i się uczę.
AC.*

Ja też, mój przyjacielu.

Jakby tego było nie dość, zadzwonił do niego Edgar Marquis, przed szóstą, kiedy Jeremy miał właśnie wyruszyć na nocną obserwację.

– Doktorze Carrier – powiedział stary dyplomata. – Dzwonię, żeby przekazać panu wiadomość od Arthura.

– O?

– Tak, prosił, żebym pana poinformował, że dobrze się bawi na wyjeździe, który okazał się bardzo pouczający. Ma nadzieję, że u pana wszystko w porządku.

– Dziękuję – odparł Jeremy. – Świetnie sobie radzę.

– To dobrze.

– Spodziewałem się, że tak pan pomyśli.

Marquis odchrząknął.

– Cóż, to wszystko. Do widzenia.

– Skąd dzwonił, panie Marquis?

– Nie powiedział.

Jeremy się roześmiał.

– I pan też nic mi nie powie, prawda? Nawet teraz.

– Teraz?

– Robię, co mam do zrobienia, panie Marquis.

Cisza.

– Niech mi pan tylko zdradzi jeden szczegół – ciągnął Jeremy. – CCC. Co to oznacza? Jak to się zaczęło, co was połączyło?

– Dobre jedzenie i wino, doktorze Carrier.

– No jasne – odparł Jeremy.

Cisza.

– Co pan przeszedł, panie Marquis? Co rozpałiło ogień w pańskim brzuchu?

Lekkie, niemal niedostrzegalne zawahanie.

– Ostre papryczki.

Jeremy czekał.

– Indonezyjska kuchnia – wyjaśnił Marquis – bywa pikantna. Tam właśnie uczyłem się kulinarnego gustu i rozsądku.

– Rozumiem. A więc tak to ma wyglądać.

Starzec nie odpowiedział.

– Panie Marquis, przypuszczam, że nie powie mi pan, kiedy Arthur wróci?

– Arthur jest panem swojego czasu.

– Nie wątpię. Do widzenia.

– Doktorze? Co do początków naszej małej grupy... Dość powiedzieć, że pana w niej udział... byłby na miejscu nie tylko z jednego powodu.

– Doprawdy?

– O, tak. Niech pan to uzna za oczywiste.

– Oczywiste co?

– Oczywiste – powtórzył Marquis. – Wryte w kamieniu.

Nie można było oddzwonić na numer dzwoniącego; szpitalni decydenci uważali, że

wszystko, czego nie obejmuje podstawowy pakiet telefoniczny, to już zbytek.

Jeremy poszedł schodami do tylnego wyjścia, przetrawiając to, co usłyszał od Marquisa.

Ostre jedzenie w Indonezji. Tam się uczyłem.

Marquis stracił coś w tym wyspiarskim kraju. Któregoś dnia, kiedy naprawdę dopiecze mi ciekawość, pomyślał Jeremy, dowiem się tego. Na razie mam co innego na głowie.

Kiedy dotarł do tylnego wyjścia, zobaczył, że jest zamknięte na kłódkę. Ktoś go przechrztył? Czy był to po prostu przypadkowy pokaz kompetencji ochrony?

Wrócił do szpitalnego holu, zatrzymał się przy automacie ze słodyczami, gdzie wcześniej zauważył Boba Doresha, i kupił sobie batonik czekoladowy z kokosowym nadzieniem.

Nigdy nie przepadał za słodyczami, nawet kiedy był dzieckiem. Teraz jednak miał chęć na coś słodkiego. Zadowolony, pogryzając batonik, zbliżył się do głównego wejścia do szpitala. Minął ścianę ofiarodawców.

Wryte w kamieniu. Faktycznie, było wryte.

Państwo Balleron. Datek fundatorski, dziesięć lat temu. Pod spodem nowsza wpłata, na poziomie Fundatorów, cztery lata temu:

Sędzia Tina F. Balleron, ku pamięci Roberta Ballerona.

Lista ofiarodawców nie była ułożona alfabetycznie, przejrzanie jej zabierało więc trochę więcej czasu, ale Jeremy odnalazł ich wszystkich. Zanim przełknął ostatni okruszek kokosa, wszystko już zrozumiał.

Profesor Norbert Levy, ku pamięci swojej rodziny.

Cztery lata temu.

Pan Harrison Maynard, ku pamięci swojej matki, Effie Mae Maynard, i dra Martina Luthera Kinga.

Ten sam rok.

Jak również: *Pan Edgar Molton Marquis, ku pamięci wioski Kurau.*

I:

Dr Arthur Chess, ku pamięci Sally Chess, Susan Chess i Arthura Chessa Juniora.

Arthur stracił całą rodzinę.

To było zbyt straszne, by się nad tym zastanawiać, a Jeremy nie mógł sobie w tej chwili pozwolić na tak wielkie współczucie. Wepchnął opakowanie po batoniku do kieszeni, zawrócił i poszedł do Biura Rozwoju.

Rozwój był oficjalnym określeniem zbierania funduszy; Jeremy pamiętał, że w biurze pracuje dużo szczupłych, rozmownych młodych kobiet w drogich kostiumach, a kieruje nim nadęty, arogancki typ Albert Trope. Była szósta dwadzieścia – zostało trochę czasu, Dirgrove rzadko wracał do domu przed szóstą trzydzieści, siódmą. Personel techniczny wychodził zazwyczaj przed piątą, było więc prawdopodobnie za późno, żeby złapać kogoś z biurze, ale

skoro Jeremy już tam był...

Rozmowne, młode kobiety faktycznie poszły już do domów. Drzwi jednak były otwarte, a sprzątacze – ponury Słowianin, pewnie jeden z niedawnych imigrantów, których szpital zaczął zatrudniać, bo nie mieli pojęcia o prawie pracy – odkurzał niebieską, pluszową wykładzinę.

Jeremy, ze swoim identyfikatorem na wierzchu, minął mężczyznę i podszedł do stylizowanego na okres regencji regału w rogu przestronnej recepcji.

W powietrzu wisiał zapach drogich perfum – pozostał po młodych kobietach. Całe pomieszczenie było urządzone na wysoki połysk; wyglądało jak sceneria francuskiego salonu. Niech bogaci jelenie czują się jak w domu...

Sprzątacze zignorował Jeremy'ego, który zaczął przeszukiwać gablotę. Na półkach leżały oprawione w plastik opinie zadowolonych pacjentów, albumy ze zdjęciami ślicznych, małych dzieci wyleczonych w Centralnym Miejskim, entuzjastyczne relacje z odwiedzin sławnych ludzi z obowiązkowymi pokazowymi fotografiami i wiele, wiele charytatywnych pamiątek.

Również foldery reklamowe największego szpitalnego wydarzenia, dorocznego Balu Galowego.

Jeremy był na jednym dwa lata temu. Poproszono go, żeby wygłosił mowę o humanizmie. Wyszedł przed kolacją.

Znalazł wydanie folderu sprzed czterech lat. Na okładce znajdowało się wyjaśnienie kilku poziomów ofiarodawstwa. W każdej tabelce wypisano alfabetycznie nazwiska.

Ofiarodawca, Sponsor, Patron, Fundator, Krąg Złotej Wstęgi.

Fundator oznaczał datkę wysokości dwudziestu tysięcy dolarów. Członkowie CCC hojnie sypnęli groszem.

Jeremy znalazł zdjęcia ich wszystkich razem. Arthur na środku, obok niego Balleron, Marquis, Maynard i Levy.

CCC... City Central Club?* [City Central Club (ang.) – Klub Centralnego Miejskiego (przyp. tłum.).]

A więc tu się to wszystko zaczęło. Pięcioro altruistów, którzy zebrali się, by czynić dobro, którzy znaleźli wspólny język.

Bez wątpienia to Arthur – charyzmatyczny, towarzyski, ciekawski Arthur – odegrał główną rolę w zebraniu ich razem.

Stracił rodzinę, można było mu wybaczyć nieco natrętne poszukiwanie towarzystwa. Sprawiedliwości.

– Musi pan wyjść – powiedział sprzątacze. Wyłączył odkurzacz i w recepcji zapadła cisza.

– Jasne, dziękuję – odparł Jeremy. – Dobranoc.

Mężczyzna wymamrotał coś i wsadził palec do ucha.

Jeremy dojechał na Hale Boulevard za dwadzieścia siódma, znalazł sobie świetny punkt obserwacyjny i siedział tam do dziewiątej, kiedy Dirgrove wreszcie się pojawił.

Trzy noce z rzędu chirurg spędził w domu, a Jeremy starał się nie rozbudzać swoich oczekowań. Kiedy jednak Dirgrove zostawił buicka na okrągłym podjeździe, a portier nie odstawił go na parking, Jeremy już wiedział, że dzisiejsza noc będzie inna.

No, proszę, Ted. Może ułatwisz mi trochę życie.

O jedenastej piętnaście chirurg wyszedł, wziął kluczyki od nocnego portiera, dał mu napiwek i odjechał.

Na południe.

W stronę Iron Mount.

Prosto do Iron Mount. Deszcz ustał i prostytutki wyległy na ulice, okutane w sztuczne futra i puchate narciarskie kurtki – krótkie, żeby dobrze było widać ich Zgrabne nogi, przedłużone jeszcze przez buty na niesamowicie wysokim obcasie.

Młode nogi, stare twarze. Parada sprężystego, kołyszącego kroku. Bardzo mało samochodów. Tylko pracujące dziewczyny stawiały czoło zimnu.

Dirgrove je mijał, nieświadom, że Jeremy jedzie przeczną za nim nową z wyłączonymi światłami.

To był głupi, niebezpieczny sposób jazdy; dwa razy Jeremy omal nie przejechał otumanionych narkotykami kobiet, które zeszły z chodnika na jezdnię.

Za karę: przekleństwa, wyprostowane środkowe palce, ale jaki miał wybór? W najgorszym razie jakiś gliniarz zatrzymałby go za jazdę bez świateł. Mało prawdopodobne. Nigdzie żadnego radiowozu. Dla gliniarzy było za zimno.

To Jeremy'emu coś uświadomiło: na tych najgorszych ulicach miasta w ogóle nie ma policji.

Cokolwiek Doresh opowiadałby o śledztwach w sprawie morderstw, ich ofiarą były kobiety-wyrzutki, ich los nikogo nie obchodził. Nazwisko Tyrene Mazursky trafiło do gazet, ale następna ofiara, kobieta zostawiona na cyplu, nie zasłużyła nawet na to. W tym tempie kolejnej nie poświęcono by nawet jednego wiersza.

Praktyka przebija cnotę.

Dirgrove jechał dalej, niezbyt szybko, mijając grupki dziwek. Jeremy czekał, aż chirurg wybierze ofiarę, ale buick nie zwalniał, przejechał całe Iron Mount, potem pod wiaduktem, minął dzielnicę pozamykanych na noc budynków handlowych i wjechał do sąsiedniej.

Też nie najlepszej: Jeremy nie wiedział, czy ta okolica ma jakąś nazwę. Dzielnica to raczej nie była; ot, ledwie pusta, ciemna siatka ulic i pozamykanych lokali.

Hurtownie i małe fabryki. Tu nie było prostytutek. Nie miały tu czego szukać. Najbliższy bar, klub nocny czy handlarza prochami znalazłyby pewnie dopiero kilka kilometrów stąd.

Byłoby całkiem pusto, gdyby nie kobieta, która wyszła z półmroku i stanęła na krawężniku, przed długim ogrodzeniem z siatki. Czekala, kołysząc się na szpilkach.

Kiedy niepozorny, szaroniebieski buick się zatrzymał, odgarnęła włosy.

Rozdział 43

Prostytutka wsiadła do samochodu Dirgrove'a; Jeremy stanął trzydzieści metrów dalej, wciąż z wyłączonymi światłami. Silnik też wyłączył; nie zdradzały go spaliny ani warkot.

Od buicka oddzielały go dwa zaparkowane auta. Otworzył okno i wychylił się na zewnątrz, żeby lepiej widzieć. Zimne powietrze paliło go w płuca. Cierpiał z przyjemnością.

Nie wyjął kluczyka ze stacyjki. Był gotów w każdej chwili ruszyć dalej za buickiem. Wiedział, że musi być blisko, jeśli... kiedy zrobi się gorąco.

Będzie musiał gdzieś ją zabrać. Samochód musi być czysty.

Potrzeba nam sporo miejsca. Krojenie... Jakaś prowizoryczna sala operacyjna w głębi slumsów...

Światła buicka zgasty. Z rury wydechowej uniósł się kłęb białego dymu i rozwiął w powietrzu. Samochód po prostu stał, pięć minut, dziesięć, piętnaście. Po dwudziestu Jeremy zaczął wpadać w panikę, zastanawiał się, czy się strasznie nie pomylił. A jeśli Dirgrove jednak robił to w swoim samochodzie, może to dlatego jeździł starym? Nie, to by było zbyt ryzykowne. Pozostałyby ślady krwi. Może on usypiał kobiety w samochodzie, dusił je; postawić wszystko na jedną kartę i zajrzeć?

Rozmyślania przerwał mu trzask zamykanych drzwi samochodu.

Prostytutka wysiadła, poprawiła ubranie. Pomachała do buicka i Dirgrove odjechał.

Szybka decyzja: jechać za samochodem czy porozmawiać z kobietą? Ostrzec ją. Tak, to uroczy facet, tym razem ci się udało...

Prostytutka przeszła kawałek ulicą, stukając obcasami, kręcąc tyłkiem. Jak na szczydłach.

Wsiadła do jednego z zaparkowanych samochodów.

Dziwka z własnym autem. To dopiero.

Niezły wózek, lexus, jeden z mniejszych modeli, jasny kolor, lśniące kołpaki.

Może nie miała alfonsa, zarabiała tylko na sobie.

Ale tutaj, z dała od ulic pełnych potencjalnych klientów, którzy krążyli po Iron Mount, ile mogła zarobić? I czemu wystawała na mrozie, na ulicy, skoro było ją stać na taki samochód?

Chyba że szła na jakość, a nie na ilość. Polowała na mężczyzn takich jak Dirgrove, którzy płacili ekstra za to, co miała do zaoferowania.

Lexus ruszył. Jeremy zaczekał, aż kobieta skrzyła w prawo na najbliższym skrzyżowaniu, a potem przekręcił kluczyk w stacyjce.

Jechała w stronę śródmieścia. Przejrzała się we wstecznym lusterku, porozmawiała z kimś przez komórkę, poza tym jednak prowadziła ostrożnie, nie wypatrując już żadnych klientów.

Jeden klient na całą noc? Co ona mu zrobiła?

Lexus jechał prosto, zbliżył się do dzielnicy szpitalnej. Do Centralnego Miejskiego.

Prostytutka wjechała w cichą uliczkę za szpitalem. Zaparkowała kilka metrów od parkingu pielęgniarek, skąd porwano Jocelyn. Wyłączyła światła.

Stała tak przez cztery minuty. Jeremy zobaczył, że podniosła ręce i zdjęła coś przez głowę. Potem włożyła coś innego, z długimi rękawami.

Zmieniała strój.

Kiedy się już przebrała, znów przejrzała się w lusterku, włączyła lampkę na podsufitce. Nie na tyle długo, żeby Jeremy zdążył się jej dobrze przyjrzeć, ale zauważył, co robiła. Poprawiała szminkę. Potem znów ruszyła.

Jedną przecnicę. Do parkingu lekarzy. Na parking.

Jeremy pojechał za nią, spokojnie i otwarcie, bo tutaj nie budził podejrzeń.

Ona też. Wsunęła kartę parkingową w otwór czytnika i brama się otworzyła.

Oboje zaparkowali. Lexus był jasnoblękitny. Kiedy kobieta wysiadła, Jeremy rozpoznał w niej lekarkę, którą znał z widzenia, ale nie osobiście. Internistkę, która – tego był prawie pewien – niedawno zaczęła pracować w szpitalu.

Czterdzieści parę lat, niezła figura, ładna, ale nijaka twarz, jasne włosy zwinięte w praktyczny kok. Miała na sobie grafitową, wełnianą spódnicę do kolan, zamiast mini ze schadzki z Dirgrove'em. To, co wkładała przez głowę, okazało się różowym, kaszmirowym swetrem, który szybko ukryła pod długą, szarą jesionką w jodełkę z czarnym aksamitnym kołnierzem. Zamiast szpilek – praktyczne pantofle, na nosie okulary.

Kiedy Jeremy ją minął, idąc do zadaszzonego chodnika, uśmiechnęła się do niego.

– Brr, co za ziąb – powiedziała.

Odpowiedział uśmiechem.

Na palcu miała obrączkę z brylantem. Jak się nazywała? Gwen Jakaśtam...

Powinien ją ostrzec?

A może to inne kobiety należało ostrzec przed nią?

Co dwa lata personelowi medycznemu wydawano album ze zdjęciami. Jeremy nigdy nie był zmuszony zaglądać do swojego, nie był nawet pewien, czy go jeszcze ma. Znalazł go jednak w dolnej szufladzie biurka. Setki twarzy, ale tylko dwadzieścia procent kobiet, więc wszystko Wyjaśniło się w miarę szybko.

Doktor Gwynn Alice Hauser. Interna. Adiunkt.

Doktor Hauser prowadziła sekretne życie.

Jak bardzo sekretne?

W ciągu następnych czterech dni Jeremy obserwował Gwynn Hauser na oddziałach i w stołówce lekarzy. W ogóle nie kontaktowała się z Dirgrove'em, jadła sama albo w towarzystwie innych kobiet. Była wesoła, łatwo i głośno się śmiała. Kiedy rozmowa zaczynała naprawdę ją pochłaniać, zdejmowała okulary i nachylała się do przodu. Słuchała uważnie, jakby to, co mówiła jej rozmówczyni, było wyjątkowo ważne i odkrywcz.

Raz zjadła obiad z wysokim, ciemnowłosym, przystojnym mężczyzną w stalowym, dwurzędowym garniturze, o kanciastej, niewzruszonej twarzy członka zarządu dużej firmy. On też miał na palcu obrączkę i do doktor Hauser odnosił się z nieskrywaną czułością.

To mąż, którego zdradzała.

Nie był lekarzem, raczej finansistą, Jeremy był gotów się o to założyć. Znalazł czas, żeby zjeść obiad z bardzo zajętej żoną. Gdyby tylko wiedział, czym naprawdę była zajęta...

Jeremy natknął się na internistę, z którym kiedyś pracował, Jerry'ego Sallie, i zapytał go, czy zna Gwynn Hauser.

– Gwynn? Jasne. Dobierała się do ciebie?

– Taka jest?

– Lubi prowokować, nie wiem, czy kiedykolwiek poszła na całość – powiedział Sallie. – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Wyszła za prezesa banku, mają układ, pozwala jej robić, co chce. To całkiem niezła lekarka. Ale straszna prowokatorka. Ładne nogi, co?

W piątek wieczorem Gwynn Hauser wyszła ze szpitala o siódmej trzydzieści. Jeremy, niemal leżąc na siedzeniu swojej novy, stojącej za wspornikiem parkingu dla lekarzy, czekał, aż wyjedzie błękitnym lexusem. Buick Dirgrove'a stał na swoim miejscu.

Dwadzieścia minut później chirurg się pojawił. Prawie biegł; wskoczył do samochodu, z rykiem odpalił silnik i wypruł z parkingu z piskiem opon.

Ten sam kwartał w bezimiennej, przemysłowej okolicy.

Doktor Gwynn Hauser wyszła z półmroku tak samo jak poprzednio. Tym razem miała na sobie olbrzymie, białe futro. Kobieta-chmura na Szpilkach; czyjaś wizja rajy.

Kiedy Dirgrove podjechał, rozchyliła futro, ukazując, że jest naga – tylko w pończochach i podwiązkach.

Jak ona znosi taki ziąb?

Nie znosiła. Zadrzała, otuliła się futrem i zaczęła podskakiwać w miejscu, wskazując samochód.

Wpuść mnie, tyłek mi odmarza.

Dirgrove ją wpuścił.

Dwadzieścia dwie minuty później się rozstali.

Tym razem Jeremy ruszył za chirurgiem. Dirgrove pojechał prosto do swojego luksusowego apartamentu na Hale. Został w domu całą noc.

Domator.

Kiedy wreszcie zaatakuje?

Rozdział 44

Doug Vilardi wyglądał kiepsko. Skóra na jego twarzy i rękach zaczęła się łuszczyć – w nieprzewidzianej, alergicznej reakcji na chemioterapię – liczbę białych krwinek miał wciąż za wysoką, śledzoną przekrwioną, do tego wątroba pracowała coraz gorzej. Choć nie był w stanie rozmawiać, nie spał i wydawał się reagować pozytywnie na obecność Jeremy'ego. Jeremy z nim posiedział, trochę pogadał, znalazł w telewizji coś, co sprawiło, że młody mężczyzna się uśmiechnął – powtórkę meczu akademickiego futbolu sprzed tygodnia.

Drzemkę Douga Jeremy potraktował znów jako sygnał do wyjścia i za drzwiami znów natknął się na jego rodzinę.

Pani Vilardi i Marika, Doug Senior był w pracy. Usiedli w pustej poczekalni. Ich poprzednicy zostawili po sobie plik czasopism o urządzaniu wnętrz. Jeremy odsunął je na bok.

Tym razem Marika mówiła. O niemal wszystkim, poza chorobą Douga. Co lubił jeść, co nauczyła się gotować od swojej teściowej. O tym, że zastanawiała się nad kupnem szczeniaka, pytała, co Jeremy o tym sądzi, czy to dobry, czy zły pomysł, skoro niedługo ma się im urodzić dziecko.

Obie kobiety wydawały się sobie bliskie, dosłownie wspierały się jedna na drugiej.

Kiedy Jeremy zapytał o rodzinę Mariki, odpowiedziała pani Vilardi.

– Oboje zmarli. Jej biedna mama, Rosanna, była bardzo młoda. Była jedną z moich najlepszych przyjaciółek, cudowną, cudowną osobą. Kiedy zachorowała, opiekowałam się Mariką, żeby miała się gdzie bawić w spokoju, bo Joe, jej ojciec, pracował, a ona miała tylko ciotkę, która była... no, wie pan.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Miałam ciotkę wariatkę – powiedziała Marika.

– To tak Doug poznał Mari, dzięki temu, że się nią ciągle opiekowałam. Potem Joe zmarł i trafiła do szkoły z internatem, ale często przyjeżdżała nas odwiedzić. Dougie nie interesował się wtedy dziewczynami, prawda, skarbie?

Trąciła Marikę.

– Byłam chudym, małym patykiem z krzywymi zębami – odparła młoda kobieta – a Doug interesował się sportem.

– Och, zawsze byłaś śliczna – zaoponowała pani Vilardi. – A ja zawsze ją uwielbiałam. – Odwróciła się do Jeremy'ego. – Była bardzo grzeczna. Prawdę mówiąc, uważałam, że będzie świetna dla mojego drugiego chłopca, Andy'ego. Ale nigdy nic nie wiadomo, prawda, skarbie?

– Nie da się ukryć, mamo. – Oczy Mariki zaszyły łzami.

– Doktorze Carrier, pochodzi pan z licznej rodziny? Przepraszam, że pytam o takie osobiste rzeczy, ale ma pan w sobie tyle ciepła.

– Dość dużej – odparł Jeremy.

– To muszą być przemili ludzie.

– Bardzo mili... Wpadnę później, zobaczę, co u niego słyhać. – Jeremy uściskał dłonie obu kobiet i wstał.

– Jak zwykle dziękuję, panie doktorze... Nie uraziłam pana, prawda? Pytając o pana rodzinę?

– Ani trochę. – Dla podkreślenia, że tak właśnie jest, Jeremy poklepał panią Vilardi po ramieniu.

– To dobrze. – Ucieszyła się. – Bo miałam wrażenie, że wyglądał pan... na urażonego. Tak mi się pewnie wydawało, zawsze coś sobie ubzduram. Tracę głowę od tego wszystkiego, sam pan rozumie.

– Musi pani odpocząć – stwierdził Jeremy.

– Jest pan dla Douga ważny, panie doktorze. Wtedy, poprzednim razem, ciągle powtarzał, że tylko pan traktuje go tu jak człowieka.

– Zgadza się – przytaknęła Marika. – Mnie też to mówił.

Jeremy się uśmiechnął.

– Tym właśnie jest. Człowiekiem.

– Wyzdrowieje – powiedziała pani Vilardi. – Czuję to.

Z nadejściem wieczoru, mając nieco ponad godzinę, nim wyruszy za Dirgrove'em, Jeremy przez dział kadr zlokalizował Angelę. Robiła kurs na endokrynologii. Poszedł tam, a dyżurna pielęgniarka skierowała go do sali zabiegowej.

– Cukrzyk z problemami z gojeniem, nie powinno jej to zająć dużo czasu.

Angela wyszła dziesięć minut później. Wyglądała na podenerwowaną.

– Cześć. Jestem trochę zmęczona.

– Zrób sobie przerwę. Chodźmy na kawę.

– Już wchłonełam swoją dawkę kofeiny. Nie pomogło.

– To napij się jeszcze. – Wziął ją za rękę. – Chodź, zafunduję ci solidny kofeinowy odlot.

– A potem co?

– Potem cię zbadam, opiszę to i opublikuję artykuł. Próbowala się nie uśmiechnąć. Nie wyszło jej.

– Dobrze, ale tylko na kilka minut.

Zamiast zaprowadzić ją do bufetu, Jeremy poszedł z Angelą do jednego z automatów piętro wyżej, na końcu oddziału odwykowego, włożył banknot dolarowy w szczelinę, kupił dwie kawy.

– To świństwo? – zdziwiła się Angela. – Ohydztwo.

– Nie myśl o tym jak o napoju. To doping.

Poprowadził ją do dwóch twardych, pomarańczowych krzeseł. Jeśli na odwykowym coś się działo, to w dzień; teraz oddział był cichy.

– Naprawdę jestem wykończona. A dzisiaj mam jeszcze kupę roboty z pacjentami.

Jeremy wziął ją za rękę. Miała chłodną skórę; odwróciła wzrok, nie zacisnęła palców.

– Jesteś dla mnie ważna – powiedział. – Tęsknię za tobą i wiem, że spieprzyłem sprawę. Nie powinienem był tak reagować. Chcę z tobą porozmawiać. O czym chcesz.

Angela przygryzła wargę i spuściła oczy.

– Nie musisz.

– Morderstwo Jocelyn było gorsze niż wszystko, co sobie kiedykolwiek wyobrażałem. Była częścią mojego życia, utrata jej, myślenie o tym, co przeszła, rozdarło mi serce. Już dawno powinienem był coś z tym zrobić. A ja pozwoliłem, żeby rana się jątrzyła. Wiesz, jak to jest, szewc bez butów chodzi.

Angela uniosła głowę. Po jej policzkach płynęły łzy.

– A ja powinnam była to zrozumieć. Niepotrzebnie cię naciskałam.

– Nie, to dobrze, że w końcu ktoś czegoś ode mnie wymaga. Bardzo długo byłem poza zasięgiem.

Angela pociągnęła łyk kawy, skrzywiła się.

– To naprawdę straszne świństwo. – Jej palce splotły się z palcami Jeremy'ego. – Znałam ją. Niezbyt dobrze, ale znałam. Z kursu na neurologii. To była cudowna, świetna dziewczyna. Raz wypisywałam karty, a ona rozmawiała z inną pielęgniarką o swoim chłopaku. Jaki jest wspaniały, ciepły, troskliwy. Że zawsze przy nim czuje się wyjątkowa. Ta droga pielęgniarka próbowała obrócić to w żart. Na zasadzie „wiesz, jacy oni są, ci psychiatrzy, uczą ich w szkole, jak być wrażliwym”. Jocelyn nie chciała tego słuchać, przerwała jej, powiedziała: „Nie śmiej się z tego, mówię serio. Jesteśmy ze sobą na poważnie”. Pamiętam, jak sobie pomyślałam: Jaki facet może obudzić takie uczucia? Nie wiedziałam, że to byłeś ty. Nawet kiedy zaczęliśmy się spotykać, nie wiedziałam. Po prostu mi się spodobałeś, bo kiedy prowadziłeś wykład, było w tobie tyle przekonania. Wiedziałeś, jak postępować, jak w każdym pacjencie widzieć człowieka. To właśnie chciałam usłyszeć, odkąd zaczęłam staż, ale to się rzadko zdarza. Dopiero kiedy parę razy się umówiliśmy, jeden ze specjalizantów powiedział mi, że to ty byłeś chłopakiem Jocelyn. Pamiętam, jak pomyślałam: Oho, będą komplikacje. Ale lubiłam cię, więc... Och, Jeremy, nie idzie mi najlepiej.

Oparła głowę o jego ramię.

– Jak to komplikacje? – spytał.

– No właśnie to.

– To nie będzie problem. Żadnych tabu, żadnych granic. Jeśli chcesz porozmawiać ze mną o Jocelyn, porozmawiamy...

– I w tym sęk – przerwała mu. – Nie wiem, czy chcę. Widać, że bardzo ją kochałeś, ona wciąż jest częścią ciebie, i to dobrze. Gdybyś potrafił ot tak o niej zapomnieć, odrzuciłoby mnie to od ciebie. Ale ta samolubna część mnie po prostu nie wie, czy poradzę sobie z... z jej wspomnieniem. A ono nad nami wisi. Jesteśmy jakby we troje... Wiem, że to brzmi strasznie, ale...

– Wisi nade mną, nie nad nami – powiedział Jeremy. – Jej już nie ma. Za miesiąc nie będzie jej jeszcze bardziej, za rok jeszcze bardziej, a któregoś dnia w ogóle przestanę o niej myśleć. – Zaszczypały go oczy. Teraz jemu zbierało się na płacz. – Rozumowo to wszystko wiem, ale moja cholerna dusza jeszcze się nie przystosowała.

Angela palcami otarła mu oczy.

– Nie wiedziałam, że psychologia wierzy w duszę.

Nie wierzy.

– To musi potrwać, nie ma drogi na skróty. – Jeremy popatrzył na Angelę.

Pocałowała go w czoło.

Jeremy ją objął. Wydawała się malutka. Miał już unieść jej twarz do następnego pocałunku, kiedy chudy nastolatek, prawdopodobnie czyjś wnuk, wyszedł z sali pacjentów, podszedł do automatu z kawą, zobaczył ich i lubieżnie się wyszczerzył.

– Dawaj, gościu – mruknął, wrzucając monety w szczelinę.

Angela zaśmiała się Jeremy'emu do ucha.

Przenieśli się do jego gabinetu, spędzili tam następnych piętnaście minut, siedząc w milczeniu, Angela na kolanach Jeremy'ego, z głową wtuloną w jego pierś. Przenośne radio, które Jeremy rzadko kiedy włączał, było nastawione na jakąś muzykę, prezentowaną pod nazwą smooth jazzu. Oddech Angeli uspokoił się i zwolnił; Jeremy zaczął się zastanawiać, czy nie zasnęła. Kiedy nachylił się, żeby spojrzeć, otworzyła oczy, trzepocząc powiekami.

– Naprawdę muszę wracać.

Wrócili na endokrynologię.

– Czeka na panią cewnik, doktor Rios – powiedziała na ich widok pielęgniarka o twarzy przypominającej suszoną śliwkę i odeszła.

– Nie ma to jak miłe powitanie – stwierdził Jeremy.

Angela uśmiechnęła się, spoważniała.

– Pora pobawić się w hydraulika... Jeremy, dziękuję. Za to, że przejąłeś inicjatywę. Wiem, że to nie było łatwe.

– Tak jak powiedziałem, jesteś dla mnie ważna.

Bawiła się stetoskopem, stuknęła butem w but – dziecięcym gestem, który ujął Jeremy'ego.

– Ty też jesteś dla mnie ważny, chciałabym móc z tobą spędzić trochę czasu, ale mam dyżur przez dwie następne noce.

Ja też.

– Umówmy się na obiad

– Tak zrobimy. Gościu.

Rozdział 45

W dzień pocieszyciel, w nocy obsesyjny podglądacz? Przez dwa wieczory z rzędu Theodore Gerd Dirgrove wychodził ze szpitala, jechał prosto do domu i tam zostawał. Jeremy obserwował kremowy wysokośćowiec do trzeciej nad ranem, na zmianę siedząc w samochodzie i spacerując po bogatej okolicy. Nie czuł już zimna; ogrzewał go szalejący w jego wnętrzu ogień.

Okolica sprzyjała szpiegowaniu – nagromadzenie kawiarni i drogich barów zapewniało bezustanny ruch pieszych, dzięki czemu Jeremy nie rzucał się w oczy. Drugiej nocy zajrzał do jednego z barów przy Hale – do Perłowej Cebulki – którego specjalnością były koktajle z martini. Zaryzykował martini, zmieszane z ginem Boodles i perłową cebulką, a dokładniej dwoma, unoszącymi się w jedwabistym płynie. Drink Arthura.

Tylko jeden, zaraz potem kawa. Jeremy siedział przy stoliku przy oknie, skąd widział – choć przez firankę – apartamentowiec Dirgrove’a.

Dopasowywał się. Podobała mu się cicha muzyka – prawdziwy jazz – brzęk szkła, ożywione rozmowy przystojnych, zamożnych singli przy barze.

Pamiętał, żeby dobrze się ubrać – w ogóle zaczął się lepiej ubierać, żeby sprostać wymaganiom... zadania. Włożył swoją najlepszą sportową marynarkę i miękki, czarny płaszcz z naturalnej wełny z domieszką kaszmiru, który przed laty kupił na wyprzedaży w dziale odzieżowym Llewellyn i którego nigdy dotąd nie miał na sobie – na co go oszczędzał? Przyniósł nawet ze sobą do pracy świeżą koszulę, żeby móc się przebrać przed wyruszeniem na...

Misję?

Walka z wiatrakami?

Tamtej nocy buick Dirgrove’a już się nie pokazał. Za budynkiem rozciągało się zamknięte podwórze, z podziemnego parkingu wyjazd był tylko jeden, więc nawet gdyby chirurg postanowił sam wyprowadzić samochód, musiałyby wyjechać od frontu.

Ted zamierzał spędzić noc w domu. Oszczędzał siły?

Jeremy wysiusiał kilka litrów płynu, które wchłonął, w pachnącej czystością męskiej toalecie baru i pojechał do domu. Następnej nocy Angela miała mieć wolne, a on musiał znaleźć wymówkę, żeby się z nianie spotykać. Czy udawanie choroby było na miejscu? Nie, to by się obróciło przeciw niemu, Angela chciałaby być z nim, opiekować się nim. Coś wymyśli.

Kiedy wpełzał do łóżka, pomyślał: martini, drink Arthura.

Gdzie jest stary patolog?

Co się stało z jego rodziną?

O ósmej siedział z powrotem za biurkiem, zalogowany do archiwów „Clariona”. Próbował już wcześniej, wpisując „Chess zabójstwo”, ale nic nie znalazł. Zastanawiał się, czy nie powinien pokopać głębiej.

Teraz wiedział już więcej; ustalił parametry wyszukiwania.

Sekretarka oddziału patologii знаła Arthura tylko jako zaprzysięgłego kawalera, a pracowała w Centralnym od lat. Nikt, z kim Jeremy rozmawiał, nie wspominał nigdy o małżeństwie starego patologa.

A więc Arthur był sam od dłuższego czasu; tragedia, która zniszczyła jego życie, rozegrała się wiele dziesiątek lat temu.

Oprócz członków CCC prawdę znał ktoś jeszcze – sąsiadka Arthura, Ramona Purveyance. Znała go jako przystojnego młodego lekarza, który przyjmował porody jej dzieci.

Zanim...

Była otwartą kobietą, skora do rozmowy, kiedy jednak wspomniała o przeprowadzce Arthura z jego domu w Queen's Arms, zaczęła kręcić.

Wiedziała o gehennie, która zamieniła Arthura z oswobodziciela wrzeszczących noworodków w badacza umarłych.

Która zaprowadziła go do posady w biurze koronera. Do reszty życia poświęconej temu, co zostaje, gdy dobiega ono końca. A mimo to starzec trzymał się kurczowo cegieł, zaprawy i desek swoich wspomnień.

Dwoje dzieci. Kochająca żona, którą wymyślił sobie Jeremy.

Stworzona na poczekaniu ocena Arthura teraz wydała mu się okrutna.

Arthur, który żyje wśród duchów.

A mimo to śmiał się, pił i lubił późne kolacje. Podróżował i uczył się.

I uczył innych.

Nagle Jeremy'ego przepełnił podziw dla Arthura; zarazem jednak na myśl, że mógłby skończyć tak samo jak on, ogarnęło go przerażenie.

Siłą oderwał się od tych rozmyślań, uciekł w zimny komfort kalkulacji: Ramona Purveyance miała co najmniej sześćdziesiąt kilka lat, a więc jej dzieci najprawdopodobniej urodziły się trzydzieści do czterdziestu pięciu lat temu.

Arthur miał ile... siedemdziesiąt? Szkoła medyczna i służba w wojsku... musiał mieć około trzydziestki, kiedy zaczął pracować na położnictwie w Centralnym.

Jeremy wybrał archiwa sprzed czterdziestu lat i wpisał „Chess zabójstwa”.

Użył liczby mnogiej, bo tak właśnie było. Komputer nie był na tyle mądry, żeby zrozumieć zasady odmiany; może właśnie dlatego pierwsze poszukiwania się nie powiodły.

Nic.

A może „zabójstwa rodzina Chess”?

Dobry pomysł.

Trzydzieści siedem lat temu. Wyjątkowo suchy lipiec.

TRZY CIAŁA ZNALEZIONE W ZGLISZCZACH LETNIEGO DOMKU.

Podpalony wczesnym rankiem domek nad jeziorem Oswagumi w rejonie turystycznym

Highland Park okazał się miejscem zbrodni, kiedy w zwęglonych ruinach natrafiono na trzy ciała.

Szczątki zidentyfikowano jako panią Sally Chess, młodą matkę, i jej dwoje dzieci, Susan, lat 9, i Arthura Chessa Juniora, lat 7. Arthura Chessa Seniora, lat 41, lekarza z Centralnego Szpitala Miejskiego, nie było tam, kiedy trzypokojowy domek stanął w płomieniach. Doktor Chess został wezwany do nagłego wypadku, by przeprowadzić cesarskie cięcie. Twierdzi, że po operacji wstąpił na piwo do miejscowego baru, zanim przejechał sto kilometrów, wracając do Highland Park.

Śledczy z biura szeryfa mają powody przypuszczać, że pani Chess została zamordowana, a ogień podłożono rozmyślnie, by ukryć zbrodnię. Dzieci najprawdopodobniej zmarły we śnie. Śledczy stwierdzają też, że choć doktor Chess jest przesłuchiwany, w chwili obecnej nie jest uważany za podejrzanego.

Ostatnie zdanie przypomniało Jeremy'emu coś innego, co niedawno czytał. Artykuł o zamordowaniu Roberta Ballerona. Sędzia była przesłuchiwana, ale policja stanowczo stwierdziła, że nie uważa jej za podejrzaną.

Czy to oznaczało coś wręcz przeciwnego? Że Tina i Arthur wiedzieli, jak to jest, kiedy ból i żal dodatkowo zatruwa podejrzenie?

Biedna Tina. Biedny Arthur.

Starzec wyciągnął do niego rękę, a on zgrywał niedostępnego.

Koniec z tym. On do nich przynależy.

Wciąż płacąc za czas spędzony w archiwach, sprawdził hasło „wioska Kurau”. Na ekranie wyskoczył pojedynczy, krótki strzępek tekstu, z datą sprzed pięćdziesięciu jeden lat.

KANIBALE SZALEJĄ!

Kurau, jedna z wielu tysięcy wysepek indonezyjskiego archipelagu, okupowana przez Japończyków przed wyzwoleniem przez aliantów, teraz zaś będąca terytorium spornym, do którego prawa rości sobie kilka miejscowych plemion, padła pod naporem żółtego prymitywu. Bandy maruderów ze zwalczających się ugrupowań przetoczyły się przez wioski swoich wrogów z maczetami i skonfiskowanymi japońskimi mieczami, tnąc ludzi na kawałki, patrosząc ich i paradując przez dżunglę z ludzkimi głowami na tyczkach. Doniesienia o ogniskach sugerują, że kanibalizm, niegdyś stały element życia w tej części świata, znów podniósł swój ohydny łeb. Garstka amerykańskich żołnierzy i personelu dyplomatycznego pozostaje na wyspie, próbując nadzorować przejście z okupacji do samorządności. Departament Stanu wydał ostrzeżenie dla podróżnych, prosząc wszystkich obywateli amerykańskich, by unikali tego regionu, dopóki nie zostanie tam przywrócony spokój.

Zadzwoił telefon.

– Masz chwilę, żeby porozmawiać o Dougu Vilardim? – spytał Bill Ramirez.

– Jasne. Co u niego?

– Może pogadalibyśmy osobiście? Udawajmy, że jestem twoim pacjentem.

Ramirez pojawił się w gabinecie Jeremy'ego pięć minut później, zdyszany.

– Trudno cię znaleźć... Co, twoi koledzy terapeuci skazali cię na wygnanie?

– Problem z miejscem. Zgłosiłem się na ochotnika.

– Trochę tu ponuro – stwierdził Ramirez. – A z drugiej strony, nikt ci nie przeszkadza...

Problem z miejscem... a, tak, chirurdzy zajęli wasz lokal, prawda?

– Praktyka przebija cnotę.

– Słucham?

– Siadaj. Jak tam Doug?

Ramirez przysunął sobie krzesło.

– Nie za dobrze. Jeśli jego śledziona się nie zmniejszy, będziemy musieli ją wyciąć. To się może zdarzyć w każdej chwili, obserwujemy ją. Reakcja idiopatyczna na chemię mija, cokolwiek to było. – Onkolog zsunął się nisko na krzesło i rozprostował nogi. Koszulę miał wymiętą, pod pachami plamy potu. – Tak to już jest z takimi przypadkami. Uczą człowieka pokory.

– Zawsze.

– Zazwyczaj – ciągnął Ramirez – potrafię sobie wmówić, że jestem bohaterem. W takich przypadkach jak Doug, przy wtórnych zachorowaniach, człowiek zaczyna o sobie myśleć jak o bandycie.

– Gdybyś nie wyleczył jego ewinga, już by nie żył. Nie miałby żony, nie miałby dziecka w drodze.

– Mówisz jak prawdziwy terapeuta... Tak, masz rację. To miło, że tak uważasz. Mimo to przyjemnie byłoby nikomu nie spierdolić zdrowia.

– Zostań poetą.

Ramirez się uśmiechnął.

– Nieważne, nie po to tu przyszedłem. Patologia cały czas próbuje ustalić, co to za białaczka. Powiedzieli mi, że to może być coś pomiędzy limfatyczną a szpikową, ale równie dobrze żadna z nich, może to coś dziwnego, niezróżnicowanego. Możliwe, że to forma jednocześnie ostra i przewlekła, chłopak ma w szpiku jeden wielki problem. Próbkę wysłałem do Los Angeles i Bostonu, bo u nich takie dziwadła trafiają się częściej. Najważniejsze to się dowiedzieć, co to naprawdę jest, bo jeśli się nie dowiemy i będziemy improwizować, zmniejszymy szansę na wstępną remisję. – Wziął głęboki oddech. – Mogę się napić tej kawy?

– Na własne ryzyko – odparł Jeremy.

– No, to zapomnij, że pytałem. W zasadzie przyszedłem ci powiedzieć, że jest spora szansa, że nasz pan Vilardi będzie musiał przejść przeszczep szpiku. Sprawdziliśmy całą rodzinę. Matka była trochę nerwowa, ale uznałem, że po prostu się boi. Okazało się, że ona i jeden z braci są doskonałymi dawcami.

Zmarszczył brwi.

– To jeszcze jedna sytuacja z rodzaju „dobra wiadomość-zła wiadomość”? – spytał Jeremy.

– Faktycznie umiesz czytać w myślach. – Ramirez wziął głęboki oddech. – Zła wiadomość jest taka, że Doug nie jest biologicznym synem swojego ojca.

– Rozumiem – powiedział Jeremy.

– Nie jesteś zaskoczony.

– Jestem, ale nie bardzo. Ludzie są tylko ludźmi.

– Rany – westchnął Ramirez. – Szkoda, że nie jesteś moim ojcem. Dorastanie byłoby o wiele łatwiejsze. Dobra, to jest właśnie ten wielki sekret. Pytanie brzmi, co z tym robimy?

– Nic – odparł Jeremy.

– Po prostu.

– Po prostu.

– Masz rację – powiedział onkolog. – To tylko chciałem od ciebie usłyszeć. Upewnić się. – Wstał. – Dobra, dzięki. Do pracy.

– Coś jeszcze, Bill?

– Nie wystarczy ci, jak na jeden dzień?

Jeremy się uśmiechnął.

– Cieszę się, że potwierdziłeś to, co od razu przyszło mi do głowy – powiedział Ramirez. – Doug jest dorosły, ma prawo wglądu w swoje dane medyczne, ale wykasuję tę część raportu. Na wypadek gdyby ktoś do niego zajrzał.

Spojrzał na Jeremy'ego.

– W tym też cię popieram – zapewnił Jeremy.

– Tak będzie najlepiej – stwierdził Ramirez. – Już i tak chłopakowi wystarczająco zaszkodziłem.

Po południu, kiedy Jeremy odwiedził już wszystkich swoich pacjentów, usiadł przy łóżku Douga. Rodziny akurat nie było. Zazwyczaj przychodzili dwie godziny później, a Jeremy dobrze wyliczył swoją wizytę. Nie chciał patrzeć pani Vilardi w oczy.

Doug spał przy włączonym telewizorze. Głośny sitcom – małomiasteczkowe życie, oklepane żarty, hollywoodzka wizja jowialnych prostaczków, śmiechy w tle. Jeremy nie wyłączył telewizora, ale trochę go ściszył. Spojrzał na opuchniętą, pożółkłą twarz Douga, jego leżące nieruchomo wielkie, pełne odcisków dłonie człowieka pracującego fizycznie. Śmiechy zaczęły go drażnić, więc wyłączył telewizor i zaczął słuchać tykania, chrobotów i popiskiwań, świadczących o tym, że młody mężczyzna wciąż żyje.

Doug się nie poruszył.

Walcz z tym, przyjacielu.

Daj mi jakąś inspirację.

Walcz.

Rozdział 46

Następne trzy wolne wieczory Jeremy załatwił sobie, kłamiąc. Naopowiadał Angeli o zbliżających się terminach oddania książki, o coraz mocniejszych naciskach ze strony szefa onkologii i do tego o ostrym przypadku pisarskiej blokady.

Musiał sobie zapewnić dwie, trzy całe noce. Może nawet cztery.

– Znam ten ból – powiedziała Angela. – Jakoś to będzie, skarbie.

Pierwszego dnia zabrał ją cichcem na prawie godzinny obiad w Sarno, starał się, żeby rozmowa była swobodna, lekka i przyjemna. W głowie przepływał mu nieustanny ciąg przerażających obrazów: ohydnych, brutalnych, mentalne szambo, niewidoczne jednak na twarzy kochanka, którą Jeremy pokazywał Angeli.

Pod koniec obiadu uznał, że chyba mu się udało. Angela się rozluźniła, śmiała się, opowiadała o pacjentach i szpitalnej biurokracji. Kiedy podrzucił ją z powrotem na endokrynologię, była piąta trzydzieści, a ona miała mnóstwo energii do pracy.

Następnego dnia zadzwoniła do niego, żeby mu powiedzieć, że szefowi nie podobało się jej wyjście.

– Może napiszę ci usprawiedliwienie – zaproponował Jeremy. – „Angela miała pusty brzusek i musiała coś zjeść”.

– Żeby tylko – odparła. – Jak ci idzie z książką?

– Jak po grudzie.

– Nie dawaj się, wiem, że świetnie sobie poradzisz.

– Dzięki.

– I tak nie mam czasu, Jer. Prowadzący na endokrynologii to napalone chamy z prywatnych praktyk. Każą nam harować jak galernikom, żeby sami mogli wrócić do domu na rodzinny obiadek. Jeżeli więc mamy się w ogóle zobaczyć, to tylko na obiedzie. A jutro na obiad mam wykład o nadużywaniu hormonu wzrostu.

– Praca.

– Dam ci znać, jak będę wolniejsza. Przepraszam.

– Nie ma za co przeproszać, Ang. To też minie. A ja mam teraz własne zajęcia.

– Wiem. Ale w tej chwili mam wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Dobra, muszę lecieć.

Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też.

Przez dwie kolejne noce Dirgrove udawał domatora. Albo robił coś innego, co miał w zwyczaju, kiedy tkwił w swoim piaskowcowym gniazdku.

Przedostatnie piętro. Jeremy wiedział to, bo zajrzał do środka, kiedy portier poszedł zanieść przesyłkę któremuś z mieszkańców. Wszedł do wyłożonego marmurami holu z pięknymi

palmami w doniczkach i sprawdził spis mieszkańców.

Kiedy Dirgrove przestępował próg swojego domu, do jakiego stopnia angażował się w udawanie? Czy grał głowę rodziny, jadł domowe obiady? A może zamykał się od razu w swoim gabinecie?

Czy zajmował się Brandonem i Sonją? Po tym, co Jeremy widział w restauracji, bydlak miał dzieci gdzieś.

Czy on i Patty śpią razem?

Biedna kobieta; stanowcza twarz, wysportowana sylwetka. Wszelkie pozory dobrego życia, które wcześniej czy później miało się z hukiem zawalić.

Jeremy zamierzał zrobić, co w jego mocy, żeby to było wcześniej niż później.

Trzeciego dnia Douga Vilardiego zabrano na salę operacyjną na usunięcie śledziony. Jeremy pocieszał rodzinę, ale wiedział, że młody mężczyzna nie będzie go potrzebował przez co najmniej dobę. Żaden z pozostałych pacjentów nie miał akurat kryzysu. Kilku zwolniono, a Jeremy'ego wezwano tylko do jednego nieprzyjemnego przypadku, piętnastoletniej poparzonej dziewczyny, która straciła skórę na udzie i przechodziła bolesne kąpiele w wirówce, żeby spłukać strzępy martwej tkanki.

Jeremy dowiedział się, że ona lubi grać w tenisa i wyobraża sobie, że gra na turnieju French Open.

Wytrzymała. Jej ojciec, typ twardziela, jakiś dyrektor, był pod wrażeniem.

– To było niesamowite – powiedział.

– Jennifer jest niesamowita.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Rany, niezły pan jest.

Teraz minęła osiemnasta i Jeremy był wolny. Desperacko chciał zachować pustkę w głowie. Żeby oszczędzić przestrzeń umysłu dla Dirgrove'a, jego psychopatologii, jego narzędzi. Dla kobiety, która na pewno była jego następnym celem.

Dirgrove został w pracy dłużej niż zwykle, do samochodu zszedł dopiero parę minut po ósmej. Kiedy wyjechał z parkingu lekarzy, skręcił na południe.

W przeciwną stronę niż zwykle, kiedy jechał do domu na Hale. Po raz pierwszy.

Zaczynamy.

Wspaniała noc do śledzenia. Temperatura spadła jeszcze bardziej, ale powietrze zrobiło się suche. I rzadsze, jakby jakieś bóstwo wyssało z niego wszystkie niepotrzebne gazy. Jeremy oddychał głęboko, powietrze uderzało mu do głowy, było mu lekko na sercu. Dźwięk rozchodził się jakby szybciej, a okna samochodu nie wyciszały gwaru miasta. Światła były jaśniejsze, ludzie chodzili szybszym krokiem, każdy nocny detal odcinał się wyraźnie od tła.

Tego wieczoru samochodów nie brakowało. Miejsca automobiliści wylegli masowo na ulice,

ciesząc się dobrą widocznością i suchą nawierzchnią ulic. Jeździli za szybko, jak w euforii.

Wszyscy działają na pełnych obrotach.

Dirgrove kierował się w stronę mostu Asy Brandera – tą samą trasą, która zaprowadziła Jeremy'ego do domu Arthura w Ash View. Zamiast jednak skręcić na autostradę, buick jechał przed siebie.

W stronę lotniska.

Jeszcze sześć przecznic, potem skręcił w prawo w ruchliwą handlową ulicę. Kolejne dwie i byli już na Airport Boulevard. Dirgrove zatrzymał się przed motelem.

Czerwone spaghetti neonu układało się w napis KRYJÓWKA nad neonowym symbolem dwóch zachodzących na siebie serc. Motel reklamował swoje łóżka masujące, całkowitą intymność (przy ruchliwej ulicy) i kablówkę z filmami dla dorosłych. Po jednej stronie budynku stała stacja benzynowa, po drugiej magazyn z nieodebranymi bagażami, pod nazwą TravelAid. Dalej wzdłuż ulicy znajdowały się wypożyczalnia kaset wideo i książek dla dorosłych, dwa sklepy monopolowe i bar szybkiej obsługi dla zmotoryzowanych.

Jaskinia rozpusty.

Pokoje wychodziły na parking. Do recepcji prowadziły podwójne drzwi. Jeremy zostawił samochód po drugiej stronie ulicy i przeszedł przez bulwar na piechotę. Stał przed motelem, na chodniku, pod takim kątem, żeby móc zobaczyć okno z napisem RECEPCJA. Za jego plecami przejeżdżały z rykiem samochody. Nad głową huczały lądujące i startujące samoloty. Nikt nie chodził po chodnikach. Powietrze śmierdziało paliwem lotniczym.

Okna motelowej recepcji nie miały zasłon, a samo pomieszczenie było jasno oświetlone. Ze swojego miejsca Jeremy widział dokładnie meldującego się Dirgrove'a. Chirurg wydawał się zrelaksowany jak ktoś, kto spędza sobie spokojnie wakacje.

Jeremy zauważył, że Dirgrove się nie podpisał. Stały klient? Chirurg dostał klucz i poszedł do pokoju na wschodnim końcu motelu.

Szykowny, w czarnym płaszczu i szarych spodniach. Pogwizdywał.

Pokój numer 16.

Jeremy wrócił do samochodu i dalej obserwował Kryjówkę z drugiej strony ulicy. Schował się w samą porę. Pięć minut później wolne miejsce trzy samochody od buicka zajął lexus Gwynn Hauser.

Wysiadła, nie rozejrzała się nawet, ruszyła żwawo w stronę budynku, machając torebką.

Blond kok ukryła pod długą, czarną peruką, miała na sobie to samo białe futro, które Jeremy widział podczas jej ostatniej schadzki z Dirgrove'em. Wejście do motelu było lepiej oświetlone niż ulica i nawet z tej odległości Jeremy zauważył, że futro jest tanią podróbką, najeżoną jak namagnesowane opiłki żelaza.

Peruka też tandetna, nawet niepodobna do ludzkich włosów.

Maskuje się.

Odczekał dziesięć minut, poszedł do recepcji i wynajął pokój za półdobową stawkę

czterdziestu czterech dolarów. Recepcjonista, powściągliwy młody mężczyzna o przetłuszczonych czarnych włosach, ledwie spojrzął na Jeremego, biorąc od niego pieniądze. Nie zareagował też w żaden sposób, kiedy Jerem powiedział, który pokój chciałby wynająć.

Numer 15. Dokładnie naprzeciw szesnastki.

Poszedł tam, trzymając się blisko muru i unikając plam światła, zalewającego parking. Zamknął drzwi i odetchnął zapachem zastarzałego potu, szamponu i malinowego środka dezynfekującego. W pokoju nie włączył światła, zapalił je za to w żaloznie małej łazienki – właściwie prefabrykowanej budce z włókna szklanego, z chwiejnie przykręconym do podłogi sedesem i zapleśniałym malutkim prysznicem.

Rozejrzał się. W przytłumionym świetle zobaczył podwójne łóżko z lepkiem materacem i dwiema poduszkami, wibrujące ustrojstwo na monety, dwunastocalowy telewizor na ścianie, z płatnym dekoderem. Pojedyncze okno zasłonięte było ceratą. Podnosząc ją trochę i przysuwając sobie krzesło, Jerem miał dobry widok na numer 16.

Tam światło się paliło. Przez bite dwie godziny. Potem zgasło.

Nikt nie wychodził. Czas mijał. Dziewięta trzydzieści, dziesiąta, jedenasta. O północy Jerem odchodził już z nudów od zmysłów i zastanawiał się, czy Dirgrove i Hauser nie zamierzają zostać tam całą noc.

Włączył telewizor. Większość programów odbierała z zakłóceniami, a on nie miał ochoty dzwonić do recepcji i zamawiać pornosa. Zdecydował się na całodobowy kanał ewangelizacyjny, nadawany z olbrzymiej katedry w Nebrasce. Siedział i słuchał opowieści o grzechu i odkupieniu, i wiedział, że marnuje czas. Dirgrove nie zamierzał tej nocy robić nic złego; zajęcia dostarczała mu jego dziewczyna.

Chyba że ich związek się zmienił i... nie, to niemożliwe, zbyt ryzykowne. Ich samochody stały zaparkowane przy samej ulicy.

Ted był człowiekiem o zróżnicowanych gustach.

Zasnęli, Jerem był tego pewien. Dochodziła trzecia piętnaście nad ranem i nasłuchiwał się już dość kazań i namów, by zostać owieczką Bożą poprzez wysłanie oszczędności, drobnych albo emerytury, czegokolwiek, co mogło wprowadzić człowieka w stan łaski.

– Będziecie wiedzieli – obiecał kaznodzieja z nocnej zmiany, chudy, przystojny facet o aparycji studenta. – Poczujecie to.

O trzeciej trzydzieści siedem Gwynn Hauser, wciąż w peruce, trochę roztrzęsiona, wyszła z pokoju, otulając się swoim sztucznym futrem.

Pięć minut później wyszedł Dirgrove. Popatrzył na księżyc, ziewnął, wolno podreptał do samochodu.

Jerem pojechał za nim. Chirurg wrócił do Patty i swojej trzódki.

Co jej powiedział? Że miał nagłe wezwanie? Że ratował komuś życie? A może minął już

czas, kiedy musiał jej cokolwiek mówić?

Czy słyszała go, czuła jego zapach, kiedy wsuwał się w pościel – czy czuła, jak zapach innej kobiety owiewa ją w klimatyzowanym powietrzu ich z całą pewnością modnie urządzonej sypialni?

Biedactwo.

Jeremy wrócił do domu tuż przed czwartą. Cały jego kwartał był jak wymarły, a kiedy wszedł do swojej pustej sypialni, zrobiła na nim wrażenie celi obcego człowieka.

Rozdział 47

Dougowi usunięto śledzionę; wyglądał, jakby przejechał go pociąg, mocz odprowadzał mu cewnik, a głos miał zduszony, bełkotliwy i słaby. – Najśmieszniejsze, panie doktorze... – powiedział – to, że rzeczywiście czuję się... lepiej. Bez tej... jebanej... śledziony.

Oprócz tego miał niewiele do powiedzenia. Jeremy spał trzy godziny i czuł się wypalony. Posiedział chwilę z chorym, pouśmiechał się, rzucił kilka spojrzeń dodających otuchy, parę lekkich żartów.

– Muszę... stąd... wyjść... przed sezonem na... łowienie spod lodu – wymamrotał Doug.

– Często łowisz?

– Co roku. Z moim... tatą.

Pani Vilardi weszła do sali.

– O, moje dziecko!

– W porządku, mamó.

– Tak, tak, wiem, że wszystko w porządku. – Powstrzymując łzy, uśmiechnęła się do Jeremy'ego.

Była ubrana w workowaty brązowy płaszcz, pod spodem poliestrowy sweter i grube dresowe spodnie. Na nogach miała lśniące, brązowe buty z imitacji skóry. Sweter był czerwono-zielony; po jej obfitym biuście tańczył jeleń. Włosy miała krótkie, z trwałą, mysio-szare z przebijającą siwizną. Pod oczami worki.

Zwykła kobieta w średnim wieku, przygięta brzemieniem lat. Kiedy była młoda, wzięła sobie kochanka, a z jego nasienia wykiełkował Doug. Jeremy nigdy dotąd właściwie się jej nie przyjrzał.

– Zostawię państwa samych – powiedział.

– Do widzenia, doktorze.

– Miłego dnia, doktorze Carrier.

Detektyw Bob Doresh pojawił się nie wiadomo skąd i zastąpił Jeremy'emu drogę, kiedy ten szedł w stronę schodów.

– Nie jeździ pan windą, doktorze?

– Trzymam formę.

– Miał pan pracowitą noc?

– O co panu chodzi?

Grubo ciosana twarz Doresha była ponura. Napiął mięśnie szczęk.

– Musimy pogadać, doktorze. U mnie.

– Mam pacjentów.

– Mogą zaczekać.

– Nie, nie mogą. Jeśli chce pan porozmawiać, porozmawiamy u mnie.

Doresh podszedł bliżej. Jeremy stał plecami do ściany i przez chwilę myślał, że detektyw go do niej przycisnie. Dołek w mięsistym podbródku Doresha zadrżał. Boże, naprawdę można było w nim coś schować.

– To dla pana takie istotne, doktorze? Gdzie porozmawiamy?

– To nie zawody, detektywie. Jestem zdecydowany z panem współpracować, chociaż nie umiem sobie wyobrazić, co to za ważna sprawa. Porozmawiajmy tutaj, żeby nie tracił więcej czasu.

– Ważna sprawa. – Doresh przysunął się jeszcze bliżej.

Jeremy poczuł zapach boczku, który tamten jadł na śniadanie. – Mam bardzo ważną sprawę.

Oparł dłoń na biodrze.

Krew odpłynęła Jeremy'emu z twarzy.

– Następna? To niemożliwe.

– Niemożliwe, doktorze? – Wzrok Doresha palił jak ogień. Niemożliwe, bo potwór całą noc zabawiał się ze swoją dziewczyną. Jakim cudem mogłem się aż tak pomylić?

– Chciałem powiedzieć... Pomyślałem w pierwszej chwili, że to niemożliwe, tak szybko. Tyle śmierci. Nie sposób tego pojąć.

– Ach. – Doresh uśmiechnął się obrzydliwie. – A panu się to nie podoba.

– Oczywiście, że nie.

– Oczywiście, że nie.

– Do czego pan, do cholery, zmierza, detektywie?

Jeremy zauważył ruch na korytarzu. Pani Vilardi wyszła z pokoju Douga, rozejrzała się, zauważyła Jeremy'ego i pomachała mu. Wykonała gest picia. Pokazywała, że idzie napić się kawy. Jakby potrzebowała jego pozwolenia.

Jeremy też jej pomachał.

– Pańska fanka? – spytał Doresh.

– Czego pan ode mnie chce? Miejmy to już za sobą.

– Dobrze – zgodził się Doresh. – Co pan powie na kompromis? Nie u mnie, nie u pana. W domu Bożym.

Szpitalna kaplica – Sala Medytacyjna – znajdowała się w bok od holu głównego, tuż za Biurem Rozwoju. W oficjalnie ekumenicznym pomieszczeniu – właściwie oferującym niewiele ponad refleksję – były trzy rzędy jasnych, jesionowych ław na cienkiej, czerwonej wykładzinie, a plastikowe okna imitowały witraże pod niskim, ukośnym sufitem z brokatowego gipsu. Ławy stały zwrócone w stronę aluminiowego krzyża na ścianie. Na pulpicie w głębi leżała Biblia, obok plik broszur podarowanych przez towarzystwa ewangeliczne.

Jeremy przypuszczał, że od czasu do czasu z kaplicy korzystano, nigdy jednak nie widział, żeby ktoś do niej wchodził albo z niej wychodził.

Doresh wszedł, jakby już tam kiedyś był.

Ma mnie to zachęcić do spowiedzi?

Detektyw podszedł do pierwszego rzędu, zdjął płaszcz, przewiesił go przez oparcie ławy, usiadł i postukał palcem w miejsce obok siebie. Chciał, żeby usiadł tam Jeremy.

A teraz razem się pomodlimy?

Jeremy zignorował zaproszenie i obszedł Doresha. Stał naprzeciw niego, nie usiadł.

– Co mogę dla pana zrobić, detektywie?

– Może pan najpierw opowiedzieć, gdzie pan był wczoraj w nocy, doktorze. – O jakiej porze?

– Całą noc.

– Poza domem.

– To wiem, doktorze. Wrócił pan do domu około czwartej nad ranem. Późno, jak na pana.

– Śledził mnie pan?

– Czy ja tak powiedziałem?

– Nie. Oczywiście, że pan mnie nie śledził. Głupie pytanie. Gdyby mnie pan śledził, to by pan wiedział, że nie mam z tym nic wspólnego.

I Dirgrove też niezabawiający się w pokoju naprzeciwko.

Źle, źle, źle!

– Niech pan zacznie opowiadać – polecił Doresh.

– Wyszedłem ze szpitala tuż po ósmej i zameldowałem się w motelu niedaleko lotniska jakieś pół godziny później. Kryjówka, przy Airport Boulevard. Zapłaciłem gotówką, ale recepcjonista może mnie pamiętać, bo było tam raczej pusto. To młody facet z ciemnymi włosami. Tłustymi, ciemnymi włosami. Był ubrany w koszulę w zielone i białe pasy. Nie widziałem spodni. Zapłaciłem za pół doby. Czterdzieści cztery dolary.

– Motel.

– Zgadza się.

– Kto był tam z panem?

– Nikt.

Doresh uniósł krzaczaste brwi. Poruszył się na ławce – zatrzeszczała pod jego ciężarem.

– Zameldował się pan w motelu sam.

– W pokoju numer 15. Byłem tam do jakiejś trzeciej czterdzieści i, jak pan wie, wróciłem do domu tuż przed czwartą.

Jeśli to nie Doresh czy jakiś inny gliniarz go widział, to kto? To musiał być ktoś z sąsiedztwa, a jeśli już, to tylko pani Bekanescu. Wścibska z natury, nigdy go nie lubiła, a on widywał u niej w domu włączone światło na długo przed wschodem słońca. Czasami wystawiała jedzenie dla kotów, miauczały na cały kwatera, kiedy niebo było jeszcze ciemne. Jakikolwiek był tego powód, wczoraj w nocy nie spała, zauważyła światła jego samochodu, a kiedy Doresh przyszedł zadać jej kilka pytań, odpowiedziała mu na nie z przyjemnością.

Z iloma sąsiadami Doresh rozmawiał? Czy wszyscy uwierzyli, że Jeremy jest

niebezpiecznym człowiekiem? Czy to dlatego – a nie dlatego, że byli chwilowymi najemcami – nikt z nim nie rozmawiał?

Doresh patrzył na niego bez słowa.

– Gdzie i kiedy do tego doszło? – spytał Jeremy.

– Pan mówi poważnie.

– O tym, że chcę wiedzieć? Tak.

– O tym, że zameldował się pan w motelu dla napalonych samemu.

– Zrobiłem to, bo szukałem samotności.

– Znalazł pan samotność w motelu dla napalonych?

– Tak.

– Mieszka pan sam, w domu ma pan mało samotności? – Doresh się uśmiechnął. – Teraz jest pan samotny aż do bólu.

Ton jego głosu wyzywał Jeremy'ego. Dalej, cwaniaczku, pokaż, na co cię stać.

Jeremy wzruszył ramionami.

– Czasami zmiana otoczenia pomaga.

– Pomaga w czym?

– Osiągnąć spokój ducha.

Twarz Doresha nabrała koloru surowego befsztyka.

– Niech mnie pan lepiej nie wkurza.

– Proszę zapytać recepcjonistę. Albo sprzątaczkę, która sprzątała w pokoju numer 15, czy w łóżku ktoś spał.

– Nie spał pan tam? A co pan tam robił, do cholery?

– Siedziałem na krześle. Myślałem. Oglądałem telewizję, głównie programy religijne. Zapamiętałem kaznodzieję z Nebraski. Thadda Bromleya, Gadatliwy facet. Miał na sobie niebieski sweter z dekoltem w serek, wyglądał jak student, a mówił jak kowboj. Sądząc po wpłatach, jakie tam przychodzą, dobrze mu idzie. Bardzo mi się podobało, jak mi mówił, jak mam żyć. – Jeremy rozejrzał się po kaplicy.

– Religijny z pana facet – rzucił Doresh.

– Chciałbym.

– Chciałby pan co?

– Religia daje pocieszenie. Chciałbym wierzyć.

– Co pana powstrzymuje?

– Za dużo rzeczy mnie rozprasza. Kim ona była? Gdzie to się stało?

Doresh go zignorował. Odwrócił się, a światło wpadające przez plastikowe witraże rozświetliło na tęczo jego twarz.

– Kolejna sytuacja z rodzaju Humpty-Dumpty – stwierdził Jeremy.

Wciąż milczenie.

– Coś jeszcze, detektywie?

Doresh założył nogę na nogę.

– Chce mi pan powiedzieć, że od ósmej trzydzieści do trzeciej czterdzieści siedział pan w norze, w której posuwają się nastolatki, zupełnie sam, słuchając dobrej nowiny. To dopiero historia.

– Po co miałbym coś takiego zmyślać?

– Widzi pan, doktorze, może i recepcjonista będzie mógł potwierdzić, że się pan tam zameldował. Ale zakładam, że nie wstąpił pan się z nim pożegnać, kiedy jechał pan do domu. A więc skąd mam wiedzieć, że był pan tam całą noc? Mógł pan wyjść w każdej chwili.

– Thadd Bromley – powtórzył Jeremy. – Był późno w nocy. Cytował Księgę Dziejów Apostolskich. Uzdroził dziewczynkę o kulach. Byli też inni. Pewnie pamiętam niektóre kazania. Chwilami przysypiałem, ale tylko chwilami.

– Religijne programy.

– Kryjówka nie oferuje dużego wyboru kanałów. Na większości odbiór był niewyraźny. Pewnie religijne nadają z większą mocą.

– Wypożyczał pan jakieś porno?

– Nie.

– W takich miejscach mają duży wybór pornoli, prawda? To charakterystyczne. Tyle że, na ogół, ludzie przychodzą tam z partnerami.

Oczy detektywa były zimne od pogardy.

– Żadnych pornoli – powtórzył Jeremy. – Niech pan sprawdzi dekodery...

– Bzdury – warknął Doresh. – Wcisną mi tu pan jakieś pierdoły.

– Gdybym wiedział, że będzie mi potrzebne alibi, przygotowałbym sobie jakieś.

– Uroczo. Jakie to wszystko logiczne.

– Kto zginął?

– Kobieta. – Doresh rozprostował nogi.

– Możecie odkurzyć mój samochód, jeśli chcecie – powiedział Jeremy. – Skonfiskujcie mi ubrania, opryskajcie mi znów dom luminolem. Szukajcie włókien, płynów, czego chcecie. Nawet bez nakazu, mam to gdzieś.

– A wykrywacz kłamstw?

– Jasne, nie ma sprawy.

– Bez zastrzeżeń?

– Niech pytania będą ograniczone do mojego udziału w jakimkolwiek morderstwie.

– Co? – zdziwił się Doresh. – Nie możemy pana pytać o religię?

– Coś jeszcze, detektywie?

– Wykrywacz kłamstw – mruknął policjant. – Oczywiście facet taki jak pan, jako mistrz hipnozy i w ogóle, na pewno wie, jak go oszukać.

– Nie ma żadnych sztuczek. Żeby oszukać wykrywacz kłamstw, trzeba mieć nienormalnie spokojną osobowość albo ćwiczyć przez dłuższy czas. Ani jedno, ani drugie nie ma do mnie

zastosowania. A, tak, środki uspokajające. Jeśli chcecie mnie przedtem przebadać, proszę.

– Spokojna osobowość? Ja bym powiedział, że bardzo spokojny z pana gość, doktorze Carrier. Nawet zaraz po tym, jak panna Banks została zaszlachtowana, kiedy zawlekliśmy pana na posterunek, był pan cholernie spokojny. Ja i mój partner byliśmy pod wrażeniem. Facetowi tną dziewczynę na kawałki, a on bez problemu przechodzi przesłuchanie.

Jeremy pamiętał to jako jeden wielki niekończący się koszmar. Zaśmiał się, żeby drania nie uderzyć.

– Coś pana śmieszy, doktorze?

– Śmieszy mnie to, jak daleko jest pan od prawdy. Jeśli boi się pan oszustwa, możemy zapomnieć o wykrywaczu kłamstw.

Doresh wziął płaszcz, wstał i podszedł bliżej. Dołek w brodzie mu pulsował, a beczkowata pierś groźnie nacierała na Jeremy'ego.

– Nie, zróbmy to. Może jutro. Albo pojutrze.

– Niech pan do mnie zadzwoni – powiedział Jeremy. – Spojrzę w kalendarz i spróbuję znaleźć dla pana czas.

– Żadnych sztuczek, co? – spytał Doresh.

– Nie znam żadnych. Chirurgicznych umiejętności też nie mam. I nigdy nie byłem w Anglii.

Doresh zamrugał.

– A czemu miałyby mnie to obchodzić?

Jeremy wzruszył ramionami i spróbował go wyminąć. Doresh zastąpił mu drogę. Zamarkował cios głową, jak kogut szkolony do walki. Jeremy odruchowo odskoczył w tył, stracił równowagę, złapał się ławki.

Doresh się zaśmiał i wyszedł z kaplicy.

Rozdział 48

Jeremy zaczekał, dopóki się nie upewnił, że Doresh nie wróci. Potem zamknął na klucz drzwi kaplicy, opadł ciężko na jedną z tylnych ławek i ukrył twarz w dłoniach.

To nie Dirgrove. Marnowałem czas, a teraz następna kobieta...

Ciągle źle, ciągle, kurwa, źle.

Jak to możliwe? Wszystko tak świetnie pasowało. Narzędzia, lasery, jaki ojciec, taki syn. Dirgrove – seksualny drapieżnik, manipulujący ludźmi. Na pewno był w Anglii, kiedy zamordowano dwie Angielki, absolutne podobieństwo, dlatego Langdon i Shreve nadstawili uszu, dlatego Shreve zadzwonił do Doresha, a Doresh wpadł do Jeremy'ego.

Nigdy nie byłem w Anglii! Dlaczego Doresh tego nie rozumie, dureń!

Wykrywacz kłamstw oczyściłby go z zarzutów, wszystko, co by zrobili, oczyściłoby go z zarzutów, tymczasem jednak kolejne kobiety...

Źle.

To oznaczało, że Arthur też się mylił. Pocztówki, koperty, wszystkie pieprzone podpowiedzi, które stary podsunął Jeremy'emu...

Arthur.

Jeremy'ego przeszła okropna myśl – przerażający ateizm.

Arthur, badacz śmierci. Koneser makabrycznych historii, gracz, par excellence.

Arthur, student wojennej strategii.

Jeremy wiedział od jakiegoś czasu, że Arthur nim manipuluje, ale przypisywał mu dobre intencje.

Arthur. Lubił pracować przy martwych, jeździł furgonetką z kostnicy; samochód, który śledził Jeremy'ego, był spory. Jeremy myślał, że to terenówka. Ale dlaczego nie furgonetka?

Starzec ciął. Kopał ogrodową łopatą... nie, niemożliwe. Był za stary. Starcy pozbawieni testosteronu i marzeń po prostu nie robią takich rzeczy.

Poza tym Arthur był po drugiej stronie przemocy, był ofiarą. Jego gehenna.

Rzeź jego rodziny.

Nierozwiązane potrójne morderstwo.

Arthur, który nie miał alibi, jadący do domku, kiedy podłożono w nim ogień.

Arthur, który całe lata zwlekał z wyprowadzeniem się z rodzinnego domu. Który żył wśród duchów.

Duchów, które stworzył?

Nie, to niemożliwe, nie do przyjęcia. Starzec jest ekscentrykiem, ale nie potworem; gdyby był potworem, to by znaczyło, że pozostali członkowie CCC. Nie, byli ofiarami, wszyscy. Przeszli własną drogę krzyżową, uszlachetniło ich cierpienie.

Arthur jest dziwakiem, ale dobrym człowiekiem. Awatarem Jeremy'ego, prowadzącym go w

stronę nieuniknionej prawdy.

A mimo to poprowadził go złą drogą.

Nie mogłem pomylić się aż tak bardzo.

Jeśli tak, znajdę sobie inną pracę. Hydraulikę, murarkę, zostanę recepcjonistą w hotelu dla napaleńców. Albo jeszcze lepiej, zaciągnę się na kuter poławiaczy krabów, różnych przydennych drapieźników i białomięsnych ryb.

Jaki ojciec...

Dlaczego Arthur mu to zrobił?

Jeremy usiadł prosto, odstłonił twarz, poraził go blask z plastikowego witraża.

I nagle go to dopadło – gwałtowna fala ściskającego wnętrza, wszechogarniającego zrozumienia, które sprawiło, że wszystko stało się... Oczywiście!

Zerwał się na równe nogi, podbiegł do drzwi kaplicy. Kiedy sięgał do zamka, zadzwonił jego pager.

– Doktorze Carrier, mówi Nancy, dyżurna pielęgniarka z Czwartego Wschodniego. Mam tu pacjentkę, panią van Alden, od doktora Schustera, jest umówiona na znieczulenie zewnątrzoponowe, mówi, że miał pan tu być dziesięć minut temu, żeby pomóc jej przez to przejść. Trochę nam się spieszy...

– Zatrzymał mnie nagły wypadek. Już biegnę.

– Dobrze. Wygląda na bardzo spiętą.

Jeremy poszedł szybko do wind, ze spuszczonym wzrokiem, zastanawiając się: Jak się z tego wyłgam?

Kiedy jechał na Czwórkę, sprawdził swój notatnik.

Jeszcze dziewięć pacjentów, zapisanych jeden po drugim, wszyscy w potrzebie. Nie licząc Douga, a Jeremy wiedział, że oczekuje się od niego, że jeszcze do niego zajrzy; Chryste, biedak na to zasługuje.

Potem zebranie w sprawie przypadku z psychiatrii. To mógł sobie odpuścić, ale nie mógł nie spotkać się z ludźmi, którzy na niego liczyli.

Dziesięć pacjentów, bez przerw między nimi, bo napisał swój plan dnia. Chciał mieć więcej czasu na działanie w nocy i teraz za to płacił.

Walka z wiatrakami; jego kopia przechylała się, złamana.

Drzwi windy otworzyły się na gwar oddziału. Pani van Alden go potrzebuje, będzie dobrze, on jej pomoże.

Jakoś przebrnie przez obowiązki całego dnia.

Spokojny facet.

Prawda?

Rozdział 49

Kiedy wrócił do gabinetu, zdyszany po biegu, echa całego dnia – okrzyki bólu, płacz, westchnienia rezygnacji i wybuchy wdzięczności – spoczywały pogrzebane głęboko w jakimś ciemnym, małym, zaśmieconym kącie jego mózgu.

Od razu rzucił się na książkę – leżała na segregatorze „Ciekawość”.

Krew zastyga w żyłach. Colin Pugh opisujący bardzo, bardzo złe zachowanie.

Książka sprzedana przez Renfrewa. Oczywiście, tak musiało być, to miało sens, świat pozostawał logiczny...

Jeremy zaczął szukać ostatniego rozdziału, przerzucając kartki tak szybko, że uszkodzony przez kwas papier zaczął się kruszyć, a na wszystkie strony posypał się kurz.

Jest:

Gerd Dergraav wjeżdża do Brazylii na syryjskim paszporcie.

Żeni się po raz drugi, ma dziecko.

Drugi syn.

Tutaj?

Arthur go prowadził... Wtedy, w bufecie. Tamten mężczyzna, ciemnowłosego chirurga z wąsami, który siedział z Dirgrove'em i Mandelem – Arthur go obserwował.

Mężczyzna, którego Jeremy widział, jak kłócił się z Dirgrove'em. Stali naprzeciw siebie, tego samego wzrostu, tej samej budowy. Szczyrzyli zęby jak warczące na siebie psy...

Drugi syn, urodzony w Syrii. Pół Syryjczyk, pół Niemiec, kolor skóry i włosów się zgadzał.

To ciemnowłosego mężczyzna, nie Dirgrove, przyciągał uwagę Arthura.

To musi być on, to musi być on, proszę, niech się nie mylę... Jeremy otworzył szarpnięciem dolną szufladę biurka, wyciągnął album zdjęć kadry i otworzył go na literze D, bo podobnie jak Dirgrove, jego brat prawdopodobnie zmienił nazwisko i można było mieć nadzieję, że tak samo jak on alfabetycznie pozostał blisko.

Nie pozostał.

Jeremy wrócił do A, zaczął przeglądać wszystkie zdjęcia w książce. Jego własne popatrzyło na niego pustym wzrokiem – zrobiono je niedługo po Jocelyn. Boże, wyglądam, jakbym wrócił z wojny.

Ciemnowłosego, wąsatego lekarza nigdzie nie było.

Lekarz, chirurg, ale nie pracuje w Centralnym Miejskim?

Mandel go znał. Jeremy zadzwonił do gabinetu kardiologa i dowiedział się, że doktor Mandel jest na urlopie.

– Gdzie?

– Nie wolno mi udzielać takich informacji – powiedziała sekretarka.

– Mówi doktor Carrier.

– Chodzi o nagły przypadek?

– Tak.

– Nagłe przypadki doktora Mandela przyjmuje doktor Rhinegold.

– Muszę porozmawiać z doktorem Mandelem osobiście. – Przykro mi...

– Proszę.

– Zamierzałam powiedzieć, panie doktorze, że nawet gdybym chciała skontaktować się z doktorem Mandelem, nie mogłabym. Pojechał z rodziną do Kolorado i nie ma telefonu. Bardzo wyraźnie to podkreślał. Żadnych telefonów przez trzy dni. Zasłużył na chwilę odpoczynku.

– W jakim hotelu się zatrzymał?

– Panie doktorze, może nie wyraziłam się jasno. Pojechał pod namiot. Obozuje gdzieś na pustkowiu.

– Czy na państwa oddziale jest lekarz około czterdziestki, ciemna karnacja, ciemne wąsy?

– Nie. Dobrze się pan czuje, doktorze Carrier?

Nie wiedząc, co mógłby jeszcze zrobić, zadzwonił do gabinetu Dirgrove'a.

Cześć, Ted, kopę lat. Przy okazji, jak się nazywa twój braciszek morderca? I co takiego zrobił, co cię tak wtedy rozzłościło?

Czy oni pokłócili się o coś ważnego? Czy Dirgrove podejrzewał...?

Telefon chirurga zadzwonił pięć razy, potem włączyła się poczta głosowa.

Doktor Theodore Dirgrove jest chwilowo nieosiągalny. Jeśli chodzi o nagły przypadek, proszę nacisnąć...

Wyszedł. Na następne spotkanie z doktor Gwynn Hauser?

Hauser. Ona i Dirgrove spędzili razem w motelu sześć godzin. To oznaczało, że w ich związku chodziło o coś więcej niż tylko perwersyjne przebieranki.

Czy zwierzali się sobie do poduszki?

Jeremy znalazł wewnętrzny numer Hauser, a kiedy odebrała, odłożył słuchawkę i narzucił swój fartuch.

Miała gabinet z trzema innymi internistami, dwa piętra pod gabinetem Dirgrove'a. Jeremy przeszedł przez pustą poczekalnię, zapukał do drzwi z nazwiskiem Hauser i otworzył je, kiedy powiedziała:

– Proszę.

Siedziała za biurkiem. Podniosła wzrok znad jakichś papierów. Z uśmiechem zdjęła okulary i odłożyła długopis.

– Mój przyjaciel z parkingu. Byłam ciekawa, kiedy się pan pojawi. Zatrzepotała rękami. Blond kok zakotłosał się, kiedy nachyliła się w stronę Jeremy'ego.

Wszedł z uśmiechem, chcąc, żeby czuła się swobodnie, ale aż taka jej swoboda trochę go zaskoczyła. Hauser odsunęła się od biurka, żeby mógł dobrze widzieć, jak zakłada nogę na nogę.

Wspaniałe nogi. Miała na sobie czerwoną, wełnianą sukienkę i cieliste pończochy. Z bliska wyglądała na swój wiek, ale to nie miało znaczenia. Hormony po prostu się z niej wylewały.

Jeremy zamknął drzwi.

– Spodziewała się mnie pani?

– Wydaje mi się, czy mnie pan śledził? – spytała. – Najpierw wtedy na parkingu, potem w różnych miejscach w szpitalu. – Mrugnęła. – Sposstrzegawcza ze mnie dziewczyna. Zauważyłam, że zwraca pan na mnie uwagę. Nawet pana sprawdziłam. Jeremy Carrier, z psychiatrii.

Jeremy się uśmiechnął.

– Chemia – powiedziała Hauser. – Nic się na to nie poradzi.

– To prawda – odparł, siadając naprzeciw niej przy biurku.

– A więc, Jeremy. Jak mogę pomóc oddziałowi psychiatrii?

– Potrzebuję informacji.

Jej twarz jakby stężała w niemym pytaniu.

– O bracie Teda.

– Teda? – Włożyła okulary. Usiadła prosto, sztywno.

– Teda Dirgrove'a.

– Chirurga?

– Nie ma się czego wstydzić, Gwynn.

Pokazała drzwi.

– Chyba lepiej będzie, jak wyjdiesz. W tej chwili.

– Podoba mi się twoje futro. To wielkie, białe, puchate. Świetne połączenie kiczu i szyku. Co to jest, poliester? Jak ta czarna peruka?

Z twarzy Gwynn Hauser odpłynęła krew.

– Pierdol się... Wypierdalaj stąd.

Teraz Jeremy założył nogę na nogę.

– Wiesz co, wyślę zdjęcia jednocześnie. Jeden komplet twojemu mężowi, drugi Patty Dirgrove.

– Oszalałeś. Jakie zdjęcia?

– Motel Kryjówka, pokój numer 16. Wczoraj, ósma trzydzieści do trzeciej czterdzieści.

Długa randka. Musieliście się dobrze bawić.

Gwynn Hauser opadła szczęka.

– Naprawdę oszalałeś.

– Może. Jednak stan mojego zdrowia psychicznego nie powinien mieć wpływu na jakość twojego życia.

– Co to ma być, szantaż? Myślisz, że możesz tu tak sobie wejść, grozić mi i mnie zastraszać? Czy tobie zupełnie.

Sięgnęła po telefon, ale nie wykręciła numeru.

– Chcę tylko informacji.

– O... poco?

– Nie musisz wiedzieć.

– Co on zrobił?

– Zakładasz, że to on coś zrobił. Nie jesteś zaskoczona, że mógł coś zrobić.

Hauser odłożyła słuchawkę na widełki. Ściągnęła dłoni miała napięte jak cięciwy łuku. Jeremy patrzył, jak układa leżące na biurku papiery w dziesięciocentymetrowy stos między sobą a nim.

Żałosna osłona. Wiedziała to. Oczy miała błyszczące ze strachu i zmieszania.

– Nie wiem aż tyle, żeby być zaskoczona. Wiem tylko tyle, ile mówi mi Ted.

Spróbowała wyduć wargi, jak mała dziewczynka. Uśmiechnęła się. Kiedy Jeremy pozostał niewzruszony, prychnęła.

– Dupek. Nie masz żadnych zdjęć, skąd miałbyś je mieć?

– Chcesz się założyć? – Mówił spokojnym głosem, sprawiał wrażenie opanowanego faceta, choć w środku był wzburzony.

– Czego chcesz?

– Opowiedz mi o nim.

– Co o nim?

– Na początek, jak się nazywa.

– Nie wiesz nawet, jak on się... Czy tobie zupełnie... Nazywa się Graves. Augusto Graves, ma południowoamerykańską krew. Augie. Nie jest rodzonym bratem Teda, tylko przyrodnim. Nie są ze sobą blisko. Wychowywali się osobno. Ted nie chce mieć z nim nic wspólnego, wiele lat temu o coś się strasznie pokłócili i Ted myślał, że się od niego uwolnił, ale potem Augie się pojawił.

– Pracuje tu?

– Jest tu tymczasowo. Ma roczny grant badawczy na położniczym. Jakiś korporacyjny grant. Ted jest przekonany, że załatwił go sobie tylko po to, żeby narobić mu kłopotów.

Tymczasowy etat wyjaśniałby brak zdjęcia w albumie.

– Badania nad chirurgią laserową – powiedział Jeremy.

Hauser ze zdumienia otworzyła szeroko swoje ładne, niebieskie oczy.

– Nie wiesz, jak on się nazywa, ale wiesz to? Co tu się dzieje, do cholery?

– Gdzie Graves pracuje na stałe?

– Na Zachodnim Wybrzeżu, chyba w Seattle. W którymś z tamtejszych dużych akademickich szpitali. I w Anglii, w Cambridge. Podróżuje po całym świecie z wykładami. To geniusz. Pełna profesura w wieku trzydziestu pięciu lat. A Ted wciąż jest adiunktem. Nienawidzi go.

– Zazdrość?

– Trochę tak. Ale uwierzyłam Tedowi, kiedy powiedział, że Augie chce go we wszystkim przebić.

– Ted dużo o nim mówi.

Gwynn Hauser westchnęła.

– To stały temat.

– Cierń.

– Duży cierń. Co on takiego zrobił i dlaczego ciebie to obchodzi?

– Zakładasz, że zrobił coś złego.

– Po coś tu przyszedłeś, prawda?

Jeremy milczał. Milczeniem terapeuty – to była jedna z niewielu „sztuczek” w jego mizernym arsenale. Celował prosto w opór Gwynn.

– Ted twierdzi, że Augie ma jakąś skazę. Poznali się dopiero, kiedy Ted był na studiach, a Augie w liceum. Ojciec Teda porzucił jego i jego matkę. Ożenił się z matką Augiego, mieszkali najpierw w jakimś arabskim kraju, potem w Ameryce Południowej. Później Augie i jego matka przyjechali do Stanów i Augie poszedł tu do szkoły. Któregoś dnia, zupełnie niespodziewanie, pojawił się w akademiku Teda, przedstawił, próbował wkraść się jakoś w jego życie.

– Ted nie był zadowolony ze spotkania z bratem.

– Nic o nim nie wiedział. Nikt nigdy nie wspominał nawet o innej rodzinie. Nie wiedział też za wiele o swoim ojcu. Jego matka powiedziała mu tylko, że był lekarzem i że umarł podczas badań gdzieś w dżungli.

– Jakich badań?

– Nie mam pojęcia. Ale na pewno chodziło o coś błyskotliwego. Ted taki jest, i Augie też. Na tym też polega problem. Zakładam, że skądś to wzięli.

– Jaki ojciec, taki syn.

Pokiwała głową.

– Jaki problem też na tym polega? – zapytał Jeremy.

– Dwa wielkie mózgi, dwa rozdęte ego. Ted jest przekonany, że Augie poszedł na medycynę tylko ze względu na niego. A Augie go przewyższył. Dostał się na pierwszą uczelnię w rankingu, podczas gdy Ted tylko na trzecią. Poza tym Augie miał pełne stypendium i studiował w programie dwustopniowym. Magisterka i doktorat, wszystko w pięć lat.

– Z czego się doktoryzował?

– Z bioinżynierii. To guru od laserów. Poza tym jest dyplomowanym chirurgiem ogólnym i ginekologiem, pracował też trochę na okulistyce. To naprawdę mózgowiec. – Udało się jej kpiąco uśmiechnąć. – Ted jest zaledwie błyskotliwy.

Bioinżynieria. Jeremy wrócił myślą do segregatora „Ciekawość”. Drugi artykuł. Laserowa chirurgia kobiet. Amerykański zespół, z Zachodniego Wybrzeża. Lekarze i inżynierowie.

Arthur zaprowadził go prosto do celu. To on przeoczył wskazówkę.

– Spotkałaś go kiedyś?

– Widywałam go, ale rozmawialiśmy tylko raz. W zeszłym tygodniu. Ted i ja jedliśmy obiad w stołówce, a on się przyplątał, usiadł z nami. – Uśmiechnęła się. – Kiedy tylko tyłkiem dotknął krzesła, zaczął się do mnie przystawiać. Ale nic nachalnego, subtelnie. Spojrzenia, uśmiechy.

Taki gładki facio. Teda zdecydowanie to nie bawiło. Powiedziałam mu, żeby się nie martwił, że tamten nie jest w moim typie.

– Dlaczego nie?

– Zbyt wyrafinowany. Ja wolę bardziej szorstkich facetów. – Spojrzała porozumiewawczo na Jeremy'ego.

Próbował zabrać coś, co należało do jego brata. Stąd kłótnia.

– Co to za skaza? – spytał.

– Ted nie mówił nic konkretnie – odparła Gwynn Hauser. – Powiedział tylko, że Augie bywał okrutny, robił straszne rzeczy. Że go denerwował. Ted nie chciał, żeby Augie zbliżał się do jego rodziny. Albo do mnie. Nie naciskałam, nie pytałam o szczegóły. – Znów zatrzepotała rękami. – Szczerze mówiąc, wysłuchiwanie, jak Ted o nim mówi, nudzi mnie śmiertelnie. Nie po to się w to pakowałam, żeby pielęgnować jego lęki.

– Miał być szorstki, a tu neurotyk.

– Właśnie. Ja wolę surową, nieskomplikowaną energię.

Znów założyła nogę na nogę.

– Przyznam uczciwie, że Ted zaczyna mnie męczyć. Kiedy przyszło co do czego, okazał się taki sam jak wszyscy inni.

– Nudny.

– Nudny i miękki. Bez przerwy trzeba go wspierać. Wydaje mu się, że jest kimś, ale w głębi duszy jest po prostu tatuśkiem, który pogrywa na boku.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Augusto Gravesie? – spytał Jeremy.

– Nic – odparła. Jej lewa dłoń musnęła prawą pierś. – Rany, masz siłę przebicia, co? Wpadłeś tu jak jakiś Wizygota i zmusiłeś mnie do zrobienia czegoś, czego nigdy bym się po sobie nie spodziewała.

Jej twarz odzyskała kolory. Brzoskwiniowy róż, podkreślony delikatnym rumieńcem. Uśmiechnęła się, ukazując rząd perłowo-białych, lśniących zębów.

– Nic po tobie nie widać... Mógłbyś mnie sporo nauczyć, co?

– To wszystko tylko wykształcenie i trening – odparł Jeremy, zbierając się do wyjścia.

– Może któregoś dnia opowiesz mi o tym.

Rozdział 50

Ósma piętnaście.

Jeremy zlokalizował gabinet Augusto Gravesa, dzwoniąc do szpitalnej centrali. Telefonistka nie miała jego adresu domowego, doktor Graves nie nosił też pagera. Nie miał żadnych pacjentów, tylko badania.

Znalazł dla siebie schronienie we wschodnim skrzydle budynku pomocniczego po drugiej stronie ulicy, naprzeciw głównego szpitalnego kompleksu.

Nowszym, oddzielnym od świata klinicznego. Cichym, przeznaczonym na laboratoria obiecujących naukowców. W takim miejscu błyskotliwy, okrutny umysł mógł szaleć nieskrępowany.

Stamtąd najbliższej było do parkingu pielęgniarek.

Graves czeka, obserwuje. Widzi Jocelyn, jak codziennie idzie do swojego samochodu.

Jocelyn szczęśliwą po skończonym dniu pracy, jeszcze szczęśliwszą, że wraca do domu, do Jeremy'ego. Spotyka – zatrzymuje ją przystojny mężczyzna w białym fartuchu.

Młoda pielęgniarka, starszy lekarz. Szpitalna hierarchia wymusza szacunek.

Tak samo jak jego identyfikator. Dr n. med... pełna profesura. Kiedy się odezwał, kulturalny, uprzejmy, dlaczego miałyby go o coś podejrzewać?

Laboratorium Gravesa znajdowało się na parterze, drzwi były otwarte.

Jeremy stanął w wejściu i zajrzał do środka. Duże okna na północnej ścianie zapewniały dobry widok na parking.

Wszedł. Wnętrze niczym specjalnym się nie wyróżniało – zwykłe czarne blaty stołów, lśniące szkło i nowoczesna aparatura laboratoryjna. Jeremy rozpoznał kilka laserów – stacjonarnych i ręcznych, zebranych razem, podpisanych i oznaczonych plakietkami NIE DOTYKAĆ – komputery, skanery, drukarki. Były tam już inne, nieznanne mu urządzenia.

Jedną ścianę zajmowały książki. Podstawowa fizyka i chirurgia. Medyczne pisma leżały w pudełkach. Wszystko w idealnym porządku. Żadnych chemicznych zapachów; to były czyste badania.

Gravesa nie było. Jedyna osoba w zasięgu wzroku, kobieta w granatowym mundurku sprzątaczkki, wycierała podłogę i ustawiała krzesła. Pewnie kolejna imigrantka z Europy Wschodniej, wykonująca swoją pracę ze zrezygnowanym wyrazem puzatej twarzy.

Graves urządził sobie gabinet w kącie laboratorium. Biurko miał szerokie, duże, przykryte nieskazitelnie czystą taflą szkła.

Puste, stała na nim tylko palisandrowa skrzynka na korespondencję. W obu przegródkach – przychodzące i wychodzące – leżały równo poukładane dokumenty.

Jeremy pospiesznie zajrzał za biurko, spróbował otworzyć szuflady. Wszystkie pozamykane.

– Hej – powiedziała sprzątaczkka – nie wolno panu tam.

Jeremy zaczął przeglądać zawartość skrzynki przychodzącej korespondencji. Nie znalazł nic, co by mu się przydało. Zajrzał do wychodzących.

– Hej – powtórzyła kobieta.

Zanim zdołała powiedzieć coś jeszcze, Jeremy'ego już nie było. W spoconej dłoni ścisnął swoje znalezisko.

Formularz subskrypcji czasopisma „Nation”.

Graves przedłużył prenumeratę o rok. Na formularzu widniał wydrukowany jego nowy adres domowy.

Hale Boulevard.

Cztery przecznice na południe od apartamentowca, w którym jego brat bawił się w głowę rodziny.

Rozdział 51

Jeremy wiedział, co znajdzie, kiedy pojedzie pod ten adres. Budynek jeszcze lepszy niż kremowy wieżowiec Dirgrove'a.

Graves bierze wszystko.

Teraz Jeremy był już pewien, że Dirgrove naprawdę był zainteresowany Jocelyn. Może skończyło się na flircie. A może Jocelyn miała krótki romans z chirurgiem, zanim poznała Jeremy'ego.

Wszystko inne, co miał Dirgrove'owi do zarzucenia, nie było prawdą. Dirgrove był cudzołożnikiem i zakompleksionym kobieciarzem, ale niczym więcej.

Za jego prośbą o konsultację przy Merilee Saunders nie kryło się nic złego. Albo Dirgrove autentycznie przejmował się reakcją swojej pacjentki na operację, albo próbował zaimponować Angeli swoją wrażliwością.

Tak czy inaczej za śmiercią Merilee nic się nie kryło. Zanim Jeremy opuścił szpital, wrócił do głównego budynku, wszedł do biblioteki medycznej i znalazł kartę Ch/Ś młodej kobiety. Tętniak mózgu. W głowie pękło jej małe, ukryte naczynie krwionośne.

Jak powiedział Dirgrove, takie rzeczy się zdarzają.

Ale drwił z Jeremy'ego... Grzechy ojca na subtelniejszym poziomie?

Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia. Augusto Graves był dziedzicem innego rodzaju. Dostał po ojcu dokładnie wszystko.

On sprawiał, że rzeczy się zdarzały.

Dorastając w Brazylii, Graves wiedział bardzo dobrze o zbrodniach swojego ojca, znał okoliczności jego śmierci.

Odwiedził go w więzieniu. Widział, jak jest tam traktowany – jak sławna osobistość.

Po samobójstwie Dergraava matka Gravesa zabrała chłopca do Stanów.

Gdzie Graves rozwinął skrzydła. A jego charakter jeszcze bardziej się wypaczył.

Stał się człowiekiem podstępny, który lubował się tym i chlubił rabowaniem tego, co należało do innych.

Wybrał Jocelyn, bo Dirgrove jej pożądał, a on się o tym dowiedział.

Gwynn Hauser także próbował zdobyć. Spławiła go. Nie był w jej typie. Myślała, że to ona panuje nad sytuacją. Jak mało rozumiała...

Angela. Dirgrove bardzo przebiegle wymyślił sobie, jak ją uwieść.

Czy Graves o tym wiedział?

Jeśli tak...

Jeremy musiał powiedzieć o wszystkim Angeli. Choć jego ostrzeżenia przed Dirgrove'em ją zirytowały.

Przepraszam, on jest niegroźny. Ale...

Jak to zrobić, żeby nie wzięła go za wariata? To przecież brzmiało jak wymysł szaleńca.

Jeremy nie umiał znaleźć odpowiedzi. Mimo to zadzwonił na pager Angeli. Słowa miały przyjść same, jak zawsze.

Nie odpowiedziała.

Spróbował jeszcze raz.

Nic.

Może była zajęta. Jeremy postanowił pójść na górę, na endokrynologię, niby po to, żeby jej powiedzieć, że wieczorem będzie zajęty. Potem, pomyślał, jakoś przekaze jej straszną prawdę.

– Niech mi pan powie, gdzie ona jest – warknęła na niego pielęgniarka, kiedy dotarł na miejsce.

– To znaczy?

– Zwiła nam. Zniknęła. Puf. Cały oddział pacjentów, a ona sobie wychodzi i nikomu nic nie mówi. To się nazywa brak profesjonalizmu. Powiedziałam o wszystkim ordynatorowi.

Wciąż jeszcze się wkurzała, kiedy Jeremy ruszył biegiem z powrotem do wind.

Rozdział 52

Piękny budynek.

Biała, marmurowa elewacja, miedziane wstawki, wykończenia w stylu art deco, okrągły podjazd, szerszy niż ten przed apartamentowcem Dirgrove'a. Miedziana fontanna pośrodku – aniołki z trąbami – tryskała wodą. W narożnikach gmachu wysokie świerki.

Tivoli Arms. Pięć pięter wyższy niż dom Dirgrove'a.

Ale tylko jeden portier. Kiedy pomógł już siwowłosej parze wsiąść do limuzyny, Jeremy do niego podszedł.

Przebrał się w zapasową koszulę, którą przyniósł rano ze sobą do pracy, porządnie zawiązał krawat, przyczesał włosy, umył twarz. Szedł prosto, zdecydowanym krokiem. Czarny wełniany płaszcz miał rozpięty, tak żeby portier na pewno zauważył szpitalny identyfikator w klapie marynarki.

Musiał sprawiać odpowiednie wrażenie, bo mężczyzna uśmiechnął się na jego widok, jakby Jeremy pasował do otoczenia.

– W czym mogę pomóc?

– Jestem doktor Carrier, kolega doktora Gravesa z Centralnego Szpitala Miejskiego. Zastałem go?

– Tak, przyjechał godzinę temu. Każę komuś pana zapowiedzieć. Proszę wejść, jest zimno.

– Dziękuję.

Weszli do holu, a portier przekazał Jeremy'ego recepcjoniście. Młodemu sympatycznemu mężczyźnie, w granatowym blezerze ze złotymi guzikami, zapiętej pod szyję koszuli i eleganckim krawacie. Włosy koloru zboża miał krótko obcięte. Na złotej plakietce widniało nazwisko: K. BURNSIDE.

– Chwileczkę, panie doktorze – powiedział i podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu. Przytknął ją do ucha, w końcu odłożył. – To dziwne. Wiem, że doktor jest u siebie.

– Ja kto?

– Parkowałem jego samochód, a potem go nie zamawiał.

– Może postanowił sam go wyprowadzić.

– Hm. Wątpię. Doktor Graves zawsze zostawia to nam. Niech pan zaczeka, zapytam parkingowego.

Kolejny telefon.

– Nie, doktorze, samochód stoi na parkingu.

– Niezłe auto – powiedział Jeremy, zgadując.

– Porsche czy navigator?

– Oba. – Navigator. Duża terenówka, która go śledziła. Świetna do przewożenia.

Młody mężczyzna się uśmiechnął.

– Doktor Graves lubi swoje auta... Przepraszam, czy mam mu coś przekazać?

– Nie, to sprawa osobista. – Jeremy pochylił się nad kontuarem. – Właściwie to niespodzianka, panie Burnside.

– Kelvin. Jakiego rodzaju niespodzianka?

– Czy potrafi pan dochować tajemnicy, Kelvin?

– Na tym też polega moja praca.

– Dobrze, ale niech się pan nie wygada. Przynajmniej dopóki sprawa nie trafi do gazet. Nasz oddział dostał właśnie informację, że doktor Graves otrzymał prestiżową nagrodę. Dergraava. Za badania z dziedziny biomechaniki. Zaszedł wysoko, to tylko kilka oczek niżej od Nobla.

– Robi wrażenie. – Kelvin Burnside przeistoczył się w oczarowanego nastolatka.

– Przysłano mnie, żebym zabrał go do szpitala. Powiem mu dla zmyłki, że jest jakiś nagły wypadek w jego laboratorium. Potem, kiedy już go tam sprowadzę, odbędzie się przyjęcie-niespodzianka. – Jeremy spojrzął na zegarek. – Wszystko wyliczyliśmy, cały zespół czeka... Mógłby pan jeszcze raz zadzwonić do niego do mieszkania?

– Nie ma sprawy. – Kelvin wykręcił numer, zaczekał, pokręcił głową.

– Dziwne – powiedział Jeremy. – Wraca do domu, nie odbiera... Może powinniśmy pójść na górę i sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

– Może... Wie pan co, może być jeszcze w jednym miejscu. Na dole, w piwnicy. Mamy tam magazyny dla lokatorów, ludzie potrafią trzymać tony różnych rupieci. To są duże pomieszczenia. Niektórzy je wynajmują, a doktor Graves ze swojego często korzysta.

– Po co?

– Nie wiem, ale bez przerwy tam chodzi. Raz zażartowałem i spytałem: „Co pan tam robi, panie doktorze, przeprowadza jakieś naukowe eksperymenty?” Rozbawiło go to. Przewrócił oczami i powiedział coś w rodzaju: „Nigdy nic nie wiadomo”. Ja tak tylko żartowałem, wiedziałem, że jest lekarzem, ale nie miałem pojęcia, że taki z niego słynny naukowiec. Teraz, kiedy powiedział mi pan o jego nagrodzie, trochę mi głupio za tamten tekst.

– Niech się pan nie martwi, Augie, to jest doktor Graves, ma wyjątkowe poczucie humoru. Chyba zajrzę do tamtego magazynu.

– Ja pójdę.

– Nie ma potrzeby, żeby schodził pan z posterunku. Naprawdę chcę mu zrobić niespodziankę. Zresztą, tak kazał mi szef.

Młody mężczyzna uśmiechnął się niepewnie.

– Wejdę i wyjdę, Kelvin. Doktor Graves będzie wdzięczny, jak powiedziałem, ma wyjątkowe poczucie humoru.

Jeremy trącił palcem swój identyfikator – miał nadzieję, że w ten sposób w oczach Kelvina podkreśli własny autorytet.

– Jasne – powiedział Kelvin. – Nie ma sprawy.

Winda serwisowa, gołe, rozklekotane, metalowe pudełko z rozsuwanymi drzwiami, zawiozła

go na piwniczny poziom C.

Dwa poziomy pod garażem. Jeremy spodziewał się kazamatów, ale wyszedł z windy na jasno oświetlony korytarz. W obie strony ciągnęły się rzędy piwniczek. Podłogę pokrywały szorstkie, kamienne płyty, ściany też były z kamienia i nosiły ślady ręcznego kucia. Każda piwnica miała swój numer – czarne, żelazne cyfry wbite w solidne, dębowe drzwi zamontowane w poprzednim stuleciu. Oświetlenie zapewniały wiszące pod sufitem żarówki w mosiężnych oprawkach. Po łukowatym sklepieniu ciągnęły się kable elektryczne i rury.

Łuki i kamień przypomniały coś Jeremy'emu: kartkę, którą przysłał mu Arthur. Bazar w starym Damaszku. Czy stary patolog mógł być aż tak przewidujący?

Z tamtej sceny bił gwar. Tutaj panowała cisza.

Żadnych okien, żadnego światła z zewnątrz.

Chłód i wilgoć. Jeremy nie zdziwiłby się, gdyby nad głową przeleciał mu nietoperz.

Żadnych śladów życia, ani jednego szczura, ani jednego owada. Ani jednej pajęczyny; kiedy Jeremy przesunął palcami po kamiennej ścianie, nie został mu na nich kurz. Nawet podłoga była czysta, nieskazitelnie zamieciona.

Czterogwiazdkowa jaskinia, chluba półświatka.

Piwnica Augusto Gravesa znajdowała się na samym końcu korytarza po lewej stronie. Ostatnie drzwi na prawo.

Jeremy zatrzymał się, przyłożył do nich ucho. Nic nie usłyszał.

Ciężki, żelazny klucz, za który dał Kehdnowi Burnside'owi w łapę dwadzieścia dolarów („Och, nie musi pan tego robić, proszę pana”), spoczywał w jego dłoni.

Włożył go do zamka, powoli przekręcił, uchylił drzwi na kilka centymetrów, czekając na skrzypnięcie.

Cisza. Dotknął zamka, poczuł smar. W Tivoli Arms wszystko było doskonałe. Chyba że to doktor Graves przedsięwziął specjalne środki ostrożności.

Jeremy pchnął mocniej. Musiał włożyć w to trochę siły – dąb był gruby i stary, twardy jak kamień. Piętnaście centymetrów. Trzydzieści. Dość, by się wśliznąć do środka.

W pierwszej chwili pomyślał, że znów się pomylił.

W środku nie paliło się światło. Nikogo nie było.

Wtedy usłyszał dźwięki. Nucenie. Brzęk metalu o metal. Ciche brzęczenie, jakby gdzieś tu latał wielki trzmiel.

Zobaczył światło – trapezoidalny spłachetek światła, po lewej, padający na ścianę pod ostrym kątem.

Podszedł bliżej i zobaczył dlaczego. Odbijało się. Na wprost drzwi zamontowano gipsowe przepierzenie w kształcie litery L, tworząc maleńką niszę.

Jeremy podkraść się do przepierzenia. Wyjrzał.

Zalało go światło. Silniejsze niż się spodziewał, gorące, białe, ostre. Trzy halogenowe lampy,

podłączone do biegnącego pod sufitem kabla zasilającego. Chirurgiczne lampy.

Nisza trzy na trzy, ściany, podłoga i sufit z tego samego, ciosanego kamienia. W samym środku miasta.

Augusto Graves stał po drugiej stronie stołu, ubrany w chirurgiczny zielony kitel. Na głowie miał czepkę, ale nie włożył maski. Słuchawki walkmana tkwiły w uszach.

Graves chyba słuchał muzyki. Kołysał się do rytmu. Synkopowany beat.

Wesoły beat. Graves lekko się uśmiechał, jego wąsy wyginały się do góry jak skrzydła motyla.

Wspomnienia z Brazylii.

Z wyglądu był sympatyczny. Niegroźny. Typ naukowca – nisko na nosie miał okulary do czytania. Nie widział Jeremy'ego. Był za bardzo skupiony na kobiecie rozciągniętej przed nim na stole.

To nie był chirurgiczny stół, tylko szerokie drzwi z desek oparte na trzech kozłach, przykryte białą folią. Po prawej ręce Graves miał stalową tacę na wózku, lśniąca od instrumentów. Obok tacy, na podobnym wózku, stało stalowe pudło; jego zawartości Jeremy nie widział. Spod pokrywki pudła do gniazdka w suficie biegł kabel elektryczny. W kącie Jeremy zauważył kilka butelek wody destylowanej, duży pojemnik z wybielaczem i odświeżacz powietrza w spreju o świeżym, leśnym zapachu.

W przeciwnym rogu pomieszczenia leżało równo poskładane ubranie. Coś ciemnego, bawełnianego. Biały stanik i takie same majtki. Na górze kłębek czegoś w cielistym kolorze. Pończochy. Butów nie było.

Podłoga opadała lekko w lewą stronę, do nierdzewnej kratki odpływowej. Kratka lśniła nowością, a kamień, w którym ją osadzono, miał nieco jaśniejszy odcień.

Kobieta była smukła, naga. Leżała głową do Jeremy'ego – widział ją do góry nogami. Nie zauważył żadnych śladów, ale nie ruszała się i była zbyt blada – Jeremy znał ten rodzaj bladości. Graves ustawił się przy jej stopach. Patrzył na jej stopy. Długie, ciemne włosy kobiety spływały przez krawędź stołu. Jej pierś się nie poruszała. I ta bladość. Wokół szyi miała ledwie widoczne zaróżowienie.

Faliste włosy.

O Boże, Angela...

Graves dotknął dużego palca jej prawej stopy. Przytknął dłoń do ust i oblizał palec. Sięgnął do tacki, wziął skalpel, a Jeremy sprężył się do skoku. Ale Graves obejrzał tylko narzędzie i je odłożył. Z metalowego pudła wyjął coś, co wyglądało jak duży, metalowy długopis.

Zwężający się na czubku. Z drugiej strony wychodził kabel.

Graves przesunął po pręcie palcem. Wcisnął guzik.

Znów rozległo się buczenie trzmiela.

Graves stał, kołysząc się w rytm muzyki, wpatrzony w laser. Wcisnął następny guzik i na czubku pręta rozjarzyło się czerwone oko. Zanim zdążył wycelować wiązkę w kobietę, Jeremy

wyskoczył zza przepierzenia i rzucił się na niego.

Graves poleciał do tyłu, runął na plecy, ale nie krzyknął. Spojrzał tylko na Jeremy'ego łagodnymi, piwnymi oczami.

Spadły mu słuchawki i przenośny odtwarzacz CD. Ze słuchawek dobiegała cicha, brzęcząca samba.

Graves patrzył pustym wzrokiem na Jeremy'ego.

Był gdzieś indziej.

Jeremy sięgnął po laser. Graves machnął narzędziem, udało mu się wcisnąć następny przycisk. Z czubka wystrzelił cienki, czerwony promień.

Szkarłatne oko diabła załkało.

Graves obrócił wiązkę na Jeremy'ego.

Jeremy kopnął buczącą głowicę, nie trafił, ale jego atak sprawił, że ręka Gravesa zakołysała się i czerwony promień musnął jeden z kózłów podpierających stół.

Przeciął go. Stół się przekrzywił – naga kobieta zsunęła się z niego i ciężko spadła na podłogę, twarzą w dół.

O Boże, Angela...

Jeremy rzucił się na Gravesa. Graves się uchylił. Laser zafalował, przesunął się po kamieniu, wzbil kurz. Podtrzymując go drugą ręką, Graves popatrzył ze zdziwieniem i znów wycelował w Jeremy'ego, który popędził za osłonę.

Potknął się o ciało Angeli. Lodowato zimne. Upadł na twarz, przetoczył się na plecy.

Graves już nad nim stał.

– Przerwał mi pan – powiedział bez złości. Jego oczy patrzyły jasno, ze skupieniem. Miał piękną skórę, wąsy lśniły jak sobole.

Mówił cichym, syczącym głosem. Łagodnym. Kobiety musiały dobrze się czuć, słuchając go.

Oblizwał usta.

– Troszkę zaboli.

Podniósł laser. Na jego czole pojawiła się czerwona kropka.

Ktoś inny z laserem?

Nie, to było coś zupełnie innego. Technologia dużo mniej zaawansowana. Pół sekundy później rozległ się huk i krew pociekła, a potem połała się szerokim strumieniem z poczerńiałego otworu na czole Gravesa. Nie na samym jego środku, kilka milimetrów w prawo. Płaty czołowe.

Krwawiąc, Graves patrzył tępo przed siebie. Z niedowierzaniem. Gdzie się podziała moja osobowość?

Z otworu popłynęły też strzępy szaroróżowej tkanki mózgowej, wielkości owsianych płatków. Lały się jak brudy z odetkanej rury kanalizacyjnej.

Graves zamknął oczy, osunął się na kolana, upadł.

Laser, wciąż bucząc, wypadł pomiędzy jego palców na podłogę. Rubinowy promień dotknął

ubrań w kącie. Podpalił je. Przeszył materiał, wbił się w kamienną ścianę, zasyczał, plunął i zgasł.

Nie, nie sam z siebie. Wielka dłoń wyrwała kabel z gniazdka.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Jeremy podbiegł do Angeli, odwrócił ją na plecy.

Zobaczył nieznaną twarz.

Detektyw Bob Doresh chwycił go za ramię.

– Doktorze, doktorze, nie miałem pojęcia, że śledzenie pana okaże się tak interesujące.

Rozdział 53

O północy, kiedy jechali na posterunek nieoznakowanym sedanem, pachnącym chipsami, Bob Doresh powiedział:

– Nieźle strzelam, co? Mówiłem panu, że wojsko się przydaje.

– Gdzie jest Angela? – spytał Jeremy.

– A jednak – ciągnął Doresh – nigdy nie wiadomo, jak człowiek zareaguje, kiedy przyjdzie co do czego. Dwadzieścia trzy lata siedzę w tej robocie i pierwszy raz musiałem z tego cholerstwa strzelić. Podobno jak się kogoś zabije, nawet w słusznej sprawie, to może być traumatyczne przeżycie. Muszę powiedzieć, że na razie czuję się całkiem dobrze. Myśli pan, że później będzie mi potrzebna pomoc?

– Gdzie jest Angela?

Doresh prowadził jedną ręką. Drugą oparł na oparciu fotela. Jechał powoli, prowadził z wprawą. Kiedy zlecieli się policjanci, technicy i ludzie z biura koronera, zamknął Jeremy'ego w męskiej toalecie Tivoli Arms. Pilnował go mundurowy policjant, niemy jak Renfrew.

Nikt z nim nie rozmawiał.

– Pytałem pana o coś, detektywie.

– Dobrze, oto jak wygląda sytuacja z doktor Rios. Od początku: teraz jest bezpieczna, siedziała u siebie w mieszkaniu z moim partnerem Steve'em Hokerem, który miał ją na oku. Pod opieką, jeśli pan woli.

– To pan zabrał ją z oddziału?

– To druga sprawa, doktorze. Moje motywy. Steve'a i moje. Wyciągnęliśmy ją ze szpitala, bo chcieliśmy porozmawiać z nią o panu. Uważaliśmy, że jest pan niebezpieczny... Dobra, nie mieliśmy racji, ale tak się pan zachowywał, zwłaszcza wczoraj, w kaplicy. – Wzruszył ramionami. – Siedział pan w motelu sam. To trochę... osobliwe, nie powiedziałby pan? To znaczy, teraz już rozumiem, obserwował pan tamtego, ale niech pan na to spojrzy z mojej perspektywy.

– Powiedział jej pan, że jestem psychopatycznym mordercą.

Doresh dotknął skroni, wciąż jechał powoli. Noc była rześka i jasna, a ogrzewanie nieoznakowanego samochodu zadziwiająco wydajne.

– Chodziło nam o jej bezpieczeństwo.

– Dzięki.

Doresh zerknął na niego z ukosa.

– To sarkazm?

– Nie, mówię poważnie. Dzięki. Chodziło wam o jej dobro. Dzięki, że ją chroniliście.

– Aha... Proszę bardzo. Przepraszam, że pytałem o ten sarkazm, ale spójrzmy prawdzie w oczy, potrafi pan być sarkastyczny.

– Czasami.

– Czasami – przytaknął Doresh. – Ale nie chowam urazy. To nigdy nie była sprawa osobista, prawda? Ostatecznie obaj znaleźliśmy się po tej samej stronie.

– Prawda.

Doresh się uśmiechnął, wysunął swój wielki podbródek.

– Różnica jest taka, że ja robiłem, co do mnie należy, a pan... improwizował.

– Mam za to przeprosić?

– No i znowu na siebie warczymy. To musi być jakaś... niezgodność charakterów. Nie, nie musi pan przeproszać. Trochę pana poniosło. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Lepiej niż dobrze... Hej, doktorze, ale się panu trzęsą ręce! Jak dojedziemy, zaparzę panu kawy, moja jest o wiele lepsza niż pańska. Mój partner Steve Hoker wiezie właśnie doktor Rios. Opowiedziałem mu, jak wygląda sytuacja. Nie będzie się pana bała.

– A bała się, co?

– Po tym co jej powiedzieliśmy? Była przerażona. I za to nie przeproszę. Miałem cały mecz całkiem nieźle rozrysowany, nie wiedziałem tylko, kto gra.

– Człowiek uczy się całe życie – mruknął Jeremy.

– Święta racja, doktorze. Jak się pan przestanie uczyć, może pan równie dobrze zwinąć się w kłębek i zdechnąć.

Rozdział 54

Przyjezdny lekarz okazał się seryjnym mordercą Wyłącznie dla „Clariona”:

Policja zidentyfikowała pochodzącego z Seattle chirurga i badacza, pracującego w Centralnym Szpitalu Miejskim na rocznym granicie, jako seryjnego mordercę, któremu przypisuje się zamordowanie przynajmniej pięciu tutejszych kobiet i którego podejrzewa się o popełnienie trzydziestu kilku innych morderstw na całym świecie.

Augusto Omar Graves, lat 40, doktor nauk medycznych, który zrobił również doktorat z inżynierii biomedycznej, uznany ekspert technologii i chirurgii laserowej, został zastrzelony przez policję w czwartek wieczorem w piwnicy swojego luksusowego apartamentowca przy Hale Boulevard. Graves, prawdopodobnie urodzony w Syrii, a wychowywany w Brazylii i Stanach Zjednoczonych, został znaleziony przy zwłokach swojej piątej ofiary. Według koronera kobieta ta, Krystyna Sznur, niedawna imigrantka z Polski, która pracowała w szpitalu jako sprzątaczką, została zamordowana.

Sznur, lat 29, widziano rozmawiającą z Gravesem w dzień morderstwa. Uważa się, że Graves zwabił kobietę na randkę, udusił ją w swoim samochodzie i ukrył jej zwłoki w podziemnym garażu apartamentowca. Potem podjechał pod wejście budynku, żeby portier widział go wchodzącego samego. Gravesowi udało się przenieść zwłoki Sznur dwa piętra niżej, do piwnicy, wilgotnego, przypominającego celę pomieszczenia, które zamienił w salę sekcji.

Wśród innych miejscowych ofiar Gravesa znajduje się pielęgniarzka z Centralnego Miejskiego, Jocelyn Lee Banks, lat 27, zamordowana sześć miesięcy temu, dotąd uznawana za porwaną ze szpitalnego parkingu. Policja uważa teraz, że Graves przekonał ją, by poszła z nim dobrowolnie, podając jej fałszywy powód. Poza tym Graves jest głównym podejrzanym w sprawach trzech zamordowanych niedawno prostytutek, Tyrene Mazursky, lat 45, Odelii Tat, lat 38, i Maisie Donovan, lat 25. Biorąc pod uwagę odstęp czasowy między zamordowaniem Banks a śmiercią pozostałych ofiar, jak również częste służbowe wyjazdy Gravesa, należy przypuszczać, że zostanie on powiązany z morderstwami w innych miastach.

Gravesowi przypisuje się również okaleczenie i zamordowanie przynajmniej dwóch kobiet w hrabstwie Kent w Anglii w okresie, kiedy prowadził swoje badania w Londynie i pisał artykuły naukowe do gazety „Guardian”. Śledczy z Hiszpanii, Włoch, Francji i Norwegii na nowo badają nierozwiązane sprawy morderstw, w których dokonano chirurgicznej sekcji zwłok, co może mieć związek z metodą stosowaną przez Gravesa.

Komendant Ario Simmons jako czynniki, które doprowadziły do odkrycia kryjówki Gravesa, podał „liczne roboczogodziny i pierwszorzędną pracę detektywów”.

*– Interesowaliśmy się tym osobnikiem od dłuższego czasu – powiedział komendant Simmons.
– Żałuję, że nie udało nam się uratować Krystyny Sznur. Można jednak powiedzieć, że śmierć*

tego zbrodniarza położyła kres jego rządowi terroru.

Rozdział 55

Trzy dni po śmierci Augusto Gravesa, podczas jednej z prób spędzenia chwili z Angelą, przy pasku Jeremy'ego zapiszczał pager. Kilka sekund później jej też.

Siedzieli na podłodze jego gabinetu, z zatłuszczonymi serwetkami na kolanach, w dłoniach trzymali zamówione na wynos hamburgery. Duet popiskiwań. Roześmiali się. Pierwszy raz od tamtego wieczoru.

– Ty pierwsza – powiedział Jeremy.

Zadzwoiła. Cukrzycowa śpiączka na Czwartym Wschodnim i drugi pacjent, który zareagował niekorzystnie na odstawienie prednyzonu. Była potrzebna natychmiast.

Wstała, połknęła plasterek konserwowego ogórka, zawinęła swój niedojedzony obiad w woskowy papier i położyła go na biurku Jeremy'ego.

– Weź ze sobą – powiedział.

– Nie jestem głodna.

– Zauważyłem. Chyba schudłaś.

– Ty też się jakoś specjalnie nie obżerasz.

– Nic mi nie jest.

– Ani mnie. Gościu.

Zarzuciła swój fartuch na ramiona. Położyła dłonie na nadgarstkach Jeremy'ego.

– Porozmawiamy, prawda?

– To nie ode mnie zależy – odparł z uśmiechem. – Praca.

Jego pager znów zapiszczał.

Angela się roześmiała, pocałowała go i już jej nie było.

Dzwonił Bill Ramirez.

– Dochodzą mnie różne plotki, przyjacielu.

– O czym?

– Że miałeś jakiś udział w złapaniu tego świra Gravesa.

– To wariackie plotki. A poza tym jego nie złapali, tylko zabili.

– Prawda – zgodził się Ramirez. – Nie brzmiało to logicznie. Taki cichy facet jak ty, zamieszany w bohaterstwo.

– Bohaterstwo?

– Tak wieść niesie. Że sam wszystko rozgryźłeś za gliniarzy, odwaliłeś kawał roboty i pomogłeś im drania sprofilować. Słyszałem nawet zupełnie już niedorzeczną plotkę, że byłeś tam, kiedy go dopadli.

– Jasne – powiedział Jeremy. – Właśnie trzepię swoją pelerynę.

– Tak właśnie sobie pomyślałem. Może to administracja rozpuszcza te pogłoski. Dla nich to

PR-owy koszmar... Zresztą, pomyślałem, że powinieneś wiedzieć: nigdy tego faceta nie lubiłem. Arogancki typ.

– Z tego, co słyszałem, Bill, arogancja była jego najmniejszym problemem.

– Owszem. A skoro mowa o bohaterstwie, dzwonię, żeby ci przekazać dla odmiany dobrą wiadomość. Nasz dzielny Doug jakimś cudem załatwił sobie miłą, ładną remisję.

– To świetnie!

– Nie przewidziałbym tego, ale tak to jest w mojej robocie, każdy dzień uczy pokory. Trudno powiedzieć, czy to będzie remisja długo – czy krótkotrwała, miał przedziwne wyniki. Ale nie grozi nam już przeszczep i wysyłam go do domu, będzie się dalej leczył w przychodni. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

– Dzięki, Bill. Kiedy go wypisujecie?

– Jutro rano, jeśli nic się nie zmieni. Mówiłeś o pelerynie. Dla mnie to ten chłopak jest Supermanem.

Marika siedziała obok Douga na łóżku. Oboje byli ubrani w zwykłe, codzienne ciuchy. Doug miał na sobie koszulkę z logo budweisera i dżinsy. Włożył protezę nogi. Do obu rąk miał podłączoną kroplówkę. Poprawił mu się kolor twarzy. Nie był zupełnie prawidłowy, ale lepszy. Wypadło mu trochę włosów. Promieniał.

– Cześć, doktorze. Medycznie skopałem dupsko.

– Nie da się ukryć.

– Tak, mówiłem panu, że ta pierdolona białaczka zobaczy, kto tu jest szefem.

– Niezły z ciebie gość, Doug.

Młody mężczyzna szturchnął swoją żonę.

– Słyszałaś? To mówi ekspert.

– Niezły z ciebie gość, kotku.

– Jasne.

– A więc – powiedział Jeremy – jutro idziesz do domu.

– Pierwsze, co zrobię, to pojadę do składu, kupię trochę ładnych, używanych cegieł i postawię rodzicom ten murek w ogródku, który im obiecywałem. Zrobię małe wgłębienie na fontannę i podciągnę wodę. To niespodzianka dla mamy.

– Brzmi świetnie. Gratulacje.

– Dzięki... Niech pan tu podejdzie, doktorze. Da pan grabę, pokażę panu, jaki mam uścisk.

Doug wyciągnął prawą rękę. Kroplówka zapęłniła się i zaplątała. Jeremy podszedł. Doug chwycił jego dłoń, mocno ścisnął.

– Super – powiedział Jeremy.

– Czasami – odparł młody człowiek – mam wrażenie, że mogę wspinać się po ścianach.

Rozdział 56

W dniu, kiedy do Jeremy'ego przyszedł Arthur, poczta przyniosła kolejną niespodziankę.

Tanią, białą kopertę, z pieczętką URZĘDOWA KORESPONDENCJA POLICYJNA.

W środku znajdowały się dwa tekturowe kwadraty sklezione taśmą. Jeremy rozciął ją i wyjął to, co było między nimi.

Zdjęcie jego i Jocelyn. Była tak drobna, że wyglądał przy niej na potężnego. Oboje się uśmiechali. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

Przypomniawszy sobie: kosmyki wściekle go łaskotały, a ją to bawiło.

O, masz łaskotki?

Zaczęła go szturchać w żebra, łapać silnymi, małymi palcami. Chichotała jak dziecko, taka zadowolona z siebie.

Jeremy długo patrzył na zdjęcie, potem wsunął je do czystej koperty i położył w dolnej szufladzie biurka.

Na segregatorze „Ciekawość”.

Któregoś dnia coś z tym zrobi.

Arthur się opalił.

Złoty blask mieszał się z jego naturalnym rumieńcem, skóra starca jaśniała.

Zbliżał się do osiemdziesiątki, ale wyglądał jak przykład żywotności. Podróże – i nauka – dobrze mu robiły.

Znalazł Jeremy'ego siedzącego samotnie w lekarskiej stołówce – tak jak za pierwszym razem. Była trzecia, dziwna godzina na lunch. Jeremy całe dni pracował z pacjentami – tak było od tamtej nocy w piwnicy – wcześniej nic nie jadł. W sali było pusto.

Arthur miał na sobie wspaniałą, granatową, prążkowaną garnitur i różową koszulę z kontrastującym białym kołnierzykiem. Muchę ze złotego szantungu. Z kieszeni na piersi wystawała błękitna chusteczka. W jednej ręce trzymał filiżankę herbaty, w drugiej teczkę z polerowanej skóry. Dużą, ręcznie szytą, z wybitymi jego inicjałami; Jeremy wcześniej jej nie widział.

– Mogę się dosiąść?

– Jasne.

Arthur usiadł, długo moczył torebkę herbaty w wodzie. Spojrzał Jeremy'emu prosto w oczy.

– Jak minęła podróż, Arthurze?

– Doskonale.

– Podróże i nauka.

– O to właśnie w tym wszystkim chodzi.

– Wiele mnie pan nauczył – przyznał Jeremy.

Starzec nie odpowiedział.

– Skąd potrzeba tajemniczości, Arthurze?

– Dobre pytanie, przyjacielu. – Arthur napił się herbaty, pogładził brodę, odsunął filiżankę na bok. – Jest na nie kilka odpowiedzi. Po pierwsze, na poziomie hipotezy nie można mieć pewności. Naprawdę się uczyłem. Po drugie, chciałem nadać biegowi rzeczy takie tempo, żeby cię nie odstraszyć. Przyznaj, synu. Gdybym wyłożył ci wszystko od razu, uznałbyś mnie za starego wariata. – Uśmiechnął się do Jeremy'ego.

Jeremy wzruszył ramionami.

– Po trzecie, i to może cię urazić, chociaż mam o tobie wysokie mniemanie i nigdy bym cię nie oszukał: na niektóre rzeczy trzeba zapracować, żeby je cenić.

– Bez pracy nie ma kołaczy?

– To truizm, ale wcale przez to nie mniej prawdziwy.

– Prowadził mnie pan zagadkami i gierkami dla mojego własnego dobra.

– Właśnie. Doskonale to ująłeś.

Jeremy wiedział, że ta chwila nadejdzie. Zastanawiał się, jak zareaguje. Od piwnicznego koszmaru minęło kilka tygodni. Rzadko o tym myślał, a groza zbladła i miała teraz wymiar makabrycznej kreskówki.

Go ciekawe, późna kolacja z Arthurem i jego przyjaciółmi stała się w jego pamięci wyraźniejsza, prawdziwsza.

– Po kolacji – zauważył – zrobił się pan nieobecny.

Arthur pokiwał głową.

– Wybacz. Byłem... rozdarty. Wiedziałem, co cię czeka. Miałem wątpliwości.

Na niektóre rzeczy trzeba sobie zapracować.

Teraz, kiedy zadał Arthurowi to pytanie i usłyszał odpowiedź, mógł się tylko uśmiechnąć.

– W porządku – powiedział.

– Tylko tyle? – zapytał starzec. – Jesteś usatysfakcjonowany.

– W tej sprawie tak. Mam inne pytania. Skoro zadeklarował się pan, że nie będzie oszukiwał.

– Proszę.

– Czy morderca pańskiej rodziny został znaleziony? W ten czy inny sposób?

W oczach Arthura stanęły łzy, i to wystarczyło Jeremy'emu za odpowiedź.

– Nigdy.

– Czy kogoś pan podejrzewał?

– Jednego człowieka – odparł Arthur. – Miejscową złotą rączkę. To był facet z problemami. Później dowiedziałem się, że jakiś czas przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Niepokoił mnie od dość dawna, byłem pewien, że widziałem, jak gapił się na moją żonę. – Głos uwiązł mu w gardle. – Była piękna, moja Sally. Mężczyźni zawsze się za nią oglądali. Mam zdjęcia, u siebie, w mieszkaniu. Któregoś dnia je zobaczysz. Ale ten człowiek...

– Co się z nim stało? – spytał Jeremy.

– Nic, z czym miałyby do czynienia policja, synu. Może teraz, z dzisiejszą technologią, zostałyby aresztowany. Ale wtedy... – Starzec pokręcił głową.

– Dał pan spokój?

– Wtedy byłem zbyt słaby, żeby zareagować. Wszystko, na co pracowałem, zostało mi odebrane, ot tak. – Arthur pociągnął nosem. Zamrugał. Jego broda drżała. – Moje dzieci były słodkie, Jeremy. Moja żona była piękna, a moje dzieci słodkie. – Wyciągnął jedwabną chustkę z kieszeni i otarł oczy.

– Przykro mi – powiedział Jeremy.

– Dziękuję. – Arthur wepchnął jedwab z powrotem. Chustka ułożyła się idealnie. – Dwa miesiące po tym, jak odebrano mi rodzinę, sześćdziesiąt trzy dni, dokładnie licząc, tego mężczyznę przywieziono tutaj, na ostry dyżur. Skręt kiszek, jedna z tych rzeczy, które po prostu się zdarzają. Leczą go, ale bez skutku. Dostał gangreny i zmarł po trzech dniach. Nie widziałem go, kiedy kończył życie. Ale miałem możliwość być przy jego autopsji.

– Zgnił od środka. Należało mu się.

Arthur sięgnął nad stołem i ścisnął rękaw Jeremy'ego.

– To było słuszne. Zmarł w najsprawiedliwszy sposób na świecie. Dopiero wiele lat później, kiedy poznałem innych w mojej sytuacji, uświadomiłem sobie wielką prawdę.

– Praktyka przebija cnotę – powiedział Jeremy.

– Cnota jest boska, ale nieprzypisana wyłącznie Bogu. To coś, co On dzieli z nami. Coś, czego musimy używać rozważnie.

– Miecz wojny spada na świat za opieszałość w sprawiedliwości – zacytował Jeremy. – Nieład.

Arthur zabrał dłoń. Jego wspianiała opalenizna straciła blask. Nagle się postarzał.

– Przynieść panu herbaty, Arthurze?

– Poproszę.

Jeremy przyniósł filiżankę i patrzył, jak starzec pije.

– Ma pan siłę na następne pytania?

Arthur kiwnął głową.

– Chcę się dowiedzieć o Edgarze. Wiem o Kurau, ale nie wiem, jak był w to zaangażowany osobiście. Czy to była po prostu kwestia polityczna?

Arthur zamknął oczy, po chwili je otworzył.

– Niech Edgar sam opowie swoją historię. Mogę ci tylko powiedzieć, że zainwestował osobisty kapitał, żeby zbudować na wyspie klinikę dla chorych dzieci. Noworodków i niemowlaków, które w przeciwnym razie by poumieraly. Antyseptyka i odpowiednie leki, dobrze przeszkolone, miejscowe pielęgniarki. Edgar to wszystko zorganizował, a zamieszki to wszystko zniszczyły.

Arthur sięgnął po swoją teczkę.

– Kiedy dzielimy się z Bogiem – powiedział Jeremy – czasami robi się bałagan. Na przykład

Michael Srivac. Był przedsiębiorcą budowlanym w mieście Roberta Ballerona. Jego zażartym konkurentem. Po morderstwie Ballerona nikogo nie aresztowano, ale kilka miesięcy później Srivac zginął w wypadku samochodowym. Dziwnym wypadku, z tego co się dowiedziałem. Hamulce po prostu odmówiły posłuszeństwa, i to dwa dni po przeglądzie.

– To żadna niespodzianka – odparł Arthur. – Podczas drugiej wojny światowej najwięcej samolotów rozbijało się właśnie po generalnych przeglądach.

– Chce pan powiedzieć, że Bóg dokonał tego zupełnie sam?

– Historia Tiny...

– Niech ona sama ją opowie – dokończył Jeremy. – To samo dotyczy Shadleya Renfrewa, prawda? Trzydzieści dwa lata temu zamordowano jego żonę.

Według materiału dowodowego zaskoczyła włamywacza. Podejrzewano znanego przestępcę, właśnie włamywacza. Ale nie postawiono go przed sądem z powodu niewystarczających dowodów. Pół roku później woda wyrzuciła jego ciało na północny brzeg.

– Shadley był wyjątkowym człowiekiem – powiedział Arthur. – Miał niesamowitą pamięć, oko do szczegółów. A ten jego cudowny irlandzki tenor... Wychował córkę...

– Sam. Powiedziała mi. Zaszedłem do księgarni, kiedy ją właśnie zamykała. Przypuszczam, że książki trafiły w dobre ręce.

Arthur kiwnął głową, znów sięgnął po teczkę, wyjął z niej czarne, aksamitne pudełko i postawił je przed Jeremym.

– Prezent?

– Drobną oznaką naszej wdzięczności.

– Naszej, czyli Klubu Centralnego Miejskiego. Renfrew też do niego należał, prawda? Po jego śmierci jeden fotel został pusty.

Arthur się uśmiechnął. Zanim Jeremy powiedział coś jeszcze, starzec wstał i z teczką w ręku odszedł sprężystym krokiem.

Jeremy otworzył pudełko. Było wyłożone białą satyną, a jego wnętrze uformowane na kształt zawartości.

Srebrnego pucharu.

Jeremy go wyjął. Ciężki. W środku był list. Drogi papier, złożony na pół. Znajomy charakter pisma, czarne wieczne pióro:

Dla młodego naukowca i dżentelmena,

Z wdzięcznością, podziwem i najszczerzą nadzieją, że rozważysz tę skromną propozycję: Jedna dusza odchodzi, druga zajmuje jej miejsce. Życie jest przelotne, brutalne, ekstatyczne, przyziemne.

Uczcijmy nasz krótki pobyt na tym też padole dobrym jedzeniem, rozgrzewającymi trunkami i roziskrzoną jednością dusz złączonych wspólnym doświadczeniem.

*Z dowodami przyjaźni,
Klub Spiskowców Centralnego Miejskiego*

Dobra, był blisko.

Rozdział 57

Polubisz ich – powiedziała Angela.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Zupełnie pewna.

Niedziela, pierwsza po południu. Chodziły słuchy, że z Kanady nadchodzą śnieżyce, ale powietrze, jak zawsze krnąbrne, zrobiło się cieplejsze.

Jedli obiad w lokalu niedaleko portu. Smażone owoce morza, coleslaw i piwo. Ładny widok na jezioro. Siedzieli na tyle daleko, że nie widzieli oleistego osadu na powierzchni wody. Stąd wyglądała jak lustro samego Boga.

Szum otaczający zbrodnie Augusto Gravesa, jego związek z Centralnym Miejskim – i z Tedem Dirgrove'em – sprawił, że biuro prasowe szpitala miało pełne ręce roboty. Dirgrove poszedł na przedłużony urlop. Urocze, młode kobiety w Rozwoju siedziały beczynnio. Nieudolni pracownicy ochrony ścierali się z reporterami.

Jeremy wykorzystał zamieszanie i zażądał dwóch miesięcy płatnego urlopu w wyznaczonym przez siebie terminie. Zamierzał wyjechać już niedługo. Kiedy tylko uporządkowane zostaną sprawy policyjne. Kiedy jego pacjenci będą mieli zapewnioną dobrą opiekę.

Wywalczył także dziesięć płatnych dni dla Angeli, bez wpływu na jej kurs specjalizacyjny. Spróbowałby załatwić więcej, ale go powstrzymała.

– Naprawdę muszę tu być.

Praca.

Tak też było dobrze. Miał mieć trochę czasu dla siebie, może sobie popodróżuje. Nauczy się czegoś. Pierwszych dziesięć dni – najlepszych dni – miał spędzić z Angell, z dala od nagłych wypadków, wspomnień i cierpienia.

W głębi serca wiedział, że zacznie się dla nich następny etap.

Angela nie mogła się już doczekać. Dzisiaj go zaskoczyła: polecą do Kalifornii, wypożyczą samochód – kabriolet – i pojedą na wybrzeże, prosto przed siebie. Wszystko jedno gdzie, byle było słońce.

Potem ostrożnie dodała:

– Może spędzilibyśmy ostatnie dwa dni u moich rodziców? Chciałabym, żeby cię poznali.

Oszaleją na twoim punkcie.

– Jesteś tego bardzo pewna.

– W stu pięćdziesięciu procentach. Bo ja oszalałam, a jestem ich księżniczką, która wszystko robi dobrze.

– Masz aż taką moc?

– O, tak.

– Przeróżające – mruknął Jeremy.

– Bardzo. – Uśmiechnęła się. Słońce odbijało się od jeziora i przeświecało przez fale jej włosów.

Piękna dziewczyna. Tutaj.

– Poradzisz sobie z taką mocą, twardzielu?

– No jasne.

Siedzieli naprzeciw siebie. Za daleko. Jeremy wstał, przysunął swoje krzesło do jej krzesła. Cmoknęła go w policzek. On pogłaskał ją po karku.

– Jak dobrze – westchnęła.

Siedzieli tak, wpatrzeni w wodę. Trzymali się za ręce i myśleli o różnych rzeczach.

A czasem o tych samych.